

Gösta Berling



SELMA LAGERLÖF

Gösta Berling

TEŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

WSTĘP

i. Proboszcz

W końcu proboszcz stanął na kazalnicy, a parafianie podnieśli głowy. Był tu nareszcie, więc nie zbraknie kazania tej niedzieli jak zeszłej i wielu, wielu poprzednich.

Proboszcz był młodzieńcem rosnącym, smukłym i ołsniewająco pięknym. Gdyby mu włożył helm na głowę, dać miecz i zbroję, mógłby śmiało stanowić model posągu marmurowego, nazwanego imieniem najpiękniejszego z Ateńczyków.

Miał głębokie oczy poety, silnie zarysowany a krągły podbródek wodza. Wszystko w nim było piękne, wytworne, wyraziste, przesyczone żarem genialności i życia duszy.

Parafianie doznali na jego widok dziwnego wzruszenia. Nawykli patrzeć, jak chwiejnie wychodzi z szynkowni wraz z towarzyszami zabaw, pułkownikiem Beerencreutzem o siwych sumiastych wąsach i mocarnym kapitanem Chrystianem Berghem.

Rozpił się tak bardzo, że przez całe tygodnie nie mógł pełnić swego urzędu, toteż gmina wniosła skargę, zrazu do dziekana, potem zaś do biskupa i kapituły. Biskup ze złotym krzyżem na piersi przybył właśnie na wizytację i rozprawę; zasiadł w prezbiterium otoczony prefektami, prałatami z Karlstadu i proboszczami z okolicznych wsi.

Zachowanie proboszcza przekroczyło wszelkie dozwolone granice. To pewna. W czasie onym, to znaczy w latach dwudziestych zeszłego wieku, nie sądzono zbyt surowo pijaństwa, atoli proboszcz zaniedbał skutkiem nałogu swój urząd i zapewne go teraz utraci.

Stał na kazalnicy czekając, aż przebrzmi ostatni wiersz psalmu.

Stojąc tak uświadomił sobie, że w całym kościele na wszystkich ławach ma samych jeno wrogów. Właściciele ziemscy na galerii, chłopci na dole, konfirmanci na chórze, wszystko to byli nieprzyjaciele. Wróg grał na organach, wróg kalikował¹, nienawidzili go wszyscy, począwszy od dzieci, przynoszonych na rękach do kościoła, aż do kościelnego, starego, sztywnego żołnierza, który brał udział w bitwie pod Lipskiem.

Proboszcz rad by rzucić się na kolana i błagać ludzi o zmiłowanie.

Nagle jednak zawrzał głuchym gniewem. Pamiętał dobrze, jakim był rok temu, gdy wstępował po raz pierwszy na kazalnicę. Wtedy był bez skazy, teraz zaś stoi tu w obliczu człowieka ze złotym krzyżem, który ma nań wydać wyrok.

Podczas odmawiania modlitwy fala krwi raz po raz barwiła mu policzki gniewnym rumieńcem.

Pił w istocie, któż miał atoli prawo go potępiać? Kto znał plebanię, gdzie mu żyć wypadło? Ciemny bór sosnowy otaczał ją z wszystkich stron, zaglądając w okna, wilgoć sączyła się ze szerniałego dachu i ciekła po zapleśniałych ścianach. Wódka podtrzymywała go na duchu w czasie ulewy czy zadymki śnieżnej, kiedy wichura wdzierwała się przez rozbite szyby, a lichy uprawne, jałowe pole nie dawało dość chleba dla zaspokojenia głodu.

Jego zdaniem, był w sam raz takim proboszczem, na jakiego zasługiwali parafianie. Pili zresztą wszyscy. Czemuż by on jeden tylko miał sobie gwałt zadawać? Wdowiec upijał się na stypie żony, ojciec po chrzcie dziecka. Parafianie pili wracając z kościoła, tak że

¹kalikowanie (z łac.) — pompowanie miechów tłoczących powietrze do piszczałek organów; było wykonywane przez pomocnika organisty (kalikanta). [przypis edytorski]

często przybywali do domu nieprzytomni. Dla nich więc w sam raz nadawał się proboszcz pijaczyna.

Polubił wódkę podczas swych podróży urzędowych, gdy w cienki płaszcz odziany pędził milami po zamrzniętych jeziorach, a wichry dęły z wszystkich stron; podczas żeglugi po tych jeziorach w otwartej, chybotliwej łodzi wśród burzy czy ulewy; w czasie jazdy saniami przez wysokie zasyпы śnieżne, gdy musiał schodzić i kopać koniowi drogę, przez zasyпы wysokie jak domy, a w końcu podczas długiego brodzenia po leśnych moczarach.

Dzień za dniem włókł się leniwie i ponuro. Chłop czy szlachcic, wszyscy przykuci myślami do ziemi, dopiero wieczorem wyzwolone przez wódkę dusze zrzuciły kajdany. Budziła się wyobraźnia, serce przepajał żar, życie promieniało, rozbrzmiewał śpiew i pachniały róże. Wówczas szynk przemieniał mu się w czarowny ogród pod niebem południa, nad głową zwisały winogrona i oliwki, posągi marmurowe błyskały pośród ciemnej zieleni, a filozofowie i poeci spacerowali pod palmami i platanami.

Widział, zaiste, stojąc tu na kazalnicy, że w tych stronach żyć bez wódki nie sposób. Wiedzieli też o tym słuchacze, a mimo to chcieli go potępić.

Umyślili zedrzyć zeń szatę duchowną dlatego, że pijany wszedł do domu bożego? Ha! Czyż wszyscy ci ludzie mieli... czy wyobrażali sobie, że mają innego Boga poza wódką?

Skończywszy modlitwę wstępną odmówił, pochylony, ojczesz.

W kościele panowała głęboka cisza. Nagle proboszcz chwycił silną dłonią wstęgi przytrzymujące szatę. Wydało mu się, że cała gmina z biskupem na czele skrada się na kazalnicę, by zedrzyć z niego szatę duchowną. Klęczał nie odwracając głowy, ale czuł, jak szarpną za wstążki, i widział dokładnie dziekanów, proboszczów, członków rady kościelnej, kościelnego i całą gminę. Dużo, dużo ludzi szarpało, chcąc zedrzyć zeń szatę. Wyobraził sobie, jak wszyscy zlecą na dół po schodach, gdy wstążki się zerwą, jak pospadają na wznak także i ci, którzy nie mogą szarpać sami, ciągną pierwszych za poły... tak się stanie niezawodnie.

Widział tę scenę tak dokładnie, że omal nie roześmiał się klęcząc, jednocześnie zaś zimny pot oblał mu skronie. Było to wprost straszne.

Miał zostać wyrzutkiem z powodu wódki! Czyż istnieje na świecie stworzenie żałośniejsze od wypędzonego księdza?

Będzie żebrakiem, legnie pijany nad rowem, cały w lachmanach przystanie do włóczków...

Skończył modlitwę i miał rozpocząć kazanie. Nagła myśl zatrzymała mu słowa na ustach. Oto po raz ostatni stał na ambonie, po raz ostatni wolno mu było głosić słowo boże i wieścić boską chwałę.

Po raz ostatni. Wstrząsnęła nim ta świadomość. Zapomniał o wódce i o biskupie. Czuł jeno, że musi skorzystać z tej sposobności i dać świadectwo chwale bożej. Posadzka kościoła zapadła się gdzieś głęboko, dach znikł, proboszcz patrzył prosto w niebo. Stał na kazalnicy sam jeden, duch jego uleciał na skrzydłach do tronu Boga, a głos, spotężniały, jął głosić chwałę pańską.

Poniosła go wyobraźnia. Zapomniał słów przysposobionego kazania, myśli zlatywały mu z góry niby oswojone gołębie. Wydawało mu się, że ktoś zań mówi, a jednocześnie czuł, że jest to rzecz najwyższa na ziemi i że nikt nie może sięgnąć dalej niż on, kiedy tak stojąc głosi sławę bożą.

Mówił jak człowiek natchniony. Poniechał tego, co miał napisane, myśli opadły go jak stado oswojonych gołębi; czuł, że to wcale nie on sam przemawia, a jednocześnie pojmował, że wyżej na tej ziemi sięgnąć nie można, że nikt w świetności i wspaniałości prześcignąć go nie zdoła — tak oto głoszącego chwałę Bożą.

Półki gorzał w nim płomień natchnienia, mówił bez przestanku, gdy zaś zagasł, gdy dach zapadł na nowo nad kościołem, a podłoga wynurzyła się z przepaści, jął płakać klęcząc, wiedział już bowiem, że przeżył najpiękniejszą chwilę życia i że chwila ta nie wróci.

Po nabożeństwie odbyło się zebranie rady kościelnej. Biskup spytał, czy gmina zanosi skargę na proboszcza.

Proboszcz nie był już zły i zuchwały jak przed kazaniem. Wstydział się i chylił czoło. „Ach — myślał — teraz wyjdą na jaw wszystkie szkaradne awantury pijackie!”

Ale żadna nie wyszła na jaw. U wielkiego stołu w izbie gminnej panowała cisza.

Proboszcz spojrział dokoła — naprzód na kościelnego... Nic, ten milczał, potem na członków rady kościelnej, potem na chłopów, na właścicieli hut żelaza... milczeli wszyscy. Pozaciskali usta i patrzyli z zakłopotaniem na stół.

„Czekają, by ktoś zaczął!” — pomyślał proboszcz.

Nagle jeden z członków rady odchrząknął i rzekł:

— Ja uważam, że nasz proboszcz jest dobry.

— Ksiądz biskup słyszał sam, jak umie mówić — dorzucił kościelny.

Biskup wspomniał coś o częstym zaniedbywaniu kazań.

— I proboszczowi zdarza się czasem chorować, jak każdemu innemu człowiekowi — zauważył jeden z chłopów.

Biskup napomknął, że gmina gorszy się zachowaniem proboszcza.

Jęli go wszyscy bronić jednogłośnie. Proboszcz, mówili, jest jeszcze bardzo młody, tedy nic dziwnego. Gdyby tylko co niedziela mówił jak dziś, nie zamieniliby go nawet na samego biskupa.

Skoro nie było oskarżyciela, nie było i sędziego.

Proboszcz czuł, jak mu serce rośnie, a krew szybko krąży w żyłach. Nie znajdował się tedy pośród wrogów, pozyskał ich sobie, i to w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewał. Miał nadal pozostać na urzędzie!

Po wizytacji zasiedli do posiłku na plebanii: biskup, dziekani, proboszczowie i najszanowniejsi gospodarze. Jedna z sąsiadek objęła funkcje gospodyni, gdyż proboszcz nie miał żony. Zarządziła wszystko doskonale, toteż po raz pierwszy spostrzegł, że plebania nie była wcale tak niemiła. Długi stół biesiadny, ustawiony pod sosnami, nakryty śnieżnym obrusem, na nim lśniąca biała i niebieska porcelana, szklanki i kunsztownie złożone serwety. U wejścia zatknięto w ziemię dwie brzoźki, podłogę zasłano gałązkami jałowca, z belki sufitu zwisał wieniec, we wszystkich izbach ustawiono kwiaty, wypędzono zapach zgnilizny, a zielonawe szyby błyszcząły wesoło w promieniach słońca.

Proboszczowi serce wezbrało radością i poprzysiągł sobie nie pić już nigdy.

Przy stole biesiadnym wszyscy byli pogodni i weseli. Ludzie cieszyli się, że okazali wspaniałomyślność i wyrozumiałość, proboszczowie zaś i dziekani czuli zadowolenie, że uniknięto skandalu.

Zacny biskup wznosił kielich i oświadczył, że wyruszył w drogę wielce zmartwiony niekorzystnymi wieściami, jakie doń doszły. Jadąc, sądził, że zastanie Szawła, ale oto tenże przemienił się już w Pawła, który większych niż inni dokona rzeczy. Dostojny gość wspominał potem o mnogich darach, jakie otrzymał młodszy brat jego, i sławił je, dodając, by nie dał się unieść dumie, ale wyteżył wszystkie siły i czuwał nad sobą, jak przystoi temu, kto dźwiga na barkach brzemień ciężkie bardzo, a cenne.

Tęgo dnia proboszcz nie pił wiele, a mimo to był pijany, gdyż uderzyło mu do głowy wielkie, nieoczekiwane szczęście. Niebo zapaliło nad nim płomień natchnienia, a ludzie obdarowali go miłością swoją. Krew wrzała w nim jeszcze i tętniła mocno w żyłach, gdy wieczór nadszedł i goście odjechali. Do późnej nocy siedział w swym pokoju, a przez otwarte okno płynęło rześwe powietrze nocne chłodząc gorączkę szczęśliwości i kojąc radosny niepokój, który mu spać nie dawał.

Nagle posłyszał głos:

— Czuwasz jeszcze, proboszczu?

Mężczyzna jakiś szedł ku plebanii przez trawnik. Proboszcz wyjrzał i poznał kapitaną Chrystiana Bergha, wiernego towarzysza pohulanek. Kapitan Chrystian Bergh był to bezdomny włóczęga, olbrzymiego wzrostu i siły, wielki jak turnia strzelista, a głupi jak duch gór.

— Czuwam, oczywiście, kapitanie! — odparł proboszcz. — Czyż można spać w taką noc?

Posłuchajmyż, co mu opowiedział kapitan. Olbrzymia strach ogarnął na myśl, że proboszcz zacznie teraz stronić od wódki. „Nie zazna on już nigdy spokoju — myślał kapitan. — Panowie z Karlstadu, skoro raz przyjechali, mogą zjawić się w każdej chwili i pozbawić go urzędu, gdyby popadł w dawny nałóg”.

Ale kapitan ujął rzecz silną dłonią i sprawdził, że nie wróci tu już żaden proboszcz, dziekan czy biskup. W przyszłości proboszcz i jego przyjaciele będą mogli popijać do

woli na plebanii. Posłuchajcie, jakiego to czynu bohaterskiego dokonał mocny kapitan Chrystian Bergh!

Gdy biskup i obaj prałaci wsiedli do karety i drzwiczki zamknięto za nimi, kapitan siadł na koźle i wiózł ich milę czy dwie jasną letnią nocą. Dał tym czcigodnym do zrozumienia, jak łatwo wytrząść życie z człowieczego ciała. Pędził szaleńczym galopem za karę, że wzbraniali porządnemu człowiekowi popić sobie czasem do woli.

Nie sądziżmyż, że się trzymał gościńca! Przetrzęsł ich porządnie! Pędził przez rowy, ścierniska, sunął galopem z pagórków, zajechał w jezioro, aż woda pryskała wysoko, i toczyła kolasę tuż nad przepaściami, tak że konie ślizgały się na przednich, sztywno rozstawionych nogach. Przez cały czas biskup i prałaci siedzieli za skórzanymi firankami bladzi, mrużąc pacierze. Gorszej jazdy nie zaznali w życiu.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądali dotarłszy do gospody w Rissäter. Żywi byli, ale wytrzęsieni niby ziarna śrutu w worku skórzanym.

— Cóż to ma znaczyć, kapitanie Chrystianie? — spytał biskup, gdy Bergh otwarł drzwiczki kolasy.

— To znaczy, że ksiądz biskup namyślił się dobrze, zanim po raz drugi złoży wizytę Goście Berlingowi! — odparł kapitan, który z góry sobie to zdanie ułożył, żeby się nie zająknąć.

— Proszę tedy pozdrowić Göstę Berlinga — rzekł biskup — i zapewnić go, że ani mnie, ani innego biskupa już w siebie nie zobaczy.

O tym bohaterskim czynie swoim opowiedział proboszczowi potężny kapitan stojąc w jasną, letnią noc u jego okna. Przed chwilą właśnie oddał konie w gospodzie i ruszył z nowiną na plebanie.

— Teraz możesz być spokojny, bratku! — zakończył olbrzym.

Ach kapitanie Chrystianie! Księża byli co prawda bladzi, siedząc w powozie, ale siedzący tu u okna proboszcz, zapatrzonej w jasną noc letnią, miał, zaiste, dużo bledszą twarz! Ach, kapitanie Chrystianie!

Proboszcz podniósł pięść chcąc palnąć olbrzymowi w głupią, prostacką gębę, ale rozmyślił się. Zatrzasnął z hukiem okno, stanął pośrodku pokoju i podniósł pięść ku niebu.

O, czymże był ów płomyk natchnienia błyszczący nad głosicielem chwały bożej! Wszakże Bóg zadrwił sobie zeń!

Biskup pewny był oczywiście, że to on sam wysłał kapitana Bergha. Pewny był też, że przez cały dzień kłamał obłudnie. Teraz weźmie się doń ostro, zawiesi go w urzędowaniu, a potem wypędzi.

Gdy nastał ranek, nie było już proboszcza na plebanii. Nie chciał czekać i bronić się. Bóg zeń zadrwił, nie użył mu swej pomocy. Wiedział dobrze, że go wypędzą. Bóg sam chciał tego właśnie. Mógł tedy od razu iść precz.

Zdarzyło się to w Szwecji, w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku, w zapadłej gminie zachodniej Värmlandii.

Pierwsze to nieszczęście Gösty Berlinga nie pozostało ostatnim.

Trudne jest życie koni nie znoszących ostróg ni bicza. Po każdym uderzeniu batem rzucają się wertepami ku przepaściom. Natrafiwszy na skalisty grunt obalają po prostu wóz i zerwawszy uprzęż pędzą na złamanie karku w szalonym galopie.

2. Żebrak

Pewnego zimowego dnia, w grudniu, na wzgórza brobijskie z mozołem wspinał się żebrak. Odziany był w nędzne lachmany, a przez dziurawe trzewiki wciskał się śnieg.

Jezioro Löven w Värmlandii jest to wąski pas wody, w kilku miejscach zacieśniony w sund². Siega od strony północnej aż do lasów fińskich, zaś od południa do jeziora Wener. Na brzegach leży kilka gmin, przede wszystkim zaś gmina broeńska, największa i najbogatsza z wszystkich. Zajmuje ona znaczną część wschodniego i zachodniego wybrzeża. Tu właśnie, po stronie zachodniej, rozciągają się największe posiadłości, jak dobra rycerskie Ekeby i Björne, słynne z bogactw i piękności, oraz duża wieś Broby z gospodą, ratuszem, siedzibą naczelnika okręgu, plebanią i placem targowym.

Broby leży na stromym stoku wzgórza.

²sund (szwedz.) — cieśnina. [przypis edytorski]

Żebrak minął gospodę znajdującą się w dole i maszerował z trudem w górę, ku plebanii na samym szczycie.

Przed nim szła mała dziewczynka, ciągnąc na sznurze sanki obciążone workiem mąki.

Żebrak doścignął dziewczynkę i wszczął rozmowę.

— Za mały to konik na taki ciężar! — powiedział.

Dziewczynka obróciła się i spojrzała nań. Była małego wzrostu, miała około dwunastu lat, badawcze, bystre oczy i zaciśnięte usta.

— Dałby Bóg, by konik był jeszcze mniejszy, a ciężar jeszcze większy, bo starczyłoby na dłużej! — odparła.

— Czy wiesz może własne pożywienie?

— Tak, niestety. Chociaż mała, sama muszę się starać o chleb dla siebie.

Żebrak jął popychać sanki z tyłu, a dziewczynka obróciła się i rzekła:

— Nie myśl, że coś za to dostaniesz.

Żebrak roześmiał się w głos.

— Jesteś pewnie córką proboszcza z Broby! Zaraz to widać...

— Tak, jestem jego córką. Niejedno dziecko ma ojca biedniejszego, ale żadne chyba gorszego. To szczerą prawdą, choć wstyd dziecku tak mówić.

— Zapewne skąpy i zły?

— Tak, skąpy, a ponadto zły! Ale córka jego, jeśli pożyje, będzie, jak powiadają, jeszcze gorsza.

— Może to i prawda. Rad bym wiedzieć, skąd wzięłaś ten worek mąki?

— Mogę ci powiedzieć, gdyż wcale mi na tajemnicy nie zależy. Zabrałam zboże ojcu ze spichrza dziś rano i zawiozłam do młyna.

— Zobaczysz niezawodnie, gdy się z tym zjawisz w domu.

— O, jakis ty mądry! Ojciec pojechał w sprawach urzędowych. Powinieneś się był domyślić.

— Ktoś jedzie za nami pod górę. Słychać skrzyp śniegu pod płozami sań. A jeśli to on?

Dziewczynka jął nasłuchiwać i patrzeć bacznie, potem wybuchnęła płaczem:

— To ojciec, tak, ojciec! — wołała. — Zabijcie mnie!

— Dobra rada i szybka pomoc więcej warte w tej chwili niż złoto i srebro! — zauważył żebrak.

— Wiesz co — rzekła dziewczynka — możesz mi dopomóc. Przeprasza się sznurem przez plecy i ciągnij sanki, a ojciec pomyśli, że mąka jest twoja.

— Cóż z tym pocznę? — spytał zarzucając sznur na ramię.

— Idź, gdzie chcesz, ale o zmroku wróć na plebanie. Będę cię wyglądała. Masz wrócić z sankami i workiem, słyszysz?

— Ano, spróbuję.

— Bóg cię skarże, jeśli nie wrócisz! — zawołała i pobiegła co sił, by znaleźć się w domu przed przybyciem ojca.

Z ciężkim sercem żebrak zawrócił sanki i zawlókł je na dół, do gospody. Biedak snuł marzenia brodząc na wpół boso po śniegu. Marzył o wielkich lasach na północ od Löveńskiego Jeziora, o nieprzejrzanym borach fińskich.

Tu, na nizinach gminy broeńskiej, kędy wędrował właśnie wzdłuż wąskiego sundu, łączącego górną i dolną część jeziora, w okolicy wesołej i bogatej, gdzie stał pałac przy pałacu i jedna huta żelaza przy drugiej, każda droga zdawała mu się zbyt uciążliwa, każda izba za ciasna, każde łóżko za twarde. Tęsknił boleśnie do spokoju wielkich, niezgłębianych borów.

Tutaj tętniły cepy po klepiskach, jakby młocka nie miała się nigdy skończyć, a ładunki drzewa i węgla wciąż płynęły z niewyczerpanych lasów. Długie szeregi napelnionych rudą wozów drążyły głębokie ślady po drogach wyłobionych już przez setki poprzednich. Od osiedla do osiedla pędziły sanki, zdawało się, że powozi radość, zaś piękno i miłość stoją z tyłu na płozach. Ach, jakże tęsknił biedny, samotny wędrowiec do ciszy przepastnych ostępów.

Tam, gdzie wysokie pnie strzelają z ziemi niby smukłe kolumny, gdzie śnieg leży grubą warstwą na nieruchomych gałęziach, gdzie wiatr straciwszy siłę szepce jeno z cicha,

igrając w szpilkach koron, tam chciał się zanurzyć w puszczy i iść aż do upadku sił, lecz jednego dnia pod wysokimi drzewami i umrzeć z zimna i głodu.

Tęsknił za tą wielką, szumiącą mogiłą nad Löveńskim Jeziorem, gdzie go zaskoczą niweczące potęgi i gdzie nareszcie głód, zimno, znużenie i wódka zmogą nędzne ciało, dotąd odporne na wszystko.

Dotarł do gospody i postanowił tu czekać do wieczora. Wszedł do izby i usiadłszy przy drzwiach zapadł w tępe marzenia o wielkich lasach.

Szynkarka ulitowała się nad nim i dała mu kieliszek mocnej wódki, potem zaś drugi, gdyż bardzo usilnie prosił.

Więcej dać nie chciała, a żebrak popadł w straszną rozpacz. Musiał koniecznie dostać więcej tej doskonałej, słodkiej, mocnej wódki, musiał raz jeszcze uczuć, jak serce skacze w piersiach, a myśli błyskają w upojeniu. W wódce paliło się wszak letnie słońce, przepełnił ją śpiew ptaków, woń i piękno lata. Raz jeszcze bodaj, zanim zapadnie noc i ciemność, chce napić się słońca i szczęścia.

Powoli zamienił mąkę, potem worek, a w końcu sanki na wódkę, upił się tego i przespał część popołudnia na ławie w szynkowni.

Zbudziwszy się uświadomił sobie, że mu jedno jeszcze tylko pozostało na świecie. Nędzne ciało wzięło znowu górę nad duszą, ośmielił się przepić to, co mu powierzyło biedne dziecko, był zakalą świata, postanowił zrzucić brzemię tej ohydy. Chciał uwolnić duszę i pozwolić jej odejść do Boga.

Leżąc na ławie w szynkowni sądził się sam: „Gösta Berling, wygnany pastor, obwiniony o to, że skradł własność głodnego dziecka, zostaje niniejszym skazany na śmierć. Na jaką śmierć? Śmierć w śniegu!”

Sięgnął po czapkę i wyszedł chwiejnie. Niezupełnie jeszcze przytomny i trzeźwy, zapłakał ze współczucia nad sobą i nad swą biedną, upodloną duszą, której musi dać wolność. Nie oddalał się zbyt daleko i nie schodził z drogi. Nad rowem była wielka zaspą śnieżną, legł w niej, by umrzeć. Zamknął oczy usiłując zasnąć.

Nie wiadomo, jak długo leżał, ale tliło w nim jeszcze życie, gdy córka brobijskiego pastora podbiegła z latarnią w rękę i znalazła go w głębokim śniegu. Czekala długie godziny, teraz atoli pośpieszyła gościńcem na zwiady, co się z nim stać mogło.

Poznała go zaraz i jęła nim z całej siły trząść i krzyczeć, by zbudzić śpiącego. Musiała go przywrócić do życia na tak długo przynajmniej, by jej powiedział, gdzie podział worek i sanki. Ojciec zatłukłby ją na śmierć, gdyby sanki zaginęły. Ugryzła żebraka w palec, podrapała mu twarz i wrzeszczała jak opętana.

Nagle zjawily się na gościńcu jakieś sanie.

— Któż się tam tak drze, do diabła? — spytał szorstki głos.

— Chcę się dowiedzieć, co zrobił z moim workiem i sankami! — załkała dziewczynka i uderzyła żebraka pięścią w pierś.

— Czyż nie wstyd ci drapać zamarzonego człowieka? Idź precz, dzika kocico!

Barczysta, rosla kobieta wysiadła z sań i podeszła do zasp. Chwyciwszy dziewczynkę za kark, cisnęła ją na srodek gościńca. Potem schyliła się, podsunęła ramię pod plecy żebraka i dźwignęła go. Zniosła do sań i złożyła w nich.

— Chodź ze mną do szynku, dziki kocie! — powiedziała proboszczównie. — Zobaczmy, co wiesz o tym wszystkim!

W godzinę potem żebrak siedział w paradnej izbie gospody na krześle koło drzwi, przed nim zaś stała władcza pani, która go uratowała od śmierci w śniegu.

Gösta Berling patrzył na nią. Wracała z objazdu węglarni leśnych, miała usmolone ręce, glinianą fajkę w ustach, krótkie, nie pokryte futro z owczych skórek, spódnice z pasiastego samodziału, podkute trzewiki, a za paskiem nóż w pochwie. Piękną jej, starą twarz okalały szpakowate, gładko w górę zaczesane włosy. Gösta słyszał tysiące razy opis tej postaci i zrozumiał, że ma przed sobą słynną w całej okolicy majorową z Ekeby.

Była to najpotężniejsza kobieta Värmlandii, właścicielka siedmiu hut żelaza, nawykła rozkazywać i władać. On zaś był nędznym, na śmierć skazanym żebrakiem, nie posiadającym nic, każda droga była mu zbyt uciążliwa, każda izba za ciasna. Drżał na całym ciele pod siłą jej spojrzenia. Stała patrząc na tę kupkę ludzkiej niedoli, na czerwone, napuchłe

ręce, zniszczone ciało i wspaniałą głowę, która mimo zaniedbania i upadku jaśniała dziką pięknnością.

— Czy acan jesteś Gösta Berling, szalony proboszcz? — spytała.

Żebrak milczał.

— Ja jestem majorowa z Ekeby.

Żebrak drgnął. Złożył ręce i spojrzał na nią błagalnie. Czegóż chciała? Czy zmusić go, by żył? Bał się jej mocy. Już tak bliski był spokoju wieczystych lasów!

Zaczęła walkę oświadczając, że córka proboszcza brobijskiego dostała z powrotem swe sanki i worek z mąką i że ona, majorowa, ma dlań, jak dla wielu innych biednych i bezdomnych, pomieszczenie w skrzydle pałacu ekebijskiego, gdzie mieszkają rezydenci. Zaofiarowała mu życie wygodne i wesołe.

On zaś odparł, że musi umrzeć.

Palnęła pięścią w stół i otwarcie wyraziła swój pogląd na sprawę.

— Więc acan chcesz umrzeć? Ha... nie dziwiłoby mnie to, gdybyś acan w ogóle jeszcze żył! Spójrz jednak, proszę, na swe wynędzniałe ciało, martwe członki, mętne oczy... czy sądzisz, że dużo tu jeszcze zostało do umierania? Czy sądzisz, że umarły musi koniecznie leżeć w zabitej gwoździami trumnie? Sądzisz pan, Gösto Berlingu, że nie widzę, iż już umarłeś? Na karku twym tkwi szczyrząca zęby trupia czaszka, robaki wchodzą i wychodzą oczodolami. Wszakże czujesz acan w ustach smak ziemi? Kości tve chrzęszczą za każdym ruchem. Utonął w wódce i umarł Gösta Berling. To, co się w nim jeszcze porusza, to szkielet sam i temu nie chcesz acan pozwolić żyć, jeśli to w ogóle zwać można życiem? Tak jak gdybyś chciał zabronić nieboszczykowi potańcować na grobach w noc księżycową. Czy acanu wstyd, że go złożyli z probostwa, i dlatego chcesz koniecznie umierać? Zaprawdę, lepiej by było zużytkować zdolności swe do czynów dobrych na tej ziemi bożej! Czemużeś acan zaraz nie zwrócił się do mnie? Wszystko bym załatwiła za acana! Pewnie się acanu zachciewa tego zaszczytu, by w całun zawinięty i wystrojony leżeć na wiórach i uchodzić za pięknego nieboszczyka... co?

Żebrak siedział cichy, uśmiechał się nawet z lekka i słuchał tętniących gromko słów. „Nie trzeba — myślał — nie trzeba, wieczyste lasy czekają, ona zaś nie ma siły odwrócić od nich mej duszy”.

Majorowa zamilkła, przeszła się parę razy po izbie, potem usiadła przy kominie opierając stopy o ruszt, a łokcie o kolana.

— Do kroćset tysięcy diabłów! — zawołała po chwili ze śmiechem. — To, com powiedziała, jest prawdziwsze, niż się wydaje! Wszakżeś sam musiał zauważyć, że większość ludzi to trupy lub półtrupcy. Czy sądzisz pan, że ja żyję? Ach... nie, nie! Spójrz no tylko na mnie. Jestem majorowa z Ekeby, najmocniejsza chyba baba w Värmlandii. Gdy ruszę palcem, leci landrat³, gdy skinę dwoma, galopuje biskup, gdy kiwnę trzema, cała kapituła i panowie rada, i wszyscy obszarnicy Värmlandii tańczą polkę na rynku karlstadzkim. Oświadczam jednak acanu, mój proboszczu, że jestem żywym trupem! Bóg jeden wie, jak mało jest we mnie życia!

Żebrak słuchał, pochylony, z wielką uwagą i napięciem. Majorowa siedząc przed ogniem chwiała się to w prawo, to w lewo. I wcale nań nie patrzyła.

— Wszakże, gdybym była człowiekiem żywym — podjęła na nowo — to widząc cię w smutku i niedoli i znając samobójcze myśli acana, jednym tchnieniem wypłoszyłabym je z pańskiej duszy. Zdobyłabym się na łzy, na modlitwy wzruszające do głębi i zbawiłabym pańską grzeszną duszę. Ale ja umarłam.

Słyszałeś pan pewnie, że byłam niegdyś piękną Małgorzatą Celsing! Dawne to dzieje, ale do dziś wypłakuję stare oczy po jej zgonie. Czemuż miała umrzeć Małgorzata Celsing, a Małgorzata Samzelius żyje? Cóż po życiu majorowej z Ekeby? Czy możesz mi to wyjaśnić, Gösto Berlingu? Czy wiesz acan, jaka była Małgorzata Celsing? Smukła, wykwintna, skromna, niewinna... tak, Gösto! Była jedną z tych istot, po których aniołowie na grobach płaczą. Nie wiedziała o zlem, nikt jej nie sprawił zmartwienia, była dobra dla wszystkich. I cudownie piękna.

Zjawił się pewien urodziwy mężczyzna, a zwał się Altringer, Bóg jeden wie, czemu się zjawił w dzikim pustkowiu äldalskim, gdzie leżały dobra rodziców Małgorzaty. Był to

³landrat (z niem.) — radca ziemski, starosta. [przypis edytorski]

piękny, wspinały człowiek. Poznali się i pokochali. Ale nie miał majątku, toteż uradzili, że będą, jak w bajce, czekać na siebie pięć lat.

Po trzech latach zjawił się inny konkurent, brzydki co prawda, ale rodzice Małgorzaty mówili, że jest bogaty, i zmusili ją do małżeństwa perswazją, obietnicami, biciem, pogroźką. Tegoż to dnia zmarła Małgorzata Celsing.

Odtąd nie było Małgorzaty Celsing, a tylko majorowa Samzelius, osoba zgoła niedobra, nieskromna, wierzyła w różne złe rzeczy, a nie troszczyła się wcale o dobre.

Wiesz pan zapewne, co się potem działo. Zamieszkaliśmy tu blisko, w Sjö, nad Jeziorem Löveńskim, to znaczy ja z majorem. Ale nie był on wcale bogaty, jak głoszą.

Przeszłam ciężkie czasy.

Nagle wrócił Altringer jako człowiek majątny, został właścicielem Ekeby, sąsiadem naszym. Niebawem zakupił jeszcze sześć innych posiadłości nad Jeziorem Löveńskim.

W ogóle człowiek przedsiębiorczy, człowiek zachwycający. Dopomagał nam w biedzie, jeździliśmy jego powozami, przysyłał nam zapasy kuchenne i wino do piwnicy. Wypełniał mi życie radosnym upojeniem. Po wybuchu wojny wyjechał major, ale nas to nie obeszło wcale! Bywałam u niego w Ekeby, a on wzajem co drugi dzień u mnie, w Sjö. Życie nam płynęło niby taniec wzdłuż wybrzeży jeziora.

Ale wkrótce ludzie zaczęli plotkować o mnie i Altringerze. Gdyby Małgorzata Celsing żyła, zmartwiłoby ją to zapewne, ja na to jednak nie zwracałam zgoła uwagi. Nie wiedziałam jeszcze, że będąc umarłą wyzbyłam się też wszelkich uczuć.

Plotki dotarły do rodziców moich, żyjących w górach, pośród mielerzy⁴ węglowych w älvdalskich lasach. Matka, nie namyślając się długo, przybyła do Sjö, by ze mną pogadać.

Zjawiła się właśnie po wyjeździe majora, w chwili gdym siedziała przy stole z Altringerem i kilku gośćmi. Widziałam, jak wchodzi do jadalni, ale nie odczułam, że to moja matka... Tak... Gösto Berlingu! Jak obcą zaprosiłam ją do swego stołu i podsunęłam półmiski. Chciała ze mną pomówić jak z córką, ale oświadczyłam, że się myli, rodziców nie mam, albowiem zmarli w dniu mego ślubu.

Przystała na tę rolę. Miała siedemdziesiąt lat i przeżyła w ciągu trzech dni dwadzieścia mil końmi. Bez ceremonii usiadła do stołu i spożyła z nami obiad. Była to niezwykle silna staruszka. Złożyła mi wyrazy współczucia z powodu straty obojga rodziców w sam dzień ślubu.

„Najbardziej mnie smuci — odparłam — że rodzice moi nie zmarli w przeddzień ślubu, gdyż nie byłoby doszło do małżeństwa”.

„Pani majorowa nie czuje się tedy szczęśliwa w małżeństwie?” — spytała.

„O tak! — odparłam. — Teraz czuję się szczęśliwa. Zawsze też będę z radością pełniła wolę rodziców”.

Spytała, czy może być wolą rodziców, bym na nich i na siebie ściągała hańbę i oszukiwała męża? Jakież to zaszczyt przynoszę rodzicom wydając ich na języki ludzkie?

„Niechże śpią, jak sobie posłali” — odparłam i poprosiłam obcą damę, by przyjęła do wiadomości, że nie chcę słuchać słów przykrych o córce rodziców moich.

Jadłyśmy my dwie tylko. Mężczyźni siedzieli milcząc, żaden nie kwapił się do widelca i noża.

Stara dama została przez dzień i noc dla wypoczynku. Ale póki ją widziałam, pojąć nie mogłam, by to była matka moja. Wiedziałam, iż matka dla mnie umarła.

Gdy miała odjeżdżać, Gösto, stałam obok niej na schodach; a kiedy powóz zajechał, powiedziała mi: „Byłam tu przez dzień i noc, a nie chciałaś mnie ni na chwilę uznać za matkę. W ciągu trzech dni przejechałam przez pustkowia dwadzieścia mil. Ze wstydu za ciebie drży stare ciało moje jakby chłostane różgami. Niechże się ciebie wyprą, jakoś się mnie wyparła, niech odepchną, jakoś ty mnie odepchnęła! Niech ci będzie domem gościniec, grób leżem, a mielerz węglowy ogniskiem. Niech ci nagrodą będzie wstyd i potępienie i niechaj ci inni biją, jako ja cię biję!”

To rzekłszy wymierzyła mi tęgą policzek.

Ja zaś wzięłam ją na ręce, zniosłam po schodach i posadziłam w powozie.

⁴mielerz — kociopek drewna przykryty ziemią, darnią lub gliną i wypalany na węgiel drzewny. [przypis edytorski]

„Jakimże prawem złorzeczysz mi? — spytałam. — Jakim prawem bijesz mnie? Tęgo nie zniosę od nikogo”.

To rzekłszy oddałam jej policzek. W tej chwili powóz ruszył i w tejże chwili przekonałam się też, Gösto, że Małgorzata Celsing naprawdę zmarła. Była tak niewinna i dobra. Nie wiedziała, co znaczy zło. Aniołowie płakaliby na jej grobie. Gdyby żyła, nigdy nie ośmieliłaby się uderzyć matki swojej.

Żebrak przy drzwiach słuchał bacznie, a słowa te przygłuszyły na chwilę kuszący szmer lasów wieczystych. Oto ta bogata pani zstąpiła ku niemu w grzechach swoich, została mu siostrą w niedoli, a uczyniła to, by mu dodać odwagi do życia. By zrozumiał, że na głowach innych ludzi cięży również troska i wina. Wstał i podszedł do majorowej.

— Czy godzisz się teraz żyć, Gösto? — spytała głosem zdławionym przez łzy. — Na cóż ci umierać? Mogłeś być zapewne dzielnym proboszczem, ale Gösta Berling, utopiony przez ciebie w wódce, nigdy nie był tak promiennie czysty jak Małgorzata Celsing, którą utopiłam w nienawiści! Czy chcesz żyć, Gösto?

Gösta padł przed majorową na kolana i rzekł:

— Przebac mi, nie mogę!

— Jestem starą kobietą — odparła — otępiałam w troskach i zgorzkniałą, a oto siedzę i wydaję się na łup żebraka, którego znalazłam na polu zamarłego w zaspie. Dobrze mi tak. Idźże sobie acan i popełnij samobójstwo... ale nie opowiadaj przynajmniej nikomu o mojej głupocie!

— Nie jestem samobójcą — błagał — jestem skazany na śmierć. Nie utrudniaj mi walki! Żyć nie mogę! Ciało moje wzięło górę nad duszą, przeto muszę ją wyzwolić i puścić do Boga.

— Sądysz więc acan, że pójdzie do Boga?

— Żegnaj mi, majorowo, i przyjm dzięki moje!

— Żegnam cię, Gösto Berlingu!

Żebrak wstał i powłócząc nogami, ze zwieszoną głową podszedł do drzwi. Ta kobieta utrudniała mu wielce podróż ku wiekuistym lasom.

Pod drzwiami obejrzał się bezwiednie. Napotkał spojrzenie majorowej, która siedziała bez ruchu, patrząc za nim. Nie zauważył dotąd nigdy takiej zmiany w ludzkiej twarzy, stanął tedy i patrzył zdumiony. Przed chwilą jeszcze zapamiętała i sroga, siedziała jakby w zachwyceniu, a oczy jej wyrażały bezbrzeżną, litosną miłość. Stopniało jego zdziżalone serce od tego spojrzenia, oparł czoło o ramę drzwi i podnosząc nad głową ramiona zapłakał, jakby mu miało pęknąć serce.

Majorowa rzuciła fajkę w ogień i podeszła doń, a ruchy jej stały się nagle łagodne, jakby macierzyńskie.

— No... no... chłopcze drogi!... — powiedziała.

Pociągnęła go na ławkę przy drzwiach, usiadła obok i wzięła głowę jego na łono, by mógł swobodnie płakać.

— Czy jeszcze chcesz umierać? — spytała po chwili.

Porwał się, tak że musiała go przytrzymać przemocą.

— Po raz ostatni mówię panu, że możesz to uczynić, jeśli chcesz. Jeśli atoli zgodzisz się żyć, obiecuję wziąć do siebie córkę brobijskiego proboszcza i wychować na dzielnego człowieka. Możesz acan podziękować Bogu za to, żeś jej skradł mąkę. No cóż... chcesz?

Podniósł na nią spojrzenie i popatrzył jej w oczy.

— Czy pani mówi serio? — spytał.

— Oczywiście, Gösto Berlingu.

Załamął dłonie w strasznej udreće. Ujrzał przed sobą trwożne oczy, zaciśnięte usta i wychudłe ręce. Biedna mała istota miała znaleźć schron i opiekę, zniknąć miało z jej ciała piętno poniżenia, a zło z duszy. Uczuł, że zamknęła się przed nim droga do wiekuistych lasów.

— Nie pozbawię się życia, jak długo ta mała pozostanie w opiece pani! — powiedział. — Wiedziałem, że pani majorowa jest ode mnie silniejsza i że mnie zmusi do życia.

— Gösto — powiedziała uroczyście — walczyłam o ciebie jak o własne zbawienie. Powiedziałam Bogu: „Jeśli jest we mnie jeszcze ślad Małgorzaty Celsing, to spraw, Boże, by się zjawiała i nie dała temu człowiekowi odebrać sobie życia”. I Bóg wysłuchał mej prośby, ujrzałeś ją i dlatego nie miałeś siły odejść. Podszeptęła mi, że może ze względu

na to biedne dziecko porzucisz myśl o samobójstwie. Ach, jakże zuchwale fruwanie wy, dzikie ptaki, ale Bóg wie, jaka sieć was schwytać może.

— Bóg jest wielki i przedziwny! — rzekł Gösta. — Zadrwił sobie ze mnie i odepchnął, a jednak nie pozwala mi umrzeć. Niech się stanie wola jego.

Od tego dnia Gösta Berling został rezydentem w Ekeby. Dwa razy próbował się wyrwać i żyć z własnej pracy. Za pierwszym razem majorowa podarowała mu działkę w pobliżu Ekeby. Przeniósł się tam i zamierzał żyć jak wyrobnik. Przez czas pewien szło dobrze, ale nie mogąc znieść samotności i codziennej ciężkiej pracy wrócił na stanowisko rezydenta. Za drugim razem przyjął w Borgu miejsce nauczyciela młodego hrabiego Henryka Dohny. Zakochał się tam w siostrze hrabiego, Ebbie Dohnie, gdy jednak zmarła, w czasie kiedy miał już nadzieję pozyskać jej wzajemność, wyrzekł się wszelkiej myśli, iż mógłby zostać czymś więcej niż rezydentem Ekeby. Nabral przekonania, że jako wyrzucony proboszcz ma zamknięte wszystkie drogi powrotu i oczyszczenia swego honoru.

I. KRAJOBRAZ

Pragnę teraz opisać wydłużone jezioro, bujną równinę i błękitne góry, tu bowiem mieści się właśnie widownia wesołego życia Gösty Berlinga i innych rezydentów.

Źródła jeziora leżą daleko, na północy, a jest to piękna dla jeziora ojczyzna. Las i góry gromadzą mu nieustannie wodę, siklawy zaś i potoki wlewają się weń przez cały rok. Może się rozciągnąć na drobnym, białym piasku, przegładają się w nim przylądki i wyspy, a wodniki i syreny harczą wesoło. Niebawem też jezioro rośnie i potężnieje. Tam, na północy, jest ono rześwe i radosne. Trzeba wiedzieć, jak wesołe jest letnim rankiem, gdy zaledwie obudzone lśni spod przysłony mgieł. Kryje się zrazu na chwilę, potem wypełza pomaleńku z jasnej osłony tak czarowne, że je rozpoznać trudno. Nagle odrzuca całe nakrycie i oto leży nagie, czyste, różowe i błyszczą w porannych promieniach.

Jezioro nie poprzestaje jednak na wesołej igraszce. Toruje sobie drogę przez piaszczyste wzgórze ku południowi, zwęża się w wąską cieśninę i szuka sobie nowego królestwa. Znalazszy je rozciąka się zaraz i olbrzymieje, to wypełniając jakąś przepastną głęb, to zdobiąc rodzajną okolicę. Ale woda jest tu ciemniejsza, brzegi mniej urozmaicone, wiatry wieją ostrzej, jezioro nabiera surowszego charakteru, staje się wielkie i wspaniałe. Krążą po nim liczne statki i tratwy, i późno dopiero, przeważnie koło Bożego Narodzenia, ma czas ułożyć się pod lodem i śniegiem do snu zimowego. Często wpada w zły humor, miota pianę i wywraca łodzie żaglowe, czasem atoli leży w cichym rozmarzeniu i pozwala przegłądać się niebu.

Jezioro zmierza jeszcze dalej w świat, chociaż je strome góry ściskają coraz bardziej i im dalej na południe, tym coraz mniej ma miejsca, tak że w końcu może jeno pełznąć jako wąski sund pomiędzy wysokimi brzegami. Potem rozszerza się po raz trzeci, ale nie z taką już okazałością i potęgą.

Brzegi tu jednostajne i płaskie, wiatry wieją łagodniejsze, jezioro zasypia wcześniej pod pokrywą lodu. Jest jeszcze piękne, choć utraciło dzikość młodzieńczą i siłę wieku męskiego. Stało się takim samym jeziorem jak wiele innych. Z rozpostartymi ramionami sunie omackiem ku Jezioru Wenerskiemu, a dotarwszy rzuca się w nie po stromym stoku ostatkiem starczych sił i wśród pożegnalnego grzmiącego huku znajduje spoczynek.

Równina jest tak długa, jak jezioro, ale z trudem przedziera się naprzód z powodu gór i zatok; przeszkody jawią się teraz, począwszy od wąwozu na północnym krańcu jeziora, gdzie dolina po raz pierwszy nieco śmieiej się rozpościera, i dalej, aż się wygodnie rozłoży na spoczynek u brzegów Jeziora Wenerskiego. Równina biegłaby oczywiście najchętniej wzdłuż jeziora, od początku do końca, ale nie pozwalają na to góry. Potężne skalne ściany, porośłe lasem, pełne rozpadlin utrudniających wędrówkę, a tak bogate w mech i porosty, że od zamierzchłych czasów były ojczyzną dzikiego zwierza. Często trafia się na rozległych upłazach⁵ górskich bagnisko z grząskim dnem lub moczar o czarnej wodzie, a tu i ówdzie widnieje też mielerz węglarza, poręba lub płacheć spalonego wrzosowiska. Świadczy to, że i góry poddać się musiały pracy człowieka, zazwyczaj jednak śnią one w beztroskim spokoju, igrając jeno wieczystymi odbłaskami światła po zboczach i załomach.

⁵upłaz — stosunkowo płaski stok górski, często porośnięty trawą, oddzielający zbocza o znacznie większym nachyleniu. [przypis edytorski]

Równina potulna, urodzajna i miłująca pracę toczy ciągły bój z górami, przy całej zresztą życzliwości.

— Poprzestańcież na tym, żeście mnie murem otoczyły! — powiada równina. — Zadowolę się taką ochroną!

Ale góry nie baczą na te słowa i wysyłają długie szeregi wzgórz i łysych płaskowyży aż do samego jeziora. Budują po przylądkach wspaniałe wieże, z których można podziwiać krajobraz, i tak rzadko cofają się z wybrzeża, że równina miejscami tylko może stoczyć się w miękki piasek. Próżne są atoli jej żale.

— Rada bądź, że tu stoimy! — powiadają góry. — Wspomnij czas przed Bożym Narodzeniem, kiedy to dzień po dniu mgły lodowate toczą się po jeziorze. Wielkie, zaiste, oddajemy ci przysługi!

Równina skarży się, że jej brak miejsca i ma zły widok.

— Głupia jesteś! — Nie wiesz, jak tu wieje nad wodą. Trzeba mieć grzbiet granitowy i futro sosnowe, by wytrzymać. Zresztą, bądź zadowolona, że ci wolno patrzeć na nas.

Równinę raduje to w istocie. Zna dobrze przedziwną grę cienia i światła przemykającego po skałach. Podziwia nieraz góry w godzinach popołudniowych, gdy, jasnoblękitne, zdają się opadać nisko, a wznoszą się znów do groźnej wysokości rankiem i o wieczorze, szafirowe jak niebo w zenicie. Światło pada czasem na skały tak ostro, że stają się zielone, to znów ciemnogrnatowe, a wówczas widać na wielką odległość każdą sosnę, każdą drogę, każdy wąwóz.

Zdarza się też, gdy góry odchodzą miejscami trochę w bok i pozwalają równinie zerknąć na jezioro. Kiedy atoli zobaczy, jak się ono gniewa, pieni i parska niby dziki kot lub też przywdziewa opończę zimnych mgieł — co oznacza, że wodniki na dnie pieką lub gotują strawę — natenczas przyznaje równina górom słusność i wraca spokojnie w ciasne więzienie swoje.

Ludzie z dawien dawna uprawiają tę piękną płaszczynę i jest ona gęsto zaludniona. Gdzie tylko szumiący, białopienisty potok rzuca się z brzegu, stoi tartak lub młyn. W miejscach jasnych, otwartych, gdzie równina dotyka jeziora, pobudowano kościoły i plebanie, zaś na jej krawędzi, przez pół jeszcze na zboczach gór, gdzie pole zasłane głazami nie rodzi zboża, leżą osiedla chłopskie, stoją domy oficerów, a tu i ówdzie dwór pański.

Trzeba pamiętać, że w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku daleko mniej było upraw w tej okolicy. Wielkie obszary, będące teraz żyznymi polami zalegały lasy, jeziora lub bagna. Ludności też było znacznie mniej, a główne zarobki dawała furmanka oraz praca po tartakach i hutach, często w odległych stronach kraju. Z roli wyżyć się nie dało. W tych czasach nosili mieszkańcy odzież z samodziału, jadaliby placki owsiane i zadowalali się płacą dwunastu miedziaków dziennie. U wielu panowała bieda, ale łagodziło ją skromne i wesołe usposobienie, zaradność i wrodzona zręczność w robocie.

Podłużne jezioro, bogata równina i błękitne góry tworzyły i tworzą dotąd jeszcze przepiękny krajobraz, a ludność jest jak dawniej silna, odważna i zdolna. W czasach obecnych wzmógł się też znacznie dostatek i wzrosła oświata.

Życzę powodzenia tym, co mieszkają hen, nad podłużnym jeziorem wśród błękitnych gór! Historie zaś, które zamierzam opowiedzieć, składają się z garści ich własnych wspomnień.

2. WIGILIA

Sintram, złośliwy właściciel Forsu, to człowiek o niezdarnym cielsku, długich, małpich rękach, łysej głowie, szkaradnej i wykrzywionej twarzy; największą jego przyjemnością jest judzić i straszyć bliźnich.

Sintram najmuje samych jeno zabijaków i szubrawców na parobków oraz bierze do służby kłótlive, obłudne dziewczki. Dręczy psy, wbijając im szpilki w nozdrza, a najlepiej się czuje wśród złych ludzi i rozeźlonych zwierząt.

Ulubioną rozrywką Sintrama jest przebierać się za diabła z rogami, z ogonem, końskim kopytem i włochatym cielskiem, potem zaś wypadać nagle z ciemnego kąta, z piekarskiego pieca czy spoza drewnitni i straszyć bojaźliwe dzieci lub zabobonne kobiety.

Sintram raduje się, gdy może przemienić starą przyjaźń we wściekłą nienawiść, a serce zatruć kłamstwem.

Teraz Sintram przybył pewnego dnia do Ekeby.

Wciągnijcież wielkie sanie do kuźni i postawcie na środku, połóżcie na nich taczki dnem do góry i oto mamy stół. Hura, stół jest gotów!

Dawać teraz stolki i wszystko, na czym się da usiąść! Trójnogie zydle szewskie i puste paki są też mile widziane! Dawać roztrzęsiony fotel bez oparcia, sanki jednokonne bez płozów i starą karetę... cha, cha... cha... pyszna ta karetka! Będzie z niej trybuna dla mówcy. Ale patrzcież, brak jej koła, co więcej, brak całego pudła!... Został sam jeno kozioł! Poduszki poszarpane, wyściółka wylazi ze środka, a skóra zrudziała od starości! Grat to wysoki niby dom, podeprzyjcież go, bo się wywróci!

Hura! Dziś Wigilia w Ekeby!

Major i majorowa śpią w wielkim łożu za jedwabnymi kotarami i sądzą, że w skrzydle rezydentów także wszystko śpi. Mogą sobie spać parobcy i dziewczki, nasytzeni świąteczną kaszą i cierpkim, mocnym piwem świątecznym... Któż atoli ludziłby się, że śpią rezydenci!

Dziś nie pobrząkują żelaziwem bosonodzy kowale, usmoleni chłopcy nie popychają tacek z węglem, a wielki młot zwisa z dachu niby ramię z zaciśniętą pięścią. Kowadło puste, piece nie rozdziawiają płomiennych paszczy swoich, by chłonać węgiel, a miechy nie skrzypią. Nadeszło Boże Narodzenie. Kuźnia śpi.

Kuźnia śpi, zaprawdę, ale czuwają rezydenci! Długie cęgi stoją sztywno na ziemi trzymając świece w szczękach. Z dziesięciogarncowego miedzianego kotła bije aż pod czarny dach błękitna luna płonącego ponczu.

Na długiej sztabie młota wisi rogowa latarnia Beerencreutza, a żółty poncz łyska w czaszy niby słońce. Tu mamy stół, a tu krzesła. Rezydenci obchodzą noc wigilijną w kuźni!

Wre tutaj, kipi radość, brzmi muzyka i śpiew. Ale tego hałasu o północy nikt nie słyszy. Rozgwar tonie w potężnym szumie wodospadu...

Ależ wrzask, ależ wesołość! Ha... gdyby to posłyszała majorowa!

No i cóż? Na pewno siadłaby przy nich i wychyliła kubek. To dzielna niewiasta, nie ucieka przed swawolną, gromką piosenką pijacką, nie mierzi jej też gra w karty. To najbogatsza kobieta Värmlandii, szorstka niby chłop, dumna jak królowa. Lubi rozgłośny śpiew, wrzaski trąbek i pisk skrzypek. Lubi wino, grę i huczne, wesołe biesiady. Miło jej, gdy topnieją zapasy spiżarni, gdy sala dudni od tańca, a skrzydło rezydenckie roi się od kawalerów.

Patrzcie! Siedzą wokół wazy ponczu, jeden przy drugim! Jest ich dwunastu, tuzin chłopów co się zowie! Nie są to jętki jednodniowe ni modnisie, ale męże na schwał, których sławą długo będzie tętniła Värmlandia. Ludzie mężni, silne chłopcy!

Nie przypominają zeszlých pergaminów ni zasznurowanych worków złota, biedni są, lecz beztroscy — kawalerowie w każdym calu.

Nie maminsynkowie, ni ospali domatorzy, ale męże z rozmachem, światowcy, rycerze tysięcznych przygód.

Skrzydło rezydenckie od lat już stoi pustką. Ekeby przestało być schronem bezdomnych kawalerów. Pensjonowani oficerowie i zubożali szlachcice nie jeżdżą chwiejnymi jednokonkami po drogach Värmlandii... tu jednak zmartwychpowstaną, weseli, beztroscy, wieczyście młodzi!

Wszyscy ci słynni mężowie umieją też grać na jednym czy na kilku instrumentach. Każdy ma swoistą cechę, własny język, pomysły, przypowieści, pieśni. Przypominają mrowisko pełne mrówek, każdy jednak posiada coś oryginalnego, co go od innych odróżnia.

Spośród siedzących nad bowlą⁶ ponczu wymienię naprzód Beerencreutza, pułkownika z wielkim siwym wąsem, słynnego mistrza w kartach, śpiewaka pieśni Bellmanowskich⁷, potem przyjaciela jego i towarzysza broni, małomównego majora, łowcę niedźwie-

⁶bowla — waza do ponczu. [przypis edytorski]

⁷Bellman, Carl Michael (1740–1795) — szwedz. poeta i kompozytor, narodowy skald Szwecji; autor popularnych pieśni biesiadnych i miłosnych. [przypis edytorski]

dzi, Andersa Fuchsa, wreszcie zaś, jako trzeciego z przyjaciół, małego Rustera, dobosza, który był długo forysiem⁸ u pułkownika, ale otrzymał rangę oficerską z uwagi na swój kunszt przyprawiania ponczu i śpiewania basem. Następnie wspomnieć trzeba starego chorążego, Rutgera von Orneclou, zdobywcę serc, w peruce i sztywnej kryzie z żabotem, umalowanego jak kobieta. Był on jednym z najwybitniejszych rezydentów współ z silnym kapitanem Chrystianem Berghem, słynnym bohaterem, którego równie łatwo było wodzić za nos jak olbrzyma z bajki. W ich towarzystwie przebywał często mały, krągły poczciwiec Juliusz, wesoly, żwawy, bystry mówca, malarz, piosenkarz i facecjonista. Zazwyczaj oblewał potokiem drwin reumatycznego chorążego i głupiego olbrzyma.

Napotykało się tu również olbrzymiego Niemca, Kevenhüllera, wynalazcę samoczynnego wozu i maszyny latającej, którego sławą dziś jeszcze rozbrzmiewają szumiące lasy. Z rodu i postaci był to rycerz o krętych wąsach, spiczastej brodzie, orlim nosie oraz małych, skośnych oczach, osnutych siecią zmarszczek. Siedział tu wielki wojownik, Kristofer, wychylający się z czterech ścian skrzydła rezydenckiego jedynie wówczas, gdy szło o polowanie czy inną śmiałą awanturę, obok niego zaś wuj Eberhard, filozof, który nie przybył do Ekeby dla żarcików czy uciechy, ale po to, by w spokoju, bez troski o byt, dokonać wielkiego dzieła z zakresu filozofii — królowej nauk.

Na końcu wymieniam najlepszych spośród czeredy, łagodnego Löwenborga, człowieka pobożnego, co zbyt był dobry, by rozumieć sprawy tego świata, oraz wielkiego muzyka, Liljecronę, który posiadał wprawdzie dom dostatni i tęsknił doń ciągle, ale przebywał w Ekeby, gdyż duch jego potrzebował przygód i urozmaicenia, by móc znieść życie na ziemi.

Wszyscy ci ludzie w liczbie jedenastu mieli już za sobą młodość, a wielu przekroczyło próg starości. Jeden tylko, dwunasty, liczył lat trzydzieści i był fizycznie oraz duchowo nie złamany. Mam na myśli Göstę Berlinga, kawalera nad kawalerami, większego w jednej osobie mówcę, śpiewaka, muzyka, myśliciela i bohatera pijatyki i gry, aniżeli wszyscy inni wzięci razem. Takim to mężem zrobiła go pani majorowa!

Oto stoi właśnie na mównicy! Ciemność spływa nań z zakopconego dachu jak ciężkie girlandy. Jasna głowa wyblyska z tej ciemni podobna głowom młodych bogów, światłodawców, którzy ongiś ład zaprowadzili w chaosie. Stoi smukły, piękny, żądny przygód.

Ale przemawia z wielką, głęboką powagą.

— Rezydenci i bracia! Zbliża się północ, świętujemy już długo, pora wznieść toast trzynastego u stołu!

— Drogi bracie Gösto! — woła Juliusz. — Nie ma trzynastego w naszym gronie! Jest nas dwunastu!

— W Ekeby co roku umiera człowiek! — ciągnie dalej, coraz to posepniej, Gösta. — Umiera co roku jeden z gości skrzydła rezydenckiego, jeden z wesolków, beztroskich, wiekiuistych młodzieńców! Zaprawdę, takim jak my starzeć się nie wolno! Czymże jest nam życie, czymże my dla życia, kiedy drżąca ręka nie może już utrzymać szklanki, a oślepie oko kart rozróżnić nie zdoła? Umrzeć musi zawsze jeden z trzynastu obchodzących Wigilię w kuźni ekebijskiej, ale co roku przybywa nowy, by dopełnić liczby. Bywa to zawsze człowiek doświadczony w rzemiośle uciechy, umiejący grać na skrzypkach i w karty, gdyż taki jeno może dopełnić grona. Stare motyle muszą znać sztukę umierania w pełnym słońcu! Wznoszę zdrowie trzynastego!

— Ależ, Gösto, jest nas dwunastu! — zaprotestowali wszyscy i żaden nie tknął szklanki.

Gösta Berling, zwany poetą, mimo że nie napisał w życiu wiersza, ciągnął dalej z niezmaconym spokojem:

— Kawalerowie i bracia! Czyż zapomnieliście, czym jesteście? Dzięki wam radość gości w Värmlandii. Dajcie rozmach smyczkowi skrzypiec i tempo tanom, śpiew i muzyka rozbrzmiewa z waszej łaski. Serce wasze wolne od chciwości złota, a ręce od pragnienia pracy. Bez was ustałby taniec, powiędłyby róże, zamarłaby gra w karty, a w całym tym pięknym kraju pozostałyby tylko huty żelaza i właściciele fabryk. Jak długo wy żyć bę-

⁸forys (daw., z niem. *Vorreiter*: jadący na przedzie) — ordynans; konny żołnierz służący oficerowi. [przypis edytorski]

dziecie, trwać będzie radość. Przez lat sześć już święcę Wigilię tu, w kuźni ekebijskiej, nigdy zaś nie wahano się wypić zdrowia trzynastego biesiadnika.

— Ależ, Gösto — zawołali. — Jakże możemy pić zdrowie trzynastego, skoro nas jest jeno dwunastu?

Smutek zjawił się na twarzy Gösty.

— Czyż nas dwunastu tylko? — spytał. — I czemuż to? Czyż mamy wymrzeć? Więc ma nas w roku przyszłym być jeno dwunastu, a w następnym dziesięciu? Więc życie nasze ma się stać legendą, a zespół cały przepaść? Wzywam trzynastego, gdyż wstałem, by wypić jego zdrowie. Z głębi morza, z wnętrzości ziemi, z oddali nieba wzywam tego, który ma uzupełnić liczbę rezydentów.

Rozlega się szum w kominie, otwierają się drzwiczki pieca i przybywa trzynasty. Stwora kudłata, ma ogon, końską nogę, rogi i spiczastą bródkę, a na jego widok przerażeni rezydenci z głośnym krzykiem zeskakują z siedzeń.

A Gösta ogarnięty niezmierną radością woła donośnie:

— Przybył trzynasty! Zdrowie trzynastego!

Zjawił się tedy stary wróg ludzkości w gronie szaleńców mącących nocną ciszę. Przybył ulubieniec czarownic z Łysej Góry, który spisuje kontrakty krwią na czarnym papierze, który przez siedem dni i nocy tańczył z hrabiną z Ivarsnäs, a siedmiu pastorów wygnać go nie mogło...

Myśli kotłują się w głowach starych awanturników na jego widok. Dumają nad pytaniami, po kogóż to wybrał się tej nocy w drogę.

Wielu z nich chce uciekać ze strachu, ale niebawem uświadamiają sobie, że nie przybył po to, by ich ściągnąć do piekieł, jeno że go zwabił brzęk pucharów i wesołe śpiewy. Zaprzagnął uczestniczyć w ludzkiej radości wigilijnej i zrzucić na chwilę brzemię władzy.

O przyjaciele! Któryż z was myśli o tym, iż to noc wigilijna? Anioły oznajmują pastuszkom po polach radosną wieść, dzieci w łóżeczkach boją się twardo zasnąć, by nie przespać porannej pasterki. Niedługo zapłoną świece świąteczne w broeńskim kościele, a w dali, w leśnym szałasie, przygotował młodzieniec łuczywo sosnowe, by ukochanej rozjaśnić drogę do kościoła. W oknach chat kobiety poustawiały wieloramienne świeczniki i wnet zapalą świece, które oświetlą drogę idącym na mszę. Organista powtarza przez sen kolędy, a leżący w łóżku stary pleban próbuje, czy zdoła gromko jak należy zaintonować: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

O przyjaciele, czyż nie lepiej by spędzić tę noc pokoju w łózkach, niżli kumać się z księciem ciemności!

Oni atoli witają go okrzykami za przykładem Gösty, stawiają przed nim puchar płonącego napoju i sadzają na honorowym miejscu. Mają tak radosne miny, jak gdyby oglądali nie wykrzywioną gębę satyra, lecz cudne oblicze kochanki z czasów młodości. Beerencreutz zaprasza na partyjkę karcianą, Juliusz śpiewa najpiękniejsze pieśni, a Orneclou opowiada o kobietach, niebiańskich istotach osładzających życie. Dobrze tu roгатemu, królewskim gestem rozpiera się na koźle karocy i szponiastą dłonią podnosi pełny puchar do uśmiechniętych ust.

Gösta Berling przemawia na jego cześć.

— Wasza wysokość! — powiada. — Oczekiwaliśmy was już od dawna, tu, w Ekeby, gdyż nie macie chyba wstępu do innego kraju. Żyjemy nie orząc, nie siejąc. Wiadomo. Pieczone gołąbki wpadają nam do ust, a mocne piwo i słodka wódka płyną potokami. Dobrze tu, proszę to sobie zapamiętać, wasza wysokość!

My, rezydenci, oczekiwaliśmy was, panie, gdyż nie czuliśmy się jakoś nigdy w pełnej liczbie. Jesteśmy czymś więcej, niż się wydaje z pozoru. My jesteśmy legendarną, poprzez wieki trwającą dwunastką mężów. W dwunastu rządiliśmy ongiś światem z zasłoniętego obłokami Olimpu, w dwunastu obsiadaliśmy, podobni ptakom, gałęzie drzewa Igdrasil⁹. Gdziekolwiek dotarła pieśń, tam i my podążaliśmy. Czyż nie w dwunastu silnych mężów zasiadaliśmy przy krągłym stole króla Artura? Czyż nie w dwunastu nas było palatynów w wojsku Karola Wielkiego? Jeden z nas był Torem¹⁰, drugi Jowiszem, a poznać to po nas dziś jeszcze. Można się bowiem doszukać świetności boskiej pod łachmanami, a lwiej

⁹Yggdrasil (mit. nordycka) — gigantyczne drzewo łączące dziewięć światów, w tym świat bogów. [przypis edytorski]

¹⁰Thor (mit. nordycka) — bóg pioruna, rolnictwa, małżeństwa i rodziny. [przypis edytorski]

grzywy pod ośłą skórą. Zeszliśmy z biegiem czasu na psy, ale ta kuźnia jest nam jeszcze dziś Olimpem, a skrzydło rezydenckie Walhallą!

Lecz, o panie, nie czuliśmy się dotąd w pełnej liczbie. Wiemy, że w gronie dwunastu z legendy musi być jakiś Loki¹¹ czy Prometeusz, czy Ganelon¹². I tego nam właśnie brakowało!

Witam waszą wysokość! Witam!

— No, no... Piękne słowa, śliczne słowa! — przyznał diabeł. — Szkoda, że nie mam czasu odpowiadać! Przyjaciele, wzywają mnie pilne interesy! Muszę zaraz odejść, inaczej gotów byłbym do wszystkiego. Dziękuję za miłe przyjęcie, drodzy kumotrzy! Do widzenia.

Rezydenci zapytali chórem, dokąd mu tak śpieszno, zaś diabeł odpowiedział, że czeka nań właścicielka Ekeby, majorowa, mająca odnowić kontrakt.

Wielkie zdumienie ogarnęło rezydentów. Wszakże majorowa to kobieta surowych obyczajów i dzielna osoba. Podnosi korzec zboża na plecy, pilnuje transportu rudy z kopalni przez całą długą drogę do Ekeby, sypia jak parobek na klepisku z workiem pod głową. W zimie dogląda mielerzy, latem splawia tratwami drzewo po jeziorze. Silną wolę ma ta kobieta. Klnie jak chłop, rządzi siedmioma posiadłościami swymi i dogląda majątków sąsiedzkich, włada parafią własną i pobliskimi, słowem — królową jest Värmlandii. Dla bezdomnych rezydentów była zawsze matką i dlatego puszczali mimo uszu pogłoski, że ma pakt z diabłem. Teraz pytają ciekawie, jaki to kontrakt zawarła z księciem ciemności.

Diabeł odpowiada, że podarował majorowej siedem włości w zamian za obietnicę posyłania mu rokrocznie jednej duszy.

Przeżalenie ogromne ściska serca rezydentów!

Wiedzieli wszystko, ale nie rozumieli dotąd. W Ekeby umiera co roku jeden człowiek, umiera jeden z gości rezydenckiego skrzydła pałacu, jeden z wesołych, beztroskich, wieczystych młodzieńców. Ano trudno, ludzie tacy starzec się nie powinni! Czymże jest im życie, czymże są dla życia, gdy drżąca ich ręka nie może podnieść do ust szklanki, a oślepie oko kart nie rozeznaje? Motyle winny znać sztukę umierania w pełnym słońcu!

Teraz dopiero pojęli znaczenie tych słów!

Biada strasznej kobiecie! Dlatego to raczy ich smacznym jadem, dlatego poi mocnym piwem i słodką wódką. Chce, by wprost od stołu pijaństwa i gry spadali w głąb piekieł, co roku jeden, jeden każdego krótkiego roku.

Biada strasznej kobiecie! Biada czarownicy! Do Ekeby przybywają silni, dzielni mężowie po to, by ginąć! Ona to pędzi ich w śmierć zamieniając mózgi w gąbkę, płuca w suchy popiół. Z omroczonym umysłem, pozbawieni nadziei, bez duszy, ruszają w daleką drogę. Biada tej kobiecie! Tak pomarło wielu stokroć lepszych od nich, tak zginąć muszą wszyscy, do jednego!

Niedługo zostawali jednak rezydenci pod grozą strachu.

— Władco ciemności! — wołają. — Nie pozwolimy ci zawierać z tą czarownicą paktów pisanych krwią. Musi umrzeć!

Chrystian Bergh, silny kapitan, zarzucił już na plecy największy ręczny młot kuźni, by roztrzaskać głowę potwora. — Nie zaprzeda ci już niczyjej duszy! Ty zaś sam, rogaty, musisz lec na kowadle, a my spuścimy na ciebie młot dźwigniowy. Kując będziemy cię przytrzymywać obcęgami, aż ci odejdziesz chętką polowania na dusze rezydentów.

Czarny jegomość niewiele ma odwagi, jak z dawna wiadomo, i wcale nierad dostać się pod młot dźwigniowy. Wzywa tedy kapitana Bergha, by zaczął, i rozpoczyna z kawalerami układy.

— Weźcie sobie od przyszłego roku te siedem hut żelaza, oddajcie mi majorową!

— Nie sądz, że jesteśmy nikczemni jak ona! — woła Juliusz. — Weźmiemy Ekeby i siedem posiadłości, ale z majorową musisz sobie radzić sam.

— Cóż na to Gösta? — pyta łagodny Löwenborg. — Niech mówi Gösta. W tak ważnej sprawie musimy usłyszeć zdanie Gösty.

¹¹ *Loki* (mit. nordycka) — olbrzym zaliczony w poczet bogów, znany z przebiegłości, psotnictwa i kręctwa; przyczynił się do zabicia Baldura, boga piękna i mądrości, za co został przez bogów przykuty łańcuchami do skały, gdzie na twarz ściekał mu jad znajdującego się ponad nim węża. [przypis edytorski]

¹² *Ganelon* — baron Karola Wielkiego, ojczym Rolanda, zdrajca, przeciwstawiony dwunastu szlachetnym rycerzom Karola; skazany na rozerwanie koniami. [przypis edytorski]

— To czyste szaleństwo — mówi Gösta. — Bracia, nie dajcie się wodzić za nos! Czymże jesteśmy w porównaniu z majorową? Jakkolwiek ma się rzecz z naszymi duszami, nie pozwolę, o ile to w mej mocy, byśmy się zachowali wobec tej kobiety jak niewdzięcznicy, szubrawcy i zdrajcy. Zbyt długo jadłem chleb majorowej, by ją w tej chwili opuścić.

— Idź tedy do piekła, Gösto, jeśli masz ochotę. My sami będziemy królować w Ekeby.

— Czyście poszaleli, czy przepiliście resztkę rozsądku? Czy sądzicie, że to wszystko prawda? Wszakże to nie diabeł! Czyż nie spostrzegacie, że wszystko jest jeno wierutnym kłamstwem?

— Hm... hm... — rzekł czarny. — Acan jesteś na najlepszej drodze dostania się do piekła, choć od siedmiu lat przebywasz już w Ekeby. Nie miarkujesz, że cię to lada moment czeka.

— Głupstwa pleciesz, mój drogi! Sam cię przecież wsadziłem do pieca.

— Cóż stąd? Mogę być mimo to równie dobrze diabłem jak każdy inny. Tak, tak, Gösto, ty mi na pewno nie ujdiesz. Pięknie wybudujesz pod ręką majorowej.

— Ocaliła mnie! Czymże byłbym bez niej!

— Miała w tym cel swój. Wzięła cię do Ekeby, byś innych przynęcił. Posiadasz duże zdolności. Raz chciałeś się wyrwać, poprosiłeś ją o kawał gruntu i dom, i pracowałeś na życie jako rolnik. Ona codziennie przychodziła pod twe okna z pięknymi dziewczętami. Pewnego dnia ujrawszy w jej towarzystwie Mariannę Sinclair zrzuciłeś łopatę i fartuch i zostałeś na nowo rezydentem.

— Głupiś! Droga tamtędy wiodła, i basta!

— Oczywiście, droga wiodła tamtędy, przyznaję. Innym razem, jako nauczyciel Henryka Dohny, omal nie zostałeś zięciem hrabiny Märty. Któż to jednak powiedział Ebbie Dohnie, że jesteś wypędzonym proboszczem, skutkiem czego cię odrzuciła? Majorowa to uczyniła, Gösto! Chciała cię odzyskać!

— Nonsens — odpowiada Gösta. — Ebba Dohna zmarła niedługo potem. I tak bym jej nie dostał.

Czarny przystąpił doń blisko i syknął mu w ucho:

— Zmarła, oczywiście zmarła, bo się zabiła z twego powodu, ale tego ci nikt dotąd nie powiedział.

— Nieźle grasz diabła! — rzekł Gösta.

— We wszystkim tym, powiadam, maczała palce majorowa. Chciała cię odzyskać dla gromady rezydentów.

Gösta roześmiał się w głos.

— Niezły z siebie diabeł! — krzyknął dziko. — Ano dobrze, zawrzemy z tobą, jeśli chcesz, kontrakt, mocą którego dasz nam siedem hut żelaza.

— Dobrze, że nie stajesz już w poprzek własnemu szczęściu.

Rezydenci odetchnęli z ulgą. Już od dawna nie śmieli nic przedsięwziąć bez Gösty. Gdyby nie był przystały, umowa nie doszłaby do skutku, mimo że posiadanie siedmiu hut to rzecz niemała dla biednych pędziwiatów.

— Zważcie dobrze! — rzekł Gösta. — Przyjmujemy siedem posiadłości, by ocalić dusze, nie po to zaś, by zostać bogatymi obszarnikami, co liczą złoto i wagę żelaza, nie wolno nam być suchymi pergaminami, związanymi workami pieniędzy, ale musimy zachować dotychczasową kawalerską fantazję.

— Złote ziarna mądrości! — mruknął czarny jegomość.

— Bierzemy tedy na rok te siedem posiadłości, ale wiedz, że jeśli w tym czasie uczynimy coś niezgodnego z honorem rezydentów, jeśli dokonamy czegoś użytecznego, mądrego lub popełnimy jakieś czyny niemęskie, to weźmiesz sobie po roku wszystkich dwunastu razem, a huty będziesz mógł dać, komu zechcesz.

Diabeł zatarł ręce z uciechy.

— Jeśli natomiast zachowamy się jak przystało prawdziwym rezydentom — dodał Gösta — nie będzie ci już wolno nigdy zawierać paktu stanowiącego o Ekeby i nie dostaniesz też w tym roku zapłaty ani od nas, ani od majorowej.

— To ciężkie warunki! — powiedział diabeł. — Drogi Gösto, wszakże mógłbyś mi przyznać choć jedną duszę, bodaj jedną małą duszyczkę, na przykład majorowej. Czemuż to ją ochraniaasz?

— Nie handluję tym towarem! — huknął Gösta. — Jeśli jednak chcesz duszę, to porwij Sintrama z Forsu, ten dojrzał całkiem do piekła, ręczę ci.

— Hm... hm... to niezłe! — powiedział czarny jegomość nie mrugnawszy nawet okiem. — A więc wszyscy rezydenci lub Sintram... to się równoważy. O, będę miał tłusty rok!

Spisano pakt krwią z serdecznego palca Gösty, na czarnym papierze diabła, jego własnym gęsim piórem.

Po podpisaniu rozradowali się rezydenci. Przez cały rok zażywać mieli wszystkich szczęśliwości, potem zaś... znajdzie się, myśleli, jakieś wyjście.

Odsuwają stołki, podają sobie ręce i wokoło wazy z ponczem, na czarnej podłodze puszczają się w dziki taniec. Pośrodku koła skacze diabeł w ogromnych susach, potem zaś pada jak długi przy wazie, pochyla ją ku sobie i zaczyna pić.

Widząc to runął na ziemię Beerencreutz, obok niego Gösta, a następnie kolejno wszyscy i wazę pochylając ku sobie, piją zawzięcie. W końcu ktoś ją potracił, a gorący, lepki napój oblał leżących.

Wstają klęcząc co siłą, ale diabła już nie ma, tylko złote obietnice jego unoszą się niby promieniste korony nad głowami rezydentów.

3. UCZTA ŚWIĄTECZNA

W pierwsze święto Bożego Narodzenia wydawała majorowa Samzelius wielką ucztę w Ekeby.

Zasiadła jako gospodyni u stołu nakrytego na pięćdziesiąt osób, w pełnym blasku i wspaniałości. Znikło krótkie futerko jagnięce, pasiasta spódnica z samodziału i fajka gliniana. Szumią na niej jedwabie, złoto zdobi jej ramiona, a perły chłodzą białą szyję.

Gdzie się atoli podzieli rezydenci, którzy na czarnej podłodze kuźni, z błyszczącego miedzianego kotła pili zdrowie przyszłych posiadaczy Ekeby?

Siedzą oto w kątku, pod piecem, przy osobnym stole, gdyż dziś nie ma dla nich miejsca przy stole paradnym. Dochodzą ich potrawy późno, a wino skąpo dopływa, nie polatują ku nim spojrzenia pięknych dam, nikt nie słucha żartów Gösty Berlinga.

Kawalerowie podobni są dziś oswojonym źrebcom czy sytym drapieżnikom. Spali w nocy jeno przez godzinę, pojechali bowiem przy blasku pochodni i gwiazd na poranną mszę. Widzieli świece świąteczne, słuchali kolęd, a twarze ich promieniały jak twarzyczki szczęśliwych dzieci. Zapomnieli o Wigilii w kuźni, jak się zapomina złego snu.

Wielka i potężna jest majorowa z Ekeby. Któż by śmiał podnieść na nią rękę, kto rzuci jej wyzwanie? Zaiste, nie biedni rezydenci, którzy przez lata całe jedli jej chleb i pod jej dachem spali. Sadza ich, gdzie chce, może im zamknąć drzwi przed nosem, a żaden ujęć nie zdoła jej władzy. Poza Ekeby, dalibóg, żyć by nie mogli.

U wielkiego stołu uciecha co się zowie. Błyszczą tu piękne oczy Marianny Sinclaira i brzmi pogodny śmiech wesołej hrabiny Dohny.

Rezydenci są w ponurym nastroju. Czyż nie byłoby słuszne, by siedzieli razem z gośćmi ci, których majorowa zaprzedała piekłu? Poniżający jest ten stół pod piecem, wygląda bowiem, jakby kawalerowie nie byli godni towarzystwa lepszej sfery.

Siedząc pomiędzy hrabią z Borgu i opatem z Bro majorowa pyszni się, zaś rezydenci zwieszają głowy jak dzieci stojące w kącie za karę, a jednocześnie budzą się w nich myśli z ubiegłej nocy.

Wesołe żarciki i swawolne kłamstewka dobiegają lekliwie jeno do stołu pod piecem, gdzie ożywa w umysłach gniew i wspomnienie paktu wigilijnego. Juliusz dowodzi silnemu kapitanowi, Chrystianowi Berghowi, że pieczonych jarząbków, obnoszonych właśnie u stołu głównego, nie starczy dla wszystkich, ale ta uwaga nie budzi wesołego śmiechu.

— Nie starczy, na pewno! — stwierdza. — Wiem, ile ich było. Ale nie ma obawy, kapitanie, dla nas, przy bocznym stolicku, napieczono wron.

Usta pułkownika Beerencreutza składają się pod sumiastym wąsem do mdłego uśmiechu, zaś Gösta wygląda od rana, jakby chciał kogoś zamordować.

— Każde jądło dobre dla rezydentów! — powiada.

Przynoszą w tej chwili do stołu bocznego kopiatą misę wybornych jarząbków.

Ale kapitan wre gniewem. Przez całe życie nienawidził szkaradnego, wrzaskliwego plemienia wron i nieraz, wystawiając się na drwiny, przywdziewał kobiece suknie, byle je tylko podejść na strzał, gdy żerowały w zbożu... Mordował je wiosną na pustych polach, gdy obchodziły weselne gody, latem szukał gniazd i wyrzucał wrzeszczące, bezpióre pisklęta lub niszczył zalęgnięte jaja.

Przysunął sobie misę z jarzabkami i krzyknął służącemu:

— Sądziś, że ich nie poznaję, że muszę słyszeć krakania, by poznać wronę? Któż się, u diaska, waży podawać wrony Chrystianowi Berghowi? Do kroćset diabłów!

Brał jednego jarzabka po drugim i ciskał o ścianę a tłuszcz i sos pryskały wokół. Odbite od ściany ptaki padały na podłogę, a cały stół rezydencki zawrzał radością. Nagle doleciał kawalerów gniewny głos majorowej wołający na służbę:

— Wyrzucić go za drzwi!

Ale służący nie mieli odwagi. Był to wszakże potężny kapitan Bergh.

— Wyrzucić go za drzwi! — powtórzyła.

Posłyszał i zwrócił się, straszny, złowrogi, ku majorowej, jak niedźwiedź od powalonego przeciwnika do nowego przyjaciela. Zbliżył się do stołu ustawionego w podkowie, a posadzka drżała pod krokami olbrzyma. Stał wreszcie, oddzielony od niej jeno wąskim stołem.

— Wyrzucić go za drzwi! — powtórzyła.

Kapitan wpadł w szal, straszne są jego pięści i zmarszczone czoło. Wysoki jest i silny jak olbrzym, goście i służdy drżą, nikt go nie śmie tknąć, zwłaszcza w tej chwili, gdy gniew zaćmił mu rozum.

Stojąc przed majorową mówi groźnie:

— Rzucam wrony o ścianę! Czyż nie miałem prawa?

— Wynoś się, kapitanie!

— Milcz, kobieto! Jak śmiesz podawać wrony Chrystianowi Berghowi? Gdybym chciał postąpić z tobą wedle prawa ludzkiego i boskiego, to wziąłbym cię razem z tymi siedmioma przeklętymi...

— Milcz, do kroćset diabłów! Nie waż się kłąć! Tu mnie jednej kłąć wolno!

— Sądziś, że się boję, czarownico? Sądziś, że nie wiem, jak przyszedł do swoich siedmiu hut?

— Milcz!

— Altringer darował je umierając twemu mężowi, gdyż byłaś jego kochanką.

— Milcz, powtarzam!

— Taką to byłaś wierną małżonką, Małgorzato Samzelius, a major przyjął ową darowiznę, i jakby nie wiedział o niczym, oddał ci zarząd. To sprawa diabelska! Ale teraz nadszedł dzień rozprawy, przyszedł twój koniec!

Majorowa siada, pobladała, i drży na całym ciele. Potem głosem dziwnie cichym potwierdza:

— Tak, Chrystianie Berghu, to mój koniec, a tyś tego dokonał!

Na te słowa zadrżał mocny kapitan, twarz mu się wykrzywiła, lzy strachu napłynęły do oczu.

— Jestem pijany! — zawołał. — Nie wiem, co mówię! Nie powiedziałem nic. Psem i niewolnikiem byłem dla niej przez lat czterdzieści, psem, niewolnikiem i niczym więcej. To Małgorzata Celsing, której służyłem przez całe życie. Nic złego nie mówię o niej, jakżebym miał wyrzec złe słowo o Małgorzacie Celsing? Jestem psem, co strzeże jej drzwi, niewolnikiem, co dźwiga ciężary. Może mnie bić i kopać. Widzicie wszyscy, że błagam i cierpię! Kochałem ją przez lat czterdzieści! Jakżebym mógł o niej powiedzieć coś złego?

Dziwny był to obraz, gdy padł na kolana prosząc o przebaczenie; że zaś siedziała po drugiej stronie stołu, obszedł stół wokół, tarzając się po ziemi, pochylił nisko głowę i ucałował rąbek jej sukni rosząc łzami posadzke.

Ale opodał majorowej siedział niski, korpulentny mężczyzna o krętych włosach, małych, skośnych oczkach i wystającej dolnej szczęce. Przypominał niedźwiedzia. Małomówny ten człowiek, zajęty własnymi sprawami, nie zwracający uwagi na świat i życie, był to major Samzelius.

Posłyszawszy ostatnie słowa kapitana wstał, majorowa wstała także, a po niej wszyscy goście. Kobiety jęły płakać ze strachu przed tym, co nastąpi, mężczyźni zdrętwieli, a u stóp majorowej leżał Chrystian całując jej suknię i roniąc dalej łzy.

Szeroka, kosmata dłoń majora zwinęła się z wolna w pięść. Podniósł ramię.

Ale uprzedziła go. Przemówiła głuchym, nieswoim głosem.

— Skradłeś mnie! — zawołała. — Przyszedłeś jak zbój i skradłeś mnie. Zmuszono mnie biciem, głodem i klątwami, bym została żoną twoją. Postąpiłam, jak na to zasłużyłeś.

Major silniej zaciska pięść, majorowa cofa się o krok, potem zaś podejmuje na nowo:

— Żywy węgorz wije się pod nożem, kobieta, zmuszona do małżeństwa, bierze kochanka. Czy chcesz mnie bić za to, co zaszło przed dwudziestu laty? Czemuż nie biłeś mnie wówczas? Wszakże pamiętasz, że mieszkał w Ekeby, a my w Sjö. Nie zapomniałeś chyba, jak nam pomagał w biedzie? Jeździliśmy jego powozami, piliśmy jego wino. Czyż tailiśmy coś przed tobą? Czyż służba jego nie była naszą? Czyż jego złoto nie płynęło do twej kieszeni? Czyż nie przyjąłeś siedmiu posiadłości? Brałeś i milczałeś. Wówczas powinienś był mnie bić, Berncie Samzelius... wówczas trzeba mnie było bić!

Mąż odwrócił się od niej i spojrzał po gościach. Wyczytał, że przyznają jej słuszność i sądzą, jakoby wziął pieniądze i dobra jako okup za milczenie.

— Nie wiedziałem! — zawołał i tupnął.

— Na szczęście teraz wiesz! — przerwała ostro. — Obawiałam się, że umrzesz w nieświadomości. Ale na szczęście wiesz, przeto mogę mówić otwarcie z tobą, który byłeś mym właścicielem i dozorcą mego więzienia. Otóż byłam kochanką tego, któremu mnie skradłeś. Niechże to wiedzą wszyscy, którzy plotkowali o mnie!

Dawna miłość triumfuje w jej głosie i błyszczy w oczach. Widzi przed sobą męża z zaciśniętą pięścią. Czyta przerażenie i wzdargę w pięćdziesięciu twarzach, czuje, że wybiła ostatnia godzina jej potęgi, a mimo to raduje się, że może mówić otwarcie o najpiękniejszych wspomnieniach życia.

— Był to mężczyzna prawdziwy, mężczyzna wspaniały! A kimże jesteś ty, któryś nas rozdzielił? Nie znałam w życiu równego mu! Dał mi szczęście, dał mienie. Błogosławię jego pamięć!

Major opuszcza ramię, nie bije, wie już, w jaki ją sposób ukarać.

— Precz? — krzyczy. — Precz z mego domu!

Nie drgnęła nawet.

Kawalerowie pobledli, stoją spoglądając po sobie. Wszystko, co mówił diabeł, pełnić się zaczyna. Oto skutek nieodnowienia kontraktu majorowej. Skoro sprawdzają się słowa diabła, to prawdą jest zapewne też, że od przeszło dwudziestu lat wysyła rezydentów do piekła i że również ich ten sam los czeka. O, przeklęta czarownica!

— Wynoś się! — powtarzał major. — Żebraj chleba po gościńcach. Jego złoto nie sprawi ci już radości i nie będziesz żyła w dobrach jego. Nie ma już majorowej na Ekeby! Jeśli przestąpisz kiedy mój próg, zabiję cię!

— Wyganiaasz mnie z mego domu?

— Nie masz domu! Ekeby jest moje!

Majorową ogarnia lęk. Cofa się ku drzwiom, mąż zaś następuje na nią.

— Byłeś klątwą mego życia — mówi majorowa — czy masz moc i tę krzywdę mi zrobić?

— Precz, powiadam!

Staje oparta o ramię drzwi, zasłania twarz splecionymi rękami i szepce wspominając matkę: „Niech się ciebie zaprą, jak ty się mnie wyparłaś, niechże ci domem będzie gościnniec, rów przydrożny łóżem, a mielerz ogniskiem”. A więc spełniło się wszystko, do słowa!

Zacny proboszcz z Bro i sędzia z Munkerudu przystępują do majora, by go ulagodzić. Mówią, że najlepiej zostawić w spokoju dawne sprawy, przebaczyć i zapomnieć. Major strząsa ich dłonie z ramion i jest groźny jak przedtem kapitan Bergh, tak że nikt się doń zbliżyć nie waży.

— To wcale nie jest dawna sprawa! — woła. — Do dzisiejszego dnia o niczym nie wiedziałem! Nie mogłem do tej pory ukarać cudzołożnicy!

Na te słowa podnosi majorowa głowę czując, że jej wraca odwaga:

— Pierwej ty opuścisz ten dom niż ja! — woła. — Nie myśl, że ustąpię! — To powiedziawszy podchodzi bliżej.

Major nie odpowiada, ale śledzi każdy jej ruch, gotów bić, gdyby się jej w inny sposób nie mógł pozbyć.

— Dopomóżcie mi, panowie, związać tego człowieka i wyprowadzić stąd, by odyskał zmysły. Zważcież, kim on jest, a kim ja. Rozważcie to, zanim będę musiała ustąpić. Zarządzam Ekeby, on zaś siedzi po całych dniach przy niedźwiedzim dole i karmi niedźwiedzie. Dopomóżcie mi, przyjaciele i sąsiedzi! Gdy mnie zbraknie, zapanuje tu straszna nędza. Chłop żyje i buduje sobie dom za to, że dla mnie ścina drzewa w lesie i wozi rudę. Węglarz zarabia dostawą mego węgla, a flisak spalaniem mego drzewa. Ja jestem szafarką tej pracy, źródłem dobrobytu. Czyż sądzicie, że on zdoła prowadzić dalej dzieło moje? Oświadczam, że wyganiając mnie otwieracie podwoje klęsce głodu.

Znowu podnosi się mnóstwo rąk, by pomóc majorowej, i znów czyjeś dłonie kładą się na ramiona majora, by go udobruchać.

— Nie! — woła. — Precz ode mnie! Czyż chcecie bronić wiarołomnej kobiety? Oświadczam, że jeśli nie odejdziecie dobrowolnie, wezmę ją na ręce, zaniosę do niedźwiedziej jamy i wrzucę w głąb.

Na te słowa ramiona z powrotem opadają.

W ostatniej potrzebie zwraca się majorowa do rezydentów.

— Czyż i wy, panowie, będziecie patrzeć spokojnie, jak mnie wypędzają? Czyż dałam wam zimą marznąć w śniegu? Czy odmawiałam piwa i wódki? Czyż żądałam za ubranie i żywność pracy i zapłaty? Czyż wam nie było u mnie jak u matki? Czy nie tańczyliście na moich pokojach? Czy wesele i uciecha nie były waszym chlebem powszednim? Nie dozwólcie, panowie, by wygnał mnie z domu ten człowiek, który był nieszczęściem mego życia! Nie dopuśćcież, bym została żebraczką na gościńcu!

Gösta pochylił się ku pięknej, ciemnowłosej dziewczynie siedzącej przy wielkim stole i rzekł:

— Anno! Bywałeś przed pięciu laty często w Borgu, powiedz mi tedy, czy mówiła majorowa Ebbie, że mnie wygnano z plebanii?

— Dopomóż majorowej! — odparła.

— Zrozum, że muszę wpierv zyskać pewność, czy mnie nie uczyniła mordercą!

— Cóż za przypuszczenia, Gösto? Dopomóżże jej!

— Nie chcesz odpowiedzieć, rozumiem. Sintram powiedział tedy prawdę! — rzekł Gösta, wrócił do rezydentów i nie ruszył palcem w obronie majorowej.

Ach, czemuż majorowa posadziła kawalerów przy bocznym stole pod piecem? Teraz zbudziły się w ich głowach myśli z ubiegłej nocy, oczy luskają gniewem nie mniejszym niż gniew majora.

Pozostają hardzi i niewzruszeni na błagania majorowej.

Czyż wszystko, czego są świadkami, nie potwierdza widziadeł minionej nocy?

— Oczywiście, rzecz jasna, kontrakt nie został odnowiony! — mruczy jeden z nich.

— Do piekła z tobą, więdźmo! — woła inny. — Sami cię za drzwi wypędzimy!

— Głupcy! — woła do kawalerów stary, słaby wuj Eberhard. — Czyż nie rozumiecie, że to był Sintram?

— Owszem, wiemy o tym dobrze — odpowiada Juliusz. — Ale czy to nie wszystko jedno? I tak mogło to być prawdą. Przecież Sintram jest sługą diabła. Pokumali się ze sobą od dawna.

— Idź, Eberhardzie, idź i pomóż jej! — drwi reszta. — Nie wierzysz przecież w piekło. Idź!

Gösta Berling stoi bez ruchu, bez słowa.

Ach, nie może majorowa spodziewać się pomocy od tej pomrukującej groźnie, pokłóconej czeredy kawalerów.

Cofa się więc znów do drzwi i zakrywa twarz rękami.

— Niechże się ciebie zaprą, jak ty się mnie wyparłaś — woła z goryczą i bólem. — Niech ci domem będzie gościniec, a rów przydrożnym łóżem.

Kładzie rękę na klamce, drugą podnosi i mówi:

— Zapamiętajcie to sobie wszyscy, którzy mnie w tej chwili opuszczacie! Zapamiętajcie sobie, że rychło nadejdzie godzina wasza. Rozproszycie się, a miejsce wasze pozostanie

puste. Cóż się z wami stanie, gdy wam zabraknie mej pomocy? Bacz dobrze, Melchiorze Sinclair, który masz ciężką rękę i uciskasz swych bliskich! Nadchodzi sąd i kara, proboszczu z Broby! Pani Ugglo, wiedz, że zbliża się nędza do domu twego! Piękne młode panie, Elzbieta Dohna, Marianno Sinclair i Anno Stjärnhök, wiedzcie, że nie ja jedna zostanę wygnana z domu! Baczcież i wy, kawalerowie, albowiem nadciąga burza. Zwieje was z powierzchni ziemi, bo czas wasz dokonał się! Nie żal mi siebie, ale was wszystkich, bowiem burza rozpęta się nad waszymi głowami, a któż się ostoi, gdym ja padła? Serce me krwawi z powodu tylu biednych ludzi! Któż im da pracę, gdy mnie nie stanie?

Majorowa otwarła drzwi; a w tej chwili kapitan Christian Bergh rzekł podnosząc głowę:

— Jakże długo mam leżeć u stóp twoich, Małgorzato Celsing? Przebacz mi, bym wstał i rozpoczął walkę o ciebie!

Majorowa toczy walkę straszną z samą sobą, ale wie, że jeśli przebaczy, to człowiek, kochający ją od lat czterdziestu, zacznie walczyć z jej mężem i zostanie mordercą.

— Mamże więc jeszcze przebaczyć? — powiada. — Jesteś sprawcą mego nieszczęścia, Chrystianie Berghu. Wróć do grona kawalerów i raduj się dziełem swoim!

To rzekłszy wyszła. Odeszła spokojnie, zostawiając za sobą przerażenie. Padła, ale nawet wśród ponizenia nie utraciła pewnego dostojenstwa. Nie folgując bólowi, w starości swej radowała się młodocianą miłością. Nie pozwoliła sobie na skargę ni łyzy. Zrozumiała wszystko i nie przerażała się, że będzie z kijem i torbą żebraczą chodzić po świecie. Żal jej było biednych chłopów i wesołych, beztroskich mieszkańców pobrzeża oraz biednych rezydentów, których wspierała i chroniła. Opuszczona przez wszystkich, znalazła jeszcze siłę, by odtrącić ostatniego przyjaciela, nie chcąc go uczynić mordercą.

Przedziwna to była kobieta, o wielkiej sile ducha i żądzy czynu. Trudno zaprawdę, napotkać podobną do niej.

Następnego dnia major Samzelius wyjechał z Ekeby do własnego folwarku Sjö, położonego w pobliżu wielkiej huty. Testament Altringera, mocą którego otrzymał siedem folwarków i hut żelaza, opiewał wyraźnie, że nie wolno niczego sprzedawać ani darować, ale wszystko ma po śmierci majora przejść na jego żonę lub potomstwo. Nie mogąc tedy roztrwonić przekłętę dziedzictwa, ustanowił jego panami rezydentów, pewny, że w ten sposób zaszkośli najbardziej Ekeby i sześcioro innym posiadłościom.

Wszyscy w okolicy wierzyli święcie, że Sintram wykonał polecenie szatana, ponieważ zaś to, co obiecał, spełniło się co do joty, kawalerowie pewni byli, że kontrakt zostanie ściśle dotrzymany i mocno sobie postanowili przez cały rok nie uczynić nic mądrego, pożytecznego ani miłosiernego. Uwierzyli też święcie, że majorowa jest czarownicą czyhającą na ich zgubę.

Drwił z tego jeno filozof, wuj Eberhard, ale któż by sobie coś robił z tak zatwardziałego niedowiarka! Gdyby nawet sam leżał na piekielnych mękach, w kole wyśmiewających go szatanów, twierdziłby niewątpliwie, iż nie istnieją wcale, bo istnieć nie mogą. Wuj Eberhard był to zaprawdę wielki filozof!

Gösta Berling nie zwierzał się nikomu ze swych myśli. To tylko pewne, że nie poczuł się wobec majorowej do żadnej wdzięczności za przyjęcie do Ekeby na rezydenta. Wolałby być nie żyć, niż mieć świadomość, że winien jest śmierci Ebby Dohny. Nie podniósł ręki do zemsty nad majorową, ale również nie uczynił nic w jej obronie. Nie mógł się na to zdobyć.

Kawalerowie zostali więc teraz panami całą gębą. Był czas świąteczny, rojny od uczt i rozrywek, serca rezydentów przepajała radość, a jeśli nawet smutek uciskał duszę Gösty Berlinga, to nie zdradzała go ani jego twarz, ani słowa.

4. GÖSTA BERLING POETĄ

W okresie świąt miał się odbyć bal w Borgu. Mieszkał tam podówczas młody hrabia Dohna z piękną, świeżo poślubioną małżonką i zabawa w starym zamku hrabiowskim zapowiadała się świetnie.

Ekeby otrzymało także zaproszenie, ale wnet wyszło na jaw, że nikt z świętujących tu w tym roku nie miał ochoty jechać prócz Gösty Berlinga, zwanego „poetą”.

Borg i Ekeby leżą nad Jeziorem Löveńskim, ale po przeciwległych brzegach. Borg w parafii Svartsjö, Ekeby w parafii Brö, tak że przy nie zamarzłej powierzchni wody trzeba tam jechać dwie godziny.

Biednego Göstę wyekwipowali starsi kawalerowie na ten bal niby królewicza mającego reprezentować państwo. Dostał nowy frak z błyszczącymi srebrnymi guzikami, sztywny żabot i lśniące, lakierowane trzewiki. Włożył też szlachetne bobrowe futro oraz sobolową czapkę na jasne, faliste włosy. Rozpostarto na jednokonnym saneczkach niedźwiedzią skórę o srebrnych pazurach i zaprzężono Don Juana, chlubę stajni. Gwizdnąwszy na swego psa Tankreda ujął Gösta lejce z plecionki i wyjechał rozradowany, promieniejący wspaniałością i przepychem, a promieniał on i bez tego urodą i zdolnościami swymi.

Ruszył w niedzielne przedpołudnie i mijając kościół broeński usłyszał śpiewanie. Skręcił na samotną drogę leśną wiodącą do Bergi, do kapitana Uggli, gdzie zamierzał zatrzymać się na obiedzie.

Berga nie było osiedlem bogacza; głód trafiał nieraz pod porosły mchem dach kapitana, a przyjmowany jak inni goście żarcikami, śpiewem i grą, nierad opuszczał gościnne progi.

Zarządzająca kuchnią i przedziałnią stara Ulryka Dillner powitała Göstę na schodach podjazdu, a w dygu zatrzęsły się z radości jej sztuczne loczki okalające brunatną, pomarszczoną wielce twarzyczkę. Wprowadziwszy go do sali jęła zaraz paplać o właścicielach posiadłości i lichych warunkach, w jakich żyli.

Troska i niedostatek stoją u drzwi, mówiła, czasem braknie na obiad chrzanu do solonego mięsa, i oto właśnie Ferdynand zaprzągnął Disę i wraz z dziewczętami ruszył do Munkerudu pożyczyc coś niecoś. Kapitan jest w lesie i wróci pewnie z żyłastym zajęcem, do którego trzeba dodać więcej masła, niż zwierzyna warta. Zwie on to zaopatrywaniem domu w żywność. Zresztą gorzej będzie jeszcze, jeśli przyniesie lichego lisa, najędźniejsze stworzenie boskie, które jest przecież równie bezużyteczne w stanie żywym jak martwym.

A kapitanowa? O, jeszcze nie wstała. Leży w łóżku i czyta, jak zawsze, romanse. Nie stworzona zaprawdę do pracy ta anielska istota!

Pracę pozostawiano osiwialej w służbie starowinie, toteż dreptała od świtu od nocy, by podolać robocie; zadanie nie lada. Przez całą zimę nie było innego mięsiwa w domu prócz szynki niedźwiedziej. Na wysoką zapłatę nie liczy, zresztą grosza dotąd nie widziała, ale żyje nadzieją, że jej chyba nie wyrzucą na gościniec, gdy już będzie niezdolna do pracy. W tym domu i gospodynię traktuje się po ludzku i jest pewna, że państwo sprawią jej kiedyś uczciwy pogrzeb, jeśli tylko starczy pieniędzy na trumnę.

— Któż wie, jak się rzeczy ułożą! — zawołała ocierając fartuchem oczy, do których raz po raz napływały łzy. — Winniśmy niegodziwemu panu Sintramowi sporo pieniędzy i może nam zabrać wszystko. Ferdynand zaręczył się wprawdzie z bogatą Anną Stjärnhök, ale ona się nim znudzi, znudzi się na pewno. I cóż się wówczas stanie z nami, z trzema krowami, dziewięciu końmi i młodymi, wesołymi dziewczętami, które by rade jeździć z balu na bal! W cóż się obrócą jałowe pola, gdzie nic nie rośnie, i co zrobi poczciwy Ferdynand, z którego już nigdy nie będzie mężczyzna jak należy? Cóż się wówczas stanie z całym tym domem, gdzie wszystko kwitnie oprócz pracy?

Nadeszło południe i mieszkańcy zebrali się w komplecie. Wrócił dobroduszny, flegmatyczny Ferdynand i wesołe panny z pożyczonym chrzanem, wrócił też kapitan orzeźwiony kąpielą w przerebli i polowaniem. Otworzył okno, by wpuścić świeże powietrze i uściśnął serdecznie dłoń Gösty. Zjawiła się kapitanowa w jedwabiach i koronkach i podała mu łaskawie rączkę do pocałunku. Wszyscy powitali Göstę radosnym uśmiechem i żarcikami i pytali jedno przez drugie:

— Cóż tam słyhać w Ekeby, w ziemi obiecanej?

— Płynie miodem i mlekiem! — odpowiedział. — Obdzieramy góry z żelaza, napelniamy piwnice winem, pola dają złoto, którym złocimy nędzę życia, zaś lasy rąbiemy, by z drzewa budować kregielnie i pawilony w parku.

Kapitanowa westchnęła, potem zaś uśmiechnęła się w odpowiedzi, a z ust jej uleciało jedno tylko słowo:

— Poeta!

— Mam dużo grzechów na sumieniu — odparł — nigdy atoli nie napisałem ani jednego wiersza.

— Mimo to jesteś poetą, Gösto! — potwierdziła. — Przeżyłeś więcej poematów, niżli ich napisali nasi poeci.

Potem ją łagodnie wyrzucać mu, iż marnuje swe życie.

— Dożyję jeszcze, ufam, czasu — powiedziała — kiedy staniesz się mężczyzną statecznym!

Błogo mu było słuchać rad łagodnej przyjaciółki, której marzycielskie serce pałało umiłowaniem wielkich czynów.

Skończono wnet wesołą ucztę, zjedzono mięso z chrzanem, kapustę, faworki i zapito wszystko świątecznym piwem, po czym Gösta ją opowiadać o majorowej, majorze i proboszczu z Broby, tak iż wszyscy płakali, to znów pokładali się od śmiechu. Nagle zadźwięczały janczary w podwórze i wnet potem wszedł do pokoju złośliwy Sintram. Promieniał radością od łysiny aż do wielkich płaskich stóp. Machał długimi rękami, wykrzywił się i widać było, że niesie fatalne wieści.

— Słyszeliście już, państwo? — spytał. — Słyszeliście, że dziś wyszła w svartsjönskim kościele pierwsza zapowiedź Anny Stjärnhök i bogatego Dahlberga? Zapomniała widocznie, że jest zaręczona z Ferdynandem.

Nic o tym nie wiedzieli, zdziwienie ich ogarnęło i żalność.

Ujrzeni w duchu zupełną ruinę domu, gdyż trzeba będzie zwrócić dług złemu Sintramowi. Zostaną sprzedane ulubione konie, stare, wyprawne meble matki. Skończy się wesołe życie i jazda z balu na bal. Na stół znowu szynka niedźwiedzia, zaś młodzi pójdą w służbę obcych ludzi. Matka pogłaskała syna czule, z wyrazem niewyczerpanej miłości.

Ej, nie! Był wszakże pośród nich Gösta Berling niezwyciężony! Najrozmaitsze plany wirowały mu w głowie.

— Głupstwo! — zawołał. — Nie czas jeszcze lamentować. To sprawka pastorowej ze Svartsjö. Anna, od kiedy mieszka na plebanii, jest całkowicie w jej mocy. To pastorowa ją namówiła, by porzuciła Ferdynanda dla starego Dahlberga, ale jeszcze nie wzięli ślubu i nic z tego nie będzie! Jadę do Borgu, gdzie spotkam Annę. Pomówię z nią i wyrwę ją księdzu i narzeczonemu. Przywiozę ją tu nocą, a stary Dahlberg dostanie figę.

Tak się stało. Gösta pojechał do Borgu sam, nie zabierając żadnej z wesołych panielenek, ale za to gorące życzenia pozostałych, by mu się powiodło. Sintrama ogarnęła radość na myśl, że już się ona staremu Dahlbergowi nie dostanie. Został tedy w Berdze, w oczekiwaniu powrotu Gösty z niewierną. W przystępie życzliwości owinął nawet odjeżdżającego swym zielonym szalem podróżnym, który dostał od Ulryki w podarunku.

Pani domu wyszła na ganek z trzema czerwono oprawnymi książeczkami i podając je rzekła do siedzącego już w sankach Gösty:

— Weź to na wypadek, gdyby ci się nie powiodło. To *Korynna* pani de Staël, nie chciałam, by poszła pod młotek.

— Mój plan musi się udać!

— O Gösto, Gösto! — powiedziała gładząc odkrytą jego głowę. — Ty najsilniejszy i najsłabszy spośród ludzi! Za chwilę zapomnisz, że masz w swym ręku dolę i niedolę paru biedaków.

Gösta pomknął znów gościńcem, Don Juan galopował, biały Tankred pędził za nim, a świadomość bliskiej przygody przepajała duszę Gösty radością.

Czuł się młodym zdobywcą, pędził w uniesieniu. Droga wiodła popod plebanię w Svartsjö. Zajeżdżał tam i spytał, czy może zabrać na bal Annę Stjärnhök. Przywołano. Piękna, przekorna dziewczyna wsiadła do sanek. Któż by nie chciał jechać czarnym Don Juanem!

Zrazu młodzi milczeli, potem jednak ona zaczęła tonem porywczym i zuchwałym:

— Słyszałeś, Gösto, co pastor ogłosił dziś z kazalnicy?

— Nazwał cię najpiękniejszą dziewczyną pomiędzy Löven a Klarälven?

— Głupiś, Gösto! To wiedzą wszyscy bez pastora. Nie, ogłosił moje zapowiedzi ze starym Dahlbergiem.

— Dalibóg, gdybym to wiedział z góry, nie brałbym cię do sanek! Bądź pewna! Wcale bym po ciebie nie zajeżdżał.

— I bez Gösty Berlinga pojechałbym do Borgu.

— Szkoda cię, Anno — rzekł w zadumie — szkoda, że nie masz ojca ni matki. Dlatego jesteś taka.

— Większa szkoda, żeś tego nie powiedział wcześniej, gdyż mógł mnie kto inny zawieźć.

— Pastorowa jest widać tego samego co ja zdania. Potrzeba ci męża, który by był twym opiekunem i ojcem. Inaczej, zaprawdę, nie wydawałaby cię za tę starą pokrakę, Dahlberga.

— Pastorowa nie ma z tym nic wspólnego.

— Ejże! Więc sama wyszukałaś sobie tak ślicznego mężulka?

— W każdym razie nie bierze mnie dla pieniędzy!

— Tak, bo starcom zależy tylko na niebieskich oczach i rumianej buzi. Ot, głupcy!

— Wstydz się, Gösto!

— Ale pamiętaj, że odtąd nie wolno ci się bawić z młodymi ludźmi. Koniec tańcom i zabawie. Miejsce twe w rogu kanapy, a może wolisz zagrać ze staruszką Dahlbergiem partię wiry¹³?

Umilkli i nie mówili nic, aż wjechali na strome wzgórze koło Borgu.

— Dziękuję ci za miłą rozmowę! — powiedziała. — Nieprędko pojedę znowu z Göstą Berlingiem.

— Dziękuję wzajem. Znam kogoś, kto również żałuje, że z tobą jechał na zabawę.

W pokorniejszym niż zwykle nastroju weszła zuchwała piękność na salę i spojrzała po zebranych.

Spostrzegła zaraz małego, lysego Dahlberga obok pięknego, smukłego, jasnowłosego Gösty. Miała ochotę wyrzucić obydwu za drzwi. Narzeczony podszedł zapraszając ją do tańca, ale go powitała szyderczo i spytała zdumiona:

— Chcesz tańczyć? Przecież zwykle nie tańczysz.

Zbliżyły się dziewczęta z powinszowaniami.

— Nie udawajcie, dziewczęta! — powiedziała. — Wszakże trudno zakochać się w Dahlbergu! Ale on bogaty i ja bogata, dobrana z nas para.

Podeszły starsze damy, ścisnęły jej ręce i mówiły o najwyższym szczęściu życia.

— Proszę powinszować pastorowej — odparła — ją to raduje więcej niż mnie.

W pewnej odległości stał Gösta Berling, świetny kawaler, witany z radością, bo śmiał się radośnie i sywał słowa niby pył złoty na szare łachmany życia. Nie widziała go jeszcze takim. Nie był to człowiek wyklęty, wyrzucony za nawias, bezdomny facecjonista... o nie! Był królem pośród mężczyzn, urodzonym na króla.

On i inni młodzieńcy sprzysięgli się przeciw niej. Niechaj zrozumie, że źle uczyniła zaprzędając starcowi urodę swą i bogactwo. Przez dziesięć tańców nie ruszyła nogą.

Wrzała gniewem.

Gdy zabrzmiał taniec jedenasty, poprosił ją jakiś człeczyna marny, z którym żadna tańczyć nie chciała.

— Pewnie myślicie, że jak piwo wypite, pora na męty! — powiedziała.

Potem grano o fanty. Dziewczęta poszeptaly z sobą i skazały ją na pocałowanie tego, którego najbardziej kocha. Uśmiechnięte czekały chwili, kiedy dumna piękność pocałuje starego Dahlberga. Ona jednak, wspaniała w swym gniewie, rzekła:

— Wolę raczej dać w twarz temu, którego najbardziej nienawidzę!

W chwilę potem zacerwienił się policzek Gösty Berlinga od ciosu jej silnej dłoni. Oblany rumieńcem, przytrzymał na sekundę jej rękę i szepnął:

— Bądź za pół godziny na dole, w czerwonej sali!

Błękitne oczy jego objęły ją magicznym kręgiem i uczuła, że musi być mu posłuszną.

Przyjęła go dumnie, złymi słowy:

— Cóż to obchodzi Göstę Berlinga, że wychodzę za mąż?

Nie miał jeszcze dla niej słów życzliwych, a jednocześnie nie chciał zaraz mówić o Ferdynandzie.

— Nie sądzę — powiedział — by utrata dziesięciu tańców była karą dostateczną. Ale niech ci będzie dowodem, że nie wolno bezkarnie łamać przyrzeczeń i obietnic. Kto inny wymierzając ci sprawiedliwości byłby nierównie surowszy.

¹³wira (szwedz. *vira*) — szwedz. gra karciana dla trzech osób, bardzo popularna w XIX w. [przypis edytorski]

— Cóż uczyniłam tobie i innym, że mnie prześladujecie? Nie dajecie mi spokoju wyłącznie z powodu mego majątku. Rzucę pieniądze do Lövenu i niech je sobie, kto chce, łowi.

Zakryła twarz dłońmi i rozplakała się z gniewu.

To wzruszyło serce poety. Zawstydył się swej surowości i przemówił serdecznie:

— Przebac mi, drogie dziecko! Przebac biednemu Göście! Któż sobie coś robi ze słów nędzarza, któż płacze z powodu gniewu jego? Równie dobrze można by płakać z powodu ukłucia komara. Byłem szalony, ale chciałem przeszkodzić, by nasza najpiękniejsza i najbogatsza dziewczyna wiązała się ze starcem, A tymczasem dokazałem jeno tego, że cię zasmucił.

Usiadł przy niej na sofie i objął łagodnie wpół, by ją wspierać i chronić. Nie bronila się, przyłgnęła doń, zarzuciła mu ramiona na szyję i oparła piękną główkę o jego ramię.

Ach, poeto, najsilniejszy i najsłabszy z ludzi! Nie twoją to szyję obejmować miały te białe ręce!

— Gdybym to była wiedziała, nie brałabym za nic tego starego! Dziś dopiero poznałam cię. Nikt ci nie dorówna!

Pobladle wargi Gösty szepnęły:

— Ferdynand!

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Cicho bądź! Nikt dla mnie nie istnieje, tylko ty! Tobie pozostałabym wierna!

— Jestem Gösta Berling — rzekł ponuro — za mnie wyjść nie możesz!

— Kocham cię, kocham cię, pierwszego wśród mężczyzn. Nie potrzebujesz nic robić, niczym być! Jesteś król, król z krwi i kości!

Zawrzała krew poety. Była tak piękna, tak urocza w uniesieniu miłości. Przycisnęła ją do piersi.

— Jeśli chcesz być moją — powiedział — nie możesz przebywać na plebanii. Pozwól, że cię zabiorę tej nocy do Ekeby, a tam potrafię cię obronić aż do czasu wesela.

Czarowna to była jazda nocą. Ulegli prawu miłości i dali się unosić Don Juanowi.

Skrzyp śniegu pod płozami sanek zdawał się być skargą oszukanego. Cóż ich to jednak obchodziło? Zawisła u jego szyi, on zaś pochylony szeptał jej:

— Czyż może istnieć rozkosz większa nad skradzione szczęście?

Cóż znaczyła zapowiedź, cóż gniew ludzki? Kochali się. Gösta wierzył w przeznaczenie. Los ich pokonał, nie sposób walczyć z losem! Gdyby nawet gwiazdy były świecami ślubnego ołtarza, a janczary Don Juana dzwonymi weselnymi, zwołującymi ludzi na jej ślub z Dahlbergiem, i tak musiałaby uciekać z Göstą Berlingiem. Los jest potężny!

Minęli szczęśliwie plebanię munkerudzką. Mieli do Bergi jeszcze pół mili, a drugie pół do Ekeby. Droga wiodła skrajem lasu. Po prawej widniały niskie, ciemne, ponure góry, po lewej zaś leżała długa, biała dolina.

Wtem dogonił ich Tankerd. Sadził leżąc niemal na brzuchu. Zawył ze strachu, skoczył w sanki i skulił się u nóg Anny. Don Juan szarpnął i poniósł.

— Wilki! — powiedział Gösta.

Zobaczył długą, szarą, ruchomą linię pod lasem. Zwierząt było co najmniej dwanaście.

Anna nie przelękała się. Dzień tak obfity w przygody obiecywał podobną noc. Toż to życie! Tak pędzić po lśniącej przestrzeni, drwiąc zuchwale z dzikich zwierząt i ludzi.

Gösta zaklął, pochylił się i silnie uderzył Don Juana.

— Boisz się? — spytał.

— Biegną na przelaj i dogonią nas na zakręcie gościńca.

Don Juan dał susa i pognął w zawody z drapieżcami, a Tankred zaskomlał z gniewu i strachu. Dotarli do zakrętu jednocześnie z wilkami, a Gösta odpędził pierwszego biczem.

— Ach, Don Juanie drogi — rzekł Gösta — jakże łatwo umknąłbyś dwunastu wilkom, gdybyś nie musiał wlec nas, ludzi!

Przywiązali do oparcia sanek zielony szal, co przeraziło wilki tak, że na chwilę zostały w tyle. Przewyciężyły jednak rychło strach, a jeden skoczył ku sankom wywalając oźór i rozdziawiając paszczę. Wówczas wziął Gösta tom *Korynny* pani Staël i cisnął go wilkowi.

Znowu nastąpiła pauza, podczas której zwierzęta szarpały łup. Niebawem jednak, potargawszy szal i książkę, wilki napierały tak, że czuli ich gorący oddech na plecach. Wiedzieli, że przed Bergą nie napotkają ludzkich osiedli, ale Göście wydało się gorszym od śmierci spojrzeć w oczy ludziom, których oszukał. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli koń ustanie, zginą niechybnie.

Nagle zamajaczył pod lasem dwór bergijski, rozjarzony światłem. Gösta wiedział, co to oznacza.

W tej chwili wilki znikły przerażone bliskością wsi, a Gösta minął Bergę. Ale zaledwie dotarł do miejsca, gdzie droga ponownie zapadała w las, ujrzał przed sobą ciemną gromadę czekających wilków.

— Zawróćmy na plebanię — rzekł — powiemy, żeśmy odbyli małą przejażdżkę przy świetle gwiazd. Uwierzą na pewno.

Zawrócili, ale natychmiast wilki otoczyły sanki. Szare postacie przemykały lyskając białymi zębami i świecąc oczyma. Wyły z głodu i żądzy krwi, gotowe wbić zęby w miękkie ludzkie ciało. Podskoczyły do pyska Don Juana i zawisły u uźdźnienicy. Anna rozmyślała, czy wilki pożą ich ze szczeniem, czy też zostawią bodaj trochę kości, by ludzie mogli znaleźć rano w śniegu ślady.

— Idzie o nasze życie! — powiedziała pochylając się i biorąc za kark Tankreda.

— Daj pokój! — odparł. — To na nic! Nie z powodu psa ruszyły wilki tej nocy na łów.

Rzekłszy to wjechał w bramę bergijskiego dworu. Ale wilki ściagały ich aż do podjazdu, tak że musiał się bronić biczem.

— Anno! — powiedział, gdy stanęli przed gankiem. — Nie było to zgodne z wolą bożą. Jeśli jesteś tą, za jaką cię uważam, nie daj nic po sobie poznać, rozumiesz?

Posłyszawszy brzęk janczarów wszystko wyległo na dwór.

— Przywiózł ją! — wołano chórem. — Przywiózł ją! Niech żyje Gösta Berling! — I ściskano się wzajemnie.

Niewiele padło pytań. Noc była późna, przybyłych wyczerpała pełna niebezpieczeństw jazda, udano się tedy na spoczynek. Wszystko będzie dobrze, skoro jest z nimi Anna.

Skończyło się zatem dobrze, zniszczał tylko zielony szal — cenny podarek Ulryki — i *Korynna*.

Cały dom spał jeszcze, gdy Gösta wstał, ubrał się i wymknął na dwór. Wyciągnął niepostrzeżenie ze stajni Don Juana, zaprzągi i chciał ruszyć, gdy nagle wyszła z domu Anna Stjärnhök.

— Usłyszałam cię! — powiedziała. — Gotowa jestem jechać z tobą!

Podszedł i uchwycił jej dłoń.

— Czyż jeszcze nie rozumiesz? To niemożliwe! Bóg nie chce! Posłuchaj i chciej mnie pojąć. Byłem tu dziś przed południem i widziałem rozpacz tych ludzi z powodu twej niewierności, pojechałem przeto do Borgu, by cię przywieźć Ferdynandowi. Ale zawsze byłem nikczemnikiem i już się nie zmienię, zdradziłem go więc i zdradziłem dla ciebie. Tu mieszka stara kobieta, która wierzy, że coś ze mnie jeszcze będzie. I ją oszukałem. Druga stara kobieta godzi się głodować i drzeć z zimna, byle tylko móc umrzeć pośród przyjaciół, lecz z mojej winy omal że nie została wyrzucona na bruk przez Sintrama. Byłaś piękna, a grzech słodki. O, jakże ci ludzie kochają swój dom, a jednak gotów byłem narazić ich na ruinę. Zapomniałem o wszystkim dla ciebie. Teraz atoli, kiedy byłem świadkiem ich radości, nie mogę cię zabrać, Anno! Uczyniłabyś ze mnie człowieka, lecz nie możesz do mnie należeć. O ukochana! Ten tam w górze igra wolą naszą, musimy się ugiąć pod jego karzącą ręką. Przyrzeknij mi, że od dziś weźmiesz brzemię swe na plecy. Oni wszyscy ufają ci. Przyrzeknij, że zostaniesz z nimi, że im będziesz pomocą i ochroną! Jeśli mnie kochasz, jeśli chcesz złagodzić straszny ból mój, to przyrzeknij! Jedyna moja, czyż serce twoje nie jest dość wielkie, by się przewyciężyć z uśmiechem na ustach?

Przyjęła z zapalem nakaz rezygnacji.

— Uczynię, co chcesz — powiedziała — poświęcę się z uśmiechem.

— I nie będziesz nienawidziła biednych przyjaciół moich?

Uśmiechnęła się smutnie.

— Jak długo ciebie kocham, kochać i ich będę.

— Teraz dopiero wiem, co z ciebie za dziewczyna! O jakże ciężko oderwać się od ciebie!

— Żegnaj mi, Gösto! Jedź z Bogiem! Miłość moja nie przywiedzie cię do grzechu.

Obróciła się, by odejść, a on poszedł za nią.

— Czy rychło mnie zapomnisz?

— Jedź, Gösto! Jesteśmy tylko ludźmi!

Wskoczył do sanek, ona natomiast zawróciła.

— Pamiętasz wilki? — spytała.

— Oczywiście. Spełniły swoje zadanie. Tej nocy nic już ode mnie nie będą chciały.

Wyciągnął raz jeszcze do niej ręce, ale zniecierpliwiony Don Juan ruszył. Nie ujął lejc. Siedział odwrócony i patrzył za nią nieruchomo. Potem oparł się o brzeg sanek i jął łkać rozpaczliwie.

— Miałem w ręku szczęście i odepchnąłem je! Ach, czemuż to uczyniłem, czemu?

O Gösto Berlingu, ty najsilniejszy i najslabszy pośród ludzi!

5. KACZUCZA

Rumaku bojowy! Bojowy rumaku, który pasiesz się teraz na trawie, czyli pamiętasz młodość swą? Czy pamiętasz dzień bitewny, rumaku dzielny, bojowy? Pędziłeś niby na skrzydłach niesiony, grzywa jak płomień pałała nad twą głową, a krew i piana spływały ci po bokach czarnych. Gryząc pozłociste wędzidło pędziłeś w dal, a ziemia drżała pod kopytami twymi. Rozkosz cię ogarniał, dzielny rumaku. Ach, jakżeś byłeś piękny!

W skrzydle rezydentów ekebijskiego dworzyszca panuje szary mrok. W wielkiej sali stoją pod ścianami czerwono malowane skrzynie kawalerów, a świąteczna ich odzież wisi na gwoździach w kącie. Płomień kominka oświetla bielone ściany i firanki w żółtą kostkę, kryjące alkowy. Mieszkanie kawalerów to nie seraj, nie królewskie komnaty z miękkimi, wyściełanymi sofami i poduszkami.

Ale rozbrzmiewają tu skrzypce Liljeczony. Gra szarą godziną kaczucę¹⁴.

Powtarza ją raz po raz.

Zerwijcie struny, złamcie smyk! Czemuż to powtarza bez końca ten przekłety taniec? Czemuż gra właśnie w chwili, kiedy chorąży Orneclou leży w łóżku wijąc się w reumatycznych bólach i wstać nie może? Wyrwijcież mu skrzypce i rozbijcie o ścianę, skoro przestać nie chce!

Czy dla nas grasz kaczucę, maestro? Czy można ją zatańczyć na chwiejnej podłodze skrzydła rezydenckiego, pośród ciasnych, brudnych, zakopconych ścian z niskim pułapem? Ach, do licha, po cóż grasz!

Czyż ta kaczuczka jest dla nas, kawalerów? Na dworze szaleje zadymka. Czy uczysz płatki śniegu tańczyć do taktu? Czy grasz do tańca szybko nogom dzieciom?

Zali masz tu kobiece ciała drżące tętnem gorącej krwi, małe, usmolone rączki, co odsuwając garnek chwytają kastaniety, boscie nogi widne spod wysoko zakasanych spódniczek, podwórce wyłożone marmurem, Cyganów skulonych, z dudą i tamburynem, mauretańskie kolumnady, księżyc i czarne oczy... Czy masz to wszystko tutaj maestro? Jeśli nie, to połóż smyczek!

Kawalerowie suszą przemoczoną odzież u ognia. Nie sposób chyba tańczyć w długich, okutych butach, o podeszwach grubych na cal. Przez cały dzień brodzili po śniegu łokciowej wysokości, tropiąc niedźwiedzia. Czy sądzisz, że zechcą tańczyć w mokrych, parujących ubraniach z fryzu¹⁵, mając zamiast danserki kudłatego misia?

Zali masz dla nas, mistrzu, wygwieżdżone niebo, czerwone róże w ciemnych włosach kobiecych, oszalałającą woń wieczora, wrodzoną grację ruchów i miłość, co płynie z nieba, bucha z ziemi i faluje w powietrzu? Po cóż w przeciwnym razie zmuszasz nas, byśmy za tym tęsknili?

¹⁴kaczuczka — żywy hiszpański taniec ludowy. [przypis edytorski]

¹⁵fryz (daw.) — kosmate, grube sukno. [przypis edytorski]

Okrutniku, zali trąbisz wsiadanego rumakowi bojowemu, co stoi na uwięzi? Rutger von Orneclou leży przykuty podagrą do łoża. Oszczędź mu męki rozkosznych wspomnień! I on też nosił sombrero i barwną siatkę na włosach, i on też przywdziewał kaftan z aksamitu i sztylet miał za pasem. Szczędźże, mistrzu, starego Orneclou.

Ale Liljecrona gra i gra kaczącę, zaś Orneclou cierpi jak kochanek, co widzi jaskółkę lecącą w stronę odległego mieszkania kochanki; jak jelen spragniony, którego naganiacze pędzą mimo źródła w lesie.

Na moment odejmuje Liljecrona skrzypce od podbródka i pyta:

— Powiedz, chorąży, czy pamiętasz piękną Rozalię von Berger?

Orneclou ciska straszliwe przekleństwo.

— Lekka była jak płomień. Lśniła i tańczyła jak brylant na końcu smyczka. Pamiętasz ją pewnie z karlstadzkiego teatru. Widywaliście ją tam za młodu, pamiętasz, Orneclou?

Czy pamięta? Była mała, dzika i sypała skrami jak ogień. Tańczyła kaczącę. Uczyla kacuczki wszystkich młodych ludzi Karlstadu, uczyla ich także trzaskać kastanietami. Na balu u wojewody tańczył chorąży z panną von Berger kaczącę, oboje w strojach hiszpańskich, a tańczył ją, jak się tańczy pod figowcami i platanami, jak Hiszpan prawdziwy.

Nikt w całej Värmlandii nie umiał jak on tańczyć kacuczki, to jest tak, by warto było o tym wspominać. Wielką stratę poniosła Värmlandia, gdy gościec zeszywnił mu członki, a na stawach potworzył wielkie guzy. Cóż to był za kawaler, jak smukły, piękny, rycerski! „Pięknym Orneclou” zwały go dziewczęta, a nierzadko z powodu jednego tańca z nim poprzysięgały sobie dożgonną nienawiść.

Liljecrona rozpoczyna na nowo kaczącę, a myśli Orneclou cofają się w dawne lata.

Oto stoi tu, a Rozalia von Berger tam! Byli właśnie przez chwilę sami w garderobie, on jako Hiszpan, ona jako Hiszpanka. Dała mu się pocałować, ale ostrożnie, gdyż bała się jego farbowanych wąsów. Teraz tańczą... jak się tańczy jeno pod figowcami i platanami. Tancerka cofa się, tancerz zuchwale nastaje, dziewczyna czyni dumny gest, on udaje obrażonego, ona gotowa jest do zgody. Gdy w końcu rycerz pada na kolana i chwyta tancerkę w rozpostarte ramiona, przez salę płynie westchnienie — westchnienie zachwyty.

Hiszpan, prawdziwy Hiszpan!

Przy tych właśnie ostatnich pociągnięciach smyczka pochylał się w ten sposób, tak wyciągał ramiona, a potem wysuwał nogę, by płynąć w powietrzu... Cóż za wdzięk! Można go było kuć w marmurze.

Nie wie sam, jak się to stało, ale przerzuca nogi przez krawędź łożka, wstaje, pochyla się, wyciąga ramiona, strzela z palców i chce płynąć ponad podłogą jak za onych dawnych lat, kiedy nosił lakierowane trzewiki tak ciasne, że piętę pończochy trzeba było wycinać, by weszły.

Brawo, Orneclou! Brawo, Liljecrona! Przywróć mu zdrowie skrzypkami swymi!

Noga nie słucha, Orneclou nie może stanąć na końcach palców. Chwieje się przez chwilę na jednej nodze, potem zaś pada z powrotem na łożko.

Piękny seniorze, postarzałeś się, a seniorita zapewne także!

Tylko pod platanami Grenady tańczą kaczącę wiekuiście młode *gitanas*¹⁶, wiecznie młode jak róże, gdyż każda wiosna nowe rodzi.

A może pora przeciąć struny skrzypiec?

Nie, graj, Liljecrona, graj dalej i dalej kaczącę. Ucz nas tej wielkiej prawdy, że i tu, w skrzydle rezydenckim, mimo ociężałych ciał i sztywnych członków jesteśmy w sercu zawsze ci sami... zawsze Hiszpanie!

Rumaku bojowy! Powiedz, że lubisz sygnał galopu, mimo pęt żelaznych, które ci nogę do krwi ocierają.

6. BAL W EKEBY

O wy, piękne kobiety czasów minionych! Wspomina się was jak szczęśliwość niebiańską. Samym jeno pięknem byłyście i samą światłością. Wiecznie młode i piękne niby łagodne oczy matki spoglądające na dziecię swoje. Miętko jak młode wiewióreczki zawisałyście u szyi męża. Głos wasz nigdy nie drgał gniewem, czoło nie miało zmarszczki, a ręka miękka była zawsze. O, wy słodkie, święte! Stałyście w świątyni domu, niby strojne posągi,

¹⁶*gitanas* (hiszp.) — Cyganki. [przypis edytorski]

przyjmując kadzidlane holdy i modlitwy, miłość przez was czyniła cuda, a nad głową lśnił wam złocisty nimb poezji.

O, piękne kobiety czasów minionych, opowiem tu właśnie, jak to jedna z was udarowała Göstę Berlinga miłością swoją.

W dwa tygodnie po balu borgijskim odbył się bal w Ekeby, najwspanialsza w świecie zabawa. Wspominając ją młodniały kobiety i odmładzali się mężczyźni w śmiechu wielkim i radości.

Kawalerowie byli w tym czasie jedynowładcami w Ekeby, majorowa bowiem wędrowała kędyś o kiju żebraczym, z sakwą dziadowską na plecach, zaś major mieszkał w Sjö. Nie mógł nawet uczestniczyć w balu, gdyż w Sjö właśnie wybuchła ospa, tedy nie chciał szerzyć dalej choroby.

Jakaż pełnia uciechy zawarła się w tych dwunastu godzinach, począwszy od pierwszego strzału korka butelki przy stole aż do ostatniego pociągnięcia smyczka, gdy północ już dawno minęła. W otchłań przeszłości zapadły te godziny uwieńczone diademem radości, rozplomienione mocnym winem, wyszukаныmi potrawami, uroczą muzyką, dowcipnymi scenami oraz przedziwnymi żywymi obrazami. Przepadły kędyś w zawrotnym, dzikim tańcu. Gdzież to znaleźć tak gładkie posadzki, wykwintnych kawalerów i piękne damy!

O tak, zaprawdę, piękne kobiety minionych czasów! Umiałyście być ozdobą zabawy. Ktokolwiek zbliżył się do was, czuł, że w żyłach jego płynie gorący strumień siły i duch gorzeje ogniściej. Warto było wydawać złoto na świece, by w ich świetle jaśniała wasza krasa, warto nabywać wino, które w sercach budziło ochotę, warto było w tańcu buty dla was zdzierać i warto smyczek prowadzić tak długo, aż ramię opadało ze znużenia.

O, kobiety minionych czasów! W rękach waszych spoczywały klucze do raj. W salonach Ekeby roiło się od najpiękniejszych spośród was! Była młoda hrabina Dohna, swawolnie wesoła, zawsze gotowa tańczyć i bawić się, jak przystało dwudziestolatce, były trzy piękne córki sędziego okręgowego z Munkerudu i wesołe panienki z Bergi, była też Anna Stjärnhök, stokroć jeszcze piękniejsza teraz, bo owiana mgłą smutku od czasu owej nocy, kiedy ją ściagały wilki, było dużo, dużo innych, dotąd nie zapomnianych, które jednak niedługo niepamięć pochłonie, a była także piękna Marianna Sinclair.

Zgodziła się łaskawie wziąć udział w zabawie kawalerów ta istota słynna na całą okolicę, będącą gwiazdą dworu królewskiego i atrakcją hrabiowskich pałaców, królowa piękności, przyjmująca holdy całego kraju, zapalająca serca miłością samym zjawieniem się.

W czasach owych wiele świetnych nazwisk przydawało splendoru krainie Värmlandii. Wesołe dzieci pięknej tej ziemi mogły być dumne z niejednego, ile razy atoli mówiono o pięknych kobietach, nie zapominano nigdy wymienić Marianny Sinclair.

Kraj cały rozbrzmiewał sławą jej triumfów. Rozpowiadano o diademach hrabiowskich, unoszących się nad jej głową, milionach składanych u jej stóp, rycerskich mieczach i wieńcach laurowych, co pragnęły ją znęcić swym blaskiem.

Była zaś nie tylko piękna, ale dowcipna i czytana, a najmędrsi ludzie epoki chętnie z nią rozmawiali. Choć sama nie była pisarką, wiele jej myśli rzuconych w duszę piszących przyjaciół ożywało w ich utworach i pieśniach.

Rzadko przebywała w Värmlandii, krainie niedźwiedzi, podróżując przez większą część życia. Ojciec jej, bogaty Melchior Sinclair, siedział z żoną w domu, w Björne, a Mariannę wysyłał ciągle do różnych wielkich miast lub świetnych zamków i radował się, opowiadając, ile wydawała tam pieniędzy. Oboje starzy grzali się w promieniach sławy swej córki.

Życie jej upływało na uciechach i holdach. Powietrze wokół niej przepojone było miłością. Miłość stanowiła jej światło i chleb powszedni.

Często, bardzo często kochała sama, ale nigdy tak długo i gorąco, by z uczucia tego ukuć można było kajdany wiążące na całe życie.

— Czekam, aż miłość przyjdzie jako zdobywca! — mawiała. — Dotąd nie przekroczyła nigdy wałów i nie przebyła rowu fortecznego. Czekam na miłość potężną, która mnie wzniesie ponad mnie samą, chcę zadrzeć przed potęgą miłości, a dotąd znam jeno miłość, z której się rozum mój natrzęsa.

Obecność jej przydawała słowom ognia, a mocy napojowi. Płomienna jej dusza wprawiła w szybszy ruch smyczek, taniec stawał się lotniejszy, bardziej uroczy i powiewny, gdy wąską stopką dotknęła posadzki! Olsniewała w żywych obrazach, przepajała je swym tchem, jej cudne usta...

Cicho, sza! Nie było to jej winą i nie miała wcale takiego zamiaru! Balkon, światło księżycy, welon koronkowy, rycerski strój, śpiew, oto wszystko. Młodzi ludzie byli całkiem niewinni.

Wszystko to, co tyle narobiło złego, w jak najlepszym podjęto zamiarze. Mistrz Juliusz, znający się na wszystkim, urządził żywy obraz po to, by Marianna mogła ujawnić w pełni swe powaby.

Przeszło stu widzów zasiadło przed sceną ustawioną w wielkiej sali, patrząc na złoty hiszpański księżyc sunący po ciemnym niebie. Ulicami Sewilli przemykał jakiś Juan i przystanął pod odkrytym bluszczem balkonem. Przebrany był za mnicha, ale z rękawa wystawała koronka mankietu, zaś spod habitu błyskał koniec szpady.

Jał nucić następującą pieśń:

W mym sercu krwi nie płonął żar,
Nie dotknął puchar moich warg,
Ni wino w skrzącym szkłe —
Nie dla mnie, ach, różane lica
Ni oczu jasna błyskawica,
Na ziemi nic mnie nie zachwyca —
Nie dla mnie miłość, nie!

W piękności blasku, w lśnieniu szat
Z balkonu nie wyczeraj krat,
Twój widok sprawia ból —
W samotnej celi żywot wiodę,
Z różańcem w ręku piję wodę
I za to wieczną mi nagrodę
Niebiański przyzna Król...

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk, wyszła na balkon Marianna w aksamitnej sukni, okryta koronkowym welonem. Pochylona przez parapet balkonu, zanuciła powoli, z ironią:

Dlaczego nucisz, zbożny mnich,
Tę twoją pieśń u okien moich,
Czy to twój pacierz? Mów! —

A nagle dodała porywczo z napięciem:

Uciekaj, porzuć moje progi!
Nie mnich, lecz rycerz jesteś srogi
I w pieśni brzęczą ci ostrogi —
Uciekaj! Bądź mi zdrów!

Na te słowa zrzucił mnich fałdzisty płaszcz i ukazał się Gösta w stroju rycerskim z jedwabiu i złota. Nie bacząc na słowa pięknej damy, wspiął się na jeden z filarów balkonu, przekroczył balustradę, i padł, jak to zarządził mistrz Juliusz, do stóp Marianny.

Uśmiechnęła się do niego uroczo, podała do pocałunku rączkę, potem zaś zatoneła w sobie rozkochanym spojrzeniem, a kurtyna powoli opadła.

Patrzył na nią Gösta na poły jak poeta, na poły jak zwycięzca, a w spojrzeniu tym była głębia i szelmostwo jednocześnie. Błagał i groził jej oczyma, silny i giętki, płomienny i czarujący zarazem.

Znowu podniesiono kurtynę i opuszczono ją, a przez ten cały czas oboje trwali w bezruchu zupełnym.

W końcu umilkły oklaski, kurtyna zwiła i nikt ich nie widział.

Nagle pochyliła się piękna Marianna i pocałowała Göstę. Nie wiedziała, czemu to czyni, ale działała pod przymusem. Otoczył ramieniem jej szyję i bez słowa przycisnął ją do siebie, ona zaś całowała go raz po raz.

Winę ponosił księżyc, koronkowy welon, strój rycerski, śpiew, oklaski, słowem, to wszystko, zaś te biedne dzieci były zgoła niewinne. Nie zamierzali tego wcale czynić. Ona nie odrzuciła wcale dla Gösty wirujących nad jej głową koron hrabiowskich ni milionów składanych u jej stóp, on zaś nie zapomniał jeszcze Anny Stjärnhök. Nie, nie byli winni, żadne bowiem nie żywiło tego zamiaru.

Łagodny Löwenborg, załawiony i uśmiechnięty jak zawsze, podnosił dnia tego i opuszczał kurtynę, jak mu to polecono. Przygnębiony wspomnieniem wielu przykrych przeżyć, nie zwracał uwagi na sprawy tego świata i nie znał ich jak należy. Spostrzegłszy, że Gösta i Marianna przybrali inną pozycję, pewny był, iż jest to nowy żywy obraz, i podniósł raz jeszcze kurtynę.

Młoda para na balkonie zorientowała się dopiero w chwili, kiedy zagrzały ponownie oklaski.

Marianna drgnęła i chciała się cofnąć, ale Gösta przytrzymał ją szepcząc:

— Nie ruszaj się! Wszyscy pomyślą, że jest to dalszy ciąg żywego obrazu.

Czuł, jak Marianna drży na całym ciele, a żar pocałunków zagaś na jej ustach.

— Nie bój się! — szepnął. — Piękne usta mają prawo całować!

Nie mogli się poruszać, bo kurtyna opadła i podniosła się znowu, a za każdym razem sto par oczu na nich patrzyło i sto par rąk dawało oklaski.

Piękny to widok, gdy dwoje młodych, urodziwych ludzi gra rolę kochanków. Nikt nie przypuszczał, by było w tym coś innego nad teatralny efekt, nikt nie wiedział, że senora płonie od wstydu, a rycerz drży ze wzburzenia. Wszyscy pewni byli, iż jest to dalszy ciąg żywych obrazów.

Na koniec znaleźli się za sceną. Marianna odsunęła z czoła włosy i rzekła z westchnieniem:

— Nie rozumiem samej siebie!

— A fe, panno Marianno! — zawołał Gösta krzywiąc się i czyniąc gest niechęci. — Cóż to za gust całować Göstę Berlinga? Fe, do licha!

Roześmiała się mimo woli.

— Wszyscy wiedzą — powiedziała — że Göście Berlingowi oprzeć się nie sposób. Moja wina nie jest tedy większa od winy innych dziewcząt.

Ułożyli, że zachowają obojętne miny, by nikt nie powziął podejrzenia, jak było istotnie.

— Czy mogę zaufać, że nigdy prawda nie wyjdzie na wierzch, panie Gösto? — spytała, zanim się udali na widownię.

— W zupełności, panno Marianno! — odparł. — Rezydenci umieją milczeć, ręczą za nich!

Spuściła oczy, a dziwny uśmiech wybiegł na jej wargi.

— A gdyby mimo wszystko wyszło na jaw, cóż wówczas pomyślą o mnie ludzie, panie Gösto?

— Nic nie pomyślą. Pewni byli, że wymagała tego rola i żeśmy dalej grali!

Jedno jeszcze pytanie niepokoiło ją, toteż spytała z wymuszonym uśmiechem, spuszczać oczy:

— A co sądzi o tym sam pan Gösta?

— Sądzę, że panna Marianna zakochała się we mnie! — odparł ze śmiechem.

— Proszę tak nie myśleć! — powiedziała śmiejąc się także. — Inaczej musiałabym przebić pana tym sztyletem hiszpańskim, by dać dowód, że tak nie jest.

— Pocałunki kobiet drogie są! — rzekł Gösta. — Czyż za pocałunki panny Marianny trzeba płacić życiem?

Nagle padło nań z ócz pięknej dziewczyny spojrzenie, które, odczuł istotnie jak pchnięcie sztyletem.

— Rada bym pana tu widzieć martwym, panie Berling! Martwym, rozumiesz pan? — zawołała.

Słowa te obudziły dawną tęsknotę poety.

— Ach! — powiedział. — Czemuż to jeno słowa, a nie strzały padające z ciemnych zarośli, czemuż nie sztylety czy trucizna? Szkoda, że nie mogę zniweczyć nikczemnego ciała i uwolnić duszy!

Odzyskawszy równowagę Marianna uśmiechnęła się i powiedziała:

— Frazesy! — Potem zaś przyjęła podane ramię i poszli do gości.

Pozostali w kostiumach, a gdy ich dostrzeżono na sali, znowu święcili triumfy. Zaspiewano ich pochwałami, nikt nie powziął najlżejszego podejrzenia.

Bał potoczył się dalej swym torem, ale Gösta uciekł z sali tanecznej. Spojrzenie Marianny zraniło jak stal jego serce. Zrozumiał, co miała na myśli. Kochać go było wstydem, rzeczą gorszą niż śmierć. Postanowił zaprzestać tańca i nie patrzeć na piękne kobiety. Wiedział dobrze, że nie dla niego lśniły te oczy i krasniały twarzyczki, nie dla niego płynęły w rytmicznym tanie lekkie nóżki i nie dla niego brzmiał tłumiony śmiech. Można było z nim tańczyć i bawić się, ale żadna nie chciałaby pójść z nim razem przez życie.

Poeta przeszedł do starszych panów, do palarni i siadł przy stole gry. Natrafił przypadkowo na stół, przy którym siedział potężny władca Björne. Grał, to znów trzymał na przemian bank i zgromadził przed sobą wielką górę monet sześć- i dwunastozylingowych.

Grano wysoko, ale Gösta podniósł jeszcze bardziej stawki: zielone papierki migotały, a góra pieniędzy przed potężnym Melchiorem Sinclair'em rosła z każdą minutą.

Przed Göstą wyrosła jednak także kupka monet i banknotów i niedługo on sam jeden tylko podtrzymywał walkę z właścicielem Björne. Po pewnym czasie stało się nawet tak, że wielka góra pieniędzy przeszła od Sinclair'a do Gösty.

— Ano, Gösto! — zawołał bogacz ze śmiechem, przegrawszy wszystko, co miał w sakiewce i portfelu. — Cóż teraz pocniemy? Wypróżniłeś mi kieszenie, a nie grywam nigdy pożyczonymi pieniędzmi, bo przyrzekłem tak matce mojej.

Znalazł jednak po chwili wyjście. Przegrał zegarek, bobrowe futro i zamierzał postawić na kartę konia i sanki, gdy go powstrzymał Sintram.

— Postaw lepiej od razu coś większego! — zawołał złośliwy właściciel Forsu. — Coś, co przelamie fatalny los!

— Cóż, mam, do diabła, postawić?

— Zagraj o serdeczną krew serca swego, Melchiorze, postaw na kartę córkę swoją!

— Może sobie pan Sinclair śmiało na to pozwolić! — zaśmiał się Gösta. — Tej stawki nie wygram!

Potężny Melchior nie mógł się również oprzeć wesołości. Niemilo mu było słyszeć tu, przy stole gry, imię Marianny, ale pomysł był tak szalony, że rozbroił wszelki gniew. Hm... oczywiście, mógł sobie na to pozwolić, by przegrać Mariannę do Gösty.

— Pamiętajże, Gösto — objaśnił — stawiam na kartę swe błogosławieństwo ojcowskie pod warunkiem, iż uzyskasz jej przyzwolenie!

Gösta postawił ze swej strony całą wygraną, gra się zaczęła i wypadła na korzyść Gösty. Melchior Sinclair wstał. Miał pecha. Nie sposób dalej walczyć.

Jakżeż to, Gösto, czy nie zabiło ci serce? Czyż nie rozumiesz woli losu? Cóż znaczyły pocałunki Marianny? Cóż oznaczał jej gniew? Czyżeś już przestał być znawcą serc kobiecych? A w dodatku ta wygrana! Zrozumże, czego chce los, czego się domaga miłość! Dalejże do dzieła, Gösto!

Ale Gösta nie był dnia tego w zdobywczym nastroju. Szemrał przeciw niezłomności losu. „Czemuż — myślał — miłość syci się jeno miłością?” Wiedział zresztą jak się kończą te wszystkie słodkie piosenki. Miłość mógł uzyskać, ale nie żonę. Daremnie próbować.

Tymczasem minęła północ, policzki pięknych dam zaczęły blednąć, loki się rozkręciły, koronki wymięły. Starsze niewiasty wstały z kanap i oświadczyły, że bal trwał już dwanaście godzin, więc czas do domu.

Skończyłaby się też zaraz wesoła zabawa, gdyby nie to, że sam Liljecrona ujął skrzypce i zagrał ostatnią polkę. Sanki podjeżdżały, stare damy przywdziewały futra i kapuzy, panowie wiązali na szyjach szale i zapinali futrzane papucie.

Ale młodzież nie mogła się oderwać od tańca. Tańczono w ciepłych okryciach i kapeluszach, szaleńczo, dziko, bez zastanowienia. Ile razy któryś z kawalerów sadzał damę, porywał ją natychmiast drugi.

Nawet osowiały Gösta został wciągnięty w ten wir. Chciał zapomnieć w tańcu o trosce i upokorzeniu, chciał się upoić życiem i rozweselić jak inni. Tańczył też tak, że wirowały mu w oczach ściany sali i myśli w głowie.

Jakąż to damę porwał z sobą? Lekka była, gibka i zdawało się, że płyną między nimi prądy ogniste. Tańczył z Marianną.

Tymczasem w podwórzku siedział już w saniach Sintram z Forsu, zaś obok niego stał Melchior Sinclaire. Moźnowładcę niecierpliwiło, że musi czekać na Mariannę. Tupął na śniegu futrzanymi butami i zabijał ramiona, gdyż mróz nastał tęgi.

— Niedobrze się stało, Melchiorze, żeś przegrał Mariannę do Gösty! — powiedział Sintram. — On ci ją zabierze naprawdę!

— Co takiego?

Sintram ujął cugle, podniósł bicz, potem zaś rzekł:

— To całowanie w żywym obrazie wcale nie było w programie przedstawienia!

Potężny obszarnek wznosił pięść do druzgocącego ciosu, ale Sintrama już nie było. Ruszył pędem, smagając konia, i nie śmiał spojrzeć poza siebie. Gnał jak szalony, wiedział bowiem, że Melchior Sinclaire ma krzepką dłoń, a cierpliwość niewielką.

Właściciel Björne wrócił do sali balowej i zobaczył córkę tańczącą z Göstą.

Ostatnia polka dzika była i namiętna. Kilka par pobladło, inne oblały się ciemnym rumieńcem. Kurz płynął niby dym po sali, dopalające się świece migotały w świecznikach, a pośród całego tego niesamowitego otoczenia sunęli Gösta i Marianna, niezmordowani, silni, królewscy, bez skazy w piękności swej, szczęśliwi, że mogą całą duszą i ciałem oddać się zawrotnym tanom.

Melchior Sinclaire przyglądał im się chwilę, potem wyszedł zostawiając tańczącą Mariannę. Trzasnął drzwiami, ciężkim krokiem zeszedł ze schodów, w milczeniu wszedł do sań, gdzie czekała już na niego żona, i odjechał.

Gdy Marianna skończyła tańczyć i zapytała o rodziców, powiedziano jej, że odjechali do domu. Nie dała poznać po sobie zdziwienia, ubrała się spokojnie i wyszła. Damy w garderobie pewne były, że pojedzie własnymi sankami.

Ona zaś ruszyła gościńcem w cienkich, jedwabnych pantofelkach, nie żaląc się przed nikim. Nikt z gości nie poznał jej w ciemności. Nikt by też nie przypuścił, że ta samotna wędrowniczka, którą sanki raz po raz spychały w głębokie zasy śnieżne nad rowem, jest Marianną Sinclaire. Gdy tylko mogła bez przeszkody iść środkiem gościńca, zaczęła biec. Biegła, póki jej starczyło tchu, potem zwolniła i biegła znowu. Pędził ją niesamowity, dręczący strach.

Odległość z Ekeby do Björne wynosiła zaledwo ćwierć mili. Marianna dotarła też niedługo do domu, ale przybywszy doznała wrażenia, że zabłądziła. Wszystkie drzwi od podwórza były zamknięte i światła pogaszone, tak że przypuszczała zrazu, iż rodzice jeszcze nie wrócili.

Podeszła do drzwi wejściowych i zastukała kilka razy mocno. Chwyciła klamkę i zaczęła szarpać, aż echo rozbrzmiało po całym domu. Nikt nie nadszedł, kiedy jednak puściła żelazną klamkę, zerwała sobie z ręki skórę przymarzłą do metalu.

Potężny pan Melchior Sinclaire podążył do domu, by zamknąć przed swą jedyną córką drzwi. Oszołomiły go trunki, a gniew uczynił srogim. Nienawidził córki za to, że podobał się jej Gösta. Zamknął służbę w kuchni, a żonę w sypialni. Przysiągł uroczyście, że zabije tego, kto by się poważył wpuścić Mariannę. A wiedzieli wszyscy, że słowa dotrzyma.

Nie widziano go jeszcze w takim gniewie. Nie zaznał też większego bólu w życiu. Gdyby Marianna stanęła przed nim, zabiłby ją może.

Dawał jej złote ozdoby, jedwabne suknie, wykształcił ją i wychodował jak najstaranniej. Była jego dumą i sławą. Podnosił na nią oczy z czcią, jakby miała koronę na głowie. Ach, ta królowa, ach, ta bogini, ta ubóstwiana, piękna, dumna Marianna! Czy poskąpił jej czegoś kiedykolwiek? Czyż nie czuł się niegodnym być jej ojcem? Ach, Marianno, Marianno!

Musiał ją znieawidzić, gdyż zakochała się w Göście i całowała go! Musiał ją odepchnąć, gdyż kochając takiego człowieka ubliżyła jego, Melchiora, dumie! Niechże sobie wraca do Ekeby, niech błaga sąsiadów o nocleg, niechaj śpi w śniegu... wszystko jedno... i tak została już splugawiona piękna Marianna. Przepadła jej świetność! Przepadło też dostojeństwo jego własnego życia!

Leży w łóżku i słyszy pukanie do bramy. Cóż go to obchodzi? On śpi! Tam, na dworze, stoi ulicznica, która chce wyjść za mąż za wypędzonego proboszcza. Nie ma tu dla niej przytułku. Mógłby ją wpuścić, gdyby ją mniej kochał i mniej był z niej dumny.

Tak, tak, nie może jej odmówić ojcowskiego błogosławieństwa. Przegrał ją. Ale za nic nie otworzy jej drzwi do domu. Ach, Marianno!

Dziewczyna stała dalej u drzwi. Wstrząsała w bezsilnym gniewie klamką, to znów padała na kolana składając poranione dłonie i błagając przebaczenia.

Nikt jej nie słyszał, nie odpowiadał, nie otwierał.

Straszna chwila. Dreszcz mnie przejmuję, gdy to opowiadam. Wróciła z balu, którego była królową. Dumna, bogata, szczęśliwa, w chwilę później popadła w bezgraniczną niedolę. Wyrzucana została z domu na straszny mróz. Nie bito jej, nie szydzono z niej, nie przeklinano, jeno wyrzucano z lodowatym, bezlitosnym okrucieństwem.

Przywodzę sobie na myśl tę mroźną, wygwieżdżoną noc, która ją otaczała, tę niezmierną, białą noc wśród pustych rozłogów śniegu i cichych lasów. Wszystko spało, ona jeno stanowiła punkt żywy wśród tej śnieżnej bieli, a cały ból świata skupił się w tym punkcie właśnie. Ach, Boże... to straszne tak cierpieć samotnie pośród uspiętego, stężałego w zamrozie świata!

Po raz pierwszy poznała okrucieństwo. Matce nie chciało się wyjść z łóżka, by ją ocalić; starzy, wierni służący, którzy kierowali pierwszymi jej krokami, słyszeli dobrze, a żaden nie ruszył palcem.

Jakieżże dopuściła się zbrodni i gdzie miała szukać miłosierdzia, jeśli nie tu? Gdyby popełniła morderstwo, zapukałaby tu, wierząc w przebaczenie, nawet jako ulicznica okryta łachmanem mogła przecież liczyć na serdeczne przyjęcie. Wszakże za tymi drzwiami był jej dom i miłość ją czekać musiała.

A może ojciec uzna, że dość kary, i otworzy?

— Ojczcie! — wołała. — Wpuść mnie, drzę z zimna. Tutaj tak strasznie!

— Matko! Matko, któraś się tyle nachodziła koło mnie, uczyni kilka kroków dziś! Ty, któraś tyle nocy nade mną czuwała, zbudź się, zbudź, dziś tylko, już ci nie sprawię przykrości nigdy!

Tak woła i nasłuchuje bez tchu, ale nikt nie nadchodzi, nie odpowiada. Załamuje rozpacznie ręce, ale w oczach jej nie ma łez.

Niesamowicie cichy jest ten długi dom o zamkniętych drzwiach i czarnych oknach. W cóż się teraz obróci opuszczona, napiętnowana na całe, całe życie? I to własny ojciec wypalił jej znak hańby na ramieniu!

— Ojczcie! — zawołała ponownie. — Cóż się ze mną stanie? Ludzie mnie posądzą o najgorsze rzeczy.

Plakała teraz i lamentowała, a ciało jej sztywniało od mrozu.

Dziwne, że tak wielkie nieszczęście spaść może na człowieka, który stał przed chwilą tak wysoko! Że tak łatwo runąć w otchłań niedoli. Straszne jest życie! Któż bezpieczny w tej łodzi? Wokoło nas szaleją troski jak fale wśród burzy, wspinają się łakomie po ścianach wątego stateczku, napierają nań, chcą go przewrócić. Nigdzie oparcia, nigdzie ładu, nigdzie pewnego okrętu, jak okiem sięgnąć, niezbadany przestwór nieba ponad oceanem zła.

Cicho! Cicho! Nareszcie. W sieni szeleszczą lekkie kroki.

— Czy to ty, mamó? — pyta.

— Ja, dziecko drogie!

— Czy mogę wejść?

— Ojciec nie chce cię wpuścić.

— Przybiegłam z Ekeby w cienkich trzewikach po śniegu, stoję tu już od godziny, zmarzną na śmierć! Czemuście odjechali?

— Dziecko moje, dziecko, czemuś całowałaś Göstę?

— Powiedzże mamó, ojcu, że go mimo to nie Kocham. To był żart. Nie myślę wychodzić za Berlinga!

— Idź, dziecko, na folwark i proś, by cię przenocowano. Ojciec pijany i nie można z nim dojść do ładu. Zamknął mnie na gorze. Teraz zasnął, więc się wymknęłam, ale ty uchodź, bo zabije cię, jeśli wejdiesz do domu.

— Matko, czyż mam iść do obcych? Jesteś więc równie okrutna jak ojciec? Jakże mogłaś pozwolić, by mnie wygnał? Jeśli nie otworzysz, położę się w śniegu!

Matka kładła już dłoń na kluczu, by otworzyć. W tej samej jednak chwili zatętniły schody pod ciężkimi krokami i zabrzmiał ostry głos.

Marianna usłyszała, że matka odchodzi, a ojciec ją klnie, potem zaś...

Usłyszała coś strasznego... w cichym domu wszystko słychać było wyraźnie.

Pochwyciła słuchem odgłos ciosu kijem czy policzka, potem słaby szelest i znowu cios.

Bił matkę, straszliwy, mocarny Melchior Sinclaire bił swoją żonę.

Pobladała z przerażenia, rzuciła się na ziemię i płakała, a lzy marznące w lód padały na próg rodzinnego domu.

„Łaski! — błagała w duchu. — Miłosierdzia! Wpuścież mnie, bym mogła podać grzbiet na ciosy! Ach, jakże on mógł bić matkę, za to, że nie chce dopuścić, by jej dziecko zamarzło w śniegu?”

Strasne było tej nocy upokorzenie Marianny. Niedawno uważała się za królowę, teraz zaś leżała tu jak smagana niewolnica.

Nagle ogarnął ją chłodny gniew. Raz jeszcze uderzyła ręką w drzwi i krzyknęła:

— Posłuchaj, ty, który bijesz matkę moją! Posłuchaj, Melchiorze Sinclaire! Będziesz niedługo płakał, tak, będziesz płakał gorzko!

Piękna Marianna wyszła na gościniec, zdjęła futro i legła na śniegu w czarnej akksamitnej sukni, tworząc ciemną plamę na bieli. Leżąc wyobrażała sobie, jak ojciec wyjdzie rano z domu i znajdzie ją tu. Pragnęła już tego tylko, by ją sam znalazł.

O, śmierci, błada przyjaciółko, więc prawdą jest, że przyjdiesz do mnie. O jakże to dobrze! Przyjdiesz i do mnie, która tak długo dźwigam brzemię ziemskiej pracy, ściągniesz mi z nóg trzewiki, wyjmiesz łyżkę z ręki, odbierzesz miotłę i donicę z mąką i zedrzesz z mego ciała roboczą odzież. Rozciągniesz mnie łagodnie na łóżku zdobnym w koronki i przystroisz w długie, haftowane, białe szaty.

Nogi moje nie potrzebują już trzewików, ale na ręce włożą mi śnieżnobiałe rękawiczki, których żadna praca nie powala. W ukojeniu cudownym prześnięć tysięcy lat.

O, wybawicielko, jam to najodporniejszy pracownik tej ziemi, a jednak z drżeniem i rozkoszą marzę o chwili, która mnie wprowadzi w królestwo twoje.

Błada przyjaciółko! Na mnie możesz śmiało siły swej spróbować, lecz zaprawdę, z kobietami minionych czasów sprawa była trudniejsza. Silne były ich smukłe ciała, srogi mróz chłodził tylko upał krwi.

Położyłaś piękną Mariannę na swym łożu i usiadłaś obok niej jak piastunka usypiająca dziecko. Wie ta starowina wierna, co dobre dla ludzkich dzieci, bardzo musiało ją rozgniewać, że towarzysze zabaw wpadli z krzykiem i zbudzili na poły zaśnioną dziecinę. Ogarnął ją też gniew wielki, gdy kawalerowie podnieśli Mariannę, a jeden z nich przycisnąwszy ją do piersi zrosił łzami lodowatą twarz dziewczyny.

Pogasły światła w Ekaby, goście wyjechali, a rezydenci obsiadli ostatnią, do połowy wypitą wazę ponczu.

Powstał Gösta, zadzwonił o wazę i wygłosił mowę ku waszej czci, damy przemienionych czasów.

— O was mówić należy jak o niebiańskiej szczęśliwości, jesteście bowiem samym jeno pięknem i światłem. Wieczyście młode, urocze i słodkie jak oczy matki patrzącej na dziecię swoje. Międko niby wiewióreczki zwisacie u szyi męża. Nigdy gniewem nie drga wam głos, nigdy czoła nie kryją zmarszczki troski, a ręka wasza zawsze miękka i delikatna. Dobre, święte jesteście, strojne posągi w domowej kaplicy. Mężczyźni leżą u nóg waszych składając ofiary kadzidlane i modły zanosząc. Przez was to miłość cuda spełnia, a promienisty nimb poezji głowę waszą oplata.

Zerwali się kawalerowie podnieceni winem i tymi słowami, a krew zawrzała im na nowo uciechą. Nawet stary wuj Eberhard i leniwy kum Kristofer jęli żartować. Zaprzężono co prędzej konie do sanek i wszyscy ruszyli w ciemną noc, by złożyć hołd tym, którym

nigdy dosyć hołdować nie można, by odegrać serenadę wszystkim damom, których jasne oczy i rumiane policzki lśniły przed kilku jeszcze godzinami w wielkiej sali Ekeby.

O, kobiety minionych czasów, jakże was to radować musiało, gdy was — szybujące po niebie błogich snów — budziła serenada najwierniejszych rycerzy. Jakże was to musiało radować, jak duszę uśpioną raduje muzyka niebiańska.

Ale niedaleko zajechali kawalerowie w swej zbożnej wyprawie, gdyż zaraz pod Björne znaleźli piękną Mariannę leżącą na śniegu pod bramą wjazdową rodzinnego dworu.

Zadrżeli z gniewu, jakby znaleźli święty obraz zbezczeszczonego i wyrzuconego za drzwi kościoła; wydało im się, że jakiś łotr poszarpał struny skrzypiec Stradivariusza i połamał smyczek.

Gösta pogroził pięścią ciemnemu domowi i krzyknął:

— O, wy dzieci pomsty i gradu, wichry północne i niszczyciele rajów boskiego!

Beerencreutz zapalił rogową latarkę, a kawalerowie ujrzeli śmiertelnie bladą Mariannę, poranione ręce i lzy zamrznęłe na jej twarzy i rękach. Zaczęli lamentować jak dzieci, gdyż była nie tylko świętością, ale piękną kobietą, która radowała ich stare serca.

Gösta padł obok niej w śnieg.

— Patrzcie! — zawołał. — Tu leży oblubienica moja! Przed paru godzinami dała mi pocałunek miłosny, a ojciec przyrzekł błogosławieństwo swoje. Leży i czeka na mnie w białym łożu.

Podniósł bezwładną.

— Zawieziemy ją do Ekeby! — powiedział. — Jest teraz moja. W śniegu ją znalazłem i nie oddam już nikomu. Nie budźmy tych śpiących ludzi, nie jej bowiem miejsce za drzwiami, o które poraniła sobie ręce!

Przystali ochotnie. Gösta złożył Mariannę w pierwszych saniach i usiadł obok niej, a Beerencreutz stanął z tyłu i ujął lejce.

— Natrzyj ją śniegiem, Gösto! — rozkazał.

Zimno poraziło tylko jej członki, ale dzikie, nieposkromione serce biło mocno. Nie utraciła nawet przytomności i wiedziała całkiem dobrze, że ją kawalerowie znaleźli, nie mogła się tylko ruszyć. Sztywna i nieruchoma leżała na sankach, podczas gdy Gösta nacierał ją śniegiem, to całując, to oblewając łzami. Pragnęła jeno bodaj podnieść rękę, by odwzajemnić jego pieszczoty.

Pamiętając wszystko, co zaszło, i myśląc tak jasno jak nigdy przedtem, leżała jak marta. Czowała teraz, że kocha Göstę. Czy to może kaprys tej jeno nocy, który rychło minie? Nie, kochała go już chyba od długich lat... tak, kochała go!

Porównała siebie samą z nim i innymi ludźmi Värmlandii. Wszyscy ci ludzie byli jak dzieci poddające się każdej chwilowej zachciance. Żyli powierzchownym życiem, nic nie sięgało w głąb ich dusz. Ona zaś, bywając w świecie, pośród obcych, stała się inną, niezdołną zatonać w niczym całkowicie. Kiedy kochała, to mimo największego wysiłku czuła, że połowa jej jaźni stoi niejako z boku i przygląda się jej z chłodnym, szydlerczym uśmiechem. Tęskniła za namiętnością, która by jej odebrała zmysły i porwała jak huragan. I tak się stało. Całując Göstę, po raz pierwszy utraciła panowanie nad sobą.

Ogarnęła ją teraz na nowo namiętność, a serce biło tak, że słyszała jego uderzenia. Czyż nie odzyska władzy w członkach? Doznała dzikiej radości na myśl, że ją wygnano z domu, i bez namysłu postanowiła poślubić Göstę. Czemuż była tak głupia i przez lata całe zwalczała miłość swoją? Cóż to za rozkosz poddać się miłości i czuć szum krwi? Ach, czyż nigdy nie opadnie z niej ta marta? Przedtem była lodem w sercu, a płomieniem z wierzchu, teraz, przeciwnie, ognista dusza tliła w ciele objętym zamrozem.

Nagle uczył Gösta na szyi jej ramiona i słabiutki uścisk.

Ledwo to odczuł, lecz Mariannie wydało się, że w dzikim objęciu wyzwoliła tłumioną z dawna namiętność.

Gdy to ujrzął Beerencreutz, podniósł oczy ku Niedźwiedzicy błyszczącej na niebie i patrzył na nią uparcie, pozwalając koniowi biec, jak chciał, po znanej drodze.

7. STARE POJAZDY

Przyjaciele moi! Jeślibyście te słowa czytali przypadkowo nocą, podobnie jak ja je piszę w nocnej ciszy, nie odetchnijcież, proszę, w tym miejscu z ulgą, sądząc, że zacni kawa-

lerowie legli spokojnie spać umieściwszy znalezionej Mariannę w łóżku, w najlepszym gościnnym pokoju, obok wielkiej sali.

Poszli istotnie spać i zasnęli nawet, ale nie było im dane spoczywać spokojnie do południa, choć zmęczeni byli okrutnie czuwaniem do czwartej nad ranem i wszystkie członki bolały ich z utrudzenia.

Nie zapominajmyż, że stara majorowa wędrowała tymczasem o kiju żebraczym po całej okolicy, a nie miała zwyczaju troszczyć się o spoczynek znużonych grzeszników. Dziś zaś zgoła się z tym nie liczyła, albowiem postanowiła wygnąć tej nocy kawalerów z Ekeby.

Minęły czasy, gdy królowała w blaskach szczęścia i rozsiewała radość na ziemi, jak Bóg rozsiewa gwiazdy na niebie. Włóczyła się po gościńcach, a posiadłości strzegli rezydenci, tak jak wiatr strzeże popiołu lub promień słońca śniegu. Czasem spotykali ją pędząc saniami, przy brzęku janczarów, i nawet nie spuszczała przed nią oczu. Hałaśliwi zawadiacy grozili jej pięściami, nagłym zwrotem konia zmuszali uciekać w głębokie przydrożne zasy, zaś major Fuchs, niedźwiedziobójca, spluwał zawsze trzykrotnie, by to spotkanie nie miało złych skutków.

Uważając ją za złośliwą czarownicę, nie mieli litości. Gdyby ją spotkało nieszczęście, nie trafiliby się tym, podobnie jak ktoś strzelający na Wielkanoc ze strzelby nabitej siekańcami nie zważa, czy trafi przypadkiem w przelatującą właśnie wiedźmę. Sądziło, że przesładując ją ratują własne dusze. Ludzie często bywali okrutni i katowali się wzajem straszliwie dla dobra dusz swoich.

Nieraz wyglądając oknem po pijatyce dla zbadania, czy noc spokojna i gwiazdzista, widywali w podwórzu cień i wiedzieli, że to majorowa przysłała się rozejrzeć po ukochanym osiedlu swoim. Wybuchalo w takich chwilach całe skrzydło rezydenckie urągłym śmiechem, a drwinki dolatywały aż do nieszczęśliwej kobiety.

Biedni awanturnicy zostali ludźmi pysznymi i bez serca, albowiem Sintram zasiał nienawiść w ich duszach. Zaprawdę, gdyby majorowa została spokojnie w Ekeby, zbawieniu ich nie mogłoby grozić większe niebezpieczeństwo. W ucieczce ginie zawsze więcej wojowników niżli w bitwie.

Majorowa nie gniewała się znów tak bardzo na szaleńców. Wróciwszy do władzy wychłostałaby ich jak niegrzeczne dzieci, a potem na nowo przypuściła do łask. Teraz atoli rządziła się w jej drogiej posiadłości jak wilki w owczarni, jak żurawie we wschodzącym zbożu.

Niejeden przeżył podobne zmartwienie. Nie sama jeno majorowa patrzyła na upadek swego domostwa. Wiemy, co to znaczy ujrzeć ruinę domu rodzinnego, strzeżonego ongiś z pieczołowitością. Wydaje się wówczas, że patrzy on na nas oczyma śmiertelnie ranionej sarny. Czujemy się zbrodniarzami na widok mchu i pleśni, obrastających drzewa, chwastów na ścieżkach i radzi byśmy klęknąć na polach ongiś pięknych, urodzajnych i prosić, by przebaczyły krzywdę. Odwracamy oczy od koni nie śmiąc im spojrzeć w oczy, nie mamy odwagi stanąć w bramie, gdy trzoda z pastwisk wraca. Żaden zakątek świata nie budzi tyle goryczy, co chylący się do upadku dom rodzinny.

Ach, proszę was wszystkich, którzy posiadacie pola, łąki, sady i rozkoszne ogrody kwietne, pielęgnujcież je starannie, wkładając miłość w tę pracę. Smutne to zaprawdę, gdy przyroda oskarża człowieka!

Myśląc o tym, jak cierpiało dumne Ekeby czasu gospodarki rezydentów, pragnę, by majorowa osiągnęła swój cel i wydarła im posiadłość swoją.

Nie zamierzała sama wrócić do władzy, chciała tylko oczyścić Ekeby, z tych szaleńców jak pole z szarańczy, po której najściu trawa rosnąć przestaje.

Wędrując i żebrząc myślała ciągle o matce i nabrała pewności, że nie wrócą dla niej lepsze czasy, dopóki kłątwa nie zostanie zdjęta. Nie miała dotąd wieści o śmierci matki, więc staruszka chyba żyła jeszcze w odległych lasach swoich, zabiegając, mimo dziewięćdziesiątki i wyczerpania, latem koło mleka, zimą koło mielerzy i wyczekując z utęsknieniem dnia dokonania żywota.

Majorowa utwierdziła się też w przekonaniu, że stara żyje po to jeno, by zdjąć kłatwę z córki, bowiem umrzeć nie może matka, która wpędziła dziecko własne w taką niedolę.

Postanowiła tedy iść tam, by obie odzyskały spokój, wędrować długo przez ciemne bory i wzdłuż rzeki aż do rodzinnego domu. Inaczej nie zazna spokoju. W tych ciężkich czasach niejeden ofiarował jej schron u siebie i wierną przyjaźń, ale nie dała się nigdzie

zatrzymać. Szorstka i gniewna chodziła od osiedla do osiedla, z ciężarem klątwy matczynej.

Przed udaniem się do matki chciała jednak załatwić sprawę umiłowanego Ekeby. Za nic nie mogło ono dłużej zostawać w rękach lekkomyślnych nicponiów, niedołączonych pijaków i obojętnych marnotrawców daru bożego. Czyż miała iść, a za powrotem zastać zniszczenie, puste kuźnie, zagłodzone konie, rozbiegłą służbę? Nie, raz jeszcze chciała spróbować swej siły i wypędzić kawalerów!

Wiedziała dobrze, że męża raduje to marnowanie jej dziedzictwa, ale znając go pewna była, że po wypędzeniu szarańczy nie zdobędzie się na to, by sprowadzić inną plagę. Gdy kawalerowie raz znikną, wiedziała to dobrze, obejmie wszystko były jej oficjalista, stary rządcą, i z pomocą parobków niebawem zaprowadzi dawny ład.

Dlatego też w ciągu długich nocy czarny cień majorowej włóczył się po wszystkich drogach otaczających huty i przecinających pola. Odwiedzała komorników, rozmawiała szeptem w wielkim młynie z młynarzem i jego czeladzią, obradowała w ciemnej węglarni z kowalami. Wszyscy przysięgli, że jej dopomogą. Zbyt wielki był splendor i znaczenie rozległych dóbr, by je zostawiać w ręku niedbałych kawalerów, którzy ich strzegli jak wiatr strzeże popiołu lub wilk stada owiec.

I tej to właśnie nocy, kiedy weseli rezydenci spali, wyczerpani tańcem i pijatyką, tejże właśnie nocy postanowiła przegnać ich precz. Pozwoliła wyszumieć się tym lekkoduchom. Spoglądając ponuro, siedziała w kuźni, aż bal się skończy; czekała dłużej jeszcze, aż kawalerowie wrócą z nocnej wycieczki, czekała w milczeniu do chwili, gdy zagasło ostatnie światło w rezydenckim skrzydle, zwiastując, że wszystko w wielkim dworzysku usnęło. Wówczas wstała i wyszła.

Majorowa kazała ludziom zebrać się pod rezydenckim skrzydłem, sama zaś weszła w podwórze, zbliżyła się do budynku głównego, zapukała i została wpuszczona przez córkę proboszcza z Brody, z której zrobiła dzielną służącą.

— Witam jaśnie panią! — powiedziała dziewczyna całując ją w rękę.

— Zgasł światło! — rozkazała. — Wszakże i po ciemku wszędzie trafię!

Zaczęła chodzić po cichym domu, od piwnicy do strychu jakby żegnając się z nim. Bezszelestnym krokiem szła z pokoju do pokoju.

Rozmawiała ze wspomnieniami, a służąca idąc za swą panią nie łkała, nie wdychała, ale ła po łaie toczyła się z jej oczu. Majorowa kazała otworzyć szafę z płótnem i srebrem; wodziła dłonią po przepysznych, adamszkowych obrusach i srebrnych dzbanach. W komorze z pościelą dotykała stosów pierzyn i poduszek puchowych, wszystkich sprzętów, warsztatów tkackich, kołowrotków i motków nici. Włożyła rękę w skrzynię z korzeniami, a potem przesunęła palcami po rzędach świec łożowych, zwisających ze stropu.

— Już suche! — powiedziała. — Można je zdjąć i schować.

W piwnicy opukiwała beczki z winem i wodziła dłonią po szeregach flaszek, weszła do spiżarni i kuchni badając wszystko i dotykając przedmiotów. Wyciągnęła ręce i żegnała się z domem swoim. W końcu poszła do jadalni i pogładziła płytę dużego stołu.

— Niejeden najadł się tu do syta! — powiedziała.

Chodziła po wszystkich pokojach. Odnajdywała na dawnym miejscu długie i szerokie kanapy, gładziła zimny marmur konsol o złożonych podstawach w kształcie gryfów, które dźwigały kosztowne zwierciadła, zwieńczone fryzem z tańczącymi boginkami.

— Bogaty dom! — mówiła. — Wspaniały to był człowiek, który mnie tu uczynił panią i władczynią.

W wielkiej sali, gdzie niedawno wirowały pary, stały już w zupełnym porządku pod ścianami fotele o wysokich oparciach.

Przystąpiła do fortepianu, uderzyła z lekka w klawisze.

— Za moich czasów nie brakło tu też wesela i zabawy! — powiedziała.

Weszła również do pokoju gościnnego. Było całkiem ciemno. Szła omackiem i nagle dotknęła palcami twarzy służącej.

— Płaczesz — spytała poczuwszy lzy na dłoni.

Dziewczyna zalkała w głos.

— O pani! — zawołała. — Droga pani moja! Oni zniszczą wszystko! Czemuż odeszłaś i zostawiłaś, o pani, cały dom w ich rękach?

Majorowa odsunęła kotarę okienną i wskazała podwórze.

— Czyż cię uczyłam płakać i lamentować? — spytała. — Patrz, podwórze roi się od ludzi. Jutro nie będzie w Ekeby ani jednego rezydenta.

— A pani wróci? — spytała dziewczynka.

— Czas mój nie nadszedł jeszcze! — powiedziała majorowa. — Gościniec jest moim domem, rów przydrożny łóżem. Ty jednak winnaś za mnie czuwać nad Ekeby, dziewczyno, dopóki nie powrócę.

Poszła dalej. Żadna nie wiedziała i nie pomyślała, że Marianna śpi w tym właśnie pokoju. Nie spała też. Była całkiem przytomna, słyszała i rozumiała wszystko. Leżąc w łóżku śpiewała hymny ku czci miłości.

„O, ty cudowna — myślała — o, ty wspaniała, która raczyłaś podnieść mnie ku sobie. Niedolę straszną przemieniłaś mi w raj. Na żelaznej klamce rodzinnego domu poraniłam sobie ręce, na progu jego leżą lzy moje, ścięte w perły lodowe. Gniew wstrząsa mną chłodny, gdy wspomnę ciosy spadające na matkę moją. Chciałam przespać ten gniew w śnieżnej zaspie, ale ty przyszedłś ku mnie! O miłości, dziecię ognia, przyszedłś do mnie, przemarzniętej. Niczym zda się ta niedola, gdy ją porównam ze szczęściem, jakie z niej wykwitło. Opadły ze mnie wszystkie więzy, nie mam ojca, matki ni domu. Ludzie mnie posadzą o najgorsze i odwrócą się ode mnie. Niechże się spełni wola twoja, o miłości, czyż bowiem przystoi mi wywyższać się nad kochanka?”

Pójdziemy w świat ręką w rękę. Biedna jest oblubienica Gösty Berlinga, znalazł ją w zaspie śnieżnej. Założymy sobie dom nie w pięknych salach, ale w chłopskiej chacie, na skraju lasu. Będę mu pomagała w leśnych węglarniach, wraz z nim zastawiała sieci na zające i cietrzewie, będę mu gotowała strawę i latała odzież jego. O ukochany mój, będę się smuciła i tęskniła czekając na ciebie u skraju lasu. Wierzysz w to? Tak się stanie, tak się stanie! Ale nie będę się smuciła utratą bogactw ni tęskniła do nich, jeno ciebie będę wyglądała, będę wyczekiwała twoich kroków odgłosu po leśnej ścieżynie, twego śpiewu nasłuchiwała będę i czekała, rychło wrócisz z siekierą na ramieniu, o ukochany, o jedyny mój. Mogłabym tak czekać i tęsknić przez całe życie...”

Leżała nie śpiąc i nucąc hymny ku czci miłości, toteż nie zmrużyła jeszcze oczu, gdy weszła majorowa.

Po jej odejściu Marianna wstała i ubrała się. Raz jeszcze musiała włożyć czarną aksamitną suknię i cienkie balowe trzewiczki. Okryta kołdrą, jak szalem, wybiegła ponownie w czarną, straszną noc.

Cicho było, gwiazdy lśniły, zdawało się, że ta noc lutowa nigdy nie będzie miała końca, a mrok i mróz, jakie ta noc roztoczyła, długo trwały na ziemi, trwały, choć słońce wzeszło, trwały, choć zasy, przez które brnęła Marianna, stopniały już, zmieniły się w wodę.

Wybiegła z Ekeby szukać pomocy. Nie mogła dopuścić, by wypędzono ludzi, którzy ją podnieśli ze śniegu i otwarli jej dom oraz serce swoje. Postanowiła iść do Sjö, do majora, a musiała się śpieszyć. Najprędzej za godzinę mogła być tu z powrotem.

Pożegnawszy się z domem swoim wyszła majorowa na podwórze do czekających na nią ludzi i zaraz zawrzała walka o skrzydło rezydenckie.

Majorowa ustawiła ludzi wokoło wysokiego, wąskiego budynku, gdzie na piętrze mieściła się słynna siedziba kawalerów. Spali w beztrzosce zupełnej w wielkiej izbie o białych ścianach, gdzie stały czerwono malowane skrzynki wokoło wielkiego stołu, na którym pływały karty w kałużach wódki. Spali wszyscy w szerokich łóżkach osłoniętych kracastymi firankami i nie wiedzieli o niczym!

W stajni przy pełnych żłobach spały konie kawalerów, śniąc o jazdach odbywanych za młodu. O, jakże miło marzyć w dniach spokoju o czynach minionych, o wyprawach na jarmarki, kiedy to po całych dniach i nocach musiały stać pod gołym niebem, o wyścigach podczas powrotu z pasterki oraz jazdach próbnych przy sprzedaży koni, gdy szaleni kawalerowie, puściwszy wodze luzem, wychyleni z sanek niemal leżąc zwierzętom na grzbietach, wyrzucali rozgłośnie przekleństwa. Słodko jest marzyć wiedząc, że nigdy już nie porzucą pełnych żłobów Ekeby!

W starej, na poły rozwalonej wozowni, pełnej nieużytecznych już wozów i wysłużonych sań, mieści się śmieszny zbiór starych pojazdów.

Stoją tam zielone malowane sanie koszykowe i czerwone lub żółte wozy o bokach z desek. Jest tam też pierwsza kariolka, jaką widziała Värmlandia, łup wojenny Beerencreutz z roku 1814. Stoją tu najróżnorodniejsze jednokonki, gigi na bujających, giętych

w kształt łabędziej szyi resorach, karetki pocztowe, dziwaczne narzędzia męki. Można tam znaleźć wszystkie rozklekotane biedy, dorożki i pojazdy, które wytrząsały dziadków naszych po gościńcach. Widać tu także długie sanie mogące pomieścić wszystkich dwunastu kawalerów razem, karetowe sanie marznącego wiecznie kuma Kristofera, sanki rodzinne Orneclou z pociętą przez mole niedźwiedzią skórą i wyblakłym herbem rodzonym na oparciu, widać też jednoosobowe sanie zakończone ostrym dziobem. Mnóstwo tu tych sań.

Dużo kawalerów żyło w Ekeby i wielu tu pomarło. Nazwiska ich zapomniał świat, nie mają też miejsca w sercach ludzi, ale majorowa przechowywała pojazdy, którymi przybyli do dworu. Zebrała je wszystkie w tej właśnie starej wozowni.

Stoją tam i śpią, a kurz osiada na nich grubą warstwą. Śruby i gwoździe tracą oparcie w zbutwiałym drzewie, farba łuszczy się i opada, a wyściółka poduszek wylazi dziurami wygryzionymi przez mole. „Dajcież nam spać i rozpaść się — powiadają stare pojazdy. — Dość już długo podskakiwałyśmy po gościńcach nasiąkając deszczem i śniegiem. Dajcież nam spokój! Dawno minął czas, gdyśmy wiozły młodych panów na pierwszy bal, dawno już, jak wyczyszczone i lśniące ruszałyśmy w pierwszą przejażdżkę po śniegu lub niosłyśmy ochoczych bohaterów po rozmiękłych drogach na manewry w Trossnäs. Większość z nich śpi już snem wiecznym, ostatni zaś i najlepsi zamierzają nigdy już, nigdy nie opuścić Ekeby”.

Pęka skóra pokrycia, spadają obręcze z kół, sypią się zbutwiałe szprychy i śruby wylatują. Starym pojazdom już wcale na życiu nie zależy, chcą umrzeć, i koniec. Kurz leży na nich niby całun pogrzebny, a pod jego powłoką starość dojrzewa i zagarnia władzę. W niezmaconym próżniactwie stoją tu i rozpadają się powoli. Nikt ich nie używa, a jednak niszczej. Raz do roku otwierają się drzwi i wchodzi nowy towarzysz, przybywający na stały pobyt w Ekeby, potem drzwi zapadają z powrotem, a nowo przybyłego ogarnia także znużenie, sen i starczy uwiad. Rzucają się na niego szczury, mole, robaki i inne rabusie, on zaś rdzewieje i rozpada się w ciszy bezsennej a niezmaconej.

Tej jednak nocy lutowej kazała majorowa otworzyć na oścież drzwi starej wozowni. Wyciągnięto przy świetle latarń i świec stare pojazdy, będące własnością żyjących dziś w Ekeby rezydentów, starą kariolkę Beerencreutzta, herbowe sanki Orneclou i wąską karetkę kuma Kristofera, w której siadywał skulony. Majorowa nie zważa, czy to pojazdy letnie, czy zimowe, idzie jej o to jeno, by każdy dostał swoją własność z powrotem.

W stajni pobudzono też stare konie rezydentów, śpiące przy pełnych żłobach. Raz jeszcze marzenia wasze się ziszczą o, beztroskie rumaki! Znowu popróbujecie stromych zjazdów. Będziecie jadły stęchłe siano po stajniach karczem, będziecie drżały pod razami nahajek pijanych handlarzy i szalonym pędem biegly po lśniącym lodzie, na który aż strach wstąpić.

Ładnie wyglądają teraz stare pojazdy! Małe, szare koniki góralskie zaprzęgają parobcy do kościstego piętrowego giga, a długonogie wierzchowce do niskich, jednoosobowych sań. Stare zwierzęta parskają i rżą, gdy się im zakłada twarde wędzidla w bezżębne pyski, a stare pojazdy trzeszczą i skrzypią. Należałoby tych starców niedoleźnych zostawić w spokoju, niechby spali do końca świata. Niestety, dobyte zostają na światło dzienne sztywne kolana, porażone przednie nogi, łogawość¹⁷ i nosacizna¹⁸.

Z niemałym wysiłkiem parobcy zaprzęgają konie, potem zaś pytają majorową, jaki pojazd dać Góście Berlingowi, który, jak Bogu i wszystkim wiadomo, przybył do Ekeby na dwukolnej biedce węglowej razem z majorową.

— Zaprzęgać Don Juana do najlepszych sanek, dać mu skórę niedźwiedzią ze srebrnymi zaponami! — rzekła. Gdy zaś parobek stajenny ją szemrać, dodała: — Nie ma konia, którego bym nie dała za to, by się pozbyć tego człowieka! Zapamiętajcież to sobie!

Zbudzono tedy pojazdy i konie, ale kawalerowie śpią dalej. Teraz zostaną wyprowadzeni na dwór, w czarną noc zimową. Ale zaatakować kawalerów w łózkach — większe to, zaprawdę, zuchwalstwo niż sprawa z kulawymi końmi i zmurszałymi pojazdami. To

¹⁷łogawość — schorzenie koni, kulenie wywołane kostną naroślą na stawie skokowym. [przypis edytorski]

¹⁸nosacizna — przewlekła, zaraźliwa choroba bakteryjna koni i in. zwierząt nieparzystokopytnych. [przypis edytorski]

śmiali, mocni, niebezpieczni mężowie, zahartowani w setkach przygód. Gotowi bronić się do ostatka, niełatwo tedy dobyć ich z łóżek wbrew woli i sprowadzić do pojazdów.

Majorowa kazała podpalić stertę słomy stojącą tak blisko dworu, że luna musiałaby obudzić śpiących kawalerów.

— Ta sterta moja, całe Ekeby jest moje! — powiedziała, gdy słoma buchnęła jasnym płomieniem. — Budźcież ich teraz.

Kawalerowie śpią jednak dalej, drzwi zaryglowały, a chociaż czereda ludzi woła gromko: — Gore! Gore! — śpią niefrasobliwie.

Ciężki młot kowala dudni w drzwi, a oni śpią.

Twardo ugnieciona kula śnieżna rozbija szybę, wpada do pokoju i odbija się o firankę łóżka. Oni śpią smacznie.

Śni im się, że piękna dziewczyna rzuciła im chustkę, śnią o okłaskach po zapuszczeniu kurtyny, śnią o hałaśliwej pijatyce po północy, o wesołym śmiechu. Trzeba by armatniego strzału i morza lodowatej wody, by ich zbudzić. Tańczyli, grali, śpiewali, urządzali widowisko. Opici winem, do cna wyczerpani, zapadli w sen głęboki jak śmierć.

Ten sen błogosławiony byłby ich nawet ocalił. Parobkom zaczyna się zdawać, że ta ciza to podstęp. Za każdą ramą okienną stoi może rezydent z bronią w ręku, gotów położyć trupem każdego, kto by się wejść poważył! To chytry i wojowniczy ludzie, tedy milczenie ich musi coś oznaczać. Któż mógłby przypuścić, że dadzą się wziąć jak niedźwiedz w jamie.

Ludzie krzyczą: — Gore! Gore! — krzyczą raz po razie, ale nadaremnie.

Wobec tego, że nikt nie ma odwagi, porywa majorowa siekierę i rozbija drzwi wejściowe, potem biegnie schodami, otwiera drzwi pokoju i woła: — Gore! Gore!

Ten głos znajduje lepszy oddźwięk niż ryki parobków. Nawykli słuchać go, zrywają się wszyscy kawalerowie z łóżek, ubierają śpiesznie i zbiegają na podwórze.

Niestety, u wejścia stoi olbrzymi kowal oraz dwu tęgich w garści młynarczyków i wielka hańba spotyka kawalerów. Jednego po drugim łapią parobcy, obalają, wiążą ręce i nogi i niosą każdego do przeznaczonego dlań pojazdu. Żaden nie uszedł, wszyscy zostali pokonani, zarówno szorstki pułkownik Beerencreutz, jak silny kapitan Chrystian Bergh i filozof, wuj Eberhard. Schwytano nawet niezwykłego Göstę Berlinga. Powiódł się tedy zamach majorowej, bo mocniejsza jest ona, zaprawdę, od wszystkich kawalerów.

Litość zbiera patrzeć, jak siedzą związani w starych, roztrzęsionych pojazdach. Pospuszczali głowy zerkając spode łba, a podwórze huczy od wściekłości, klątw i wybuchów bezsilnego gniewu.

Majorowa chodzi od jednego do drugiego, mówiąc:

— Przysięgnij, że nie wrócisz do Ekeby!

— Niech cię piekło pochłonie, czarownico!

— Przysięgnij! — powtarza. — Inaczej wrzucę cię związanego do izby, gdzie się usmażysz, albowiem postanowiłam spalić tej nocy całe skrzydło rezydentnie. Wiedz o tym!

— Nie odważy się pani tego uczynić!

— Nie odważę się! Wszakże całe Ekeby jest moją własnością! Ty gałganie! Czy sądzisz, że zapomniła, jakie sztychł ze mnie na gościńcu! Należałoby cię spalić razem z innymi! Czyś ruszył bodaj palcem w mej obronie, gdy mnie wypędzano z domu? Przysięgaj!

Majorowa wygląda groźnie, chociaż może udaje większy gniew, niż go odczuwa naprawdę, koło niej zaś mnóstwo ludzi z ostrymi toporami, toteż kawalerowie zmuszeni są przysięgać, by nie stało się jeszcze większe nieszczęście.

Potem majorowa poleca znieść ich odzież i skrzynie i rozluźnić im więzy. Na koniec włożyć im wodze do rąk.

Tymczasem jednak upłynęło dość czasu, by Marianna dotarła do Sjö. Major wstawał przed brzaskiem, zastała go na dworze, gdyż dopiero co zaniósł śniadanie niedźwiedzom. Nie tracąc wielu słów, major wrócił do niedźwiedzi, nałożył im kagańce, wyprowadził je i podążył do Ekeby.

Marianna ruszyła wraz z nim. Padała niemal ze zmęczenia, a gdy ujrzała lunę nad Ekeby, wstrząsnęła nią śmiertelna trwoga.

Cóż to za noc! Mąż bije żonę, ojciec skazuje własne dziecko na zamaznięcie. Czyżby faktycznie miała teraz jeszcze ta kobieta spalić nieprzyjaciół swoich, a stary major puścić swoje niedźwiedzie na własną czeladź?

Przewyciężyła znużenie, wyprzedziła majora, pędem biegła do Ekeby. Wyprzedziła go znacznie. Utorowała sobie drogę przez zebrany na dziedzińcu tłum. A stanąwszy twarzą w twarz z majorową, zawołała co sił:

— Idzie major z niedźwiedziami!

Przerażenie ogarnęło ludzi. Wszystkie oczy zwróciły się na majorową.

— Tyś go, widzę, sprowadziła! — rzekła do Marianny.

— Uciekajcie, na miłość boską! — zawołała dziewczyna. — Nie wiem, co major zamierza, ale zabrał wszystkie niedźwiedzie.

Wszyscy umilkli, zapatrzeni w majorową.

— Dziękuję wam za pomoc, dzieci moje! — powiedziała spokojnie do ludzi. — Wszystko, co zaszło tej nocy, tak zostało urządzone, że nikt z tego powodu nie będzie odpowiadał i krzywdą się nikomu nie stanie. Idźcie teraz do domu! Nie chcę, by tu ktoś zabijał lub został zabity! Idźcie co prędzej!

Ale ludzie stali dalej.

Majorowa powiedziała Mariannie:

— Wiem, że jesteś zakochana. Działasz w szale miłosnym. Oby nie nadszedł dzień, w którym obaczysz, bezsilna, upadek twego domu! Życzę ci, byś władała zawsze językiem i dłonią, gdy gniew przepoi ci duszę! Odejdźcież, drodzy moi, co prędzej! — zwróciła się ponownie do ludzi. — Teraz Bóg stanie na straży Ekeby, ja bowiem idę do matki mojej. Ach, Marianno — dodała — gdy odzyskasz zmysły, Ekeby legnie w gruzach, a na całą okolicę przyjdzie niedola, wówczas wspomnij, coś zrobiła tej nocy, i pośpiesz z pomocą biedakom.

Potem odeszła, a za nią ruszyli jej ludzie.

Major nie zastał w podwórzu żywej duszy prócz Marianny i długiego korowodu pojazdów i koni. Smutny to był orszak, bo pojazdy, konie i właściciele jednakowo byli wycieńczeni.

Marianna rozwiązywała jednego jeńca po drugim. Gryźli wargi i odwracali w bok głowy, wstydząc się jak nigdy dotąd. Hańby takiej nie zaznali jeszcze w życiu.

— I ze mną było nie lepiej — mówiła Marianna — gdy przed paru godzinami klęczała na schodach rodzicielskiego domu.

Nie mam zamiaru, czytelnicy moi, opowiadać, co się dalej działo tej nocy, dość że pojazdy wróciły do wozowni, konie do stajni, a kawalerowie do mieszkań. Niebawem zaróżowiło się niebo od wschodniej strony ponad górami i nadszedł dzień pogodny, spokojny. O ileż spokojniejsze są, zaiste, dni słoneczne od ciemnych nocy, pod których osłoną żerują dzikie zwierzęta i wrzeszczą sowy.

Dodam tylko, że kawalerowie zastali jeszcze w pokoju trochę ponczu w wazie, tak że mogli napełnić szklanki, i zaraz odzyskali fantazję.

— Niech żyje majorowa! — krzyknęli. — Hura!

To niezwykła kobieta! Cóż lepszego jak służyć jej i wielbić ją? Smutne tylko, że szatan nią owładnął i że czyniła wszystko co mogła, by dusze kawalerów posyłać do piekła.

8. O WIELKIM NIEDŹWIEDZIU Z GURLITY

W ciemni lasu żyją złowrogie zwierzęta o szczękach zbrojnych w lśniące zęby lub ostre dzioby, o oczach lyskających chęcią mordu — drapieżniki żądne zatopić swe szpony w szyję, co ciepłą, czerwoną krwią tętni.

Wilki wychodzą na łup nocą i pędzą za saniami chłopca, aż matka musi wziąć dziecko od łona i rzucić im, by ocalić życie własne i męża.

Żyje tam ryś zwany u ludu „gepa”, gdyż właściwego imienia nie należy wymawiać — zwłaszcza w lesie — a ten, kto to uczyni, winien wieczorem dobrze zamknąć drzwi i wszelkie otwory owczarni, gdyż inaczej gepa przybędzie na pewno. Niczym mu stroma ściana, bo ma pazury niby ostre haki stalowe, a zwinny jest tak, że lada otwór starczy, by wcisnął się do owczarni. Gepa wbija zęby w szyję, ssie krew, szarpie, rozbija i nie ustanie, aż zabraknie łupu, aż ostatnia owca legnie trupem. Nazajutrz znajduje gospodarz wszystko wyniszczzone, bo ryś nie zwykł zostawiać po sobie nic żywego.

W borach żyje też sowa hukająca nocą, a jeśli hukniesz w odpowiedzi, to przyleci cicho jak mara i wykłuje ci oczy, bowiem nie jest to ptak prawdziwy, ale zaklęty zły duch.

Najgorszym jednak mieszkańcem lasu jest niedźwiedź, silny niczym dwunastu chłopów. To „niedźwiałak”, odporny na zwykle strzały, zabić go mogą tylko srebrne kule. Taki go strach otacza, jak żadne inne zwierzę, bo tylko srebrna kula daje mu radę. Moc w nim wielka żywie i czyni tak odpornym, że zwykły olów na nic. Dzieci nie śpią długo leżąc w łóżeczkach i wzdrygają się na wspomnienie tego potwora, którego wspomagają piekielne moce.

Kto by napotkał przypadkiem w lesie takiego niedźwiałaka, wielkiego i potężnego jak wędrująca skała, niechże nie zmyka i nie broni się, ale legnie plackiem, jakby nie żył. Nieraz dzieci wyobrażały sobie, że tak leżą, a niedźwiedź pochyla się nad nimi; czują gorący, straszny oddech zwierza, on zaś przewraca je łapami, a potem kopie dół, by je tam włożyć. Dzieci wstają wówczas po cichutku i przemykają zręcznie przez gąszcz, zrazu wolno, potem zaś biegną co sił w nóżkach, byle dalej.

Strach pomyśleć, co by było, gdyby niedźwiedź domyślił się, że któreś nie umarło naprawdę, albo gdyby je nadźarł z wielkiego głodu, albo spostrzegł, że wstało, i pobiegł za biedactwem!... Boże!

Strach jest to czarownik, co siedzi w ciemności i śpiewa człowiekowi do ucha pieśni czarodziejskie, a serce napęnia przeraźliwymi myślami. Stąd się bierze owo przygnębienie, co tłumi radość życia i przyćmiewa blask pól i niw. Natura zła jest i podstępna jak śpiący wąż i dowierzać jej nie trzeba. Zaliż nie piękny jest Löven o lśniących wodach, a przecież czyha na żer i rok w rok zabiera topielców. Wszak wabi spokojem las, a wierzyć mu nie sposób, bo mają tam swe siedlisko okrutne zwierzęta, opętane przez duchy czarownic i krwiożerczych rozbójników.

Strzeż się potoku szumiącego o przejrzystej wodzie. Przyniesie ci chorobę i śmierć, gdy brodzić w nim będziesz po zachodzie słońca. Kukułka wesoło kuka z wiosną... Prawda? Ale na jesieni przemienia się w jastrzębia o bystrych oczach i ostrych szponach. Nie dowierzaj też mchowi, wrzosom ni górze! Natura zła jest i opętana przez moce piekielne, nienawidzące człowieka. Stopy bezpiecznie postawić nie możesz nigdzie i dziw zaiste, jak może ująć tym zakusom słabe plemię ludzkie.

Czy strach-czarownik siedzi jeszcze w ciemni värmlandzkich lasów i śpiewa zakłète pieśni? Czy ciągle jeszcze przyćmiewa blask niw i pól i poraża radość życia? Moc jego była wielka, wiem to, zaprawdę, gdyż w kołysce swej czułam stal, a w kąpielu węgle żarzące. Wiem, bo znam jego żelazną dłoń, zaciskającą się wokół serca.

Zresztą nie sądzicie, iż chcę opowiedzieć coś straszego.

To jeno stara historia o wielkim niedźwiedziu z Gurlity i może sobie wierzyć w nią, kto chce, jak to bywa zawsze w opowiadaniach myśliwskich.

Niedźwiedź mieszkał na szczycie wspaniałej grani, zwanej Gurlitą, stromo i niedostępnie sterczącej znad Lövenu, w górnej jego części. Wykrot obalonej jodły, na której korzeniach wisiały płaty mchu, był ścianą oraz dachem jego siedliska, gałęzie i krzewina osłaniały je, a szpary uszczelniał śnieg. Spać sobie tam mógł spokojnie od lata do lata.

Czyliż poetą i marzycielem jest ten kudłaty król lasów, kosooki zbój? Czyliż przespać chce mroźne noce i szare dni zimowe, a zbudzić się od szumu potoków i świergotu ptactwa? Leżeć chce pewnie, śniąc o wzgórzach pełnych czerwieniejących borówek, o mrowiskach smakowitych brązowych stworzeń i białych jagniętach na zboczach gór. Chce ująć zimie życia, szczęśliwiec!

Wicher dmie i przemiata pomiędzy jodłami, szaleni od głodu myszkują wilk i lis, czyż jeno misiowi wolno spać? Niechby wstał i poczuł, jak kasa mróz, jak ciężko grzęznąć w śniegu... Niechby wylazł z jamy!

Usnął sobie dobre leże, niby królowna z bajki, i jak ją królewicz zbudził pocałunkiem, tak jego wiosna obudzi. Chce, by go ze snu cucił promień słońca, padający na koniec pyska, lub kropla topniejącego śniegu, co przenika futro. Biada temu, kto mu przedwcześnie sen przerwie.

Ale nie każdy liczy się z życzeniami pana lasów! Nagle spada nań chmara ołowianych kulek, które kłują niby komary natrętne! Słyszą krzyki, wrzawę, strzały. Miś otrząsa się, przeciąga i usunąwszy na bok krzaki patrzy, co to takiego. Niezłą pracę będzie miał stary zawadiaka! To nie wiosna hałasuje wokół legowiska, nie wiatr obala jodły i śniegiem wiruje, to rezydenci, kawalerowie z Ekeby.

Znani są dobrze królowi lasów. Pamięta dokładnie tę noc, kiedy to Beerencreutz i Fuchs zaczęli się nań w stodole chłopskiej, gdzie miał przyjść. Właśnie zdrzemnęli się nad kieliszkiem, gdy wpęłził ostrożnie przez sitowiany dach, a kiedy dobywał spoza przegrody ubitą krowę, runęli nań ze strzelbami i nożami. Zabrali mu krowę, pozbawili ślepska jednego, ale uszedł żywy.

Ho, ho, znają się dobrze miś z rezydentami. Napadli nań innym razem, kiedy zagospodarował się na zimę wraz z małżonką, i dziećmi tu, na królewskim dworzyszczu Gurlity, i napadli zgoła niespodzianie. Uciekł, co prawda, zmiótł, co stało w drodze, i pognał kul nie bacząc, ale poraził go strzał w łopatkę i gdy wrócił do domu, zobaczył farbę na śniegu. Dostojną jejmość ubito, a dziatki uprowadzono do ludzkich osiedli, by tam służyły człowiekowi i były mu przyjaciółmi.

Dudni ziemia, rozpada się zaspą kryjąca wniście do jamy i wypada z niej wielki niedźwiedź, wróg rezydentów. Mieście się na bacności, mości Fuchsie, łowco niedźwiedzi, i pułkowniku Beerencreutz, mistrzu gry w karty, i ty, Gösto Berlingu, bohaterze stu przygód.

Biada poetom, marzycielom, zdobywcom serc! Gösta stoi z bronią gotową do strzału, a miś sady prosto na niego. Czemuż nie strzela i o czymże rozmyśla? Reszta właśnie dlatego strzelać nie może. Czyżby sądził, że trzeba stać na bacność przed królem lasów?

Gösta w istocie stał rozmyślając o Mariannie złożonej w Ekeby chorobą po owej nocy w śniegu spędzonej. Padła i ona ofiarą nienawiści ciężącej na całej ziemi, a nim wstrząsa odraza do samego siebie, że wyszedł tropić i zabijać.

Niedźwiedź wali na niego. Ślepy jest od noża jednego z rezydentów, chromy od kuli drugiego, rozsrożony, skudłaczony i samotny od czasu postradania żony i dzieci, a Gösta patrzy nań. Nie chce odbierać życia biednemu, ściganemu zwierzęciu, rabować reszty tego, co obrabowanemu przez ludzi pozostało.

„Niechże mnie zabije, nie ja jego!” — pomyślał.

Niedźwiedź już o kilka kroków, Gösta stoi jak na bacność, a potem nagle ustępuje z drogi i prezentuje broń przed królem ostępu.

Niedźwiedź pognał dalej, dobrze wiedząc, że nie ma ani chwili do stracenia, wpadł w las, przedarł się przez zasy wysokości człowieka, zbiegł karkołomnymi żlebami na dół i znikł bez śladu. Wszyscy stali z odwiedzionymi kurkami, zamierzając wypalić, i teraz dopiero oddali strzał.

Ale wszystko na nic, krąg został przerwany, niedźwiedź uszedł... Fuchs beszta, Beerencreutz klnie, a Gösta śmieje się jeno wesoło. Czy przypuszczali, że człowiek tak szczęśliwy jak on może uczynić krzywdę drugiemu stworzeniu boskiemu!

Wielki niedźwiedź z Gurlity ocalał tedy, ale zbudzony ze snu postanowił zalać chłopom sadła za skórę. Żaden niedźwiedź nie umie zręcznie rozszarpywać dachów na niskich oborach i uchodzić przemyślniejszym zasadzkom.

Mieszkańcy okolic górnego Lövenu nie wiedzą już, jak obronić się przed rabusiem i posyłają raz po raz do rezydentów, by przyjechali wreszcie z nim skończyć.

Przez cały luty szukali go kawalerowie dzień po dniu, noc po nocy, ale wymykał się łącząc z chytrą lisa rącość wilka. Gdy czyhali w jednym osiedlu, grasował w drugim, gdy go tropili po lesie, ścigał jadących przez lód chłopów. Był to najzuchwalszy rabuś! Właził na strychy, wyjadał z garnków miód gospodyniom i zwał konie gospodarzy wprost u sanek.

Dumając nad tym wszystkim dorozumiano się wreszcie, co to jest za niedźwiedź i dlaczego Gösta nie mógł doń strzelić. Niesamowicie gadać o tym, a strasznie pomyśleć, ale nie był to, zaprawdę, zwykły niedźwiedź i nikt, kto by nie miał srebrnej kuli w lufie, zabić go nie mógł. Kula, odlana ze srebra i spiżu dzwonu w noc czwartkową o nowiu księżycy, w wieży kościelnej, tak by nie wiedział o tym proboszcz ni kościelny, zabiłaby go z pewnością, lecz jakże trudno o taką kulę!

Żył w Ekeby człowiek bardziej niż inni zgryziony tym wszystkim, oczywiście Andres Fuchs, wielki niedźwiedziobójca. Nie jadł i nie spał, trawionny rozpaczą, że nie może go dostać, i doszedł w końcu także do przekonania, że poradzi tu jeno owa srebrna kula.

Szorstki był w zachowaniu major Fuchs i wcale niepiękny. Ciało miał niezdarne, szeroką, czerwoną twarz o policzkach obwisłych i kilka podbródków. Górną, grubą wargę obsiadła mu czarna szczerć wąsów, a głowę sztywne, czarne włosy. Przy tym nie marnował słów i był żarłokiem. Kobietom nie słał wabnych uśmiechów ni spojrzeń. One też nie wychodziły mu naprzeciw promienne i z otwartymi ramionami. A że pewne było, iż nigdy nie znajdzie podobającej mu się niewiasty, dalekie mu było wszystko, co do miłosnych rojeń przynależy.

Lecz w pewien wieczór czwartkowy, kiedy wąski na dwa palce sierp księżycy pokazuje się przez parę godzin na niebie zaraz po zachodzie słońca, major Fuchs ruszył nic nie mówiąc w Ekeby, wziął do torby myśliwskiej stalowe krzesiwo, formę do kul i strzelbę. Poszedł wprost do broeńskiego kościoła, by wypróbować, czy szczęście zechce skłonić się ku zacnemu jak on człowiekowi.

Kościół stał na wschodnim brzegu cieśniny, pomiędzy górnym a dolnym Lövenem, major Fuchs musiał więc przejść przez most. Kroczył zadumany nie patrząc na wzgórze brobijskie, odcięte ostrym konturem na pogodnym niebie, ani też na skałę Gurlity o okrągłym wierzchołku. Patrząc w ziemię roztrząsał pytanie, w jaki sposób posiadzie klucz od bramy kościelnej, tak by nikt tego nie spostrzegł.

Wchodząc na most usłyszał rozpaczne wrzaski i podniósł oczy.

Onego czasu mały Niemiec, Faber, był organistą w Broby. Człek niski, sucherlawy i nikły pod każdym względem. Kościelny, Jan Larsson, tęgim był za to chłopcem, ale go bieda gnioła, gdyż proboszcz brobijski zabrał mu podstępnie pięćset talarów przy dziale majątkowym spuścizny ojcowskiej.

Kościelny zalecał się do siostry organisty, młodej Fabrówny, ale organista nie chciał przyzwolić na małżeństwo. Toteż nie byli wielkimi przyjaciółmi. Właśnie tego wieczora zdybał kościelny organistę na moście i rzucił się nań. Chwyciwszy go za piersi, trzymał w wyciągniętych rękach w powietrzu poza poręczą, klnąc na wszystko, że go ciśnie do wody, jeśli mu nie da nadobnej dziewicy za żonę. Ale Niemczura nie dawał za wygraną i oponował wytrwale, mimo że widział przed sobą czarną czeluść wodną pomiędzy białymi brzegami.

— Nie! Nie! — wrzeszczał co sił.

Kto wie, czyby kościelny nie wykonał pogroźki, gdyby w tej chwili nie wszedł na most major Fuchs. Przerażony kościelny posadził organistę na moście i wziął nogi za pas.

Faber padł majorowi na szyję, dziękując za uratowanie mu życia, ale major strząsnął go z siebie z odrazą. Nie miał żadnego upodobania w Niemcach od czasu, kiedy kwaterował w Putbusie na Rugii podczas wojny pomorskiej. Nigdy jeszcze śmierć głodowa nie zajrzała mu tak z bliska w oczy jak wówczas.

Mały Faber chciał biec do naczelnika Scharlinga, by oskarżyć kościelnego o zamach morderczy, ale major objaśnił go, że nie warto chodzić, gdyż w tej okolicy za zabicie Niemca nie ma żadnej kary.

To uspokoiło całkiem małego Fabera, tak że zaprosił wybawcę do siebie na kiszkę smażoną i wystale piwo.

Major Fuchs przystał pomyślawszy, że organista ma chyba w domu klucz od kościoła, i poszli ku wzgórzcu, na którym stał kościół, plebania oraz domki kościelnego i organisty.

— Proszę wybaczyć! — powiedział Faber wprowadzając majora do izby. — Nie bardzo dziś u nas porządnie, ale było dużo roboty, gdyż właśnie razem z siostrą zarznięliśmy koguta.

— Pi! pi! pi! — wykrzyknął major.

Zaraz też wniosła ponętą Fabrówna odleżałe piwo w wielkich dzbanach glinianych. Wiadomo, że major niechętnym okiem patrzył na kobiety, ale ta dziewczyna wzbudziła w nim pewną życzliwość. Uroczu wyglądała w staniczku i czepeczku. Jasne, gładko zaczesane miała włosy, a samodziałowa sukienka była czyściuteńka. Krzątała się tak żywo i miała tak rumiane, krągłe policzki, że majorowi przyszło do głowy, iż niezwłocznie zacząłby konkury, gdyby dwadzieścia pięć lat temu spotkał dziewczynę jak ta właśnie. Ale mimo ruchliwości i ponęt wielu Fabrówna miała zapłakane oczy i może to właśnie usposobiło łagodnie majora.

Mężczyźni jedli i pili, ona biegała tam i sam, potem zaś podeszła, dygnęła i spytała brata:

— Jakże każecie, panie bracie, ustawić krowy w oborze?
— Umieścić Dwanaście po prawej, Jedenaście po lewej, tak by się bósć nie mogły!
— odparł mały Faber.

— Oj, do licha! — zawołał major. — Widzę, że macie, mości Faber, sporo dobytku!
Organista miał właściwie tylko dwie krowy, a nazwał jedną „Dwanaście”, zaś drugą „Jedenaście”, by wspanialej brzmiało, gdy o nich wspomni. Dowiedział się też przy tym major, że organista przebudowuje oborę, przeto krowy chodzą za dnia po polu, a nocują w drwalni.

Dziewczyna przystąpiła za chwilę ponownie do brata i rzekła z dygiem, że cieśla zapytuje, jak wysoka ma być obora.

— Zmierz krowy! — rozkazał. — Zmierz krowy!

Spodobała się majorowi ta odpowiedź.

W toku rozmowy spytał major organisty, czemu oczy siostry jego są tak czerwone, i dowiedział się, że dziewczyna płacze, gdyż jej nie pozwala wyjść za kościelnego, który jest biedny i zadłużony.

Coraz to większa zaduma ogarnęła majora, spijał dzban piwa po dzbanie i jadł kiszkę za kiszka całkiem bezwiednie, a organista patrzył z przerażeniem na ten apetyt. Ale im więcej jadł i pił major, tym jaśniej robiło mu się w głowie i coraz to większej nabierał ochoty, by przysłużyć się małej Faberównie.

Przy tym wszystkim nie spuszczał oczu z wiszącego na ścianie klucza kościelnego o powyginanym uchu, a gdy tylko Fabera, który musiał dotrzymać towarzystwa w picu majorowi, zmorzyło ciężkie piwsko, tak że położył głowę na stole i chrapnął smacznie, major chwycił klucz, sięgnął po czapkę i wyszedł.

Wylazł zaraz omackiem na schody wieży kościelnej i dotarł przy pomocy rogowej latarki do dzwonów rozdzielających nad nim olbrzymie paszcze. Zdrapał pilnikiem trochę spiżu z dzwonu, dobył krzesiwa i formy do lania kul, ale nagle spostrzegł z przerażeniem, iż zapomniał całkiem o srebrze, co było rzeczą najważniejszą. Jeśli kula miała posiadać siłę, musiał ją ułać tu, we wieży. Wszystko dobrze, jest czwartek na nowiu i nikt nie wie, że tu siedzi, niestety, bezradny całkiem. Major zaklął, aż jęły dzwony.

Zaraz potem usłyszał czyjeś kroki na schodach. Tak, w istocie, ktoś szedł na górę ciężko stąpając.

Major stał i kłął, aż dzwony wtórowały, ale zrobiło mu się nieswojo i jął dumać, kim mógł być ów nieproszony pomocnik chcący wraz z nim lać kulę. Kroki zbliżały się. Ktoś szedł widocznie prosto na wieżę.

Major skrył się wśród belek rusztowania, zgasił latarkę i czekał. Nie czuł strachu, ale gniewało go, że wszystko będzie na nic, gdy zostanie spostrzeżony. Ledwo się schował, czyjaś twarz ukazała się nad podłogą.

Poznał zaraz twarz skąpego proboszcza z Broby. Oszalały niemal z chciwości, krył swe skarby po miejscach najdziwniejszych. Niósł w rękę paczkę banknotów, a sądząc, że nikt nie patrzy, podniósł deskę podłogi, położył pieniądze i odszedł zaraz śpiesznie.

Poskoczył major do skrytki. Cóż za masa pieniędzy! Paczka przy paczce, a pomiędzy nimi brunatne woreczki skórzane ze srebrem. Major wziął tyle jeno, by starczyło na kulę, resztę zostawił.

Zeszedł niebawem ze srebrną kulą w lufie i jął rozmyślać, czy mu ta noc czwartkowa przyniesie jeszcze więcej pomyslności. Dziwy dzieją się wielkie w takie noce. Skierował kroki naprzód do mieszkania organisty dumając, czy przeklęty niedźwiedź wie, że krowy Fabera stoją dziś w nędznej drewni, tak prawie jak w szczerym polu.

Tak... zaprawdę! Oto nadchodzi właśnie coś wielkiego, czarnego i zmierza na przełaj prosto do koleby. To na pewno niedźwiedź!

Major podniósł broń do oka i chciał strzelać, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Przywiódł sobie na pamięć zapłakane oczy Faberówny. Wspomniał, że ma dopomóc jej i kościelnemu, ale wielką było to dlań ofiarą zrezygnować z zabicia niedźwiedzia, władcy Gurlity. Mawiał potem często, że nic mu w życiu nie przyszło z takim trudem, ponieważ jednak dziewczyna była zgrabna, mała i ponętna, musiał to uczynić.

Pobiegł co prędzej do kościelnego, wyciągnął na pół nagiego z łóżka i rozkazał strzelić do niedźwiedzia myszkującego wokoło drewni organisty.

— Zastrzel niedźwiedzia, a organista da ci na pewno siostrę! — powiedział. — Zyskasz także ogólny szacunek, nie jest to bowiem zwierz zwyczajny i najwybitniejsi ludzie w okolicy uważaliby za zaszczyt ubicie go.

Wcisnął mu w rękę własną broń z kulą srebrną i spiżową, odlaną na wieży w czwartkową noc, na nowiu, a przy tym dygotał z zazdrości, że nie on, lecz ktoś inny położył trupem króla lasów z Gurlity.

Kościelny zmierzył w niedźwiedzia — miły Boże! Mógłby raczej, mierząc tak, trafić w Wielką Niedźwiedzicę na niebie, nie zaś w zwierza wążącego już na dach Faberowskiej koleby. Strzał huknął, aż Gurlita odpowiedziała echem.

Jak mierzył, tak mierzył kościelny, dość że niedźwiedź padł na miejscu. Tak bywa zawsze ze srebrną kulą. Można strzelać do Wielkiego Wozu na niebie, a trafia się zwierzynę w serce.

Wybiegli ludzie z domów i zagród, ciekawi, co zaszło, gdyż żaden jeszcze strzał nie grzmotnął jak ten i nie zbudził takiego echa. Wszyscy zaczęli wysławiać kościelnego, gdyż niedźwiedź był istną plagą okolicy.

Wyjrzał też i mały Faber, ale major Fuchs zawiódł się na nim srodze. Mimo że wszyscy wychwalają kościelnego i że ponadto ocalił krowy organisty, mały Faber nie czuje wcale podziwu ni wdzięczności, nie rozwiera ramion i nie wita zwycięzcy jako bohatera i szwagra.

Namarszczył się major, zaczął tupać, rozwścieczony taką nikczemnością i jął tłumaczyć małemu człowiekowi o ciasnym sercu doniosłość czynu. Ale słowa utykały mu w ustach z gniewu, że nadaremnie zrzekł się zaszczytu ubicia niedźwiedzia. Pojąć nie mógł, by człowiek, który dokonał takiego bohaterstwa, nie zasługiwał na najdumniejszą oblubienicę świata.

Kościelny oraz paru parobczaków poszli po nóż i zaczęli go ostrzyć, a major Fuchs został sam, przy martwym niedźwiedziu.

Nagle pędzi raz jeszcze do kościoła, otwiera bramę, włazi po stromych schodach budząc uśpione gołębie i dociera do dzwonów.

Potem, gdy pod dozorem majora zdejmowano z niedźwiedzia skórę, znaleziono w jego paszczy zwitek banknotów. Suma wynosiła okrągło pięćset talarów. Nie sposób wyjaśnić, jak się tam dostały. Ale był to widać niedźwiedź niezwykle! Skoro kościelny go ubił, pieniądze przyznano bez oporu pogromcy.

Wieść rozeszła się zaraz rano, a mały Faber oprzytomniał jakoś, zrozumiał bez trudu doniosłość bohaterskiego czynu i oświadczył, że dumny będzie, jeśli nazwie kościelnego swoim szwagrem.

Major wrócił do Ekeby w piątek, po obfitej uczcie u kościelnego z okazji mistrzowskiego strzału i zaręczyn u organisty. Ale był smutny, nie odczuwał żadnego wesela ze zwycięstwa nad wrogiem i nie cieszyła go wspaniała skóra otrzymana od kościelnego w podarku.

Sądziłby ktoś, że żal mu było powabnej dziewczyny? O nie, nie ten był powód żaloby. Bolało go jeno, że potężny, jednooki władca Gurlity padł nie z jego ręki.

Wróciwszy do rezydenckiego skrzydła, cisnął bez słowa skórę pomiędzy siedzących u komina kawalerów. Nie wtajemniczył ich wcale w swe przygody i dopiero o wiele, wiele później wydobyli zeń prawdę. Nie zdradził też schowka brobijskiego proboszcza, który być może nie odkrył nigdy kradzieży.

Rezydenci obejrzeliby dokładnie skórę.

— Pyszna jest! — zawyrokował Beerencreutz. — Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób zbudzono tego draba ze snu zimowego? — A może ubiłeś go w jaskini?

— Zabito go na polach broeńskich!

— Hm... — zauważył Gösta. — Był to zwierz, co się zowie, ale nie tak wielki jak niedźwiedź z Gurlity.

— Gdyby był jednooki — dodał Kevenhüller — sądziłbym, żeś naprawdę ubił gurlitskiego króla lasów, ale ten nie miał ani śladu ropy ni blizny na oku, toteż nie jest chyba niedźwiolakiem.

Major zaklął z gniewu na głupotę swoją, ale po chwili rozpromienił się tak, że mu twarz niemal wypiękniała. A więc jednak król lasów nie padł z innej ręki!

— Boże! Jakże jesteś dobry! — szepnął major i złożył ręce.

9. WYPRZEDAŻ W BJÖRNE

Nieraz będąc dziećmi dziwowaliśmy się opowiadaniom starszych.

— Czyż każdego dnia bywały bale za waszych lat młodych? — pytaliśmy. — Czy całe życie było jedną jeno przygodą? Czy w czasach owych każda dama była piękna i godna miłości? Czy po każdym balu porywał jedną z nich Gösta Berling?

Starcy potrząsali czcigodnymi głowami i zaczęli opowiadać, jak to warkotały kółwrotki i trzaskały warsztaty tkackie, jak się krzątano w kuchni, młócono na klepisku i rąbano drzewo po lasach. Zaraz jednak wpadali z powrotem w dawny ton. Sanki zajechały przed ganek, weseli młodzi ludzie mknęli przez ciemne bory, wirował taniec, aż pękały struny skrzypiec. Z hukiem i loskotem, w pędzie odbywała się gonitwa dokoła jeziora Löven. Z dala słychać było jej gromkie odgłosy. Z dala dolatywał huk walących się drzew, od rozpętania żywiołów wybuchały pożary, wzbierały potoki, a wilki wyjąc ścigały się dokoła osiedli. Pęd ósmionogich rumaków¹⁹ rozbijał w puch wszelaką szczęśliwość, kędy przebiegły, dzikość rozjarzała się w sercach mężczyzn, a blade kobiety uciekały z domów i zagród.

My, dzieci, siedzieliśmy, bywało, zdumieni, trwożni i radośni zarazem.

„Co za ludzie! — myśleliśmy. — Takich dziś nie uświadczyc w świecie”.

— Czyż nie myśleli nad tym, co czynią, ludzie czasów onych? — pytaliśmy.

— Myśleli... myśleli, czemużby nie? — brzmiała odpowiedź starców.

— Chyba nie tak jak my — stwierdziliśmy chórem, a starzy nie wiedzieli zgoła, o co nam idzie.

Mieliśmy na myśli onego ducha samokrytyki, tę stworę, która w nas już obrała siedlisko, o lodowatych oczach i długich szponiastych dłoniach, co siedząc w najciemniejszym kącie rozskubuje nas, jak stare baby skubią szarpie z wełny czy jedwabiu.

Rozskubały zaiste te palce kościane całe nasze ja na kupę strzępów, niwecząc najszczytniejsze uczucia i myśli bezpośrednie. Wszystko, co powiedziano czy czyniono, wszystko zbadała ta stwora niesamowita, przeniknęła lodowatymi oczyma i wykrzywiając szyderczo bezzębne usta szeptała raz po raz:

— Patrzcież! Same strzępy... łachmany... nic więcej!

Zdarzali się jednak i w tamtych czasach ludzie, co chętnie otwierali duszę onemu lodookiemu straszdyłu. Rozsiadło się w nich badając źródła czynów i drwiąc z dobra i zła. Wszystko rozumiało, niczego nie potępiało, wężąc jeno wokół, mieląc na otręby każde drgnięcie serca i mroząc siły.

Piękna Marianna miała w sobie tego demona samokrytyki i czuła na każdym kroku i przy każdym słowie jego lodowate oczy i szyderczy śmiech. Życie jej zmieniło się w przedstawienie, którego jedynym widzem był duch samokrytyki. Przestała być człowiekiem, nie czuła, nie radowała się i nie kochała, jeno grała rolę Marianny Sinclaire, a samokrytyka siedząc na widowni śledziła jej grę lodowymi, nieruchomymi oczyma i skubała ciągle pracowicie palcami.

W duszy pięknej dziewczyny mieszkaly jak gdyby dwie różne istoty. Jedna, blade i drwiąca, spoglądała obojętnie na to, co czyni druga, nie dająca jej nigdy życzliwego słowa.

Gdzież był atoli błady strażnik jej poczynań owej nocy, kiedy poznała miłość życia? Gdzież był, gdy całowała Göstę wobec stu świadków, gdzież był, gdy padła z rozpaczą w śnieg, by umrzeć? Lodowe oczy jego mgłą zasły, a śmiech szyderczy szczel od żaru namiętności, który zapalił duszę. Tętent czarodziejskiej gonitwy duchów zgłuszył wszystko, i onej straszliwej nocy Marianna była człowiekiem prawdziwym.

Kiedy z niezmiernym wysiłkiem podniosła w końcu ramiona, by objąć Göstę za szyję, o ty, bóstwo samozaprzeczenia, musiałoś chyba, jak to uczynił Beerencrutz, odwrócić wzrok od ziemi i podnieść go na gwiazdy; tej nocy sił ci zbrakło. Leżałoś martwe, gdy Marianna śpiewała hymny miłości, gdy biegła do Sjö po majora i gdy ujrzała czerwien luny nad wierzchołkami lasu.

¹⁹ósmionogie rumaki — w mit. nordyckiej splodzony przez Lokiego koń boga Odyna, Sleipnir, miał osiem nóg. [przypis edytorski]

Potężne ptaki, orły namiętności, poszybowały na skrzydłach ognistych, spadły ci na kark, wbiły szpony i cisnęły cię, duchu lodowaty, w nieznaną dal. Ległeś martwy i rozbity. A dumne, potężne ptaki, poleciały dalej szlakiem, którego obliczyć i wysledzić nikt nie zdoła. Ale niebawem dźwignął się duch samokrytyki z oddechu i zawładnął jak dawniej duszą Marianny.

Przez cały luty leżała w Ekeby chora, zaraziwszy się ospą w Sjö. Wyczerpaną, przeziębłą napadło i zwyciężyło łatwo owo straszne choróbko, śmierci już była bliska, ale pod koniec miesiąca zaczęło jej wracać zdrowie. Słaba była i oszpecona, tak że nikt jej już piękną Marianną nie mógł nazwać.

Sama jednak tylko Marianna i pielęgniarka o tym wiedziały. Nie wiedzieli kawalerowie, nie dopuszczani, oczywiście, do chorej na ospę.

Kiedyż atoli silniejszą jest samokrytyka, jak nie w czasie powolnego wracania do zdrowia? Siedzi wytrwale, wytrzeszcza lodowate ślepia i skubie wszystko suchymi, kościstymi palcami, a jeśli się lepiej przypatrzeć, to przeziera przez tę stworę bladą drugą, jeszcze bledszą, która też patrzy w osłupieniu i śmieje się drwiąco, przez drugą trzecią i dużo innych, a wszystkie śmieją się z siebie wzajem i z całego świata.

Marianna leżała patrząc na siebie tym mnóstwem lodowatych, tępych oczu, a wszystkie prawdziwe uczucia zamaryły w niej.

Leżała grając rolę chorej, nieszczęśliwej, zakochanej i rolę mścicielki. Była tym wszystkim, a jednak wszystko to było tylko rolą.

Spojrzenie lodowatych oczu zmieniało wszystko w igraszkę. Czuwały nad nią wiedząc, że nad nimi czuwają drugie... trzecie i tak dalej, w nieskończoność.

Zapadły w sen czarodziejski mocne siły życia. Przez jedną jeno noc zdolna była nienawidzić płomiennie i oddać się miłości — nie dłużej. Teraz nie wiedziała nawet, czy kocha Göstę. Pragnęła go zobaczyć z ciekawości, czy też on sprawi, by zapomniała samą siebie.

Przez ciąg trwania choroby jedną miała jeno myśl jasną, to jest, by zataić swą chorobę. Nie chciała widzieć rodziców, nie chciała zgody z ojcem, przypuszczając, że pożałuje on swego czynu na wieść o ciężkim schorzeniu. Poleciała tedy powiedzieć rodzicom i wszystkim, że cierpi, jak nieraz w Björne, na oczy, i dlatego musi siedzieć przy zapuszczonych firankach. Zabroniła pielęgniarce mówić, na co chora, a rezydentom nie dozwoliła sprowadzić lekarza z Karlstadu. Umotywowała to lekkim przebiegiem choroby i tym, że apteczka podręczna w Ekeby posiada wszelkie potrzebne środki.

Nie przyszło jej do głowy, że może umrzeć, leżała tylko, czekając wyzdrowienia, by jechać z Göstą do proboszcza i dać na zapowiedzi.

Minęła teraz gorączka i choroba, wrócił chłód i równowaga: nabrała przekonania, że w tym świecie głupców jest jedyną mądrą osobą. Nie czuła nienawiści ni miłości. Rozumiała ojca i wszystkich, a rozumienie wyklucza nienawiść.

Doszła ją wieść, że Melchior Sinclair urzęda wyprzedaż w Björne, by zniszczyć całe mienie i nic jej nie zostawić w spadku. Mówiono, że zamierza przeprowadzić to gruntownie, naprzód sprzedać wszystkie meble i sprzęty domowe, potem bydło i narzędzia gospodarskie, a w końcu pozbyć się majątku ziemskiego, pieniądze złożyć w wielki wór i zatopić w Lövenie. W dziedzictwie miała otrzymać ruinę zupełną. Na wieść o tym skłębła głową z uśmiechem i uznała, że stosownie do swego charakteru ojciec nie mógł postąpić inaczej.

Dziwiło ją wielce, iż mogła nucić kiedyś hymn miłości. Marzyła niedawno o chatce wieśniaczej i sercu ukochanego — teraz nie mogła pojąć tego nawet.

Wzdychała do szczerości. Dość już tej wiecznej gry. Nie doznała nigdy mocnych, prawdziwych uczuć. Niemal obojętna była jej utrata piękności, ale drżała przed cudzą litością.

Choć na sekundę zapomnieć o sobie! Jeden jakiś bodaj czyn, jeden gest wolny od wyrachowania!

Pewnego dnia, gdy wywietrzono pokój i oczyszczono z zarazy, legła ubrana na sofie i kazała poprosić do siebie Göstę. Zawiadomiono ją, że pojechał do Björne na wyprzedaż.

Była to, zaprawdę, rzecz niezwykła! Miano wyprzedać stary, zamożny dom, toteż z daleka zjechali kupcy.

Potężny Melchior Sinclaire zrzucił cały dobytek na kupę w wielkiej sali. Tysiące różnych rzeczy leżały górami aż po sufit. On sam jak anioł zniszczenia krążył po domu i znosił wszystko, co można było sprzedać. Zostawił w spokoju tylko czarne garnki kuchenne, drewniane stolki, cynowe dzbany i miedziane rondle, to bowiem nie przypominało Marianny. Ale były to jedyne przedmioty, które gniew jego oszczędził.

Wtargnąwszy do pokoju córki przewrócił do góry nogami wszystko. Wyrzucił szafkę z lalkami, półki na książki, mały stołeczek, umyślnie dla niej zrobiony, drobiazgi, suknie, sofkę i łóżko.

Potem zaczął chodzić z pokoju do pokoju porywając i wlokąc do sali aukcyjnej przedmioty, które mu się nie podobały. Dźwigał je, stękał pod ciężarem kanap, stołów marmurowych, ale nie ustawał. W sali piętrzył się coraz to wyżej pstry stos, on zaś rozbijał szafy, wywlekał stare, cenne srebra rodzinne i ciskał na kupę. Marianna dotykała ich! Precz z tym! Znosił naręcza śnieżnych adamaszków i gładkie prześcieradła z szeroką na dłoń mereżką, plon pracy kobiecej, gromadzony latami w rodzinie. Precz z tym! Marianna nie była godna posiadania tych rzeczy!... Stawiał góry porcelany tłukąc tuzinami talerze i stare, cenne filiżanki z wypalonymi herbami. Precz z tym! Rosły pod sufit stopy pierzyn i poduszek puchowych, w których tonęło się jak w fali. Precz z tym! Marianna spała na tej pościeli.

Spozierał wściekle po starych meblach. Nie było jednego fotela, na którym by nie siadywała, obrazu, na który by nie patrzyła, świecznika, który by jej nie oświetlał, zwierciadła, w którym by się nie przeziarała. Zaciskał pięści grożąc onym wspomnieniom. Porozbijałby to wszystko chętnie w trzaski maczugą.

Umyślił jednak dotkliwszą zemstę, mianowicie wyprzedaż zupełną. Niechże biorą to obcy! Niech zostanie uwalane rękami wyrobników, niech padnie ofiarą obojętnych, dalekich ludzi. Widywał nieraz po chłopskich chatach takie kupione graty zbezczeszczone jak córka jego. Precz z nimi! Niech stoją z podartymi poduszkami, wylażącą ze środka wyściółką, startym złoceniem, chwiejnymi nogami i poplamionymi blatami, połamane i spękane, niech tęsknią do domu! Precz! Na wszystkie światy strony chciał je rozproszyć, by tego żadna ręka zgromadzić na powrót nie mogła.

Zaczęto na koniec licytację w przepelnionej chaotycznie sali.

Ustawiono w poprzek długi stół, sprzedający zajął miejsce i zaczął wywoływać. U stołu siedzieli pisarze i notowali wszystko, a obok nich rozparł się Melchior Sinclaire postawiwszy przy sobie baryłkę wódki.

W drugim końcu sali, w sieni i w podwórzu tłoczyli się kupujący.

Rozgwar panował wesoły, wybuchały śmiechy, padały oferty i licytacja toczyła się żywo. Melchior Sinclaire siedział przy baryłce, pośród stosów własności swojej, na pół pijany, na pół oszalały, z włosami zjeżonymi wokół czerwonej twarzy, a zakrwawione oczy biegały groźnie. Wykrzykiwał i śmiał się jakby w najlepszym humorze, a każdego, kto złożył dobrą ofertę, wołał do siebie i częstował wódką.

Widział go też Gösta wmieszany w ciżbę, ale unikał zbliżenia. Widok to był niesamowity, a serce ścisnęło się w przeczuciu nieszczęścia.

Dziwiło go, że nigdzie nie dostrzegł matki Marianny, i w końcu ruszył bezwiednie na poszukiwanie, jakby pchnięty nakazem losu.

Minął wiele drzwi, zanim ją znalazł. Mocny władca Björne był niecierpliwy, nie znosił żalów ni też kobiecych. Znudziło go szlochanie żony oplakującej ruinę domu. Wściekły, że rozpacza nad bielizną, kiedy straciła nierównie więcej, bo samą córkę, ścisnął ją, zacisnąwszy pięści, po całym domu, aż do kuchni, aż do spiżarni.

Dalej kobiecina nie miała gdzie uciec, dał więc spokój, a zobaczywszy, że siedzi pod schodami czekając bicia czy nawet śmierci, zostawił ją tam, zamknął i klucz schował do kieszeni. Nie mogła zginąć z głodu, więc postanowił, że tu czekać ma końca licytacji. Nie będzie mu już drażniła uszu skargami.

Zamknięta w spiżarni, wylażała po czymś wysoko, do małego okienka pod powalą i zobaczyła twarz Gösty przechodzącego kuchennym korytarzem. I on zobaczył panią Gustawę.

— Co tam ciocia robi? — spytał.

— Zamknął mnie — odparła.

— Mąż?

— Tak! Myślałam już, że mnie zabije. Idźże, Gösto, wyjmij klucz z ciężkich drzwi wielkiej sali. Nadaje się do tego zamka. Wypuść mnie!

Gösta spełnił rozkaz i niebawem znaleźli się oboje w pustej kuchni.

— Czemuż ciocia nie kazała którejś ze służących otworzyć? — spytał Gösta.

— Nie myślę zdradzać tajemnicy klucza od drzwi spiżarni, nie miałabym bowiem chwili spokoju! Zresztą uporządkowałam tymczasem górne półki, bo straszny był tam nieład. Nie wiem doprawdy, jak mogłam pozwolić, by się tyle rupieci nazbierało.

— Ciocia ma tak wiele zajęć! — powiedział na jej usprawiedliwienie.

— To prawda! — odparła. — Gdybym sama nie przypilnowała, w całym domu ani jedno wrzeciono, ani jeden kołowrotek nie pracowałby jak należy...

Urwała nagle i otarła łzę.

— Ach, miły Boże! — wstchnęła. — Gadam tu na wiatr, a pewnie nie będę miała za chwilę żadnego zajęcia. Sprzedaje wszystko, co posiadamy.

— Wielkie to nieszczęście! — odparł Gösta.

— Pamiętasz pewnie, Gösto, wielkie zwierciadło w salonie. Rzecz śliczna, z jednej tafli bez skazy, na ramie ni plamy w złoceniach. Dostałam je od matki, ale on i to chce sprzedać!

— Oszalał!

— Tak... to prawda! Oszalał i pewnie nie ustanie, aż znajdziemy się na gościńcu, zmuszeni żebrac jak majorowa.

— Nie dojdzie do tego chyba! — powiedział.

— O tak, Gösto! Odchodząc z Ekeby przepowiedziała nam to majorowa. Sprawdza się nieszczęście. Nie dopuściłaby za nic do tego szaleństwa, gdyby tu była... Wyobraź sobie... sprzedaje porcelanę, rodzinne filiżanki... Majorowa z pewnością nie dopuściłaby do tego.

— Cóż mu się stało? — spytał Gösta.

— Wściekł się, że Marianna nie wróciła do domu. Czekał i czekał. Chodził po alei całymi dniami i czekał. Tęsknił tak bardzo, że chyba stracił zmysły. Ale nie wolno mi tak mówić.

— Marianna myśli, że się na nią gniewa.

— Nie myśli tak, zna go, ale duma nie pozwala jej uczynić pierwszego kroku. Oboje są twardzi i butni, a na mnie odbija się wszystko. Jestem jakby między dwoma młyńskimi kamieniami.

— Ciocia wie chyba, że Marianna chce mnie poślubić.

— Ach, Gösto. Nie uczyni tego nigdy. Mówi tak tylko, by ojca drażnić. Jest zbyt rozpieszczona, aby wychodzić za człowieka biednego, i zanadto dumna. Idź i powiedz, by zaraz wracała, gdyż inaczej straci całą ojcowiznę. Stary sprzedaje wszystko za bezcen i nic chyba nie zostanie.

Te słowa rozgniewały Göstę. Siedząc na kuchennym stole pani Gustawa myślała tylko o porcelanie i zwierciadle.

— Powinna by się ciocia wstydzić! — zawołał. — Naprzód wypędzacie córkę z domu, potem zaś sądzicie, że nie wraca przez złość! Posądzacie ją też, że porzuci tego, którego kocha, tylko dlatego że jej niszczyście dziedzictwo.

— Drogi Gösto! — odparła. — Nie gniewajże się jeszcze i ty w dodatku! Nie wiem doprawdy już, co mówię. Chciałam otworzyć drzwi Mariannie, ale odciągnął mnie przemocą. Ciągłe mi teraz wszyscy powtarzają, że nic nie rozumiem. Chętnie oddałabym ci Mariannę, gdybym wiedziała, że ją uszczęśliwisz. Ale niełatwa to rzecz uszczęśliwić kobietę, drogi Gösto!

Spojrzał na nią. Jakże mógł przemawiać szorstko do pani Gustawy! Była zastraszona i wyczerpana, ale miała dobre serce.

— Ciocia nie pyta wcale o Mariannę? — powiedział.

Wybuchła łzami.

— A nie pogniewasz się, jeśli spytam? Od pierwszej zaraz chwili chciałam pytać. Wiem tylko, że żyje. Nie dostałam nawet słowa podziękki, kiedym jej posłała ubranie, więc sądziłam, żeście oboje postanowili, by mi nie dać znać o niczym.

Gösta nie mógł dłużej wytrzymać. Był człowiekiem szalonym, popędliwym i Bóg musiał czasem wysłać za nim w pościgu wilki swoje, by go utrzymać w ryzach, ale lzy tej starowiny gorsze były od wilków. Opowiedział tedy wszystko.

— Marianna przez cały czas chorowała na ospę. Dziś miała po raz pierwszy przejść z łóżka na kanapę. Nie widziałem jej od owej pierwszej nocy.

Pani Gustawa skoczyła na równe nogi. Zostawiła Göstę i pobiegła, nie rzekłszy słowa, do męża.

Zebrani w sali spostrzegli, że mu coś żywo szepce do ucha. Poczzerwieniał bardziej jeszcze i odkręcił kurek beczułki, tak że strumień wódki wyciekał na podłogę.

Pani Gustawa przyniosła widać ważne wieści, gdyż licytacja utknęła nagle. Młotek sprzedawcy przestał spadać, ścichło skrobanie piór pisarzy i nie słychać było ofert kupców.

Po chwili ocknął się Melchior Sinclaire z zadumy i zawołał:

— No... prędeży!

I licytacja poszła dalej swoim trybem.

Zaplakana pani Gustawa wróciła do czekającego w kuchni Gösty.

— Nie pomogło nic a nic! — zawołała. — Myślałam, że da pokój, dowiedziawszy się o chorobie Marianny, ale sprzedaje dalej. Czyni to jednak teraz tylko dlatego, że mu wstyd przerwać.

Gösta wzruszył ramionami, pożegnał ją i wyszedł. W sieni napotkał Sintrama.

— Diabelnie zabawna historia! — wykrzyknął Sintram zacierając ręce. — Mistrz z ciebie prawdziwy, Gösto! Czegożeś narobił!

— Niedługo będzie tu jeszcze zabawniej! — szepnął mu Gösta. — Proboszcz z Broby przywiózł pełne sanie pieniędzy. Chce podobno kupić całe Björne za gotówkę. Zobaczmy, jaką minę zrobi potężny Melchior.

Sintram wciągnął głowę w ramiona i śmiał się długo, bez dźwięku, potem zaś poszedł do sali i przystąpił do Melchiora.

— Jeśli chcesz wódki, Sintramie — powiedział doń Melchior — to poproście, u diaska, naprzód!

— Masz zawsze szczęście, braciszku! — rzekł mu Sintram. — Pewien człowiek przywiózł właśnie pełne sanie pieniędzy, chce kupić Björne wraz z inwentarzem żywym i martwym. Inni zaś licytują, on zaś siedzi przyczajony w kątku, bo taki jest układ, że pokaże się dopiero po licytacji.

— Dam ci kieliszek, ale powiedz najpierw, kto to taki!

Sintram ujął kieliszek, ale zanim dał odpowiedź, cofnął się o kilka kroków.

— Podobno proboszcz z Broby, braciszku!

Melchior Sinclaire miał lepszych od proboszcza przyjaciół. Od lat wiedli ze sobą spory. Krążyły wieści, że Melchior czatował nieraz po ciemku na drogach i wracający proboszcz dostawał niezłe cięgi kijem z rąk właściciela Björne, który nie cierpiał łupieżcy chłopów i skąpca.

Sintram odstał przeczornie na bok, ale nie całkiem uszedł zemście Melchiora, bowiem dostał w czoło kieliszkiem, a beczułka ciśnięta pod nogi omal go nie obaliła na ziemię. Potem jednak nastąpiło coś, co serce jego jeszcze długo radowało.

— Proboszcz z Broby chce kupić Björne? — zaryczał Sinclaire. — A wy stoicie tu i wylapujecie dlań jedną rzecz po drugiej? Wstydzcie się, ludzie!

Chwycił lichtarz i kałamarz i cisnął w tłum. Cała gorycz serca wyzwoliła się teraz. Wygrażał kupującym pięściami, wył i ciskał w nich wszystkim, co miał pod ręką. Kieliszki i butelki od wódki zawirowały w powietrzu.

— Licytacja skończona! — ryczał. — Jak długo ja żyję, proboszcz nie dostanie w pazury mego Björne! Precz! Wynoście się wszyscy! Nauczę was, co znaczy kupować dla proboszcza z Broby!

Przyskoczył do sprzedającego i pisarzy, oni zaś uciekli obalając w pośpiechu stół, a Melchior zaczął miotać się jak szalony w ciżbie.

Nastąpiło zamieszanie wielkie. Paręset ludzi cisnęło się w popłochu do drzwi przed jednym, oszalałym Melchiorem. Stał teraz w miejscu powtarzając grzmiąco:

— Precz! Precz!

Miotał obelgi i kręcił nad głową stolikiem niby maczugą bojową.

Potem ruszył naprzód, wyparł tłum do sieni, gdy zaś ostatni z przybyszów znalazł się na schodach, wrócił do sali, zamknął drzwi, wyciągnął ze sterty rupieci materac, kilka poduszek, legł i zasnął. Zbudził się dopiero następnego dnia.

Wróciwszy do domu dowiedział się Gösta, że Marianna chce z nim mówić. Było mu to na rękę, gdyż właśnie dumał, jakby się z nią zobaczyć.

Gdy go wprowadzono do ciemnego pokoju, stał chwilę przy drzwiach nie mogąc jej dojrzeć.

— Zostań, gdzie jesteś, Gösto! — powiedziała. — Zbliżać się do mnie niebezpiecznie.

Ale Gösta, który biegł tu po schodach drżąc z niecierpliwości i tęsknoty, nie zważał na możliwość zarazy. Pałał ochotą zobaczenia ukochanej.

Była tak piękna! Żadna nie miała tak miękkich włosów, tak jasnego, promiennego czoła, szlachetnych rysów, żywej, zachwycającej mimiki.

Wspomnił brwi ostro zarysowane, śmiały orli nos, łukiem wygięte usta, owal policzków i brody. Uprzytomnił sobie delikatną pleć, matowy blask skóry i błękit źrenic w bieli oczu, wspomniął, jak uroczy kontrast tworzyły ciemne brwi i jasne włosy Marianny.

Cudna była umiłowana Gösty! A jakież serce gorące kryła jej pierś. Pod wytworną powierzchownością i dumnymi słowy taił się bezmiar oddania i ofiary. Sam widok jej sprawiał rozkosz niewysłowioną.

Przybiegł tu co siłą, a ona sądziła, że będzie stał u drzwi. Za chwilę znalazł się przy niej i padł na kolana obok kanapy.

Chciał ją zobaczyć, ucałować i pożegnać. Kochał ją, czuł, że nigdy kochać nie przestanie, ale serce jego nawykło już do tego, że po nim deptano.

Gdzież miał szukać róży pozbawionej podpory i korzeni, którą by mógł wziąć i nazwać swoją? Zaprawdę, nie danym mu będzie zatrzymać dla siebie nawet tej, którą znalazł porzuconą i na poły martwą pośród drogi. Kiedyż miłość jego zanuci pieśń tak szczytną, że nie zmać jej żaden ton fałszu, kiedyż uda mu się zbudować szczęście na pewnym gruncie, tak by nikt nie pożądał go z niepokojem i tęsknotą?

Dumał, jak ma się z nią pożegnać.

„Wielka troska zapanowała w domu twoim! — chciał powiedzieć. — Serce mi krwawi na tę myśl. Musisz wracać do domu i doprowadzić ojca do rozsądku. Matce zagraża ciągłe niebezpieczeństwo! Musisz wracać, ukochana!”

Miał na ustach takie słowa wyrzeczenia się, ale nie zostały wypowiedziane.

Padł na kolana przy łożu, ujął w obie dłonie jej głowę i ucałował. Nie mógł wyrzec słowa. Serce zaczęło bić, jakby chciało rozsadzić pierś.

Ospa zesześciła piękne oblicze Marianny, skóra zgrubiała, osypana dziobami i bliznami. Krew nie miała już nigdy zabarwić rumieńcem policzków, a błękitne żyłki ze skroni znikły na zawsze. Oczy przygasły, przysłonięte nabrzmiałymi powiekami. Ni śladu brwi nie zostało, a biała emalia oczu pożółkła.

Wszystko niszczało. Śmiałe rysy zgrubiały strasznie.

Wielu opłakiwało potem utratę piękności Marianny Sinclaira, ale pierwszy człowiek, który zobaczył to zniszczenie, nie poddał się bólowi. Niewysłowione uczucia przepoiły mu duszę, im dłużej patrzył, tym goręcej biło mu serce, a miłość wzbierała niby rzeka na wiosnę. Płomienne jej fale wystąpiły na oczach jako łzy, jako westchnienie na ustach; trzęsły mu się ręce i drżał całym ciałem.

Zapragnął bronić jej, nagrodzić wszystko, być jej niewolnikiem i opiekunem!

Jakże silna jest miłość po przejściu ogniowego chrztu cierpienia. Nie mógł teraz mówić o rezygnacji i rozstaniu. Chciał jej oddać życie i gotów był popełnić dla niej śmiertelny grzech.

Nie rzekł jednego rozsądnego słowa, płakał tylko i całował ją długo, aż stara pielęgniarka oświadczyła, że czas mu odejść.

Gdy poszedł, Marianna leżała bez ruchu i myślała o nim i o tym, jaki był wzruszony: „Dobrze jest być aż tak kochaną”.

Tak kochaną? Cóż jednak czuła ona sama? Ach... nic! Mniej nawet niż nic!

Czyż zmarła miłość jej, czy uciekła dokądś, czy może ukryła się w sercu? Może siedziała tam, w najciemniejszym kątku i drżała od mrozu lodowatych oczu i śmiechu wzgardy, na poły zadławiona kościstymi palcami potwora.

— Miłość moja! — westchnęła. — Dziecko serca mego, zali żyjesz jeszcze, czy zmarłeś wraz z pięknością?

Następnego dnia wczesnym rankiem wszedł do żony i powiedział:

— Postaraj się zrobić porządek w domu, Gustawo! Jadę po Mariannę!

— Dobrze, drogi Melchiorze! Zrobię porządek! — odrzekła.

Tak więc zapanowała znowu zgoda między małżonkami, a w godzinę potem jechał potężny pan z Björne do Ekeby.

Trudno sobie wyobrazić wspanialszego i uprzejmiejszego ziemianina nad Melchiora, kiedy tak siedział w otwartych saniach karetowych, przybrany w najlepsze futro i najpiękniejszy szal. Włosy miał przyczesane gładko i rozdzielone na głowie, ale twarz bladą, a rysy zapadłe.

Nieźrównanym blaskiem lśniło wszystko tego pogodnego dnia lutowego. Śnieg migotał jak oczy młodych dziewcząt, gdy muzyka zagra do tańca. Brzozy czerwonymi delikatnymi niby koronki gałązkami sięgały w niebo, a z niektórych zwisały małe, przejrzyste sople.

Nastrój panował świąteczny, konie tańczyły i wyrzucały przednie nogi, woźnica radośnie strzelał z bata.

Niebawem sanie stanęły przed bramą ekebijskiego pałacu. Służący wybiegł na podjazd.

— Czy są w domu panowie? — spytał Melchior Sinclair.

— Pojechali tropić wielkiego niedźwiedzia na Gurlitę.

— Wszyscy razem?

— Wszyscy, jaśnie panie! Jednych zwał niedźwiedź, a drugich prowiant wzięty na drogę.

Dziedzic Björne zaśmiał się, aż echo poszło po pustym dziedzińcu, i dał służącemu talara za sprytną odpowiedź.

— Powiedź córce mojej, proszę, że przyjechałem po nią! Niech się nie boi mrozu, postawi się budę, mam też wilczurę.

— Może jaśnie pan raczy wstąpić?

— Nie, wolę tu!

Służący poszedł, a Melchior przysposobił się na czekanie. Był dziś tak rozpromieniony, że nic go wytrącić nie mogło z tego nastroju. Z góry wiedział, że będzie chyba musiał nieco poczekać, gdyż Marianna na pewno nie wstała jeszcze. Dla rozrywki jął spoglądać wokół.

U szczytu dachu wisiał duży sopel, z którym borykało się słońce. Zaczynało od góry, chcąc, by kropla zbiegła po soplu i spadła, ale zaledwo odbyła połowę drogi, kostniała na nowo. Słońce wysilało się nadaremnie. Nagle jeden zuchwały promyk wziął na kiel, ni stąd, ni zowąd zaczął prażyć w sam koniec sopla i udało mu się — za chwilę spadła na ziemię mała kropelka.

Dziedzic śmiał się i rzekł do promyka:

— Wcale mądra z ciebie szelma!

Podwórze było ciche i puste, z domu nie dolatywał najlżejszy szmer. Ale Melchior czekał cierpliwie, wiedząc, ile czasu potrzeba kobiecie na ubranie.

Siedział i spoglądał na gołębnik. Był okratowany na zimę, aby jastrząb nie mógł porywać gołębi. Od czasu do czasu któryś z ptaków wyścibiał biały łebek przez oczka kraty.

— Czekaj wiosny! — powiedział Melchior. — Ale musi być cierpliwy.

Gołąb podchodził do kraty tak regularnie, że czekający dobył zegarka i zaczął liczyć. Punktualnie co trzy minuty jawił się łeb ptaka.

— O nie, mój drogi! — powiedział Melchior. — Wiosna nie może nadejść za trzy minuty! Musisz się nauczyć cierpliwości.

I on musiał czekać, ale miał pod dostatkiem czasu.

Konie grzebały zrazu kopytami w śniegu, lecz znużone staniem i słońcem, zacierającym im w oczy, zetknęły się głowami i zasnęły. Stangret siedział na koźle wyprostowany, sztywny, z biczem i lejcami w rękach i spał, głośno chrapiąc.

Ale dziedzic nie spał. Nigdy mu się mniej niż dziś spać nie chciało i czuł się wyśmienicie, czekając wesoło. Marianna była chora, przyjść prędzej nie mogła, ale nadejdzie zaraz. Oczywiście, przyjdzie i wszystko będzie znowu dobrze.

Przekonała się, że ojciec nie czuje gniewu, bo wszakże przybył osobiście, i to karetowymi saniami, parą koni.

U wylotu ula mała sikorka urządziła szatańską wprost zasadzkę. Chcąc zdobyć coś na obiad usiadła i pukała dziobem po deszczulce. Wewnątrz ula wisiały pszczoły wielkim, czarnym gronem u stropu, ale panował tu porządek wzorowy. Szafarze wydzielali porcje, a podczaszowie krążyli z nektarami i ambrozją od ust do ust. Pszczoły tkwiące w środku wylaziły raz po raz na wierzch ustępując następnym ciepłego zakątka.

Nagle usłyszały pukanie i ogarnęła je ciekawość. Czy to wróg, czy przyjaciel? A może zagraża państwu jakieś niebezpieczeństwo? Królowa czuła wyrzuty sumienia i nie chciała czekać. A może to pukają duchy pomordowanych trutni? „Idź i zobacz!”, rozkazała odzwiernej. Ta wydawszy okrzyk: „Niech żyje królowa!” wyleciała i... pac... schwyciła ją sikorka w dziób. Wyciągnęła szyję, smakowała, rozkoszowała się strawą, a potem ją pukać na nowo. Widząc, że wystanka nie wraca z wieścią, wysyłała królowa jedną furtiankę po drugiej, ale ginęły wszystkie. Nie wiadomo, kto puka! Hu! Bardzo nieprzyjemnie zrobiło się w ulu. Pewnie duchy pomsty grasują wokoło. Ach, gdybyż nie słyszeć, móc poskromić ciekawość i czekać cierpliwie!

Potężny dziedzic śmiał się do łez z głupich pszczół i chytrego ptaszka na desce siedzącego.

Nie sztuka czekać będąc pewnym swego i mogąc się rozerwać różnymi rzeczami.

Nadchodzi wielki brytan. Stąpa niedbale, oczy w ziemię spuszczone, ogonem kręci lekko, jakby się gdzieś udawał w najobojętniejszej sprawie. Nagle jednak zaczyna gorliwie rozgrzebywać śnieg. Stary szelma, najwidoczniej ukrył tu jakieś bezprawnie zdobyte dobro.

Ale właśnie gdy podnosi łeb, by rozejrzeć się, czy może je spożyć w spokoju, słupieje ze zdumienia, widząc przed sobą dwie sroki.

— Złodziejska melina! — mówią sroki, a wyglądają jak samo sumienie. — Jesteśmy służbowo, z policji. Dawaj tu, coś ukradł!

— Cicho mi być, cwaniaczki! Ja tu jestem rządcą!

— Właśnie! Akurat! — drwią.

Pies rzuca się na nie, sroki odfruwają, ociężale bijąc skrzydłami. Pies goni, podskakuje, szczeka, ale gdy jedną ściga, druga przez ten czas wraca. Sfruwa na jamę, szarpie ochłap mięsa, nie może go jednak udźwignąć. Pies wrywa jej mięso i wgrzyza się w nie, przytrzymując je łapami. Sroki sadowią się tuż przed nim i dogadują paskudnie. Pies je lypiąc ponuro, a gdy już zbyt dokuczają, zrywa się i przepędza sroki.

Słońce zaczęło staczać się ku zachodowi. Melchior Sinclair spozjrzał na zegarek. Była trzecia, a matka czekała z obiadem od dwunastej.

W tej właśnie chwili nadszedł służący i powiedział, że panna Marianna prosi jaśnie pana. Melchior Sinclair wziął wilczurę na ramię i wszedł rozpromieniony na schody.

Marianna słysząc ciężkie kroki ojca nie wiedziała jeszcze, czy pojedzie z nim. Chciała jeno położyć kres czekaniu.

Sądziła, że kawalerowie wrócą, ale nie wracali, musiała teraz sama zdecydować, gdyż znieść nie mogła dłużej zwłoki.

Pewna była, że ojciec odjedzie po dziesięciu minutach rozwścieczony, albo wyważy drzwi i podpali dom.

On jednak czekał uśmiechnięty. Nie czuła doń nienawiści ni miłości, tylko głos wewnętrzny ostrzegał ją przed popadnięciem w jego moc na nowo. Chciała też dotrzymać słowa Goście.

Gdybyż choć zasnął, gdyby krzyczał, okazał zdenerwowanie lub wątpliwość, czy podjechał w cień! Nie, czekał pełen radości, całkiem pewny wygranej. Wiedział, że postawi na swoim.

Mariannę rozboleła głowa i nerwy jej dokuczać zaczęły. Nie mogła zaznać spokoju, jak długo czekał. Wydało jej się, że wolą swoją ściąga ją ze schodów na dół.

Postanowiła rozmówić się z nim przynajmniej.

Kazała podnieść story i legła tak, by światło padało prosto na twarz. Był to rodzaj próby. Ale dnia tego Melchior Sinclaire był wprost dziwnym człowiekiem.

Zobaczywszy córkę nie drgnął, nie wydał okrzyku, jakby nie dostrzegł w niej najmniejszej zmiany. Wiedziała, jak dumny był z jej piękności, a mimo to nie przejawiał w niczym rozczarowania. Zapanował nad sobą, by jej nie zasmucić. To ją wzruszyło do głębi i zrozumiała, czemu matka kochała mimo wszystko tego człowieka.

Nie zdradził jakiegokolwiek wahania. Nie rzekł też słowa wyrzutu ni usprawiedliwienia.

— Okryję cię wilczurą, Marianno! — powiedział. — Ciepła jest, bo leżała przez cały czas na mych kolanach.

Mimo to podszedł do kominka i grzał futro. Potem pomógł jej wstać, okrył, zarzucił na głowę szal i skrzyżowawszy go na piersiach związał z tyłu końce.

Poddawała się bez oporu czując, jak miło dać się pielęgnować i ochraniać. Jakże to wygodnie nie pragnąć niczego samej. Dogadzało to jej w tym stanie rozstroju i udręki, wszak sądziła osobie, że nie posiada jednego uczucia ni własnej woli i myśli.

Potężny ziemianin wziął ją na ręce, zniósł do sań, zaciągnął budę, otulił ją wilczurą i odjechał z Ekeby.

Zamknawszy oczy westchnęła, po trosze w poczuciu ulgi, a także smutku. Brała rozbrat z życiem rzeczywistym. Ale powinno jej to być obojętne, bo przecież nie umiała żyć, jeno grać komedię.

W kilka dni później matka umożliwiła Mariannie rozmowę z Göstą. Gdy mąż wybrał się w dłuższą drogę, by dozorować drwali, posłała po Göstę do Ekeby i wprowadziła go do pokoju córki.

Gösta wszedł, ale nie powitał Marianny ani nie wyrzekł słowa. Stojąc u drzwi milczał jak uparty wyrostek.

— Gösto! — zawołała ze swego fotela trochę ubawiona.

— Tak się zowie! — odparł.

— Chodźże do mnie, Gösto, chodź blisko!

Podszedł nie podnosząc oczu.

— Bliżej... bliżej! Uklęknij tu, przy mnie!

— Cóż to wszystko ma znaczyć, na miły Bóg? — powiedział, ale spełnił polecenie.

— Chcę ci tylko powiedzieć, Gösto, że dobrze się stało, iż wróciłam do domu.

— Miejmy nadzieję, że panna Marianna nie zostanie ponownie wyrzucona na śnieg!

— Ach, Gösto! Czyż mnie już nie kochasz! Wydaję ci się pewnie za brzydka?

Przyciągnął do siebie jej głowę i pocałował, ale pozostał nadal chłodny.

Bawiło ją w gruncie rzeczy, że był zazdrosny o rodziców. Ale pomyślała, że to minie. Rada była zdobyć go z powrotem, nie wiedząc po co. Pamiętała, że zdołał uwolnić ją od siebie samej, i czuła, że jest to jedyny człowiek, któremu by się to raz jeszcze powieść mogło.

Zaczęła tedy mówić, pragnąc go odzyskać. Powiedziała, że nie ma zamiaru porzucić go na stałe, jednakże przez czas pewien, dla zachowania pozorów — nie mogą się widywać. Wskazała na to, że sam uznał ojca za wpółoszalałego, że wyraził obawę o matkę, powinien więc zrozumieć, że była zmuszona wrócić do domu.

Wysłuchawszy, Gösta dał upust złości swojej. Oświadczył Mariannie wprost, że już może zaprzestać komedii, gdyż nie ma zamiaru być dalej jej pajacem. Opuściła go w tej samej chwili, gdy otwarły jej się bramy domu, tedy kochać jej nie może. Wróciwszy z polowania nie zastał ni jej samej, ni słowa pożegnania czy bodaj zawiadomienia, tak że zdrętwiał i omal nie padł na miejscu trupem. Osoby, zdolnej tak ranić, kochać nie sposób. Nie kochała go też nigdy, ale jest po prostu kokietką i chciała mieć pod ręką kogoś, kto by ją całował i pieścił.

Spytała, czy naprawdę wierzy, by z nawyku pieściła się i całowała z mężczyznami?

Odparł, że wierzy, bo kobiety nie są tak święte, jak z pozoru sądzić można. Samolubstwo i kokieteria to cała ich treść! Ponownie wspomniawszy, czego doznał wróciwszy z polowania. Wydało mu się, że brodzi po lodowatej wodzie, i tego bólu nie zapomni nigdy. Nigdy, już nigdy nie będzie człowiekiem jak inni.

Starła się wyjaśnić przebieg wszystkiego i dowieść, że była i jest mu wierna.

Odparł, że to rzecz obojętna, gdyż jej już nie kocha. Przejrzał ją. Jest egoistką. Jako egoistka nie kochała go nigdy i odeszła bez słowa pożegnania.

Wracał do tego ciągle, a ją to niemal bawiło. Rozumiała gniew jego i nie brała mu go za złe. Zrazu nie obawiała się też rzeczywistego zerwania, ale potem ogarnął ją niepokój. Czyżby nastąpiła w nim istotnie taka zmiana, że już jej kochać nie mógł?

— Gösto! Czyż byłam egoistką idąc do Sjö po majora? — spytała. — Wiedziałam przecież, że panuje tam ospa. Zaprawdę, nie jest też wcale miło brnąć po śniegu w cienkich trzewikach balowych.

— Miłość żyje miłością, nie przysługami i dobrodziejstwem! — odparł Gösta.

— Chcesz przeto, byśmy sobie byli w przyszłości całkiem obcy?

— Tak, chcę tego!

— Gösta Berling jest bardzo kapryśny.

— Tak powiadają.

Był zimny jak lód i nie chciał odtajać. Marianna była też w gruncie rzeczy równie zimna, a samokrytyka drwiła z jej usiłowań, by grać rolę zakochanej.

— Gösto! — powiedziała czyniąc ostatni wysiłek. — Nie skrzywdziłam cię nigdy rozmyślnie, choć ci się tak zdawało. Proszę, przebac mi!

— Nie mogę przebaczyć.

Wiedziała, że mogłaby go odzyskać okazując wielkie, prawdziwe uczucie. Zagrała namiętną. Lodowate oczy samokrytyki szczyły wprawdzie dalej, ale spróbowała na wszelki wypadek; nie chciała go utracić.

— Gösto! Nie odchodź zagniewany! Zważ, jak jestem oszpecona! Nikt mnie już kochać nie zechce!

— I ja cię już nie Kocham! — odpowiedział. — Musisz, jak inni, pogodzić się z tym, że serce twe zostanie zdeptane.

— Gösto! Nie kochałam nikogo prócz ciebie! Przebac i nie opuszczaj mnie! Jesteś jedynym człowiekiem, który może ocalić mnie od samej siebie!

Odsunął się porywczo.

— Nie mówisz prawdy! — rzekł z lodowatym spokojem. — Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale czuję, że kłamiesz! Czemuż to usiłujesz mnie przytrzymać? Jesteś tak bogata, że ci nigdy nie zabraknie konkurentów.

Rzekłszy to wyszedł.

Ledwie zapadły drzwi, serce Marianny zapalało tęsknotą oraz bólem wielkim i do-
stojnym.

Miłość, dziecię jej serca, wypełzło z zakamarków duszy, gdzie tkwiła obezwładniona lodowatymi oczyma. Teraz wyszła na jaw z tęsknotą oczekiwania, teraz, kiedy było za późno. Poważna była, prawdziwa, potężna, a ból i żalność dźwigały jej płaszcz królewski.

Uświadomiwszy sobie, że Gösta opuścił ją naprawdę, uczuła Marianna ból wprost fizyczny, a tak gwałtowny, że ją niemal oszołomił. Przycisnęła rękami serce i siedziała długo bez ruchu, walcząc z bólem i nie płacząc wcale.

Cierpiała teraz nie aktorka, ale ona sama.

Czemuż ojciec ją zabrał, czemu rozłączył z Göstą, skoro miłość jej nie zmarła, tylko skutkiem choroby utraciła swą moc.

Boże! Boże! Czemuż go utraciła! Czemuż ocknęła się poniewczasie!

Był jedynym władcą jej serca i od niego wszystko znieść była gotowa. Okrucieństwo i gniewne słowa czyniły jeno pokorniejszą jej miłość. Gdyby ją bił, całowałaby mu ręce wijąc się jak pies.

Nie wiedziała, co począć, by doznać ulgi w strasliwym cierpieniu.

Chwyliła pióro i zaczęła pisać gorączkowo. Zrazu pisała o miłości i jej utracie, potem błagała, by wrócił lub choćby zlitował się. Stworzyło się coś w rodzaju wiersza.

Skończywszy, pomyślała, że gdyby to przeczytał, uwierzyłby, że go kocha. Czemuż tedy nie posłać? Postanowiła to uczynić nazajutrz, pewna, że go skłoni do powrotu.

Dnia następnego walczyła i pasowała się ze sobą. To, co napisała, wydało jej się bardzo liche, a nawet głupie. Gdzież rym i rytm? Zwyczajna proza i nic więcej! Wyśmiałyby na pewno te wiersze. Zbudziła się też duma. Jeśli jej nie kochał, poniżyłaby się żebząc miłości.

Rozsądek podniósł również głowę i oświadczył, że winna cieszyć się z zerwania stosunków z Göstą, gdyż smutny byłby ich wynik.

Ale serce tak cierpiało, że dała pierwszeństwo uczuciu. Trzeciego dnia po uświadomieniu sobie miłości włożyła wiersz w kopertę i nakreśliła na niej nazwisko Gösty. Ale nie wysłała listu, gdyż zanim się zdecydowała, doszły ją wieści o Göście, które wzbudziły w niej przekonanie, iż za późno już, by go odzyskać.

Do końca życia gnębiła ją myśl, że się spóźniła, że nie wysłała w porę wierszy. W bólu swym wracała ciągle do jednego i tego samego punktu:

— Ach, czemuż czekałam przez tyle dni!

Napisane słowa miały jej zdobyć szczęście lub przynajmniej prawdziwe życie. Pewna była, że zdołałaby przywieść Göstę z powrotem.

Ale cierpienie oddało jej tę samą przysługę co miłość. Dojrzała, stając się teraz człowiekiem prawdziwym, rozumiejącym, zdolnym do oddania się złej czy dobrej woli. Płomienne uczucia popłynęły swobodnie przez jej duszę, nie tamowane już lodowatym chłodem samokrytyki.

Toteż mimo oszpeceń wielu darzyło ją miłością swoją.

Podobno nie mogła jednak nigdy zapomnieć całkiem Gösty i pozostał w niej żal jak po roztrwonionym życiu.

Dawno poszły już w niepamięć wiersze jej, swego czasu czytane powszechnie. Leżą oto przede mną, spisane gęstym drobnym pismem na pożółkłym papierze, wyblakłym atramentem. Doznaję na ich widok dziwnego wzruszenia. Słowa te wyrażają wyrzeczenie całego życia i odpisuję je z drżeniem, jakby posiadały tajemniczą siłę.

Przeczytajcie je, proszę, i pomyślcie nad nimi. Któż wie, jaki by odniosły skutek, gdyby zostały wysłane. Są tak namiętne, że świadczą o prawdziwym uczuciu.

Wzruszają mimo niezdarnej formy, ale któż by chciał je widzieć zakute w rymy i rytmy! A jednak, jakże boleśnie pomyśleć, że właśnie ta wada spowodowała, iż nie zostały wysłane.

Przeczytajcież, proszę, i pokochajcie je. Pisał to człowiek w chwili wielkiego cierpienia.

Kochałaś, moje dziecię, lecz już nigdy
Nie zaznasz szczęścia miłości.
Drżałaś wśród nawałnicy zmysłów —
Teraz bądź rada, żeś znalazła ciszę.
W niebo nie wzniesiesz się radosnym krzykiem.
Teraz spokojny twój duch...
Nigdy ci straszny ból nie zmrozi serca —
Nigdy, już nigdy...

Kochałaś, moje dziecię, lecz już nigdy
Dusza miłosnym nie spłonie ci żarem...
Płonęłaś niby trawa w słonecznej pożodze.
Lecz cóż! — płonęłaś jedną tylko chwilę...

Od żaru iskier, od gryzących dymów
Z głośnym pokrzykiem odleciało ptactwo...
Wracaj spokojna... Teraz już nie płoniesz
I nigdy już nie zapłoniesz...

Kochałaś, moje dziecię, lecz już nigdy
Nie zawoła cię głos miłości,
Moce twej duszy, jak znużone dzieci.
Które ktoś wtłoczył w twardą, szkolną ławkę,
Rwą się do zabaw, rwą się do wolności.
A przecież nikt ich nie woła...
Jak zapomniany wartownik, gdzieś, w polu,
Którego nikt nie zawoła...

Odszedł, tak, moje dziecię, odszedł twój jedyny,
Odeszła z nim miłość i szczęście.
Kochałaś go, dziecię, jakby cię nauczył
Na skrzydłach szczęścia wzbijać się ku niebu.
Kochałaś go, jakby ci dał w podarunku
Jedyną przystań w straszny czas powodzi...
I oto odszedł — on, który tak umiał,
Jedyny — znaleźć klucz do twego serca...

O jedno, mój ukochany, błagam cię z głębi serca:
Nie każ mi nienawidzić!
Wszak serce ludzkie jest chyba najsłodsze
Z wszystkiego, co jest słabe...
Jakżeby mogło żyć z tą straszną myślą,
Że jest dla kogoś udręką!

O, ukochany — jeśli chcesz mnie zabić,
Nie bierz sztyletu, trucizny ni sznura —
Tylko mi powiedz, że powinnam zniknąć
Z powierzchni ziemi i spośród żyjących.
A rychło zejść w mogiłę!

Daleś mi życie, wiem, dałeś mi miłość,
Teraz odbierasz swe dary... Niechże i tak będzie.
Lecz nie zamieniaj ich w nienawiść!
Chciałabym jeszcze trochę żyć, pamiętaj!
Lecz pod ciężarem nienawiści
Przyjdzie mi rychło zginąć.

IO. O MŁODEJ HRABINIE

Młoda hrabina sypiała do dziesiątej i chciała mieć codziennie świeże pieczywo do śniadania. Młoda hrabina haftowała i czytała wiersze. Nie знаła się na kuchni ni krosnach. Była rozpieszczonym dzieckiem.

Ale młoda hrabina była wesoła i jej promienna pogoda udzielała się wszystkim. Wybaczano jej długi sen i świeże pieczywo, gdyż była wprost rozrzutna w obdarowywaniu ubogich i uprzejma dla każdego.

Ojciec młodej hrabiny, szlachcic szwedzki, osiadł na stałe we Włoszech ulegając czarowi kraju i jego pięknych kobiet.

Hrabia Henryk Dohna podczas podróży poznał córki owego szlachcica i przywiózł sobie jedną z nich do domu jako żonę.

Hrabina znała szwedzki język od dziecka, a w domu rodzinnym nauczono ją kochać wszystko, co szwedzkie, toteż czuła się doskonale w kraju niedźwiedzi. Namiętnie lubiła taniec i wszystkie rozrywki zwyczajne na wybrzeżach Lövenu, jakby tu przyszła na świat. Jednego jej tylko brakło — nie umiała być hrabiną. Młodej, wesołej hrabinie brakowało całkiem sztywności i pogardliwego dostojeństwa.

Starsi zwłaszcza panowie zachwycali się nią niezmiernie. Ile razy była na balu, zawsze mawiali potem do swych żon — sędzia z Munkerudu, dziekan z Bro, Melchior Sinclair lub kapitan z Bergi — i to w największym zaufaniu, że gdyby napotkali hrabinę jakiegoś czterdzieści lub trzydzieści lat temu, to...

— Ach, w czasach tych nie było jej jeszcze na świecie! — odpowiadały starsze panie, a ujrzawszy hrabinę czyniły jej żartobliwe wymówki, że im odbiera serca mężów.

Starsze panie spoglądały na młodą kobietę z pewnym zatroskaniem, wspominając hrabinę Märte. Przybywszy do Borgu była równie wesoła, dobra i lubiana, później jednak stała się próżną i żądną zabawy kokietką, która rozrywki przносиła nad wszystko.

— Szkoda, że nie ma męża, który by ją posadził do roboty! — mówiły między sobą.

— Szkoda, że nie ma pojęcia o pracy w warsztacie tkackim. To zajęcie, wymagające skupienia wszystkich myśli, bywa pociechą w różnych troskach i uratowało już niejedną kobietę.

Młoda hrabina rada by zostać dzielną gospodynią. Uważa, że nie ma nic piękniejszego, jak być szczęśliwą małżonką i sprawnie zawiadywać domem. W towarzystwie trzyma się też chętnie starszych pań.

— Henryk chce, bym się wyrobiła na zapobiegliwą panią domu — mawiała — jaką była jego matka. Nauczciez mnie tedy taktwa!

Starsze panie westchnęły dwukrotnie na te słowa. Po pierwsze, jak Henryk mógł mówić, że matka jego była dzielną panią domu, a po wtóre, jakże trudno wtajemniczać to nieświadome dziecko w tak zawiłą sztukę! Już same techniczne nazwy różnych części wywołują u niej zawrót głowy, a cóż dopiero gdy się zacznie mówić o „sieraczku”, „samodziale” i „drelichu”.

Dziwuje się każdy, kto ujrzy hrabinę, że mogła poślubić głupiego hrabiego Henryka.

Straszna bieda głupiemu w każdej okoliczności i miejscu, ale najbardziej doskwiera głupcom los — w Värmlandii.

Mimo że minęło mu dopiero dwadzieścia lat, mnóstwo historyjek krąży o głupocie hrabiego Henryka. Powtarzają na przykład jego rozmowę z Anną Stjärnhök podczas jazdy sankami.

— Jesteś piękna, Anno! — powiedział.

— Ach głupstwo, Henryku!

— Jesteś najpiękniejsza w całej Värmlandii!

— Wcale nie!

— Ale najpiękniejsza na tym kuligu jednak jesteś?

— Wcale nie.

— Jesteś w każdym razie najpiękniejsza w tych sankach! Nie zaprzeczysz chyba?

W istocie zaprzeczyć nie mogła, gdyż hrabia Henryk był równie brzydki jak głupi. Powiadano, że głowa jego przechodziła przez paręset lat z jednego członka rodziny na drugiego i dlatego mózg został do tego stopnia zużyty przez przodków.

To zupełnie oczywiste — mówili ludzie — nie ma własnej głowy, lecz pożyczoną od ojca swego. Boi się schylić, by mu nie spadła. I cerę ma całkiem żółtą i pomarszczone czoło. Jeśli tą samą głową posługiwał się choćby tylko dziad i ojciec jego, zrozumieć łatwo, dlaczego ma tak rzadkie włosy, podbródek tak ostry, a wargi tak cienkie i bezkrwiste.

Otaczali go dowcipnisie wyciągając na głupstwa i puszczając je dalej w obieg w poprawionym i upięszonym wydaniu. Na szczęście nie spostrzegał tego, był nieustannie uroczysty, pełen namaszczenia i dziwiło go, czemu wszyscy nie są tacy sami. Powaga była mu wrodzona, poruszał się miarowo, kroczył sztywnie, a chcąc obrócić głowę, obracał się całym ciałem.

Przed kilku laty wybrał się z wizytą do sędziego Munkerudu. Przybył konno, w złotych spodniach, lśniących butach i wysokim kapeluszu. Siedział w siodle sztywny i dumny. Zrazu wszystko szło gładko. Ale w drodze powrotnej jakaś zwisająca gałąź w alei brzo-zowej strąciła mu kapelusz z głowy. Hrabia zsiadł z konia i włożywszy kapelusz przejechał po raz drugi pod tą samą gałęzią. Nakrycie głowy spadło ponownie. Powtórzyło się to cztery razy.

Wreszcie sędzia podszedł ku hrabiemu i rzekł:

— Czy nie mógłbyś jednak ominąć tej gałęzi, bracie Henryku?

Za piątym razem przejechał jakoś szczęśliwie.

Jednak mimo jego starodawnej głowy kochała go żona. Poznawszy hrabiego w Rzymie nie wiedziała, że w swojej ojczyźnie jest takim męczennikiem głupoty. Owiewał go wówczas czar młodości, a znajomość ich miała tło nader romantyczne. Opowiadała nieraz, jakiego hałasu narobiło porwanie jej przez hrabiego Henryka. Kardynałowie i mnisi byli rozwściekieni, że wyrzekła się wiary swej matki, będącej dotąd i jej wiara, i postanowiła przejść na protestantyzm. Wzburzony tłum obległ pałac ojca, Henryka ścigali bandyci, a siostry i matka błagały, by zaniechała tego związku. Ojciec zawrzał gniewem wobec uroszczeń włoskiej bandy; oświadczył, że może dać córkę, komu chce, i polecił Henrykowi porwać ją. Nie mogąc wziąć ślubu w domu, schronili się, idąc chyłkiem ciasnymi uliczkami, do szwedzkiego konsulatu. Tam hrabina oświadczyła, że wyrzeka

się wiary katolickiej, po czym natychmiast udzielono im ślubu i wyprawiono na północ w zamkniętym powozie, zaprzężonym w ogniste rumaki.

— Nie mieliśmy w ogóle czasu na zapowiedzi — mawiała hrabina — i bardzo smutny wydał mi się ten ślub w biurze, zamiast w którymś z pięknych kościołów, ale inaczej nie zostałabym żoną Henryka. Tam, we Włoszech, wszyscy są tak popędliwi, zarówno ojciec, jak mama, kardynałowie i mnisi. Musieliśmy się kryć, gdyż zabito by nas oboje jedynie w celu zbawienia mojej duszy. Henryka uważano już i tak za straconego.

Hrabina kochała męża żyjąc z nim spokojnie w ojczyźnie, w borgijskim pałacu. Miły był jej blask starego nazwiska, długi szereg słynnych przodków, a także to, że przy niej Henryk zatracił sztywność, a głos jego nabierał miękkiego, łagodnego brzmienia. Zresztą kochał ją, rozpieszczał i wreszcie była przecież żoną jego, a żona zdaniem hrabiny powinna kochać męża swego.

Odpowiadał poza tym poniekąd jej ideałowi mężczyzny, był uczciwy, prawdomówny i zawsze dotrzymywał danego słowa. Hrabina uważała go za prawdziwego szlachcica.

Dnia ósmego marca obchodził urodziny sędziego Scharling. W domu jego pełno było gości. Ze wschodu i zachodu nadciągali znajomi i nieznajomi, proszeni i nie proszeni, wszyscy mile witani. Starczyło dla wszystkich jadła i napitku, a sala taneczna pomieścić mogła zwolenników piasów z siedmiu parafii.

Oczywiście przybyła także młoda hrabina, której nie zabrakło nigdy, gdy szło o tańce i rozrywki.

Ale opuściła ją zwykła wesołość, jakby przeczuwała, że i na nią przyszła kolej porzucić ciche życie, że i ona zostanie porwana dzikim wirem wypadków. Jadąc na przyjęcie widziała słońce zachodzące na bezchmurnym niebie, szary zmierzch słał się wszędzie, a zimny wiatr gnał po polach. Zapatrzyła się w tę walkę dnia z nocą, która napawała strachem każdą żywą istotę. Konie rwały z kopyta, by się czym prędzej znaleźć pod dachem, rębacze śpieszyli z lasu, dziewczęta folwarczne porzucały robotę. W gęstwie lasu porykiwały dzikie zwierzęta. Pokonany został jasny dzień, ulubieniec ludzi.

Barwy nikły, światłość gasła. Wszystko, na co padł jej wzrok, wydało się hrabinie zimne i brzydkie. Sny, miłość, wszystko, co działała, utonęło jak gdyby w szarym mroku. Młoda kobieta odczuwała wspólnie z przyrodą chwilę znużenia, niemocy, klęski. Pomyślała, że serce jej, teraz wezbrane radością, strojące życie w złoto i purpurę, kiedyś, być może, także utraci swą moc rozjaśniania świata.

„O biedne, omdlałe serce moje! — myślała. — Ogarnia cię i zdusi mrok głuchy i zostanie twym władcą. Życie wyda mi się wówczas brzydkie i ponure, jakim jest może w istocie, włosy posiwieją, grzbiet się skrzywi, mózg stępieje”.

W tej chwili sanki skrzyły w podwórzu domu sędziego, a spojrzenie hrabiny padło na zakratowane okienko w bocznym budynku, z którego wyzierała twarz o złych oczach.

Była to majorowa z Ekeby. Młoda kobieta czuła, że przepadła na dziś całą jej radość. Można się radować, gdy troska i ból dalekie są i mgliste niby duchy w obcym kraju, dużo trudniej jednak zachować wesołość spojrzawszy im w twarz.

Hrabina wiedziała, że sędzia uwięził majorową z powodu gwałtu popełnionego pamiętnej nocy w Ekeby i że ma być sądzona. Nie przypuszczała jednak, że ją trzymają tutaj w domu, tak blisko balowej sali, iż można z okien patrzeć w głąb jej więzienia, i że winowajczyni słyszy muzykę i rozgwar zabawy. Myśl o niej pozbawiła hrabinę wszelkiej radości.

Tańczyła wprawdzie walce i kadryle, menuety i anglezy, ale pomiędzy jednym tańcem a drugim podchodziła do okna i spoglądała na budynek przeciwny. W stancyjce majorowej było światło, tak że widziała, jak chodzi tam i z powrotem, bez końca. Za każdym takim spojrzeniem nogi hrabiny posuwały się wolniej w tańcu, a uśmiech zamierał jej w piersi.

Pani domu spostrzegła, że hrabina przeciera zamglone szyby i wygląda, więc zbliżyła się do niej.

— Ach, cóż za nieszczęście! — szepnęła hrabinie.

— Tak, nie mogę wprost tańczyć dzisiaj — odparła hrabina również cicho.

— Nie chciałam też wcale tego balu wydawać, gdy ona tu siedzi uwięziona — powiedziała pani Scharling. — Trzymano ją dotąd w Karlstadzie, ale ma się niedługo odbyć rozprawa, więc ją tu dzisiaj przywieźli. Nie mogliśmy jej umieszczać przecież w zwykłej celi więziennej i dlatego zamknął ją mąż w tkalni, w oficynie. Byłabym jej oddała najlepszy pokój, ale goście zajęli cały dom. Pani hrabina nie zna jej, ale dla nas wszystkich była jakby matką i królową. Cóż sobie teraz myśli o naszych tańcach, będąc sama w takiej niedoli? Na szczęście mało kto wie, że tu jest.

— Jakże można było ją aresztować? — spytała młoda hrabina ostro.

— Zupełna racja, pani hrabino! Ale musieliśmy to zrobić dla zapobieżenia większemu jeszcze nieszczęściu. Wolno jej, oczywiście, podpalić własny bróg słomy i wygnać rezydentów, ale major zaczął po prostu polować na nią i kto wie, co by zaszło, gdyby nie została zamknięta. Mąż miał sporo nieprzyjemności z tego powodu w Karlstadzie, dano mu wyraźnie do poznania, że powinien patrzeć przez palce na to, co się stało w Ekeby, ale wedle sumienia nie mógł postąpić inaczej.

— Pewnie zostanie teraz zasądzona? — spytała hrabina.

— O nie, uwolnią ją na pewno, ale straszne miała przejścia w ostatnich czasach. Oby tylko nie pomieszało jej to w głowie. Proszę pomyśleć, potężna pani na Ekeby, a teraz zbrodniarka! Zdaniem moim, najlepiej byłoby ją puścić albo dać sposobność ucieczki.

— Niechże jej to pani ułatwi! — powiedziała hrabina.

— Każdemu innemu przystoi to uczynić, ale nie sędziemu i jego żonie! — szepnęła pani Scharling. — Wszakże my musimy jej pilnować. Zwłaszcza dzisiejszej nocy, kiedy jest u nas tyłu jej przyjaciół, musieliśmy postawić straż i zaryglować drzwi. Cieszyłoby nas jednak oboje bardzo, gdyby jej ktoś dopomógł do ucieczki.

— Czy mogłabym pójść do niej? — spytała hrabina.

Pani Scharling ujęła ją żywo za rękę i pociągnęła za sobą. W sieni okryły się szalami i ruszyły śpiesznie przez podwórze.

— Może nie zechce nawet mówić z nami! — powiedziała sędzina. — Ale będzie przynajmniej wiedziała, żeśmy o niej nie zapomnieli.

Minąwszy pierwszą izbę, gdzie dwaj strażnicy stojąc na warcie pilnie strzegli zaryglowanych drzwi, dotarły bez przeszkód do uwięzionej majorowej. Zamknięto ją w dużej izbie pełnej krosien i rozmaitych narzędzi. Była to właściwie tkalnia, ale miała okratowane okna i mocne zamki u drzwi i w razie potrzeby służyła za więzienie.

Nie bacząc na przybyłe, majorowa chodzi po izbie tam i z powrotem. Długą odbyła drogę w tych dniach. Wyobraziła sobie, że musi przejść trzydzieści mil dzielących ją od matki, która czeka na nią w lasach Älvdalen. Nie miała czasu spoczywać. Matka liczy już dziewięćdziesiąt lat i długo pewnie nie pożyje.

Wymierzyła na łokcie rozmiary izby i chodząc liczy je. Potem łokcie przerachowuje na węzły, a węzły na mile.

Długa i przykra wydała jej się ta droga, a jednak spoczywać nie chciała. Brodziła po głębokich zaspach, słyszała poszum wiekuistych lasów, nocowała w kurnych chatkach fińskich i szałasach węglarzy. Często też, nie napotkawszy ludzkich osiedli, musiała łamać gałęzie na legowisko i spać między korzeniami obalonej jodły.

Na koniec dotarła do celu, przebyła trzydzieści mil, las się rozwarł, zobaczyła czerwono pomalowane budynki, posłyszła szum wodospadu i ten znany dźwięk powiedział jej, że dotarła do rodzinnego domu.

Ujrzała ją matka, a widząc, że jest — jak chciała tego sama — żebraczką, ruszyła córce naprzeciw...

Doszedłszy w myślach do tego punktu podnosi majorowa głowę, rozgląda się, spozstrzega zamknięte drzwi i uświadamia sobie, gdzie jest.

Zadaje pytanie, czy to początki obłądki, i siada, by dumać i wypoczywać. Za chwilę jednak rusza dalej, licząc łokcie, węzły, mile, nocując w chatkach i nie spoczywając po całych dniach, aż przebędzie owe trzydzieści mil.

Przez cały niemal czas pobytu w więzieniu nie spała.

Przybyłe kobiety spojrzały ze strachem na majorową. Hrabina nie zapomni tego widoku i nieraz obudzi się w nocy zapłakana, z jękiem na ustach.

Straszne zaszły zmiany w starej kobiecie. Włosy jej zrzedły, a cienkie kosmyki zastąpiły dawne warkoczki. Twarz zapadła i nabrała ostrego wyrazu, odzież jest brudna i poszarpana. Mimo to nie opuściły jej cechy wielkiej damy, tak że budzi nie tylko litość, lecz i szacunek.

Hrabinę uderzyły ponad wszystko oczy zapadłe i jakby ku wnętrzu zwrócone, nie pozbawione jeszcze przytomności. Ale rychło mogły zająć mgłą szaleństwa i lęk ogarniał, czy majorowa nie rzuci się za chwilę na obie kobiety i nie zacznie gryźć i drapać.

Stały przez pewien czas, milcząc i czekając, aż majorowa zatrzymała się nagle przed hrabiną i spojrzała na nią surowo. Hrabina cofnęła się i chwyciła za ramię panią Scharling.

Wyraz twarzy majorowej ożył nagle, a oczy błysnęły przytomnie.

— Nie... nie — powiedziała uśmiechając się — tak źle nie jest ze mną jeszcze, droga moja pani.

Poprosiła, by zajęły miejsca, sama usiadła przybierając pozę staroświeckiej matrony, jak ongiś na balach w Ekeby czy przyjęciach dworskich w Karlstadzie. Obie panie zapominają zupełnie o lachmanach i więzieniu i widzą na nowo najdumniejszą i najbogatszą kobietę Värmlandii.

— Droga hrabino — mówi majorowa — cóż panią skłoniło do opuszczenia balu i przyścia do starej, samotnej kobiety? Zaprawdę, zbyt pani łaskawa.

Hrabina Elżbieta nie może głosu dobyć ze wzruszenia i nic nie odpowiada, a pani Scharling oświadcza za nią, że tańczyć nie może na myśl o losie majorowej.

— Droga pani Scharling! — mówi majorowa. — Więc do tego doszło, że przeskadzam młodemu w uciezce? Nie płacz nade mną, droga, kochana hrabino! — dodaje. — Jestem złą, starą kobietą, zasłużyłam na swój los. Wszakże uzna pani chyba, że nie wolno bić własnej matki?

— Tak, ale...

Majorowa przerywa jej i rzecze gładząc jasne, kędzierzawe włosy młodej kobiety.

— Dziecko, ty dziecko! Jakżeż mogłaś wyjść za tego głupiego Henryka Dohnę?

— Kocham go!

— Rozumiem, rozumiem! — powiada majorowa. — Jesteś jeno dobre dziecko i nic więcej. Płaczesz wraz ze smutnymi, a śmiejesz się z wesołymi. Zjawia się pierwszy lepszy ze słowami: „Kocham cię!”, a ty przystajesz. Tak... tak! Idź pani, idź dalej tańczyć. Tańcz, droga hrabino, i raduj się. W pani nie ma śladu zła!

— Chciałabym czymś dopomóc pani majorowej!

— Dziecko! — odpowiada uroczyście. — Żyła swego czasu w Ekeby stara kobieta, która dzierżyła wichury niebios w garści. Teraz siedzi w więzieniu, i wichry hulają swobodnie. Czyż więc dziwne, że po całym kraju szaleją burze?

Jestem stara, hrabino, i znam się na burzach. Wiem, że często nadciąga wielki huragan boży. Niszczy raz wielkie, drugi raz małe państwa nie zapominając o żadnym, gdy nań przyjdzie czas. Burza ta goni zarówno mocnych, jak słabszych. Przedziwna to rzecz widzieć bożą pomstę.

Wieżę, wiej po ziemi, burzo Pańska! Rozebrzmijcież, powietrze i wody, głosami struchlały! Uczynicież huragan przeraźliwym jeszcze! Niech drżą chwiejące się ściany, niech pękają zardzewiałe zamki i padają w gruz zbutwiałe domy!

Postrach ogarnia kraj cały. Gniazdka ptasie zlecą z drzew. Krogulcze gniazdo runie z traskiem, a wszystko aż do gniazda siewego w szczelinie skalnej zwieje sykliwy język wichru.

Sądźmy, że u nas wszystko idzie dobrze, ale to nieprawda! Trzeba nam bardzo wichru bożego. Rozumiem to i nie żalę się. Teraz jednak pora mi już iść do matki.

Osunęła się nagle wyczerpana na krzesło.

— Żegnam, żegnam, droga pani! — powiada. — Nie mam czasu, iść muszę. Ale strzeż się tych, którzy przylecą na skrzydłach wichru!

Zaczyna znowu chodzić, rysy jej wiotczają, spojrzenie cofa się w głąb. Hrabina i pani Scharling zrozumiały, że muszą odejść.

Wróciwszy na salę taneczną podeszła hrabina wprost do Gösty i powiedziała:

— Przynoszę panu pozdrowienie od majorowej. Ma ona nadzieję, że ją pan wyzwoli z więzienia.

— Złudna to nadzieja, pani hrabino!

— Ach, dopomóż jej pan!

Gösta spochmurniał.

— Nie! — rzekł stanowczo. — Z jakiegoż to powodu miałbym jej dopomagać? Czyż winienem jej wdzięczność? Wszystko, co dla mnie uczyniła, obróciło się na moją zgubę.

— Ależ panie Berling...

— Gdyby nie ona — zawołał porywczo — spałbym teraz w wieczystych lasach! Czyż mam dla niej ważyć życie za to, że mnie zrobiła rezydentem w Ekeby? Zaprawdę, nie jest to zbyt dostojne stanowisko.

Młoda hrabina odwróciła się bez słowa. Gniew ją ogarnął. Poszła na swoje miejsce, gorzko dumając o rezydentach. Przybyli tu z puzonem i skrzypcami i grają, aż zda się struny pękają, nie myśląc o tym, że uwięziona to słyszy w swym nędznym pomieszczeniu. Przybyli tańczyć, aż zedrą trzewiki, niebacznici, że dawna dobrodziejka widzi ich cienie przemykające przez zapocone szyby!

Ach, jakież ten świat marny i brzydki! Niedole i oschłość serca przysłoniły smutkiem duszę młodej kobiety!

Po chwili zbliżył się Gösta i poprosił ją do tańca. Powiedziała krótko: „Nie!”

— Pani hrabina nie chce tańczyć ze mną? — spytał zapłoniony.

— Ani z panem tańczyć nie będę, ani z żadnym kawalerem z Ekeby — odparła.

— Czyż niegodni jesteśmy tego zaszczytu?

— To nie zaszczyt, panie Berling! Nie sprawia mi jednak przyjemności tańczyć z ludźmi, którzy zapomnieli obowiązku grzeczności.

Gösta obrócił się na obcasie i odszedł, nim skończyła.

Wiele osób słyszało te słowa i wszyscy przyznali słuszność hrabinie. Niewdzięczność i obojętność kawalerów wobec majorowej wywoływały z dawna ogólne oburzenie.

Ale Gösta Berling przeżywa zły okres. Jest bardziej niebezpieczny niż dziki zwierz leśny. Odkąd nie zastał, za powrotem z polowania, Marianny, nosił w sercu krwawiącą ranę. Rad by był skrzywdzić kogoś brutalnie i szerzyć cierpienie i ból wokoło.

„Jeśli chce koniecznie, stanie się zadość jej woli — pomyślał. — Ale nie będę jej szczędził. Hrabina lubi porywanie, niechże ma tę uciechę”.

Göście była na rękę awantura. Wszakże już przez tydzień oplakiwał utratę kobiety! Aż nadto żaloby! Przywołał Beerencroutza, Chrystiana Bergha oraz powolnego, ale nie leniwego do przygód kuma Kristofera i zaczęli wszyscy radzić, jakby wziąć pomstę za zniewagę honoru rezydentów.

Zabawa dobiegała końca. Długi szereg sań zajechał przed dwór. Panowie wdzielali futra, a damy szukały rozpaczliwie okryć w chaosie szatni.

Hrabinie pilno było opuścić niemiły bal, więc wyprzedziła inne kobiety. Właśnie stała na środku pokoju, spoglądając z uśmiechem na bieganinę innych, gdy w progu zjawił się Gösta.

Żadnemu mężczyźnie nie wolno w takiej chwili wchodzić tam, gdzie damy właśnie podpinają wysoko suknie i chronią od zmięcia pod futrami sztywne hafty i lamówki.

Nie bacząc na ostrzegawczy wykrzyk skoczył Gösta ku hrabinie, porwał ją na ręce i wybiegł do sieni, a stamtąd na schody. Mimo krzyków pań śpieszących za nim, wsadził zdobycz w sanki. Widziały, jak wskakuje, usłyszały trzask bata i para znikła. Poznały w woźnicy Beerencroutza, poznały też konia... Don Juana! Przerażone wielce, przywołały mężczyzn na pomoc.

Wszyscy rzucają się pędem do sanek. Z hrabią na czele puszczają się w pogoń za rabusiami.

Gösta atoli siedział w sankach przytrzymując młodą hrabinę i śpiewał na całe gardło pieśń o miłości i różach. Zapomniał wszelkiej troski, porwany szaloną uciechą. Przyciskał hrabinę, która się nie broniła, ale tuliła bladą, jakby skamieniałą twarz do niego.

Cóż ma czynić mężczyzna, kiedy widzi na swych piersiach bladą twarzyczkę kobiecą, jasne włosy odrzucone w tył i powieki opadłe na swawolne oczy?

Musi oczywiście całować blade usta, zamknięte oczy i białe czoło!

Zbudziło to młodą kobietę; elastycznie niby sprężyna rzuciła się w bok, chcąc wyskoczyć. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, by jej przeszkodzić i wcisnąć pokonaną i drżącą w kąt sanek.

— Widzisz! — zawołał potem spokojnie do Beerencroutza. — Pani hrabina jest trzecią damą, którą tej zimy uwozi Don Juan. Ale tamte wieszały mi się na szyi, całowały,

ona zaś nie chce, bym ją całował ni tańczył z nią. Czy możesz się rozeznac w kobietach, Beerencreutz?

Kiedy Gösta porywał hrabinę, gdy panie krzyczały, panowie klęli, dzwonki u sań dzwoniły, bicze trzaskały i wszędzie panował hałas i zamieszanie, jakoś dziwnie nieswojo zrobiło się strażnikom majorowej.

— Cóż to znaczy? — pytali się wzajem. — Czemuż wszyscy krzyczą?

Nagle ktoś rozwarł drzwi i krzyknął:

— Uciekła! Porwali ją rezydenci!

Oszaleli strażnicy pobiegli nie badając, czy porwano majorową, czy kogoś innego.

Mieli szczęście, znaleźli dobre miejsce w jednych z odjeżdżających sań i ujechali dobry kawał, zanim się spostrzegli, kogo ścigają.

Tymczasem Bergh i kum Kristofer poszli najspokojniej do drzwi więzienia, rozbili zamek i wypuścili majorową, po czym stanęli po obu stronach drzwi jak słupy, nie patrząc na nią.

— Czeka ją zaprzężone sanki! — powiedzieli.

Wyszła, wsiadła do sań i odjechała nie ścigana przez nikogo. Nikt też nie wiedział, dokąd zmierza.

Don Juan wpadł tymczasem ze wzgórza brobijskiego na lód Lövenu i pędził w cwał, a lodowaty podmuch wiatru ciął i rumienił policzki jadących. Brzęczały janczary. Na niebie lśnił księżyc i gwiazdy. Sinobiałe śnieg migotał przedziwnie.

Göstę ogarnął nastrój poetycki.

— Takie to już jest życie, mój Beerencreutz! — powiedział. — Podobnie jak Don Juan z tą damą, ucieka też czas z ludźmi. Ty jesteś gorzką koniecznością, dzierżącą cugle. Ja jestem pożądanie, które więzi wolę i ściąga ją bezwładem coraz to niżej i niżej.

— Nie gadaj tyle! — ryknął Beerencreutz. — Już nam depczą po piętach.

Rzekłszy to śmignął Don Juana, a koń pomknął jak szalony.

— Tam wilki, a tu zdobycz! — zawołał Gösta. — Don Juanie, drogi przyjacielu, wyobraź sobie, że jesteś młodym łosiem. Pędź przez gęstwą, bródź po bagniskach, skacz w wodę z urwiska, przepływaj jezioro z dumnie podniesioną głową i uchodź do zbawczej ciemni jodłowego lasu. Don Juanie, stary łowco kobiet, pędź jak młody łoś!

Dzikie serce Gösty aż skakało z radości wśród tej błyskawicznej jazdy, a krzyk pościgu był mu pieśnią triumfu. Nie posiadał się z uciechy, widząc, że hrabina drży ze strachu, aż jej zęby szcękają.

Nagle puścił ją, wstał i krzyknął powiewając czapką:

— Jam jest Gösta Berling! Pan tysięcy pocałunków i trzynastu tysięcy listów miłośnych! Hura! Niech żyje Gösta Berling! Łapaj, trzymaj, kto zdoła!

Za chwilę szeptał hrabinie:

— Czyż nie cudna to jazda? Czyż nie królewska? Za Lövenem jest jezioro Väner, poza nim morze. Wszędzie bezkres równi, siny lód, a dalej jeszcze świat pełen blasków. Grzmi lód i pęka, za nami wrzaski pogoni, z nieba spadają gwiazdy, brzęczą janczary... Naprzód! Naprzód! Wszakże miło pani jechać tak ze mną, hrabino?

Puścił ją, ona zaś odepchnęła go gwałtownie.

Za moment padł jej do nóg.

— Jestem nędznik! Ale czemuż drażniłaś mnie, hrabino? Byłaś tak pyszna i sądziłaś, że cię ręka rezydencka dosięgnąć nie zdoła. Wszystko panią kocha, ziemia i niebo. Czemuż obciążałaś jeszcze kamieniem tego, kim ziemia i niebo gardzi?

Ujął jej rękę i przyłożył sobie do twarzy.

— Ach! — powiedział. — Gdybyś pani wiedziała, co znaczy czuć się wyklętym! Takiemu wszystko jedno, co czyni.

W tej chwili zauważył, że hrabina ma obnażone ręce, dobył więc wielkich futrzanych rękawic i nałożył je. Uspokoił się nagle, usiadł jak najdalej mógł i powiedział:

— Proszę się nie bać, pani hrabino. Spójrz sama i przekonaj się, dokąd jedziemy. Zrozumie pani zaraz, że nie ma mowy o żadnym niebezpieczeństwie.

Była dotąd niemal bezprzytomna ze strachu, ale w tej chwili spostrzegła, że jadą po lodzie, a niedługo zadyszany Don Juan zaczął wdzierać się na wzgórze w Borg. W końcu stanęli u podjazdu pałacu i pomogli hrabinie wysiąść.

Spostrzegłszy służbę oprzytomniała i opanowała się.

— Odprowadź konia, Andersson! — powiedziała do stangreta. — Panowie byli uprzejmi odwiedzić mnie do domu i zapewne zechcą wstąpić na chwilę. Hrabia zaraz nadejdzie.

— Służymy pani hrabinie! — powiedział Gösta i wysiadł zaraz. Beerencrutz rzucił bez namysłu lejce służącemu. Hrabina poszła przodem i wprowadziła gości, źle maskując radość swą z pochwylenia kawalerów w pułpkę.

Pewna była, że zawahają się przed perspektywą spotkania z jej mężem. A więc nie wiedzą, jaki jest surowy i sprawiedliwy? Nie boją się kary za to, że ją porwali i zmusili do jazdy z nimi. Cieszyła się, że mąż jej zabroni im raz na zawsze wstępu do swego domu, że ich wobec służby napiętnuje zakazując otwierać im bramy Borgu. Czekala na to, że mąż potępi postępowanie wobec niej i majorowej, ich dobrodziejki. Pewna była, że człowiek tak czuły dla żony wywrze słuszny gniew na prześladowcach, a miłość rozplomieni jego słowa. Jakżeby mógł pozwolić porywać ją jastrzębiom niby wróbla. Dygotała żądzą zemsty.

Pułkownik Beerencrutz o siwych wąsach wszedł hałaśliwie, bez ceremonii do jadalni i jął grzać się przy kominku, na którym mimo późnej godziny płonął suty ogień, jak zwykle, gdy hrabina wracała z zabawy do domu.

Gösta trzymał się na uboczu w cieniu i patrzył na hrabinę, z której służący zdejmował futro. Uczuł nagle wesołość nie zaznaną od lat całych i nie wiedząc, gdzie zrobił to odkrycie, nabrał pewności, że w tej uroczej postaci mieszka przepiękna dusza.

Dusza ta jest jeszcze wprawdzie uspiona, ale wyjrzy kiedyś na światłość dnia. Gösta był rad bardzo, że odkrył jej niewinność, czystość i nieświadomość złego. Omal nie roześmiał się widząc, jak hrabina jest zagniewana, czerwona i jak marszczy czoło.

„Sama nie wiesz, jaka jesteś dobra i łagodna! — pomyślał. — Zewnętrzna strona twej jaźni nie oceni nigdy w pełni strony wewnętrznej”. Uczuł, że od tej chwili musi zostać jej czcicielem i służyć jej, jak wszystkiemu, co piękne i boskie. Ale nie żałował ostrego z nią postąpienia, bo gdyby się nie bała, nie odpychała go i nie objawiała oburzenia z powodu jego brutalności, nie dowiedziałyby się nigdy, jak szlachetny duch w niej mieszka.

Uważał ją za oddaną wyłącznie tańcom i rozrywce, a fakt, że wyszła za mąż za głupiego hrabiego Henryka, nie świadczył o niej najlepiej.

Postanowił, że odtąd będzie aż do śmierci jej psem i niewolnikiem, jak zwykł był mawiać kapitan Chrystian.

Gösta ze złożonymi rękami siedział w pobliżu drzwi i odprawiał coś w rodzaju nabożeństwa. Tak podniosłego nastroju nie przeżył od chwili owego płomiennego natchnienia w kościele. Nie zwrócił nawet uwagi, że do sali wszedł hrabia Dohna wraz z czeredą innych panów, którzy klęli i wyrzekali na głupie żarty kawalerów.

Zostawił Beerencrutzowi przyjemność pierwszego starcia, gdyż sam miał co innego do roboty. Pułkownik, rycerz stu przygód, stał spokojnie przy kominku oparłszy łokieć i jedną stopę o kratę i patrzył spod oka na wpadających do sali.

— Cóż to wszystko znaczy? — zaryczał mały hrabia zwracając się do niego.

— To znaczy — odparł pułkownik — że odkąd istnieją kobiety, nie brak im durniów, których za nos wodzą.

Mały hrabia spałował.

— Pytam, co to znaczy? — powtórzył.

— I ja o to pytam! — oświadczył Beerencrutz. — Otóż pozwól sobie prosić o wyjaśnienie, czemu małżonka hrabiego Henryka Dohny nie chce tańczyć z Göstą Berlingiem?

Hrabia spojrział pytająco na żonę.

— Nie mogłam, Henryku! — zawołała. — Nie mogłam tańczyć z żadnym z kawalerów, gdyż opuścili majorową i pozwolili jej marnieć w więzieniu.

Mały hrabia wyprostował się jeszcze bardziej, odrzucając w tył starodawną głowę swoją.

— My, kawalerowie — rzekł Beerencrutz — nie pozwalamy sobie urągać. Kto z nami nie chce tańczyć, musi z nami zażyć sanny. Zresztą pani hrabinie włos z głowy nie spadł i należałoby na tym sprawę zakończyć.

— Nie! — zawołał hrabia. — Nie należy zakończyć na tym. Odpowiadam za postępkę mej żony, toteż pytam, czemu Gösta Berling nie zażądał ode mnie satysfakcji, kiedy został obrażony?

Beerencrutz uśmiechnął się.

— Pytam — powtórzył hrabia.

— Któż prosi o pozwolenie lisa, gdy mu chce ściągnąć skórę? — rzekł Beerencreutz. Hrabia położył dłoń na wąskiej piersi.

— Powiadają, że jestem człowiek sprawiedliwy — oświadczył. — Często sędzę służbę swoją. Czemużbym nie miał odbyć sądu nad żoną? Kawalerom nie przysługuje prawo karania i dlatego unieważniam karę, którą jej wymierzili... Czy rozumiecie, łaskawi panowie?... Kary tej po prostu nie było!

Hrabia wykrzyknął to doniosłym fałsetem.

Beerencreutz rzucił spojrzenie po sali i spostrzegł, że wszyscy śmieją się po kryjomu z głupiego hrabiego, wszyscy, a głównie Sintram, Daniel Bendix i Dahlberg.

Hrabina nie od razu zrozumiała słowa męża. Cóż to właśnie unieważniał? Czyż jej strach, twarde uściski kawalera obejmującego jej wątłe ciało, dzikie śpiewy, słowa, ogniste pocałunki... czyż to wszystko miało się nie liczyć? Czyż tego wieczora wszystko było pod władzą szarej bogini mroku?

— Ależ Henryku...

— Umilknij — powiedział i wyprostował się do kazania moralnego. — Biada ci, kobieto — zaczął — iżes się uczynić chciała sędzią mężczyzn! Biada ci także, kobieto, będąca żoną moją, iże obrażasz tych, których dłoń ściskam ja, twój mąż. Cóż ci do tego, że kawalerowie wtrącili majorową do więzienia? Czyż nie mieli prawa? Nie pojdziesz nigdy, jak to rani serce każdego mężczyzny, gdy się dowie o wiarołomstwie kobiety. Czyż zamierzasz także pójść tą śliską drogą, że ją bierzesz w obronę?

— Ależ Henryku!...

Żaliła się jak dziecko i wyciągała ramiona, jak gdyby odpędzając szkaradne słowa, jakich nigdy dotąd nie słyszała. Była bezbronna pośród tych twardych mężczyzn, a jedyny obrońca zwracał się przeciwko niej. Ach, serce jej już nigdy chyba nie będzie miało mocy rozjaśniania świata!

— Ależ Henryku, miałeś mnie przecież bronić! — zawołała.

Teraz, kiedy było za późno, zbudził się Gösta, ale nie wiedząc, jak sprawa stoi, mimo wielkiej chęci okazania pomocy, nie chciał stawać pomiędzy mężem a żoną.

— Gdzie jest Gösta Berling? — spytał hrabia.

— Tu jestem! — odparł i spróbował wszystko obrócić w żart. — Pan hrabia zapewne skończył mowę, ja jednak spałem przez cały czas i żałuję, ale nie wiem nic a nic. Co by pan hrabia powiedział na to, gdybyśmy się rozjechali do domów i pozwolili państwu iść na spoczynek?

— Gösto Berlingu! — powiedział hrabia. — Z uwagi na to, iż żona moja obraziła cię przez odmowę tańczenia, rozkazuję niniejszym, by cię przeprosiła i pocałowała w rękę!

— Drogi hrabio! — odparł Gösta z uśmiechem. — Nie jest to ręka, którą wypadało by całować młodej damie. Wczoraj dopiero splamiła się farbą łosia, jutro będzie może czarna po jakiejś bijatyce z węglarzem. Hrabia wygłosił wyrok szlachetny i wspaniałomyślny! Jest mi to dostateczną nagrodą! Chodź, Beerencreutz!

Hrabia zastąpił mu drogę.

— Nie odchodź! — powiedział. — Żona moja winna mi posłuszeństwo. Chcę, by się dowiedziała, do czego prowadzi czyn samowolny.

Gösta stał niepewny, a hrabina pobladła, ale nie ruszała się z miejsca.

— Idź! — powiedział jej.

— Nie mogę, Henryku!

— Możesz! — oświadczył twardo. — Możesz na pewno! Ale chcesz mnie pewnie zmusić, bym się pojedynkował z człowiekiem, którego przez kaprys nie znosisz. Uczynię to, niezawodnie, jeśli odmówisz zadośćuczynienia. Kobiety lubią, by się z ich powodu mężczyźni zabijali. Nie chce pani hrabina naprawić błędu? Doskonale, stanę do pojedynku i za parę godzin przyniosą ci krwawe moje zwłoki.

Przeszyła go długim, badawczym spojrzeniem i zrozumiała jasno, że jest bezdennie głupi, tchórzliwy, nadęty pychą i próżnością, słowem, najmarniejszy pod słońcem człowiek.

— Bądź spokojny! — odparła lodowato. — Uczynię, czego chcesz!

Teraz atoli Gösta oburzył się.

— Nie wolno pani tego czynić! — zawołał. — Jesteś słabym jeno dzieckiem... dusza pani tak czysta... jakże mogłabyś całować ręce moje? Nie zbliż się już do pani, przynoszę bowiem śmierć i zniszczenie wszystkiemu, co dobre i niewinne. Proszę, nie dotykaj mnie pani, boję się pani jak ogień wody... Proszę, nie czyn pani tego!

Założył ręce na plecach.

— Już mi to obojętne, panie Berling! Teraz już mi wszystko jedno! Proszę o przebaczenie i racz pan pozwolić, bym ucałowała twe ręce!

Gösta trzymał dalej ręce za plecami i rozglądając się po sali przemykał ku drzwiom...

— Jeśli nie przyjmiesz zadośćuczynienia, jakie ci daje moja żona, będziesz się musiał ze mną bić, Gösto, a poza tym nałożę jej jeszcze dotkliwszą karę! — rzekł hrabia.

Hrabina wzruszyła ramionami i szepnęła:

— Oszalał z tchórzostwa! Pozwól pan, bym spełniła, czego chce. Obojętne jest mi upokorzenie! Pan zresztą chciałeś tego od początku!

— Chciałem? Sądzi pani, że chciałem panią upokorzyć? Przekona się pani, iż tego nie chciałem! Nie będzie pani całować rąk moich.

Podbiegł do kominka i wsadził obie dłonie w ogień. Objęły je płomienie, skóra skurczyła się, paznokcie zaczęły trzeszczeć, ale w tej chwili chwycił go Beerencreutz za kołnierz i cisnął na środek sali. Gösta zatoczył się w jakiś fotel i siadł zawstydzony niemal swym postępkiem. Będzie pewna, że kierowała nim próżność. Tak, czyn taki wobec tylu ludzi musiał wyglądać na akt próżności. Nie było wszak w tym ani krzty niebezpieczeństwa.

Chciał wstać, ale nim tego dokazał, klęczała już przy nim hrabina oglądając czerwone, poczerwiałe od dymu ręce.

— Będę, zaprawdę, całowała te ręce, gdy jeno przestaną być obolałe i chore! — wołała.

Na widok wielkich bąbli, podnoszących się pod spaloną skórą, wybuchnęła płaczem.

Dostąpiła objawienia niepojętej wspaniałości. Nigdy nie przypuszczała, że może się stać na ziemi coś podobnego, i to z jej powodu! Dla niej! Więc żyli jeszcze ludzie jak on! Mocarz w dobrym i złym, mąż wielkich czynów, słów i świetnych zalet! Bohater! Bohater z innej zaiste gliny ulepiony, niewolnik zachcianki, uległy w każdej chwili, ale niezmiernie silny, straszliwy i nie znający przed niczym lęku.

Przez cały wieczór przygnębiona była nie dostrzegając nic prócz troski, nikczemności i okrucieństwa. Teraz poweselała, uczuła się pełnym człowiekiem! Władczyni zmierzchu została pokonana, wróciły barwy, światłość objęła wszystko.

Tej samej nocy w skrzydle rezydencjki kawalerowie utyskują na Göstę. Starzy panowie chcą spać, ale Gösta nie daje im spokoju. Na próżno zaciągają zasłony nad łóżkiem i gaszą światło — Gösta mówi i mówi.

Oznajmia im, że hrabina jest aniołem, że on ją ubóstwia i pragnie jej służyć. Cieszy się, że wszyscy stronią od niego, całe swe życie będzie mógł jedynie jej poświęcić. Hrabina gardzi nim oczywiście, on jednak pragnie tylko leżeć jak pies u jej nóg.

— Czy przyglądaliście się kiedyś dokładnie wyspie Lag na Lövenie? — ciągnie Gösta. — Czy widzieliście ją od strony południowej, gdzie poszarpane skały wznoszą się stromo nad wodą? Czy oglądaliście kiedy wyspę od północy, łagodnie opadającą ku jezioru? Ciągną się tam wąskie ławice piasku, porośnięte wspaniałymi jodłami i tworzące cudne stawy. Tam, na stromym wierzchołku skały, na którym znajdują się jeszcze resztki dawnego zamku korsarskiego, zbuduję dla hrabiny zamek marmurowy. W skale wykute szerokie schody zstępować będą w jezioro, tak by przybijać do nich mogły łodzie żaglowe.

Zamek będzie miał wspaniałe sale i wieże z połączanymi blankami. Będzie to siedziba odpowiednia dla hrabiny. Stara buda borgijska niegodna młodą panią gościć.

I długo jeszcze Gösta prawił, aż zza firanek w żółtą kratę dało się tu i ówdzie słyszeć głośne chrapanie. Większość kawalerów jednak stękała i przeklinała Göstę i jego dziwactwa.

— Ludzie! — zawołał w końcu uroczyście. — Widzę zieloną ziemię pokrytą dziełami rąk ludzkich lub szczątkami tych dzieł. Piramidy przygniatają ziemię swym brzemieniem, wieża Babel rozdarła obłoki, piękne świątynie i szare zamki zostały z pyłu wzniesione. Czyż ostanie się cokolwiek z tego, co ręka ludzka stworzyła? O, ludzie, rzućcie precz kielnię i murarską zaprawę. Osłońcie głowy fartuchem i legnijcie, by marzyć o cudnych zamkach baśniowych! Na cóż duszy zamki z kamienia i cegły? Wznoście zamki wiecznotrwale, utworzone ze snów i fantazji!

I śmiejąc się poszedł spać.

Niebawem dowiedziała się hrabina o uwolnieniu majorowej, wydała tedy zaraz wielki obiad ku czci kawalerów, a z Göstą Berlingiem zawarła przyjaźń długotrwałą.

II. OPOWIEŚĆ O DUCHACH

O wy, dzieci naszych czasów! Nic wam nowego nie opowiem prócz starych i niemal zapomnianych baśni, które sędziwe babunie opowiadały zasłuchanym malcom, siedzącym na niskich stołeczkach w dzieciennym pokoju; oprócz podań, jakie opowiadali sobie szeptem w chatach dziewczki i parobcy zebrani wokół trzaskającego ognia, gdy z ubrań ich parowała wilgoć, a ze skórzanych pochew, wiszących u szyi, dobywali noży, krajali i smarowali masłem grube skibki miękkiego chleba; oprócz historii starszych panów z salonów, gdy popijając grog i kołyszając się w fotelach wspominali dawne czasy.

Gdy dziecko nasłucha się tych baśni od piastunek, wyrobników czy starszych panów, to stojąc w zimowy wieczór przy oknie, widzi w przelatujących chmurach postaci kawalerów, pędzących w chwiejnych pojazdach po niebie, w gwiazdach — woskowe świece starego borgijskiego pałacu, zaś stukot kołowrotka w sąsiednim pokoju przypomina im przedzącą Ulrykę Dillner. Postaci minionych czasów przepełniają głowinę dziecka, nimi żyje, o nich marzy. Jeśli ktoś posłał takie dziecko, którego duszyczka pełna była bajek i legend, na ciemny strych po len albo suche placki, to biegło ono zawsze co sił po schodach i sieni, dążąc jak najprędzej do kuchni. Po ciemku jawiły mu się zawsze opowieści o złym dziedzicu Forsu, którym władał diabeł.

Popioły złego Sintrama dawno leżą na cmentarzu svartsjöńskim, a nikt nie wierzy, by dusza jego spoczywała w Panu, jak świadczy napis grobowy.

Kiedy żył, przybywała doń często w niedzielne, dżdżyste popołudnia ciężka, w czarne konie zaprzężona karetka, a elegancki, czarno ubrany jegomość zabawiał gospodarza — którego monotonne, długie godziny doprowadzały do rozpaczki — grą w karty i kości, nieraz aż do północy i dłużej. Kiedy odjeżdżał o świcie, zostawiał zawsze jakiś dar złowrogi.

Tak, dopóki Sintram żył na świecie, duchy zapowiadały jego przybycie. Dostrzegano jakies niesamowite znaki: pojazd dudnił po podwórzu, trzaskało z bata, głosy slychać było na schodach, otwierała się brama domu i zatraskała z powrotem. Ludzi i psy budził ten hałas, ale nie jawił się nikt... Były to jeno ostrzeżenia i wróżby.

Strasni to ludzie, pozostający, jak Sintram, w szatańskiej mocy! Cóż to na przykład był za ogromny czarny pies pokazujący się we dworze za życia właściciela Forsu? Oczy mu błyszczwały, a ogromny czerwony ozór zwisał z dyszącej paszczy. Pewnego dnia podczas obiadu zaskrobał do drzwi kuchennych, przerażając dziewczęta służebne, a największy i najmocniejszy z parobków porwał płonąca głowinę i wepchnął mu w pysk. Zwierz uciekł z wyciem, buchał dymem i iskrami z paszczy, zostawiał na drodze lśniące ogniste ślady.

A czyż nie było to okropne, że ilekroć dziedzic Forsu wracał z podróży, zmieniony był zaprzęg? Wyjeżdżał końmi, lecz gdy wracał nocą, wóz zaprzężony był zawsze w czarne byki. Ludzie mieszkający przy drodze widzieli, gdy przejeżdżał, zarysy rogów odcinające się na ciemnym niebie, słyszeli ryk zwierząt i przerażały ich iskry, spod kopyt i kół pędzących po żwirze.

Toteż śpieszno było dzieciom uciec z ciemnego strychu. Cóż by się stało, gdyby na przykład któreś napotkało tam, w mrocznym kącie, tego, którego imienia nikt wymówić nie śmiał? Któż jest przed nim bezpieczny? Wszak ukazuje się nie tylko złym ludziom. Czyż nie ukazał się Ulryce Dillner? Ulryka Dillner i Anna Stjärnhök opowiadały, że widziały go na własne oczy.

Przyjaciele drodzy, którzy tańczycie i śmiejecie się, błagam was, czyńcie to ostrożniej i ciszej, gdyż do wielkich mogłoby dojść nieszczęść, gdybyście miast po podłodze stąpali po sercach ludzkich jedwabnymi trzewikami o cienkich podszewkach, a śmiechem swym wesołym, srebrzystym wpędzali w rozpacz duszę.

Serce Ulryki nadeptały snadź mocno cienkie trzewiczki, a śmiech tańczących zbyt swawolnie dźwięczał w jej uszach, że zapragnęła ślepo zostać mężatką. Gdy więc zły Sintram po raz nie wiedzieć który już oświadczył się o jej rękę, zgodziła się nagle na małżeń-

stwo, poszła jako żona jego do Forsu i wzięła rozbrat z dawnymi przyjaciółkami z Bergi oraz z troską o chleb powszedni.

Małżeństwo zawarło na łeb na szyję. Na Boże Narodzenie oświadczył się Sintram, a w lutym było wesele.

Anna Stjärnhök, mieszkająca teraz w domu kapitana Uggli, zastąpić mogła starą pannę, tak że Ulryka ruszyła w dół małżeńską bez wyrzutów sumienia.

Nie doznawała też wyrzutów, ale czuła żal wielki, albowiem w niesamowite dostała się miejsce. Wielkie, puste pokoje przerażały ją, co dzień o zmierzchu trzęsła się ze strachu i tęskniła straszliwie.

Najgorsze były niedzielne popołudnia ciągnące się w nieskończoność, podobnie jak pełne udręki myśli.

Pewnej niedzieli nie wrócił Sintram na obiad z kościoła, a Ulryka poszła do salonu na piętrze i usiadła przy fortepianie. Była to jej ostatnia pociecha. Fortepian, z wymalowanymi pośrodku wieka pasterzem grającym na flecie i pasterką, był spuścizną po rodzicach i powiernikiem w trosce wszelakiej.

Czy to nie smutne i zarazem zabawne? Czy wiecie, co Ulryka gra? Polkę! Pomyślcie jeno! W utrapieniu, choćby największym, grywała zawsze polkę.

Nie umiała bowiem nic innego, a polki tej nauczyła się, zanim jej palce zeszywniały od ujmowania garnków czy rękojeści noża kuchennego. Poza tą polką nie umiała nic a nic, żadnego marsza żałobnego, namiętnej sonaty czy choćby tęsknej pieśni ludowej.

Grywała ją też zawsze, mając coś zawierzyć staremu fortepianowi, czy to w radosnym, czy smutnym będąc nastroju. Grała ją na swym weselu, potem przybywszy do domu męża i teraz także.

Struny wiedziały, jak bardzo jest nieszczęśliwa!

Przejeżdżający drogą mogliby sądzić, że właściciel Forsu daje bal, tak wesoło brzmiała muzyka Ulryki. Niezmiernie pogodne i skoczne były to dźwięki. Utrzymywała też nimi beztroskę w Berdze, a wypłaszała głód. Wszyscy ulegali czarowi tańca, gdy grać zaczęła, osiemdziesięcioletni starcy biegli do sali, niepomni reumatyzmu i podagry. Polka brzmiała radośnie, ale Ulryka płakała. Żyła w otoczeniu mrukliwej, niechętnej służby i złych, kąsających zwierząt, bez życzliwego człowieka obok siebie; tęskniła do przyjaznych twarzy, do uśmiechniętych ust, tę rozpaczłą tęsknotę wyrażała właśnie w polce.

Domownikom trudno przywyknąć, że jest żoną Sintrama, zwano ją stale panną Dillner. Wyrażała polką żal i skruczę z powodu swej próżności, która ją skusiła do pozyskania tytułu mężatki.

Stara Ulryka gra, jakby miały pęknąć struny. Polka ma zagłuszyć sporo rzeczy: skargi zubożałych chłopów, klątwy wyzyskiwanych robotników, urągawisko butnej służby, a zwłaszcza hańbiące piętno żony złego człowieka.

Tę polkę tańczył Gösta z młodą hrabiną Dohną, Marianna Sinclair z licznymi wielbicielami swymi, a także ongiś majorowa z pięknym Altringerem. Grając widzi Ulryka te wszystkie nadobne pary złączone tanecznym opłotem, a wesele ich owiewa także i ją, toteż płoną jej policzki i błyszczą oczy. Teraz wszystko minęło. Niech dźwięczy polka, niechaj zagłuszy rozliczne słodkie wspomnienia.

Ulryka gra, by zagłuszyć strach, mało jej serce zestrachu nie pęknie, gdy widzi czarnego psa, gdy służba szepce o czarnych bykach. Więc wciąż na nowo gra polkę, by zagłuszyć strach.

Nagle zauważyła, że mąż wrócił do domu. Usłyszała, jak wszedł i usiadł w fotelu bujającym. Ulryka знаła tak dobrze skrzypienie tego fotela, że nie potrzebowała się nawet oglądać.

Grała, a kołysanie towarzyszyło jej muzyce. Niebawem nie słyszała już tonów, jeno samo kołysanie.

Biedna, opuszczona wśród nieprzyjaciół Ulryka miała jeno rozklekotany fortepian za pocieszyciela, a on ją pocieszał — polką! Sprawiało to takie wrażenie, jak salwa szalonego śmiechu na pogrzebie lub pijacka piosenka w kościele.

Słuchając tego kołysania uczuła, że fortepian drwi teraz z jej skargi i urwała w pół taktu. Wstała i spojrzęła na fotel bujający.

Tejże samej chwili padła zemdlona. W fotelu siedział nie jej mąż, ale kto inny, ten, którego imienia nie wymawiają dzieci, a przeraziłyby się okropnie, spotkawszy go na pustym strychu.

Czy może ująć mocy czaru ten, komu duszę przepełniły baśnie... Wiatr nocny smaga fikusy i oleandry na balkonie, niebo zwisa czarne ponad długimi pasmami gór, siedzę pisząc przy spuszczonej storach, a choć jestem stara i niby to mądra, jednak czuję dreszcz lekki jak ongiś, kiedy po raz pierwszy słyszałam tę historię. Raz po raz spojieram po kątach, czy gdzie nie czyha ktoś schowany, i wychodzę na balkon zobaczyć, czy nie zaziera przez kratę czarna głowa. Strach ten nie opuszcza mnie, strach zbudzony przez stare opowieści, gdy noc ciemna, a samotność dotkliwa, opanowuje mnie w końcu tak dalece, że rzucam pióro, chowam się do łóżka i naciągam kołdrę na oczy.

Jako dziecko nie mogłam pojąć, jak Ulryka Dillner przeżyła owo popołudnie. Ja bym tego nie przetrzymała.

Na szczęście niedługo potem przybyła w odwiedzinie Anna Stjärnhök, znalazła ją na podłodze i przywróciła do przytomności. Ze mną nie byłoby tak łatwo poszło, zmarłabym na pewno.

Niechże wam los oszczędzi, przyjaciele, tego bólu, byście widzieli łzy w oczach starca, głowę jego szukającą utulenia na piersi waszej i ręce wyciągnięte błagalnie w chwili, gdy nic poradzić nie możecie.

Czymże są skargi młodych? Młodzi mają siły i nadzieję! Ale jakże boli skarga bezsilna tych, którzy byli ongiś podporą naszych lat dziecińczych.

Anna Stjärnhök słuchała wyrzekań Ulryki i nie wiedziała, jak jej pomóc. Starowina płakała, oczy jej błyszczały dziko; nie przestawała mówić, lecz słowa były chwilami pozbawione związku, zdawało się, że straciła świadomość, gdzie się znajduje.

Drżącą twarz przecinały zmarszczki dwa razy głębsze niż zazwyczaj, przyprawiane loki porozwijają się od łez, a całą chudą postacią wstrząsało łkanie.

Na koniec położyła Anna kres rozpaczki postanowiwszy zabrać Ulrykę do Bergi. Była żoną Sintrama, ale nie powinna zostać dłużej w Forsie, gdyż przy tym złym człowieku mogłaby zmysły postradać.

Starowinę ta decyzja i rozradowała, i przeraziła jednocześnie; nie miała odwagi uciekać z domu męża. Obawiała się, że wyśle za nią dużego, czarnego psa.

Anna rozwiała jej obawy i zastrzeżenia żartami i pogroźkami, a po upływie pół godziny starowina siedziała już w sankach. Anna powoziła sama, przynaglając raz po raz starą Disę. Drogi rozmiękły, gdyż był to koniec marca, i zła była sama, ale Ulryka czuła wielką ulgę siedząc w znanych sankach i mając przed sobą starą, znajomą kobyłę, która tyle niemal co ona lat strawiła na służbie w Berdze.

Stara ta niewolnica pracy odznaczała się w gruncie rzeczy dobrym humorem i wrodzoną pogodą ducha, toteż pod Arvidstorp już przestała płakać, pod Högbergiem śmiała się, a gdy przejeżdżały przez Munkeby, utonawszy we wspomnieniach, opowiadała swej towarzysze różności z czasu pobytu u hrabiny w Svaneholmie.

Znalazły się teraz na terenie skalistym i bezludnym, na północ od Munkeby. Droga wiła się, pięła po skalistych wzniesieniach, potem spadała niemal pionowo w dolinę i znowu szukała zbocza, po którym mogłaby się dostać na górę.

Miały właśnie wyjechać na wzgórze westratorpskie, gdy nagle stara Ulryka zamilkła i chwytając ramię Anny wskazała oczyma wielkiego psa siedzącego na skraju drogi.

— Patrz! — zawołała.

Ale pies uciekł w las, zanim go Anna dobrze zobaczyła.

— Spiesz! Spiesz, ile tylko możesz! — powiedziała Ulryka. — Teraz Sintram dowie się, że ja tutaj jestem.

Anna chciała wyśmiać jej obawy, ale starowina zaręczyła:

— Niedługo posłyszemy dzwonki jego sań, zanim jeszcze wyjedziemy na najbliższe wzgórze.

Właśnie w chwili, kiedy stara Disa sapała ze zmęczenia osiągnawszy szczyt elfoskiego pagórka, zabrzmiały w dole dzwonki sań.

Ulryka straciła całkiem równowagę. Drżała, łkała i zaliła się, zupełnie jak przedtem w Forsie. Anna chciała ponaglić do pośpiechu Disę, ale szkapa obróciła głowę jakby niewymownie zdziwiona. Czy ta panienska sądziła, że ona nie wie, w którym miejscu trzeba

biec, a gdzie iść stępa? Nie potrzebowała, by ją ktoś uczył ciągnąć sanki po dwudziesto-letniej praktyce i znajomości całej okolicy.

Dzwonienie zbliżało się.

— To on... znam jego sanki — jęczała Ulryka.

Dzwonienie to rosło tak nagle i nienaturalnie, jakby gniały koń Sintrama dotykał już głową ich sani, to znowu słabło zupełnie. Dolatywało z lewej i prawej strony drogi, ale kobiety nikogo nie widziały, jakby je ścigał sam jeno ten dźwięk.

Kiedy się wraca nocą po zabawie, dzwonki śpiewają, nucą i opowiadają, a las brzmi echem. Tak było i teraz.

Anna pragnęła już ukazania się prześladowcy z koniem, gdyż samo dzwonienie było wprost nieznośne. Nie bała się, ale dokuczalo jej to dzwonienie bez końca.

— Te dzwonki dręczą mnie! — powiedziała, a dzwonki odjęły zaraz ostatnie wyrazy. „Dręczą mnie, dręczą mnie” — powtarzały na przeróżne tony.

Anna jechała tędy niedawno, ścigana przez wilki, ale nie bała się, chociaż widziała błyskające kły i sądziła, że zostanie rozszarpana. Nie przeżyła jednak piękniejszej nocy. Piękny i silny był koń u sanek, piękny i silny towarzysz przygody.

Ach... a teraz? Stara szkapa i drżąca starowina! Czuli się tak bezsilni, że najchętniej zaczęłyby płakać. Nie może uciec przed tym okropnym, denerwującym dzwonieniem. Zatrzymuje konia i wysiada z sanek chcąc sprawę zakończyć! Nie ma potrzeby uciekać, przecież nie boi się tego nikczemnika!

Na koniec dojrzała w gęstniejącym mroku głowę konia, potem całego konia, sanki i samego Sintrama. Ale nie wyglądało to, jakby sanie nadjechały drogą, jeno jakby to wszystko, koń, sanki i dziedzic, powstawało w tej chwili na miejscu i ukazywało się jej oczom w kolejności, w jakiej wynurzało się, gotowe, ze zmroku.

Anna rzuciła lejce Ulryce i podeszła do Sintrama, który zatrzymał konia.

— A... cóż za szczęśliwe zdarzenie! — powiedział. — Droga panno Stjärnhök, niechże pani pozwoli, że wsadzę pani do sanek mego towarzysza podróży. Chce on dziś jeszcze być w Berdzie, mnie zaś śpieszno do domu.

— Gdzież ten towarzysz? — spytała.

Sintram odpiął fartuch i pokazał Annie człowieka, który spał leżąc na dnie sań.

— Jest on trochę pijany, ale cóż to szkodzi? Śpi sobie i basta. Zresztą, dobry to znajomy pani, panno Stjärnhök... Gösta Berling.

Anna zadrżała.

— Tak, tak, powiem tylko tyle — rzekł Sintram — że kto opuszcza osobę kochaną, oddaje ją diabłu w posiadanie. Tak i ja dostałem się w jego szpony. Oczywiście, każdy sądzi, że czyni dobrze. Rezygnować, to dobrze, kochać, to źle!

— Cóż to wszystko znaczy? — spytała wstrząśnięta do głębi.

— Nie powinna pani była odtrącać Gösty...

— Tak chciał Bóg.

— Aha! Właśnie! Rezygnacja to dobra rzecz, a kochanie — zła... Poczciwy Bóg nie chce widzieć ludzi szczęśliwych. Posyła za nimi wilki. Ale przypuścimy, że to nie Bóg je posłał, panno Anno. Czyż nie mogłem równie dobrze ja sam posłać swe szare owieczki za młodą parą? Może posłałem wilki nie chcąc tracić człowieka, który jest moją własnością? Przypuścimyż tedy, że nie Bóg posłał wilki.

— Nie kuś mnie pan, bym zwątpiła — rzekła Anna cicho — jeśli zwątpię, jestem stracona.

— Przypatrz się pani! — powiedział pochylony nad śpiącym Göstą. — Spójrzj jeno na jego palec serdeczny. Ta rana nigdy się nie zagoi. Wzięliśmy z tego palca krew dla spisania umowy. Jest mój. W krwi mieści się siła wielka. Jest mój. Miłość go jeno może zbawić. Jeśli u mnie zostanie, zajdzie daleko!

Anna walczyła z omamem, który ją ogarnął. Wiedziała, że to szaleństwo, że nie można duszy zapisywać szatanowi, ale nie miała władzy nad swymi myślami. Zatopiona w mroku i milczeniu lasu, nie mogła strzasnąć z siebie przerażenia.

— Czy panna Anna sądzi, że on już nic niewart? Tak nie jest! Nie dręczył chłopów, nie oszukiwał biednych przyjaciół, nie grał fałszywie i nie był kochankiem mężatki.

— Pan sam jesteś diabłem! — zawołała.

— Pomieniajmy się, panno Anno! Weź pani Göstę i wyjdź za niego, a właścicielom Bergi daj trochę pieniędzy. Odstąpię go pani, gdyż jest mój. Niech pani sobie wyobrazi, że nie Bóg wysłał owej nocy wilki i przystanie na zamianę.

— Cóż pan chcesz za niego?

Sintram skrzywił się.

— Ach... bagatelkę... poprzestanę na drobnostce! Chcę dostać tylko tę, która tam siedzi w saniach.

— Szatanie! Kusicielu! — zawołała. — Precz ode mnie! Czyż mam opuszczać przyjaciółkę, która mi zaufała! Mamże ci ją oddać, byś ją przyprowadził o szaleństwo?

— Spokojnie! Spokojnie! Panno Anno, proszę się zastanowić. Oto jest do wyboru piękny, młody mężczyzna i stara, słaba kobieta. Jedno z dwojga dostać muszę! Kogóż mi tedy pani zostawi, panno Anno?

Anna zaśmiała się rozpacznie.

— Czy pan Sintram sądzi, że handluje się tu duszami niby końmi na jarmarku w Borby?

— Tak, akuratnie tak! Ale jeśli panna Anna woli, możemy sprawę inaczej załatwić biorąc pod rozwagę także i honor rodu Stjärnhöków.

Powiedziawszy to zaczął głośno wołać swoją żonę siedzącą w sankach, a stara, ku wielkiemu przerażeniu Anny, wyszła z sań i zbliżyła się doń drżąc i trzęsąc się.

— Ho... ho! Cóż za posłuszna żonka! — powiedział Sintram. — Panna Anna nie ma tego za złe, jeśli żona przychodzi na zawołanie męża. Teraz dobędę Göstę z mych sanek i zostawię go pani... na *zawsze!*... na *zawsze!*... Kto chce, niech go sobie bierze!

Pochylił się po Göstę, ale Anna zbliżyła się tak, że niemal dotknęła go twarzą, wpiła weń przeszywające spojrzenie i syknęła jak dzikie zwierzę.

— Jedź w imię boże do domu! Czy wiesz, kto tam czeka na ciebie w bujającym fotelu, przy stole? Czyż ośmielisz się kazać mu czekać długo?

Ku ogromnemu przerażeniu Anny słowa te uczyniły wielkie wrażenie na Sintramie. Szarpnął lejce, obrócił sanki i odjechał galopem, okładając konia batem i ponagłając go dzikimi przekleństwami do biegu. Przepaścistym zбочem gnał Sintram na złamanie karku, a spod płóz sani i podków konia leciały skry mimo cienkiej warstwy marcowego śniegu.

Zostawszy we dwie, nie przemówiły słowa. Ulryka drżała, przerażona dzikim spojrzeniem Anny, Anna nie miała co mówić do biednej starowiny, dla której poświęciła ukochanego.

Rada by była płakać, szaleć, tarzać się po drodze i sypać na głowę piasek i śnieg. Dotąd doznawała podniosłej świadomości wyrzeczenia, teraz atoli czuła jeno gorycz. Cóż znaczyło poświęcać miłość swoją w porównaniu z tą ofiarą — wydaniem duszy ukochanego na zatracenie?

W milczeniu dotarły do Bergi. Gdy jednak otwały drzwi do salonu, Anna Stjärnhök zemdlą po raz pierwszy i ostatni w życiu. Przy stole siedział Sintram z Göstą i rozprawiali najspokojniej w świecie. Gęste kłęby dymu napępniały pokój; musieli tu spędzić już co najmniej godzinę.

Anna zemdlą, ale Ulryka zachowała spokój. Zmiarkowała ona jeszcze na gościńcu, że ten, który ich ścigał, to nie był prawdziwy Sintram.

Kapitan i jego żona uradzili owego wieczora, że Ulryka zostanie czas dłuższy u swych starych przyjaciół w Berdze. Gdy o planie tym poinformowali Sintrama, zgodził się jak najchętniej.

Oświadczył, że wcale nie zamierza doprowadzać swej żony do pomieszczenia zmysłów.

O, wy dzieci czasów dzisiejszych! Nie domagam się, by ktoś wierzył tym starym opowieściom, które mogą być tylko zmyśleniem i złudą. Ale kiedyż stanie się złudą i omanem skrucza poruszająca serce, skrucza jęcząca jak podłoga pod biegunami fotela w domu Sintrama oraz powątpiewanie, co brzęczy jak dzwonek sań w uszach Anny Stjärnhök?...
O, gdyby tak stać się mogło!

12. DZIEJE EBBY DOHNY

Strzeż się wkraczać na piękny przylądek u wschodnich brzegów Lövenu oblany łagodnymi falami zatoki! Strzeż się wkraczać na ten piękny przylądek, na którym stoi dwór borgijski.

Znikąd nie wydaje się jezioro piękniejsze jak z samego cypla tego przylądka. Nigdzie nie jest ono tak wspaniałe o wschodzie, kiedy się z mgieł wynurza, lub o zachodzie, gdy na nie patrzeć z okna małego, błękitnego gabinetu, kędy tyle wspomnień żyje. A mimo to powtarzam: — Nie chodź tam!

Może ogarnie cię ochota pozostania w tych smutkiem przepojonych komnatach, może zakupisz tę posiadłość i zamieszkaś tu — jak wielu innych przed tobą — młody, bogaty i szczęśliwy, z nowo zaślubioną żoną.

Nie... nie... lepiej nie oglądać pięknego przylądka, gdyż w Borgu szczęście nie zwykło mieszkać. Wiedz, że choćbyś przybył bogaty i szczęśliwy, to niebawem i *twoje* łzy poleją się na przesiąkniętą łzami podłogę, a ściany, które odbiły echo tylu już westchnień i krzyków skargi, rozebrzmiały *twoim* żalem.

Smutne przeznaczenie ciąży na tym dworze. Zda się, leży tam pochowane nieszczęście, nie mogące znaleźć spokoju w grobie, które wstaje ciągle, by straszyc żywych. Gdybym była właścicielką Borgu, kazałabym rozkopać kamienisty grunt lasu jodłowego, piwnice i czarną ziemię w polu, by znaleźć objedzony przez robaki szkielet czarownicy i złożyć go w poświęconej ziemi cmentarza svartsjöńskiego. Nie żałowałabym też na pogrzeb obfitych datków dzwonnikom, proboszczowi i kościelnemu za długie i głośnie dzwonienie, mowę i śpiewy, by ukolysały zmarłą do snu wiecznego.

Gdyby to nie pomogło, podpaliłabym w jakąś ciemną, burzliwą noc stare, drewniane ściany, aby nikt już nie uległ pokusie zamieszkania w przybytku niedoli. Nikt nie przestąpiłby już przeklętego miejsca, jeno czarne kawki z wieży kościoła dostałyby pozwolenie uwicia nowych gniazd w szerniałym kominie, co ponuro sterczałby nad opustoszałą porozelą.

Pewnie by mnie lęk ogarnął na widok płomieni liżących dach, gdy kłęby dymu, czerwieniejąc w blasku i sypiąc skrami buchnęłyby ze starego hrabiowskiego dworu. W syku, dymie i skrach usłyszałabym pewnie skargi bezdomnych teraz wspomnień, zaś w niebieskich językach płomieni dostrzegłabym zapewne wypędzone duchy domowe. Pomyślałabym o tym, że cierpienie uszlachetnia, a nieszczęście staje się ozdobą, i zapłakałabym nad świątynią starych bogów, wydaną na pastwę ognia.

Lecz cicho, kruk złowieszczy! Stoi jeszcze dwór borgijski, oblany marcowym słońcem, na cyplu przylądka, pod ochroną potężnych jodeł parku, i rysuje się ostro na śnieżnej bieli pól. Z wnętrza zaś dolata wesoły śmiech młodej hrabiny Elżbiety.

Co niedziela udaje się ona do svartsjöńskiego kościoła, a po nabożeństwie zaprasza do pałacu kilka osób, najczęściej zaś sędziego z Munkerudu, jego żonę, rodzinę kapitana z Bergi, kapelana i złego Sintrama.

Gösta Berling przybywa także pieszo przez lód do Svartsjö i również otrzymuje zaproszenie do Borgu. Czemuż by go nie miała zaprosić?

Nie wiedziała wcale, że plotkarki zaczęły już szeptać o tych częstych wizytach Gösty na wschodnim brzegu jeziora: że czynił to w celu zobaczenia hrabiny, a może także, by popić z Sintramem, ale to ostatnie wydawało się już mniej ważne. Wszyscy wiedzieli, że Gösta ma ciało z żelaza, natomiast serce zgoła niehartowane i nie może patrzeć na jasne włosy kobiece, zwite wokół jasnego czoła, i w błyszczące oczy, nie zakochawszy się zaraz.

Hrabina jest mu życzliwa i nic w tym dziwnego, gdyż taka jest dla wszystkich. Bierze na kolana obdarte, żebrzące dzieci, ile razy zaś napotka starca idącego pieszo, zatrzymuje się i bierze go do sanek.

Gösta przesiaduje chętnie w błękitnym gabinecie, skąd tak uroczy ściele się widok na jezioro, i czytuje jej poezje. Cóż w tym złego? Nie zapomina przecież, że ona jest hrabiną, on zaś biednym, bezdomnym awanturnikiem, czci ją i poważa jak wyższą, niedosiężną istotę. Równie dobrze mógłby zakochać się w królowej Sabie, której wizerunek zdobi ambonę svartsjöńskiego kościoła.

Pragnął jeno mieć sposobność służenia jej jako paż: przypinać łyżwy do nóg, trzymać motek nici i kierować sankami. Mowy między nimi o miłości być nie mogło, ale Gösta rozkoszował się właśnie takim niewinnym romantycznym marzeniem.

Hrabia był to człowiek cichy, poważny, a Gösta żywy i ochoczy, i to pociągało hrabinę. Kto na nią spojrział, nie mógł przypuszczać, że kryła w sercu niedozwoloną miłość. Oddana jeno była tańcom, weselu i chciałaby usunąć z ziemi wszelkie przeszkody, góry, skały, rzeki, morza, uczynić ją gładką jak posadzka balowej sali, by móc hasać po całej powierzchni w cienkich, jedwabnych trzewiczkach. Od kołyski aż do grobu.

Ale plotka nie szczędzi młodych kobiet.

Po obiedzie w hrabskim pałacu panowie udawali się do gabinetu hrabiego na drzemkę lub fajki, a starsze damy zapadały w miękkie fotele salonu i składały czcigodne głowy na wysokich oparciach. Zaś hrabina i Anna Stjärnhök toczyły w błękitnym gabinecie nieskończone poufne rozmowy.

Siedziały tu również w niedzielę, w tydzień potem, kiedy to Anna Stjärnhök przywiozła do Bergi Ulrykę Dillner.

Nie było na całym świecie nieszczęśliwszej dziewczyny. Znikła jej wesołość oraz żartobliwa hardość, która odpowiadała dawniej na wszelkie zaczepki.

Zapadło w półcień nieświadomości wszystko, co się jej przydarzyło podczas owej powrotnej drogi do domu, pozostawiając jeno tylko wrażenie trujące duszę.

Tak, trucizną była ta myśl.

— A jeśli to nie Bóg uczynił — szeptała do siebie raz po raz. — A jeśli nie on właśnie posłał wilki?

Pragnęła znaku i cudu, spoglądała po niebie i ziemi, ale z żadnej chmury nie sterczał palec, by jej wskazać drogę. Nie kroczył przed nią ani słup mgły, ani słup ognia.

Siedząc w błękitnym gabinecie przed hrabiną, zauważyła mały pęczek niebieskich zawilców, który hrabina trzymała w ręku. Błyskawicą przeszła ją myśl — wiedziała, gdzie kwiatki te rosły i kto je zerwał. Szkoda pytać. Gdzież bo rosną na początku kwietnia zawilce? Tylko w lasku brzozowym na zboczu wzgórza ekebijskiego.

Zapatrzyła się w te błękitne gwiazdki, ulubione zwiastunki szczęścia, piękna i dobra, a jednocześnie uczuła w sercu gniew głuchy jak grzmot i obezwładniający jak grom.

„Jakimże prawem — pomyślała — ma hrabina Dohna w ręku błękitne zawilce zerwane na wzgórzu Ekeby?”

Wszyscy, Sintram, hrabina, słowem każdy z ludzi, kusili Göstę, by się dopuścił rzeczy złej, postanowiła go tedy bronić przed wszystkimi, choćby przyszło wytoczyć krew własnego serca.

Uczuła, że nim opuści błękitny gabinet, musi wyrwać z ręki hrabiny ten pęk zawilców, rzucić go o ziemię, zdeptać i zniszczyć.

Zaczęła walkę z niebieskimi gwiazdkami. W salonie siedziały czcigodne damy, wsparte o wezłowania foteli, panowie w gabinecie hrabiego pykali spokojnie z fajek, wszędzie panowała cisza, tylko w błękitnym gabinecie zawrzała rozpacзлиwa walka.

Ach, jakże dobrze czynią ci, którzy nie imając się od razu broni milczą, czekają, nakazują spokój swym sercom i pozwalają działać Bogu. Serce niespokojne błędzi zawsze, nowe zło pogarsza jeszcze zło dawne.

Annie Stjärnhök wydało się teraz, że dostrzega palec pośród chmur.

— Anno! — powiedziała hrabina — opowiedz mi jakąś historyjkę.

— O czym mam mówić?

— Ach! — odparła hrabina gładząc dłonią kwiatki. — Czyż nie znasz jakiejś historyjki miłosnej?

— Nie znam żadnej, która by mówiła o miłości.

— Nie mów tak. Przecież istnieje Ekeby i pełno w nim kawalerów.

— Tak! — rzekła Anna. — Istnieje miejscowość zwana Ekeby, i pełno tam ludzi, którzy wysysają siły żywotne kraju, czynią nas wszystkich niezdolnymi do uczciwej pracy, psują dorastającą młodzież i najlepszych spośród mężczyzn sprowadzają na manowce. Czy chcesz, bym o nich mówiła? Bym ci o nich opowiedziała historie miłosne?

— Tak, chcę! Lubię kawalerów!

Anna Stjärnhök zaczęła mówić urywanymi zdaniem, jakby czytała stary psalm, a piersi jej rozsadzały gwałtowne uczucia. Głos drżał namiętnością, a hrabina słuchała na poły z zaciekawieniem, na poły trwożnie.

— Czymże jest miłość, czym wierność rezydenta z Ekeby? Ma jedną kochankę dziś, drugą jutro, jedną na zachodzie, inną na wschodzie. Nic mu za wysokie, nic zbyt niskie.

Dziś hrabina, jutro żebraczka uliczna! Serce jego szerokie. Biada jednak nieszczęsnej, która pokochała kawalera z Ekeby! Musi go podnosić z rowu, gdzie leży pijany, musi w milczeniu znieść, gdy przegra w karty dobytek jej dzieci, musi się godzić na jego zaloty do innych kobiet. Ach, Elżbieto, uczciwa kobieta powinna odmówić takiemu kawalerowi tańca, cisnąć o ziemię i zdeptać kwiaty od niego otrzymane, a jeśli pokocha, umrzeć raczej, niżli iść z nim od ślubu.

Pomiędzy kawalerami był pewien proboszcz wyrzucony za pijaństwo z plebanii. Przychodził pijany do kościoła i wypijał wino mszalne. Czyś o nim słyszała?

— Nie.

— Po wyrzuceniu z probostwa włóczył się jak żebrak po drogach i pił na umór, a nawet kradł, by mieć na wódkę.

— Jak się nazywa?

— Nie ma go już w Ekeby. Majorowa wzięła go w opiekę, dała mu odzież i namówiła swą teściową, by go wzięła na nauczyciela dla męża twego, młodego hrabiego Henryka.

— Wypędzonego proboszcza?

— O, był to człowiek młody, silny i wykształcony. Nie można mu było nic zarzucić, jeśli nie pił. Hrabina Märta była pobłażliwa, a przy tym bawiło ją, że robi na złość dziekanowi i kapelanom. Ale nakazała, by dzieciom nie mówiono o tym, czym był dawniej, gdyż syn straciłby dlań szacunek, a córka nie zniosłaby go, ponieważ była to osoba wprost święta.

Przybył więc do Borgu. Stał zawsze przy samych drzwiach, siadał na krawędzi krzesła, milczał przy stole, a gdy przybywali goście, uciekał do parku.

Tam atoli spotykał często hrabiankę Ebbę Dohnę, lubiącą samotność. Unikala ona hucznych przyjęć, jakie odbywały się w pałacu od czasu śmierci starego hrabiego. Świat ją przerażał. Była łagodna, płochliwa i wyglądała na dziecko, mimo lat osiemnastu, ale oczy ciemne i delikatna różowa płeć czyniły ją piękną. Szczupła, nieco pochylona, miała małe, wąskie dłonie, które odpowiadały z lekka jeno na uścisk, a poważne usta milczały jak żadne inne. Głos cichy, miękki nadawał słowom z wolna wymawianym brzmienie niezmiernie piękne, nie był on jednak świeży, ciepły i młodzieńczy, lecz nieco zmęczony, podobny do końcowego akordu pieśni, w którym słychać znużenie artysty.

Różniła się od innych dziewcząt. Stopy jej dotykały ziemi z lekka, jakby była wygnanką na tym padole, a powieki miała spuszczone, by nic nie przeszkadzało jej w patrzeniu na cudowne obrazy jawiące się przed oczyma duszy. W młodości już odwróciła się od ziemi.

Gdy była dzieckiem, opowiadała jej babunia baśnie. Pewnego razu siedziała u kominika, ale zapas bajek wyczerpał się. Postacie z baśni i legend przesuwały się jak żywe przed wyobraźnią dziewczynki. Poruszały się i jaśniały niby płomień na kominku w blasku i wspaniałości. Ale oto bohaterowie polegli, królowny zamieniły się w węgiel, czekając, by je nowy ogień do życia zbudził. Rączka małej gładziła kolano babki okryte jedwabiem, tą dziwną materią, która pod dotknięciem kwiliła jak ptak. Ruch ten oznaczał prośbę, gdyż nie prosiła nigdy słowami jak inne dzieci.

Staruszka tedy zaczęła opowiadać o małym chłopczyku w ziemi żydowskiej, który urodził się, by zostać wielkim królem. Śpiew aniołów towarzyszył jego przyjsciu na świat, wiedzeni gwiazdą niebieską przybyli doń uczeni ze Wschodu, niosąc złoto i kadzidło, a starzy ludzie prorokowali mu świętą wielkość. Dziecko to stało się piękniejsze i mądrzejsze od innych, gdy zaś chłopczyk doszedł lat dwunastu, prześcignął mądrością arcykapłanów i biegłych w Piśmie.

Potem opowiedziała staruszka o najpiękniejszej rzeczy, jaką widziała ziemia, to jest o życiu tego dziecka pośród złych ludzi, którzy go uznać za króla nie chcieli.

Opowiadała, jak dorósłszy czynił cuda, kochany przez wszystko na ziemi prócz ludzi. Ryby dały się łapać w jego sieci, chleb napelniał mu kosze, woda na jego życzenie przemieniała się w wino.

Ale ludzie nie posadzili go jako króla na tron i nie dali złotej korony na głowę. Nie otoczyli go licznym dworem, ale kazali mu żyć jak żebrakowi.

Mimo to wielki król dobry był dla nich, leczył chorych, przywracał wzrok ślepcom i budził zmarłych.

Nie tylko nie chcieli go mieć królem, ale nasłali nań zbirów, schwytali, dali szyderczo koronę z cierni i trzcinę miast berła, ubrali w czerwoną szatę i włożywszy krzyż na ramiona powlekli go na miejsce stracenia. Ten wielki król lubił góry wysokie. Nocą wstępował na nie i rozmawiał z mieszkańcami nieba, za dnia siadywał na zboczach i nauczał ludzi. Teraz zaś zawiedli go właśnie na górę, by mu zadać śmierć. Przebili gwoździami ręce i nogi i powiesili na krzyżu dobrego króla, jak gdyby był złoczyńcą i zbojcem.

I drwił zeń lud, a jeno matka płakała i przyjaciele żalowali, że musi umierać, zanim został królem.

Ach! Żalowała go też martwa przyroda. Słońce utraciło blask, góry drżały, pękła na pół zasłona w świątyni i rozwarły się groby, by mogli wyjść zmarli dla okazania swego bólu.

Śluchając tego mała dziewczynka lkała z głową ukrytą na łonie babki, jakby jej pęknąć miało serce. „Nie płacz, drogie dziecko — powiedziała jej babka — dobry król wstał z grobu i udał się do ojca swego w niebie”.

„Czy nigdy nie został królem?” — pytała mała płacząc.

„Siedzi po prawicy Boga w niebie” — odpowiedziała babka.

Ale dziewczynka nie mogła się uspokoić. Płakała rozpacznie i długo, jak tylko dziecko płakać potrafi. „Czemuż to ludzie byli dlań tak źli? — pytała. — Czemu im wolno było to zrobić?”

Staruszkę przeraził niemal nadmierny ból dziecka.

„Babcu — prosiła mała Ebba — przyznaj, żeś niedokładnie opowiedziała, musiał być inny koniec! Powiedz, że oni nie byli tak źli dla dobrego króla! Powiedz, że został on tu, na ziemi, królem!” Otoczyła rękami szyję babki i płakała dalej.

„Moje dziecko — odparła babka, by ją pocieszyć — ludzie wierzą, że on wróci, że ziemię całą posiadzie i założy wspaniałe królestwo, trwające tysiące lat. Wówczas dzięki zwierzęta staną się dobre, małe dzieci igrać będą mogły ze żmijami, a niedźwiedź i owca paść się zaczną zgodnie obok siebie. Ludzie też przestaną sobie dokuczać, włócznie zamienią w kosy, a miecze w lemiesz. Wszędzie zapanuje radość i wesele, gdyż dobrzy obejmą dziedzictwo ziemi”.

Na te słowa rozpogodziła się twarzyczka małej. „Czy dobry król dostanie tron?” — spytała. „Tak, złoty tron, droga moja!” „I służbę, i dworzan, i złotą koronę?” „Tak, dziecinko!” „A czy prędko wróci?” „Nikt tego nie wie”. „Czy wolno mi będzie siedzieć u stóp jego na stołeczku?” „Wolno ci będzie” „O, jakże jestem szczęśliwa!” — zawołała.

Co wieczora przez wiele zim siadywały u ognia i rozmawiały o dobrym królu i jego państwie. Mała Ebba marzyła po całych dniach i nocach o tysiuletnim królestwie i stroiła je we wszystkie piękności, jakie jeno wymarzyć mogła.

Tak bywa często z milczącymi dziećmi naszych okolic. Noszą one w sobie marzenia, których wypowiedzieć nie śmia. Przedziwne myśli snują się w małych główkach, a ciemne oczy pod spuszczone powiekami dostrzegają mnóstwo rzeczy. Niejedna uroczą dziewczyna ma narzeczonego w niebie i pragnie siedzieć u stóp jego, namaszczając mu nogi i ocierając je włosami.

Ebba nie śmiała wyjawić myśli swoich, ale od pamiętnego dnia żyła jeno myślą o powrocie Pana i jego tysiuletnim królestwie.

Kiedy wieczorem niebo zaczynało płonąć na zachodzie, jakby rozwierały się bramy zaświatów, marzyła, że może teraz właśnie wyjdzie On, otoczony rzeszą aniołów, i pozwoli jej dotknąć rąbka szaty. Rozmyślała też o pobożnych niewiastach, które kochając go jak ona, zarzucają na głowę welon zakonny, nie podnoszą oczu od ziemi i, zamknięte w szarych celach, trwają — zapatrzone w jaśniejące zwidy dusz własnych.

Tak rosła i taka była w porze, kiedy spotkała nowego nauczyciela na ścieżce samotnego parku.

Nie chcę go przedstawiać gorszym, niż muszę. Przypuszczam tedy, że pokochał tę dziewczynę, która go niebawem obrała za towarzysza przechadzek. Przypuszczam nawet, że mu odrosły dawne skrzydła, kiedy przestawał z tą młodą, milczącą istotą, która się nikomu dotąd nie zwierzyła, że stał się z powrotem jak dziecko dobry i pobożny.

Jeśli ją jednak kochał prawdziwie, czemuż nie pomyślał o tym, że jego miłość była dla niej zgubnym darem? Cóż miał ten wyrzutek, ten wypędzony proboszcz, do czynienia z hrabskim dzieckiem, które mu zaufało wtajemniczając w marzenia swoje? Wszakże był

pijakiem, który wróci do nałogu przy lada sposobności. Czegóż chciał od tej narzeczonej Chrystusa? Winien był raczej uciec daleko, zostać bodaj żebrakiem czy złodziejem i włóczęgą, a nie przechadzać się po alejach parku i wracać do zubożonego życia, bo wszakże tego, co było, przekreślić nie mógł, a obecność jego wywołać musiała miłość Ebby Dohny.

Nie sądził zresztą, że miał wygląd pijaczyny, o białych policzkach i czerwonych oczach. Postać jego była wspaniała, piękna, silna, królewska, a zdrowie żelazne, nie złamane nadużyciem.

— Czy żyje jeszcze? — spytała hrabina.

— O... nie... pewno już zmarł! To zaszło tak bardzo dawno!

Anna Stjärnhök uczuła strach przed tym, co czyni, postanowiła zataić, kto jest tym człowiekiem i wmówić w hrabinę, że dawno zmarł.

— Wówczas był jeszcze bardzo młody! — dodała. — Obudziła się w nim na nowo chęć do życia, a posiadał płomienną wymowę i wrażliwe serce.

Pewnego dnia zaczął mówić Ebbie o miłości swojej, ona zaś nie odpowiedziała, wyznała jeno, o czym rozmawiała z babką w zimowe wieczory i opisała mu kraj swych marzeń. Potem zaś zażądała, by złożył ślubowanie, że zostanie głosicielem słowa bożego i jednym z tych, którzy przybliżają powrót królestwa bożego na ziemi.

Cóż miał czynić? Jako wygnany proboszcz wiedział, iż zamkniętą ma tę właśnie drogę, jakiej żądała. Nie, nie śmiał wyznać prawdy i zasmucać ukochanej. Przyobiecwał tedy wszystko.

Nie mówili o tym więcej, on zaś pewien był, że Ebba zostanie kiedyś jego żoną. Pocałunków i pieszczot nie znała ich miłość, ledwo śmiał się do niej zbliżyć, gdyż była wrażliwa jak kwiat. Czasem podnosiła jeno nań oczy lub tuliła się do niego, gdy siedzieli na werandzie w księżycową noc, on zaś całował wówczas ukradkiem jej włosy.

Grzechem jego było, jak widzisz, że zapomniał przeszłości i przyszłości. Mógł wymazać z pamięci to, że jest biedny i niewysokiego rodu, ale winien był uświadomić sobie, iż nadejdzie dzień, kiedy go Ebba pokocha, kiedy zacznie się walka nieba z ziemią i narzeczone Chrystusa będzie musiała wybrać pomiędzy władcą tysiącletniego królestwa, między niebiańskim a ziemskim oblubieńcem. A sił nie miała na taką walkę.

Minęło lato, jesień i zima. Z nastaniem odwilży wiosennych zachorowała Ebba. Wezbrane strumienie huczały jak wodospady, wzgórze zlodowaciały, a drogi stały się nie do przebycia pojazdem ni sankami.

Hrabina Dohna chciała posłać do Karlstadu po lekarza, ale nikt ze służby prośbą ni groźbą nie dawał się nakłonić do ruszenia w drogę. Padła na kolana przed stangretem, ale odmówił. Popędliwa w bólu czy radości hrabina Märta dostała spazmów i histerycznego ataku ze strachu o córkę.

Ebba zapadła na zapalenie płuc i groziła jej śmierć, a lekarza przywieźć nie było można.

Nauczyciel pojechał do Karlstadu narażając życie. Przedostał się przez spiętrzone wały kry, karkołomne, zlodowaciałe pagórki, nieraz rąbiąc stopnie dla konia w ścianach lodu, to znów wyciągając pojazd z przepaścistej gliny. Podobno lekarz nie chciał jechać, a uczynił to dopiero, gdy mu przyłożył pistolet do piersi.

Gdy wrócił, hrabinaomalże do nóg mu nie padła, wołając: „Mów pan, czego chcesz, pieniędzy, córki... bierz, co ci się podoba!” „Proszę o córkę, pani hrabino!” — odparł nauczyciel.

Anna Stjärnhök umilkła nagle.

— I cóż? — spytała hrabina Elżbieta.

— Nie ma co dalej opowiadać! — rzekła Anna w wielkiej niepewności. Zaliczała się do owych wiecznie niezdecydowanych osób, którym wszystko wydaje się raz dobre, a raz złe. Teraz żałowała już, że zaczęła tę opowieść.

— Chyba kpisz ze mnie, Anno — powiedziała hrabina. — Wszakże wiesz dobrze, że muszę usłyszeć koniec.

— Nie jest ciekawy! — zauważyła Anna. — Nadeszła dla Ebby godzina walki nieba z ziemią, a obie miłości zawarły się w zapasach.

Hrabina Märta opowiedziała córce o niebezpiecznej podróży nauczyciela i oświadczyła, że w nagrodę przyrzeka mu jej rękę.

Ebba była wówczas już o tyle zdrowa, że leżała ubrana na sofie, blada tylko, bezsilna i bardziej jeszcze niż zazwyczaj milcząca.

Usłyszawszy słowa matki podniosła na nią oczy z żalem i wyrzutem, mówiąc: „Oddałaś mnie, mamó, wypędzonemu proboszczowi, człowiekowi, który utracił prawo być sługą bożym, a stał się złodziejem i żebrakiem”.

„Dziecko moje! Któż ci to powiedział? Sądziłam, że nie wiesz nic!”

„Dowiedziałam się przypadkiem. Goście rozmawiali o tym tego dnia, kiedym zachorowała”.

„Ależ dziecko! Zważ, że on ci ocalił życie!”

„Pamiętam o tym, jeno, że mnie oszukał. Powinien był powiedzieć, kim jest”.

„Twierdzi, że go kochasz”.

„Kochałam go. Ale kochać nie mogę człowieka, który mnie oszukał”.

„Jakże to oszukał cię?”

„Nie rozumiesz tego, mamó!”

Ebba nie chciała mówić z matką o tysiącletnim królestwie bożym swych snów, w którego urzeczywistnieniu miał jej pomagać ukochany.

„Ebbo — powiedziała hrabina Märta — jeśli go kochasz, nie powinnaś zważać, czym ongiś był, ale wyjść za niego. Człowiek biorący za żonę hrabiankę Dohnę będzie tak potężny i bogaty, że świat przebaczy mu błędy młodości. Pamiętaj przy tym, że mu dałaś słowo”.

Dziewczyna zbladła śmiertelnie. „Matko — powiedziała — wydając mnie za niego oddalasz mnie od Boga!”

„Pragnę tylko twego szczęścia — oświadczyła hrabina Märta — a wiem, że z nim szczęśliwa będziesz. Wszakże udało ci się już przerobić go na świętego. Zapomnę o różnicach stanu, a także o tym, że jest biedny i potępiony przez ludzi, by ci dać możliwość uratowania go. Wiesz, że nie zważam na stare przesady”.

Wszystko to powiedziała dlatego, że nie cierpiała, by się ktoś sprzeciwiał jej woli. Może też miała taki pogląd. Trudno było wyrozumieć na dobre hrabinę Märte.

Dziewczyna leżała długo jeszcze na sofie po odejściu matki, walcząc z sobą. Ale w boju nieba z ziemią zwyciężył ukochany wieku dziecięcego. Z łoża swego — a była nim ta kanapa — ujrzała płomienny zachód słońca. Wzięła to za pozdrowienie dobrego króla, ponieważ zaś nie czuła sił, by mu zostać wierną w życiu, postanowiła umrzeć. Nie mogła uczynić inaczej, gdyż matka żądała, by była żoną człowieka, który nie mógł zostać sługą dobrego króla.

Podeszła do okna, otworzyła je i stanęła w zimnym wilgotnym powietrzu, które przejęło lodowatym chłodem jej biedne, schorowane ciało.

Nietrudno było Ebbie o śmierć. Musiała nastąpić w razie nawrotu choroby i tak się też stało.

Nikt prócz mnie nie wiedział, że pragnęła śmierci, Elżbieto! Zastałam ją u okna, słyszałam jej majaczenia gorączkowe i byłam przy niej, jak chciała, do ostatniej chwili.

Widziałam, jak umierając wyciągnęła ramiona do zachodzącego słońca z uśmiechem takim, jakby witała kogoś idącego jej na spotkanie z tej powodzi światła. Poleciała mi, bym zniosła ostatnie pozdrowienie temu, którego kochała, i prosiła o przebaczenie, że żoną jego zostać nie mogła, gdyż nie zezwolił na to dobry król.

Ale nie miałam odwagi powiedzieć temu człowiekowi, że jest mordercą, nie miałam siły obarczyć go takim brzemieniem. A jednak mordercą był w istocie, wszak prawda, Elżbieto, gdyż podstępem zdobył jej miłość!

Hrabina dawno już przestała bawić się kwiatkami. W tej chwili wstała, a anemony upadły na ziemię.

— Anno! — rzekła. — Przez cały ciąg opowiadania zwodziłaś mnie. Twierdzisz, że to stara historia, że człowiek ten nie żyje. Tymczasem wiem przecie, że Ebba zmarła ledwie pięć lat temu, a sama, jak powiadasz, byłaś świadkiem wszystkiego. Nie jesteś przecież stara! Powiedz mi nazwisko tego człowieka.

Anna Stjärnhök wybucha śmiechem.

— Chciałaś historyjki miłosnej, przeto opowiedziałam ci coś, w czym nie brakło ni powodu do łez, ni niepokoju.

— Więc to nieprawda?

— Czysty wymysł od początku do końca!

— Jesteś niezdolna, Anno!

— Może być; ale wiedz, że wcale nie jestem szczęśliwa. No, dość tego, damy się już obudziły, a panowie wrócili do salonu. Chodźmy do nich!

W progu spotkały Göstę Berlinga, który przyszedł dowiedzieć się, co robią.

— Musicie panie poświęcić mi parę chwil! — powiedział ze śmiechem. — Nie potrwa to dłużej jak dziesięć minut, ale rad bym przeczytać paniom swe wiersze!

Opowiedział, że minionej nocy miał sen tak żywy jak nigdy dotąd. Marzyło mu się, iż pisze wiersze. Zwano go dotąd poetą, ale przezwisko to nosił niezasłużenie, bo nie miał na sumieniu ni jednego wiersza. Zeszłej atoli nocy wstał, i na poły jeno przytomny, siadł pisać. Rano znalazł na biurku spory poemat, czego się zgoła nie spodziewał po sobie.

Rzekłszy to zaczął czytać:

Księżyc już zeszedł... o uroczą chwilo!
Zaczarowany blask srebrnej poświaty
Lśni na werandzie, wkoło lilii kwiaty
Lekko na wietrze kielichy swe chylą.
Na białych stopniach, cisi, zamyśleni,
Siedzimy — milcząc... i młodzi, i starzy...
Każdemu w duszy pieśń srebrna się marzy,
Pieśń księżycowa — czas białych kamieni
I czar twój, cicha i uroczą chwilo...

Z grządek rezedy dolatują wonie,
A tam, gdzie drzewa czernieją jak duchy,
Cień na srebrzystej chybotą się trawie...
Wtedy ku światłu lekkimi podmuchy
Wiatru niesiony — duch, uskrzydłon prawie,
Wzlatuje w gwiazdy, hen na nieboskłonie,
Ciężkich cielesnych pozbywszy się oków.
O, jakże miło wzdychać do obłoków,
Gdy z grząd rezedy dolatują wonie.

*

Na ziemię cicho opada kwiat róży,
Gdy czar jej więdnie w gorące dni lata.
Gdybyż tak człowiek rozstawał się z życiem
Jesienią, kiedy natura bogata
Złota swych liści zbywa się obficie!
Gdyby jak dźwięk mógł przebrzmieć — i ujść burzy,
Która na ziemi gromy jeno miota,
Walczącym śmierci otwierając wrota!
O, gdyby człowiek marł jak płatek róży!

W górze trzepocą skrzydła nietoperza,
Który wśród skrzących gwiazd zatacza koła —
A w piersi serce szybciej ci uderza,
Pyta i z lękiem o odpowiedź woła:
Dokąd podąża wyzwolona dusza?
Czy przez mrok śmierci w jasne idzie kraje?

Bowiem w tę podróż każdy sam wyrusza...
Łatwiej odgadniesz drogę nietoperza.
Drżąca, o pierś mą opierając czoło,
Ta, którą zwałem moją ukochaną,
Szepnęła cicho: „Nigdy nie uwierzę,

Żeby po śmierci w krainę nieznaną
Szła moja dusza. Któż przyjmie ją szczerzej
Niż twoje serce! Tutaj kres mozołom,
Tu moja przystań... Idę w twe ramiona!...”
Biada! Czyż miła naprawdę już kona?
Czyżbym ostatni raz całował czoło?

*

Minęły lata... w wieczornej godzinie
Wracam do wspomnień... jakież lęk mnie zbiera,
Gdy srebrny księżyc na niebo wypłynie,
Co pocałunków mych świadkiem był nieraz...
On widział łzy w jej oczach, widział drżenie,
Gdy o swej śmierci mówiła mi, smutna.
O, bólu wspomnień! O męko okrutna!
Czuję jej bliskość, rozmawiam z jej cieniem,
Co się splótł ze mną w tej czaru godzinie...

— Gösto — powiedziała Anna żartobliwie, chociaż strach ścisnął ją za gardło. — Powiadają, że przeżyłeś sam jeden więcej poematów, niżli ich napisali wszyscy poeci nasi. Ale sądzę, że najlepiej będzie, jeśli poprzestaniesz na dawnym sposobie. Ten wiersz to przecież nocna robota, od razu poznać.

— Ostry z ciebie sędzia, Anno.

— Że też ci nie wstyd przychodzić tutaj i czytać nam o śmierci i cierpieniu!

Gösta nie słuchał jej i patrzył nieustannie na hrabinę. Siedziała sztywna i nieruchoma jak posąg, jakby za moment zemdleć miała.

Wreszcie wyrzuciła z trudem wielkim:

— Idź!

— Kto ma iść? — spytał. — Czy ja?

— Proboszcz ma sobie iść!

— Elżbieto! Milczże! — zawołała Anna.

— Zapity proboszcz winien opuścić mój dom!

— Anno! Anno! — powiedział Gösta. — Cóż to wszystko znaczy?

— Anno! — rzekła hrabina. — Powiedz mu, powiedz mu...

— Nie, pani hrabino! — rzekł stanowczo. — Chcę to usłyszeć od pani!

Zacięła zęby, chcąc się opanować.

— Panie Berling! — rzekła podchodząc doń. — Masz pan przedziwny talent. Sprawiasz pan, że ludzie zapominają, kim pan jesteście. Nie wiedziałam tego i ja do tej pory. Usłyszałam dopiero co historię Ebby Dohny, która ściągnęła na siebie śmierć przekonawszy się, że człowiek ukochany nie jest jej godny. Z poematu pańskiego powzięłam przekonanie, że pan właśnie jest tym człowiekiem. Nie pojmuję doprawdy, jak pan śmiesz z taką przeszłością pokazywać się w domu porządnej kobiety! Nie rozumiem tego! Czy wyraziłam myśl swą już jasno, panie Berling?

— Pani hrabina jasno wyraziła swą myśl — odparł. — Jedno słowo tylko dodam na swe usprawiedliwienie. Byłem przekonany, że pani zna moje życie. Nie tailem nigdy niczego. Ale nikomu niemiło słuchać, jak inni rozprawiają na ulicach o największej klęsce jego życia, a już trudno to chyba samemu głosić.

Wyszedł, a w tej samej chwili hrabina Dohna rozdeptała drobną stopą bukietek anemonów, małych niebieskich gwiazdek.

— Uczyniłaś, com chciała! — powiedziała Anna twardo. — Ale przyjaźń nasza skończona! Nie przebaczę ci nigdy okrucieństwa tego. Odepchnęłaś go, wyszydziłaś i zraniłaś jego duszę, ja zaś chętnie poszłabym za nim do więzienia lub pod pręgierz, gdyby trzeba było. Będę go strzegła i chroniła. Uczyniłaś, com chciała, ale ci tego nie przebaczę nigdy!

— Ależ Anno! Anno! — zawołała hrabina.

— Nie sądz, że z radością opowiadałam ci to wszystko. Wyrzywałam sobie kawałkami serce z piersi.

— Czemużeś to uczyniła?

— Czemu? Oto nie chciałam... nie chciałam, by został kochankiem zamężnej kobiety!

13. PANNA MARIA

Cicho... sza!

Coś mi brzęczy ponad głową... Pewnie przeleciała pszczoła.

Ach, nie! Cicho... sza! Cóż za zapach! Przysięgam, że pachną lewkonie, bez i narcyzy. Jaką rozkoszą przepaja zapach taki w jesienny, szary wieczór w mieście. Ile razy wspomnę o pewnym, niezrównanym zakątku ziemi, czuję zaraz woń, słyszę brzęk i ni stąd, ni zowąd znajduję się w małym, kwadratowym ogródku różanym, ujętym w ligustrowe żywopłoty. Po rogach widnieją altanki bzu z wąskimi ławkami, a ścieżki wysypane białym piaskiem biegną wokoło grządek w kształcie serc i gwiazd. Las z trzech stron otacza ten ogród. Tu obok rosną jarzębiny i czeremchy, drzewa na pół cywilizowane o pięknych kwiatach, których woń miesza się z zapachem bzu, potem widać brzozy, a za nimi las szpilkowy, prawdziwy las, milczący, ciemny, uroczysty.

Po czwartej stronie stoi mały, szary domek.

Ogródek ów był przed sześćdziesięciu laty własnością starej pani Moreus, utrzymującej się z wyrobu kołder dla chłopów. Ponadto chodziła gotować po włościańskich zagrodach na uroczystości rodzinne.

Drodzy przyjaciele! Życzę wam dużo dobrego, ale nade wszystko krosien i małego ogródka kwietnego. Krosna muszą być składane, staromodne, wielkie, by na nich pracować mogło od razu pięć czy sześć osób. Pracowniczkę współzawodniczą z sobą, by ściegi wychodziły jak najładniej i po lewej stronie, zajadają pieczone jabłka, grają w gry towarzyskie, a śmiech rozbrzmiewa tak donośnie, że przerażone wiewiórki spadają z drzew. Życzę wam takich krosien na zimę, ogródka zaś na lato! Nie pragnę dla was ogrodu wielkiego, który więcej pochłania pieniędzy, niż daje radości, jeno małego, dla własnoręcznej uprawy. Pośród grzęd niechaj stoją tam krzaki róż, a u ich stóp wieńcem niechaj kwitną niezabudki; wielokwiatowy, rozwichrzony mak sam się wysieje wszędzie, po brzegach grządek i na środku ścieżek; wreszcie musi tam być ławka darniowa, brunatna od słońca, na której siedzeniu i oparciu wyrasta koniczyna i żółty mniszek.

Stara pani Moreus posiadała swego czasu wiele rzeczy. Miała trzy wesole, pracowite córki i mały domek przy drodze. Miała też mały zapasik grosza na dzień starej skrzyni, grube, jedwabne szale, fotele z wysokim oparciem oraz doświadczenie w wielu rzeczach potrzebnych temu, kto zarabiać musi na chleb powszedni.

Najlepsze jednak z wszystkich rzeczy były wielkie krosna, które przez cały rok dawały jej zarobek, oraz ogródek, który ją radował w porze letniej.

Dodać jeszcze trzeba, że pani Moreus miała lokatorkę mieszkającą na poddaszu, małą, cherlawą, czterdziestoletnią osobę, zwaną panną Marią. Maria wyrobiła sobie osobliwe poglądy na wszystko, jak to bywa u osób samotnych, których myśli kręcą się tylko dokoła tego, co ich własne oczy kiedyś oglądały.

Panna Maria wierzyła, że miłość jest przyczyną wszelakiego zła na tej smutnej ziemi. Co wieczór przed zaśnięciem składała ręce i odmawiała modlitwę, do której zawsze dodawała prośbę, by ją Bóg raczył ustrzec od miłości.

— Popadłabym w biedę! — mawiała. — Jestem stara, brzydka i biedna! Niech mnie Bóg broni od zakochania się.

Po całych dniach siadywała na swym poddaszu u pani Moreus, robiąc franki i kapy, sprzedając je chłopom i po dworach okolicznych. Gromadziła grosz, by zićić swe marzenia, mianowicie kupić mały domek na wzgórzu, naprzeciw kościoła swartsjööńskiego, skąd był widok rozległy wokoło. O miłości słyszeć nie chciała.

Gdy w sobotnie wieczory rozbrzmiewały skrzypki grajka, który siedząc na płocie u rozstaju przygrywał młodzieży kręcącej się w fali kurzu, panna Maria nakładała drogi przez las, by tylko nic nie widzieć i nie słyszeć.

W letnie wieczory, gdy usłyszała dźwięk skrzypek od rozstaju dróg, gdzie muzykant siedział na podmurówce płota, a młodzież wywijala polkę, aż się kurz unosił, panna Maria robiła wielkie okrążenie, szła przez las, byle nie słyszeć i nie widzieć.

W drugie święto Bożego Narodzenia przychodziły ze wsi młode narzeczone, czasem po pięć i sześć naraz, do pani Moreus, która z pomocą córek ubierała je do ślubu. Miały na głowach wianki mirtowe, wysokie, przybrane perłami korony, piękne szarfy z jedwabiu, strojne w róże własnej roboty, i spódnice z wieńcem kwiatów sztucznych u dołu. Wówczas panna Maria zamykała się u siebie, by nie widzieć, jak je ubierano ku czci miłości.

Panny Moreus siadywały w zimowe wieczory u krosien w przytulnym saloniku, pieczone jabłka skwierczały, przychodzili w odwiedziny piękny Gösta Berling i dobry Ferdynand, drażniąc się z dziewczętami, wyciągając nitki z igieł i przeszkadzając, tak że panienki stawiały krzywe ściegi. Cały pokój rozbrzmiewał śmiechem, zalotami, przekomarzaniem, a dłonie spotykały się pod krosnami. Wówczas osowiła panna Maria składała swą robotę i szła na górę, gdyż nienawidziła miłości i wszystkich jej przejawów.

Znała natomiast zbrodnie miłości i umiała o nich opowiadać. Pojąć nie mogła, że Amor śmie jeszcze pokazywać się na ziemi, mimo skarg opuszczonych, kłątów tych, których uczynił występny, oraz krzyków rozpacz wszystkich zakutych przezeń w kajdany. Dziwiła się, iż ulata dotąd tak lekko na skrzydłach nie strącony w przepaść udręka i wstydem.

Była i ona, jak wszyscy, kiedyś młoda, ale miłości nie mogła znosić nigdy. Nie dała się ponieść tańcowi, nie uległa pieszczocie. Gitara matki wisiała bez strun i zakurzona na strychu, a ona nigdy nie nuciła pieśni do jej wtóru.

W oknie poddasza stały matczyne doniczki róż, ale podlewała je skąpo, nie cierpiała bowiem kwiatów, dzieci miłości. Listki zwisały pokryte kurzem, pająki snuły na nich sieci, a pąki nie rozwierały się nigdy. Panna Maria nader też rzadko schodziła do ogrodu pani Moreus, gdzie latały motyle, śpiewały ptaki, kwiaty wabiły pszczoły swą wonią i gdzie wszystko mówiło o przeklętym uczuciu.

Zdarzyło się, że gmina svartsjöńska sprawiła do kościoła nowe organy. Fakt ten zaszedł latem, przed rozgoszpodarowaniem się kawalerów. Przybył młody organmistrz i zamieszkał u pani Moreus w drugim pokoiku na poddaszu, obok panny Marii.

Zbudował organy, a miały one przedziwny dźwięk. Potężne tony rozbrzmiewały z nagłą, nie wiadomo jakim sposobem, przerywając nieraz łagodny śpiew kościelny, tak że aż dzieci zaczynały płakać ze strachu.

Młody organmistrz nie był może nader biegły w swej sztuce, miał natomiast wesołe usposobienie, błyszczące oczy i uprzejmy uśmiech dla wszystkich, starych czy młodych, biednych czy bogatych. Niebawem stał się przyjacielem wszystkich w domu — nawet więcej niżeli przyjacielem.

Wróciwszy wieczorem z roboty trzymał pani Moreus motek przędzy, pracował wraz z dziewczętami w ogrodzie, deklamował *Aksela*²⁰, śpiewał *Fritjofa*²¹, podnosił pannie Marii kłębek, ile razy upadł na ziemię, a nawet doprowadził do porządku stary jej zegar stołowy, który zaczął chodzić na nowo.

Na każdej zabawie tańczył z wszystkimi, od najstarszej kobiety do małej dziewczynki, a ile razy przydarzyło mu się coś niemiłego, siadał przy pierwszej lepszej spotkanej kobiecie i zwierzał się jej. Był to mężczyzna, o jakim marzą we śnie serca kobiece. Nie mówił z żadną o miłości, ale po kilkutygodniowym pobycie na poddaszu pani Moreus zakochały się w nim wszystkie trzy dziewczęta, a nawet panna Maria musiała przyznać, że daremne były wszystkie jej modlitwy.

Nastał czas cierpienia i radości. Łzy spadały na krosna zamazując linie kredą ciągnięne, wieczorami siadywały często blade marzycielki po altanach bżowych, a nawet gitara panny Marii otrzymała nowe struny i stara panna nuciła dawne, zasłyszane niegdyś u matki pieśni.

²⁰*Aksel* — szwedz. poemat miłosny Esaiasa Tegnéra (1782–1846), wydany w 1822. [przypis edytorski]

²¹*Fritjof* — *Saga o Fritjofie*, epos szwedz. pióra Tegnéra, liczący 24 pieśni, publikowany we fragmentach od 1820, w całości w 1825, zyskał sławę w całej Europie. Opracowania muzyczne tych pieśni autorstwa Bernharda Crusella (1775–1838) były niezmiernie popularne wśród ludu. [przypis edytorski]

Młody atoli organmistrz chodził swobodnie, w beztrosce zupełnej po świecie, śmiał się i czynił przysługi wszystkim stęsknionym kobietom, które kłóciły się o niego, podczas gdy z dala od nich pracował w kościele. Nadszedł wreszcie dzień jego odjazdu.

Furmanka stanęła przed bramą, kuferek przywiązano z tyłu i młodzian zaczął się żegnać. Pocałował w rękę panią Moreus, objął po kolei trzy dziewczęta i wycałował im policzki. Sam też płakał, żał mu było opuszczać szary domek, gdzie przeżył tak piękne lato. W końcu obejrzał się za panną Marią.

Ubrana w najlepszą suknię, zeszła po wąskich schodach. Gitara na jedwabnej wstędze zwisała jej na szyi, w rękę zaś niosła pęk róż rozkwitłych tego roku w doniczkach matki.

Stanąwszy przed młodzieńcem, zaczęła brząkać i zanuciła:

Choć pożegnania bije dzwon,
Niech obcy kraj cię nie omami —
Wróć do värmlandzkich naszych stron,
O, wróć do domku pod różami.

Potem zatknęła mu na piersiach bukiet, pocałowała w same usta i uciekła co prędzej po schodach. Tak uczyniła biedna stara panna!

Zemściła się na niej miłość czyniąc ją pośmiewiskiem, ale panna Maria nie urągała jej odtąd nigdy, nie rzucała gitary do lamusa i podlewała starannie doniczki matczynych róż.

— Lepiej smuć się i kochać — mawiała — niż żyć bez miłości w weselu.

Czas płynął. Majorową wygnano z Ekeby, kawalerowie objęli ster spraw, a w końcu, jak opowiedziałam, w pewne niedzielne popołudnie Gösta Berling odczytał hrabinie Elżbiecie swój poemat i został wygnany z Borgu.

Powiadają, że wychodząc z bramy Gösta zobaczył kilkoro sanek właśnie zajeżdżających. W pierwszych siedziała małego wzrostu dama, a na jej widok zrobiło mu się jeszcze smutniej na duszy. Odszedł szybko, by go nie poznała, ale ogarnęło go przecucie jakiegoś nieszczęścia. Czyżby to rozmowa z hrabiną Elżbietą wyczarowała przybyłą? Nieszczęścia chadzają zwykle w parze.

Zbiegła się służba, zaczęto odpinać futrzane pokrowce i skórzane fartuchy. Przybyła w istocie Märta Dohna, słynąca w okolicy szeroko.

Była to najweselsza i najlekkomyślniejsza pod słońcem kobieta. Radość życia uczyniła ją królową i osadziła na tronie uciechy. Poddanymi jej były zabawy wszelakie i żarciki. Zabawa, tany i przygody przypadały jej w udziale, gdy rozdawano losy życia, a chociaż dosięgała pięćdziesiątki, zwyczajem mędrców nie liczyła swych lat. Mawiała, że ten jest stary, kto nie może się już śmiać i tańczyć. Nie czuła brzemienia wieku.

Za czasów jej młodości radość chwilami tylko gościła na tronie, ale owe nagłe zmiany czyniły życie jej królewskiej mości tym zabawniejsze. Jednego dnia jej królewska mość o motylich skrzydłach urządziła podwieczorek w apartamentach dam dworu na sztokholmskim zamku, nazajutrz tańczyła w Paryżu, ubrana we frak, uzbrojona w sękatą laskę, odwiedziła Napoleona w obozie, żeglowała okrętem Nelsona po błękitnym Morzu Śródziemnym, wzięła udział w Kongresie Wiedeńskim, a w noc przed słynną bitwą ruszyła mimo wszystko do Brukseli na bal. Wszędy, gdzie panowała radość, panowała również jej ulubienica, hrabina Märta Dohna. Czegóż nie widziała, czego nie przeżyła. Tańczono, gdy waliły się trony, grano w écarté²² o całe księstwa, z powodu lekko rzuconego żartu rozpętywano niszczycielskie wojny.

Na wesołych uciechach zeszło jej życie i nadal zamierzała je tak spędzać. Ciało jej nie było za stare do tańca ani serce do kochania. Nie sprzykrzyły się jej wcale maskarady i widowiska, zabawy, anegdoty i sentymentalne pieśni.

Ile razy na świecie zamienionym w pobojuwisko radość traciła chwilowo siedzibę swoją, hrabina udawała się na pewien czas do starego pałacu hrabiowskiego nad Lövenem. Tam też zjechała, kiedy za czasów Świętego Przymierza władcy stracili humor i ich dwory posmutniały wielce. W tym to czasie uznała hrabina Märta za stosowne uczynić Göstę Berlinga nauczycielem syna swego. Czuła się dobrze w Värmlandii, a radość nie miała chyba piękniejszego przybytku. Panował tu śpiew i zabawy, mnóstwo było żądnych

²²écarté (fr.) — dawna hazardowa gra karciana dla dwóch osób, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

przygód mężczyzn i pięknych, wesołych kobiet, nie brakło uczt i balów, przejażdżek łodziami żaglowymi po jeziorze przy księżycu i szlichtad przez ciemne bory, nie zbrakło też wstrząsających wydarzeń, miłości, uciech i cierpienia.

Od śmierci córki, to znaczy od lat pięciu, przestała hrabina Märta bywać w Borgu, teraz przybyła jednak zobaczyć, jak żyje jej synowa pośród lasów jodłowych, zasp śnieżnych i niedźwiedzi. Uznała za swój obowiązek przekonać się, czy głupi Henryk nie zanudził na śmierć żony, i postanowiła stać się dobrym duchem ogniska domowego. Wiozła słońce i szczęście starannie zapakowane w czterdziestu skórzanych kufrach, wesołość była jej garderobianą, żart stangretem, a zabawa damą przyboczną.

Wbiegła na schody i została przyjęta z otwartymi ramionami. Apartamenty jej na parterze czekały w pogotowiu, toteż niebawem znalazło się tam, jedno po drugim, wszystko: kamerdyner, garderobiana, dama do towarzystwa, czterdzieści skórzanych kufrów, trzydzieści pudeł z kapeluszymi, nesesery, szale i futra. Zapanował w całym domu ruch, zamykano i otwierano drzwi, biegano po schodach — słowem, poznać było, że przyjechała hrabina Märta.

Nastał piękny wieczór wiosenny, cudowny wieczór, mimo że był dopiero kwiecień i lody jeszcze nie stopniały. Panna Maria siedziała u siebie przy otwartym oknie, brząkała na gitarze i śpiewała.

Zatopiona w grze i wspomnieniach, nie zauważyła, że przed domkiem zatrzymał się powóz. Siedziała w nim hrabina Märta, patrząc z zaciekawieniem na starą pannę, która przygrywała na gitarze zawieszanej na piersi i wzniosłszy w niebo oczy nuciła staromodne, sentymentalne pieśni.

Hrabina wysiadła w końcu i weszła do pokoju, gdzie siedziały u krosien dziewczęta. Hrabina Märta nie była wcale dumna, gdyż owiał ją wiatr rewolucji i tchnął świeże powietrze w płuca.

— Nie jej wina — mawiała — że jest hrabiną. Pragnęła żyć wedle swego upodobania i w rzeczy samej bawiła się równie dobrze na chłopskim weselu jak na balu dworskim. Gdy nie miała innego audytorium, odgrywała przed dziewczętami służebnymi sceny ze sztuk teatralnych, a swą ładną twarzyczką i niespożytą radością życia ożywiała każde zebranie towarzyskie.

Zamówiła u pani Moreus kilka kołder, pochwaliła dziewczęta, rozejrzała się po ogródku i jęła opowiadać o przygodach podróży, gdyż zawsze miewała przygody. Wreszcie odważyła się wejść po straszliwie wąskich schodach i złożyła pannie Marii wizytę na poddaszu.

Objęła czarnymi oczami samotną, małą istotę i zaczęła do niej mówić melodyjnym, przymilnym głosem. Kupiła firanki. Nie mogłaby żyć w pałacu borgijskim bez siatkowych firanek panny Marii we wszystkich oknach i bez serwet na wszystkich stołach — powiedziała.

Potem wzięła gitarę i śpiewała o miłości i weselu. Naopowiadała Marii przeróżnych historyjek, tak że stara panna czuła się wciągnięta w wesoły wir świata. Hrabina śmiała się tak wdzięcznie, że zaczęły śpiewać przemarłe jeszcze ptaki w ogródku. Twarz hrabiny Märty, mimo zniszczonej szminką cery i rysu wyuzdanej zmysłowości w kątach ust, wydała się pannie Marii tak piękna, że dziwiło ją, iż odbicie jej w małym lusterku ściennym znika, gdy się odeń odwróci, a nie zostaje na szklistej powierzchni na zawsze. Odchodząc ucałowała hrabina starą pannę i zaprosiła ją do Borgu.

Serce panny Marii puste było niby jaskółcze gniazdo w Boże Narodzenie. Wolną będąc tęskniła za kajdanami, jak każdy stary, obdarzony swobodą niewolnik.

Zaczął się teraz dla panny Marii okres radości i cierpienia jednocześnie, ale trwał jeno tydzień. Hrabina zabierała ją bardzo często do Borgu, odgrywała przed nią sceny teatralne i naopowiadała tyle o swoich kochankach, że stara panna śmiała się jak nigdy w życiu. Zaprzyjaźniły się i niebawem hrabina poznała historię młodego organmistrza i scenę pożegnania. Doprowadziła do tego, że panna Maria przygrywała o zmierzchu w błękitnym gabinecie na gitarze i śpiewała pieśni miłosne. Patrząc na chude, suche palce i brzydką głowę starej panny, zarysowaną na czerwonym niebie zachodu, hrabina mawiała, że biedna panna Maria przypomina rozmarzoną burgrabiankę. Wszystkie pieśni mówiły o zakochanych pasterkach i okrutnych pasterkach, a panna Maria śpiewała je głosem tak cienkim, że hrabina, co jest zrozumiałe, znajdowała niezmierną uciechę w całej tej komedii.

Z okazji przybycia matki pana domu wydano też oczywiście wspaniałą ucztę w pałacu borgijskim. Jak zawsze panowała wielka radość w gronie biesiadników, które było nieliczne, gdyż przybyli jeno najbliżsi sąsiedzi.

Sala jadalna mieściła się na parterze, więc po uczcie goście nie poszli na piętro, lecz udali się do apartamentów hrabiny Märty, położonych obok jadalni.

Hrabina ujęła gitarę panny Marii i zaczęła grać i śpiewać. Wesoła była hrabina Märta, umiała naśladować głosy i gesty ludzi, tego zaś wieczoru wpadło jej do głowy udawać pannę Marię. Podniosła oczy w niebo i zanuciła cienkim, chrypliwym głosem.

— Nie! Nie! Pani hrabino! — zawołała błagalnie stara panna. Ale hrabinie sprawiało to przyjemność, a goście śmiali się, chociaż czuli krzywdę biednej panny Marii.

Hrabina wzięła z czarki garść suchych liści różanych, przybrała tragiczną postawę, przystąpiła do starej panny i zaśpiewała:

Choć pożegnania bije dzwon,
Niech obcy kraj cię nie omami —
Wróć do värmlandzkich naszych stron,
O, wróć do domku pod różami.

Skończywszy wysypała jej liście na głowę. Goście śmiali się, a panna Maria, ogarnięta okrutnym gniewem, wyglądała, jakby chciała wydrapać hrabinie oczy.

— Jesteś złą kobietą, Märto Dohna! — zawołała. — Żadna uczciwa osoba nie powinna się z tobą zadawać!

Na te słowa gniew zatrząsł również hrabiną i krzyknęła:

— Wyrzucić mi precz pannę. Mam dość jej idiotyzmów!

— Pójdę sobie! — odparła. — Ale wpierv proszę mi zapłacić za kapy i firanki.

— Za to paskudztwo ona chce jeszcze pieniądze? — krzyknęła hrabina. — Weź sobie wszystko z powrotem! Nie chcę patrzeć na te okropności!

Hrabina zaczęła zrywać firanki i kapy i rzuciła je z pasją pod nogi panny Marii.

Następnego dnia młoda hrabina poprosiła teściową, by się pogodziła z panną Marią, ale hrabina słyszeć o tym nie chciała. Stara pewnie już się jej znudziła. Wówczas hrabina Elżbieta pojechała do panny Marii, kupiła cały jej zapas firanek i zawiesiła w swoich pokojach na pierwszym piętrze. Było to wielkim dla starej panny zadośćuczynieniem.

Hrabina Märta czyniła często synowej przytyki z powodu jej upodobania do siatkowych firanek, potem jednak zamilkła. Umiała ukryć swój gniew całymi latami, tak że nie traciła nic na swej sile. Była bowiem osobą obdarzoną wielkimi zdolnościami.

14. KUM KRISTOFER

Na górze, w skrzydle kawalerskim, żył stary ptak drapieżny. Siedział zawsze przy kominku i pilnował, by ogień nie zagasł. Był rozczochrany i szpakowaty. Mała głowa o wielkim nosie i zagasłych na polu oczach pochylała się smutnie na długiej, chudej szyi, ujętej w futrzany kołnierz. Dziaki ten ptak nosił zimą i latem futro.

Ongiś należał do stada, które w orszaku wielkiego cesarza przewaliło się przez Europę, dziś atoli nikt już nie mógł odgadnąć, jakie wówczas nosił imię i rangę. W Värmlandii wiedziano tylko, że brał udział w wielkiej wojnie, że odznaczył się w krwawych bitwach i opuścił po roku 1815 niewdzięczną ojczyznę swoją. Szwedzki następca tronu wziął go w opiekę i poradził, by znikł w dalekiej Värmlandii. Czasy nastąpiły takie, że zwolennicy męża, przed którym drżała Europa, radzi byli, że nikt nie zna ich nazwiska.

Dał on słowo następcy tronu, że nie opuści, bez konieczności, miejsca pobytu i nie powie, kim jest, po czym zjawił się w Ekeby z listem arcyksięcia do majora i został ulokowany w rezydenckim skrzydle.

Łamano sobie zrazu głowę, jaka to znana osobistość kryje się pod przybrany nazwiskiem, z biegiem czasu atoli stał się prawdziwym Värmlandczykiem i rezydentem. Zwano go kumem Kristoferem, nie wiedząc dobrze, skąd się wzięło to miano.

Nielatwa to jednak rzecz dla drapieżnego ptaka żyć w klatce. Nawykł do czegoś innego niżli skakanie ze szczebla na szczebel i jedzenie z ręki karmiciela. Krew jego, podniecona niegdyś grozą śmierci i grzmotem bitew, znieść nie mogła sennego pokoju.

Co prawda, inni kawalerowie nie byli także obłaskawionym ptactwem, nikt jednak nie burzył się jak kum Kristofer. Czasem tylko polowanie na niedźwiedzia — i kobieta, jedna, jedyna kobieta, mogła w nim ożywić ducha.

Odżył po raz ostatni przed dziesięciu laty, zobaczywszy hrabinę Märtę, podówczas już wdowę, kobietę niebezpieczną i zwodniczą jak wojna, podniecającą jak śmierć, pełną werwy i życia. Pokochał ją.

Oto minęło lat pięć od czasu, jak ją po raz ostatni widział. Siedział samotny, starzał się i siwiał obumierając z wolna niby orzeł w niewoli i nie mógł jej wziąć za żonę. Z każdym rokiem stawał się chudszy, a zimno coraz bardziej mu dokuczało. Wciąż głębiej wlaził w futro i przysuwał się do ognia.

Siedzi i teraz przemarzły, rozczochrany, siwy. Jest rano tego dnia, w którym wieczorem oddane zostaną strzały wielkanocne, i spalona słomiana kukła. Wszyscy kawalerowie wyjechali, on został przy piecu.

Ach, kumie Kristoferze, czyż nic nie wiesz?

Wszakże nadeszła wiosna, uśmiechnięta, kusząca!

Przyroda zbudziła się z ołowianego snu, a w niebieskawych obłokach wirują istotki lekkoskrzydłe, igrające powabnie. Twarzyczki ich, przytulone do siebie, wyglądają z chmur jak kwiecie dzikiej róży i wołają na wszystkie świata strony: „Radujcie się wszyscy, nadeszła wiosna!”

Matka-ziemia znów ożyła. Wylania się jak swawolne dziecko z wiosennych powodzi i deszczów. Kamienie na roli lśnią z rozkosznego zadowolenia. „Nuże, włączmy się w obieg życia — wołają wesoło najdrobniejsze atomy. — Będziemy jako skrzydła unosić się w czystym powietrzu. Będziemy błyszczeć na zaplonionych liczkach młodych dziewcząt”.

Wesołe wiosenne duszki wnikają wraz z wodą i powietrzem do krwi, trzepocą się jak węgorki i wprawiają serce w ruch. Wszędzie rozbrzmiewa ten sam ton. Lekkoskrzydłe istoty lgną mocno do serc, do kwiatów, do wszystkiego, co się porusza i drga, i głosem jak dźwięk tysiąca dzwonów oznajmniają światu wesołą nowinę:

„Radość i uciecha! Radość i uciecha! Przyszła luba wiosna!”

Ale kum Kristofer siedzi nieruchomy i o niczym nie wie. Głowę pochylił na kościste, zeszywniałe dłonie i śni o deszczu kul oraz drzewie sławy, co rośnie na polu bitwy. Różę mu kwitną i wawrzyny w duszy, nie potrzebujące słodczy maja.

Biedny stary wygnaniec mieszka w rezydenckim skrzydle, z dala od swej ziemi i narodu, nie słysząc ni słowa w ojczystym języku; losem jego grób bezimienny na broeńskim cmentarzu! Cóż winien, że jest orłem zrodzonym po to, by ścigać i zabijać?

Kumie Kristoferze! Zbyt długo siedziałeś i marzyłeś w skrzydle rezydentów! Wstań i wychyl pieniący się puchar życia! Wszakże dziś właśnie nadszedł list królewski ze szwedzką pieczęcią pod adresem majora, ale treść jego ciebie dotyczy. Dziwnie wyglądałeś, ptaku drapieżny, czytając list ten, oczy ci rozbłysły, a głowa podniosła się w górę. Klatka otwarta, masz przed sobą świat cały i skrzydła rozpostrzeć możesz.

Kum Kristofer sięga na samo dno skrzyni. Dobywa starannie przechowany uniform haftowany złotem i ubiera się weń. Na głowę wdziewa zdobny piórami kapelusz i odjeżdża z Ekeby na wspaniałym białym rumaku.

To całkiem co innego, niż marznąć i siedzieć nieruchomo za piecem. Kum Kristofer uczył, że nadeszła wiosna.

Wspina się w strzemionach i zmusza konia do galopu. Dolman²³ podszyty futrem polata z wiatrem i powiewają pióra. Odmłodził jak ziemia, zbudził się po długim śnie zimowym. Stare złoto polyska. Pod trójgraniastym kapeluszem błyszczy dumą zuchowata twarz.

Przedziwna to jazda! Pod stopami jego wytryskają źródła i kwitną zawilce. Przelotne ptaki krzyczą i cieszą się jego wolnością. Cała przyroda raduje się wraz z Kristoferem.

Jedzie wspaniały zwycięzca. Wiosna pędzi przodem na lotnej chmurze. Lekka i wesoła, dmie w róg rozradowana, podskakuje w siodle. A wokół kuma Kristofera tłoczy się cała gromada dawnych towarzyszy broni. Szczęście stoi za nim w strzemionach, chwala jedzie na dumnym wierzchowcu i miłość na ognistym arabie.

²³dolman — tu: *huzarka*, rodzaj daw. kurtki wojskowej. [przypis edytorski]

Przedziwna to, zaprawdę, jazda i przedziwny jeździec. Tuż nad nim woła drozd leśny, znający mowę ludzką:

— Dokądże to zdążasz, kumie Kristoferze? Dokądże pędzisz?

— Do Borgu! W konkury! — odpowiada.

— Nie jedź do Borgu! Nie jedź tam! Bezzenni nie mają trosk na głowie! — woła za nim drozd.

Ale on nie baczy na przestrogi. Pędzi na przelaj, na leńb, na szyję, aż stanął u celu. Zeskakuje z siodła, wodą go do hrabiny.

Wszystko dzieje się po myśli. Hrabina Märta wita go uprzejmie. Kum Kristofer czuje, że zgodziłaby się nosić jego dumne nazwisko i osiąść w jego zamku. Siedzi, nie mówi nic i zwleka z pokazaniem królewskiego listu. Raduje go ta zwłoka.

Rozmawiają, hrabina opowiada mu różne historie, on zaś śmieje się i podziwia wszystko. Siedzą właśnie w komnacie, gdzie hrabina Elżbieta zawiesiła siatkowe firanki mamzel²⁴ Marii. Więc mu hrabina opowiada ich historię. Opowiada najzabawniej w świecie.

— Otóż tak zła jestem, spójrz pan! — kończy. — Tu wiszą owe firanki jako pokuta dla mnie. By mi wciąż przypominać mój grzech. Szkaradna robota siatkowa! Pokuta moja nie ma granic.

Wielki wojownik, kum Kristofer, patrzy na nią błyszczącymi oczyma.

— Ja także jestem biedny i stary! — powiada. — Przez lat dziesięć siedziałem pod piecem i tęskniłem za ukochaną. Czy jaśnie pani i z tego także raczy drwić?

— O nie! To całkiem inna sprawa! — odpowiada hrabina.

— Bóg mi zabrał szczęście i ojczyznę i musiałem jeść chleb obcych ludzi! — rzekł kum Kristofer poważnym głosem. — Od tego czasu nauczyłem się szanować biedę.

— Pan także? — zawołała hrabina podnosząc ręce ze zgrozą. — O, jakże cnotliwi są dziś ludzie, Boże drogi, jakże cnotliwi stali się wszyscy!

— Tak! — rzekł kum Kristofer. — Proszę zapamiętać me słowa. Jeśliby mi Bóg przywrócił władzę i bogactwo, uczynię zeń lepszy użytek, niżbym miał je dzielić z damą światową, z osobą umalowaną, a bez serca, która urąga nędzy.

— Ma pan rację, kumie Kristoferze! — przyznała.

Potem wstał i odjechał do Ekeby. Ale nie leciały już za nim duchy ni wołanie drozda i nie widział już wiosny roześmianej. Przybył do Ekeby w chwili, kiedy oddawano strzały wielkanocne i palono „czarownicę”. Tak zwana czarownica wielkanocna to wielka słomiana kukła z głową szmacianą i rysami twarzy nakreślonymi węglem. Ubrana w lachmany biednej komornicy, ma przy boku długie cęgi od ognia i miotłę, zaś na szyi róg z maścią. Gotowa jechać na Blakulle²⁵.

Major Fuchs raz po raz nabijał strzelbę i palił w powietrze. Potem zbudowano wielki stos chrustu, rzucono nań czarownicę i spalono. Kawalerowie czynili wszystko, co mogli, by starym zwyczajem zniweczyć siłę złego ducha.

Kum Kristofer patrzył ponuro chwilę, potem dobył spoza wyłogu rękawa wielki list królewski i cisnął go w płomienie. Czemu to uczynił, nie wiadomo. Wyobraził sobie może, że na stosie spłonęła hrabina Märta. Może też pomyślał, że już nic nie pozostało na ziemi cennego, skoro kobieta, którą kochał przez tyle lat, była jeno kukłą ze słomy i lachmanów.

Wrócił do skrzydła rezydencyjnego, zapalił świecę i schował uniform. Usiadł przy piecu jak przedtem. Z dniem każdym był bardziej rozczochrany i siwy. Obumierał z wolna jak stary ptak drapieżny w niewoli.

Niewola jego skończyła się, ale nie chciał używać swobody. Świat mu stanął otworem, mógł ruszyć na pole sławy i zacząć nowe życie, ale zabrakło już siły do rozpostarcia skrzydeł.

15. DROGI ŻYCIA

Uciążliwe są drogi, którymi tu na ziemi musi wędrować człowiek.

Wiodą przez pustynie, bagna i góry.

²⁴mamzel — zniekształcone fr. *madmoiselle*, tj. panna. [przypis edytorski]

²⁵Blakulla — wg szwedz. wierzeń ludowych miejsce zlotów czarownic. [przypis edytorski]

Czemuż troska wędruje bez przeszkody, aż się zabłąka w pustyni, zapadnie w bagno lub spadnie z góry? Gdzież się podziały małe kwiaciarki i królowy z bajki, pod których stopą kwiaty rosy? Gdzie przypadły istoty siejące kwiaty na ścieżkach uciążliwych?

Gösta Berling, poeta, postanowił się ożenić. Jął szukać oblubienicy biednej i bez znaczenia, jaka przystała szalonemu proboszczowi. Kochały go piękne kobiety wysokiego rodu, im atoli nie wolno już starać się o niego. Wyklęty szukać musi sobie żony pomiędzy pariasami.

Kogóż znajdzie i wybierze?

Zjawia się czasem w Ekeby dziewczyna z samotnej wsi pośród gór, przynosząc na sprzedaż miotły. Panuje tam taka nędza, że aż pozbawia wielu ludzi zmysłów. Młoda miotlarka zalicza się do nich właśnie.

Ale jest piękna. Gęste, czarne włosy splecione ma w dwa warkocze tak grube, że ledwo zmieścić się mogą na głowie, policzki pełne, nos niezbyt długi, oczy niebieskie. Przypomina melancholijny typ dziewcząt o twarzy Madonny, na jaki natrafić można jeszcze nad Lövenem.

Gösta znalazł sobie tedy narzeczoną. Na pół szalona miotlarka to w sam raz żona dla szalonego proboszcza. Trudno o lepszą i trzeba zaraz jechać po obrączki ślubne do Karlstadu. Mieszkańcy wybrzeży löweńskich będą mieli wesoły dzień. Uśmieją się znowu do syta z Gösty Berlinga, jego zaręczyn i ślubu z miotlarką. Będzie to wielka radość! Któż kiedy wymyślił lepszy figiel?

Uciążliwe są drogi, którymi musi tu na ziemi wędrować człowiek, pustynne są, wiodą przez bagna i góry.

Wyklęty iść musi drogą wyklętych, drogą gniewu, troski i nieszczęścia. Upada i ginie, nie zwracając niczyjej uwagi, nikt mu nie poda dłoni ni rzeźwiącego napoju, a kwiaciarzki i królowy nie sypią kwiatów na twardą ścieżkę, którą stąpa.

Młoda, dobra hrabina z Borgu nie przeszkadzała wcale zamysłom Gösty Berlinga, pamiętna swej dobrej sławy, gniewu męża i nienawiści teściowej.

Modliła się zań tylko podczas długich nabożeństw w svartsjöńskim kościele, płakała nad nim i troskała się, ale nie mogła sypać kwiatów na ścieżkę wyklętego, podać kropli wody rzeźwiącej ni wstrzymać dotknięciem nad brzegiem przepaści.

Gösta nie stroił swej wybranej w jedwabie i klejnoty, ale pozwalał jej wędrować, jak zwykle, z miotłami od dworu do dworu; chciał ogłosić zaręczyny dopiero wobec znakomitych panów i dam z całej okolicy podczas wielkiej uczty w Ekeby. Miał ją wówczas przyprowadzić z kuchni, gdzie odpoczywała po wędrowce, brudną, okrytą kurzem, obdartą może, rozczochraną, z obłądnym spojrzeniem i słowami nieprzytomnymi na ustach. Chciał spytać gości, czy stosowną obrał sobie narzeczoną i czy szalony proboszcz nie może być dumny z pięknej oblubienicy o rozmarzonych oczach. Miał zamiar do tej chwili sprawę zataić przed wszystkimi, ale wieść doszła do hrabiny Elźbiety.

Cóż jednak mogła poradzić? Nadszedł dzień zaręczyn, już zmierzchało. Hrabina stała w błękitnym gabinecie, spoglądając ku północy i mimo łez w oczach oraz mgły wydawało jej się, że widzi Ekeby. Dostrzegła wyraźnie wielki, trzypiętrowy dom z rzędami oświetlonych okien, wyobraziła sobie, jak nalewają szampa, brzmiały toasty, a Gösta Berling ogłasza swe zaręczyny z miotlarką.

Czyż zawróciłaby go z drogi wyklętych, gdyby cichutko dotknęła jego ramienia i spojrzęła życzliwie? Jedno słowo z jej ust wystarczyło, by pchnąć go do czynu rozpaczy — czyż drugie mogłoby go powstrzymać?

Zadrzała na myśl o krzywdzie tej biednej dziewczyny, zwabionej po to, by być zabawką na jeden krótki dzień może. Albo też — tu przejął ją strach, gdy wspomniała grzech, jaki Gösta popełnia na sobie samym — albo też stanie się ona łańcuchem wieczystym u nóg jego, który odbierze mu siłę ducha i nie dozwoli wznieść się wzwyż.

Po rozwadze uznała się winną wszystkiemu, gdyż to ona słowem pchnęła go na drogę zatraty. Powołana, by błogosławić i łagodzić, wplotła nowy cień w koronę grzesznika.

Postanowiła, że poleci zaprząć do sanek kare konie, przejedzie przez Löven, wpadnie do sali w Ekeby, stanie przed nim, powie, że nim nie gardzi, że nie wiedziała wówczas sama, co mówi. Uczuła zaraz, że nie potrafi tego zrobić, że się zawstydzi i słowa wypowiedzieć nie zdoła. Jako mężatka, musiała być ostrożna. Powstałyby plotki. Ale jeśli tego nie uczyni, cóż się stanie?

Gnało ją z domu.

Tu nasunęła jej się myśl, że o tej porze roku żaden koń nie zdoła przebyć jeziora. Lód zaczął topnieć, odstał już od brzegów, popękał i wyglądał groźnie. Woda tryskała spośród kry, potworzyły się czarne sadzawki, a gdzieś tam tylko błyszczał lód biały. Większa część jeziora szara była i brudna od roztopu, a ścieżki snuły się po nim niby czarne, długie pasy.

Trudno myśleć o podróży! Czyż zezwoliłaby na to świekra, hrabina Märta? Elżbieta musiała wieczorami przesiadywać z nią w salonie i słuchać dawnych historyjek dworskich, w których lubowała się hrabina.

Noc nadeszła, mąż wyjechał, była wolna.

Jechać nie mogła. Nie śmiała budzić służby, ale strach pędził ją z domu. Nie mogła postąpić inaczej.

Uciążliwe są ścieżki ludzkie na tej ziemi, wiodą przez pustynię, moczary i górskie zbocza.

Z czymże atoli porównać tę drogę po topniejącym lodzie? A jednak jest to właśnie droga nadobnych kwiaciarek, niepewna, śliska droga tych, którzy leczyc chcą zadane rany, droga naprawy win, lekka droga szybkich nóg, bystrego oka i mężnego, rozmiłowanego serca.

Już po północy dotarła do wybrzeża Ekeby. Idąc po lodzie padała, skakała przez szczeliny, przemykała lekko po roztopach, ślizgała się, pełzała. Ciężka to była podróż i hrabina płakała nieraz gorzko. Zmokła i wyczerpała siły, a samotność, ciemność i pustka budziły niepokojące myśli. Tuż pod Ekeby musiała brnąć ku brzegowi w głębokiej po kostki wodzie, wyszedłszy na brzeg nie miała odwagi uczynić cokolwiek. Siadła na kamieniu i zaczęła płakać ze znużenia i bezradności.

Strasznymi drogami kroczą ludzie, a małe kwiaciarki padają często obok swego kozyka właśnie w chwili, kiedy dotarły do tych, których ścieżkę kwiatami usłać miały.

Młoda, wytworna dama była naprawdę bohaterką. Nie przebyła atoli drogi takiej w słonecznej ojczyźnie swojej. Siedząc teraz na brzegu niesamowitego, strasznego jeziora, znużona i nieszczęśliwa, myśli zapewne o czarownych, kwiatami przybranych ścieżkach południowej krainy, gdzie na świat przyszła.

Ach, cóż ją w tej chwili obchodzi północ czy południe!

Porwana wirami życia, nie płakała z tęsknoty za ojczyzną. Młoda kwiaciarka, bohaterka znużona płakała, gdyż nie czuła sił, by dotrzeć do tego, któremu drogę ma usłać kwiatami, płakała sądząc, że przybyła za późno.

Nagle wybrzeżem przebiegło kilku ludzi nie widząc jej, zaś ona posłyszała, jak jeden zawołał:

— Jeśli tama padnie, kuźnia stracona.

— I młyn, i warsztaty, i domy wokoło kuźni! — dodał inny.

Ożywiona świeżym męstwem rusza za nimi.

Młyn i kuźnia ekebijska stały na wąskim przylądku, oblany potokiem björkeńskim. Pieniąc się spadał w gwałtownych skokach na przylądek, tak że musiano tu zbudować potężną, łamiącą prądy tamę dla ochrony uprawnych pól. Ale tama była stara, a w Ekeby rządzili kawalerowie. Choć droga na tańce i zabawy prowadziła ich często przez te wzgórza, żadnemu nie przyszło do głowy popatrzeć, jakie spustoszenia poczynił mróz i ząb czasu w starej kamiennej tamie.

Tymczasem przyszła wiosenna powódź i tama zaczęła drzeć w posadach.

Wodospad pod Ekeby to potężne, skalne schody, przez które pędzi potok björkeński. Zawrotnym ruchem rzucają się fale, biją o siebie, miotają pianę, pękają w skałach, stają dęba na pniach naniesionego drzewa, wznoszą grzywy i rycząc pędzą dalej i dalej.

Upojone odzyskaną wolnością, oszalałe wiosną, tłuką się fale o kamienny mur. Nadbiegają zadyszane, sapiące, piętrzą się i cofają uderzywszy o kamień białogrzywą głową. Wre burza straszliwa, odłamki lodu służą za puklerze, pnie za tarany, wszystko to wali w biedny, stary mur, który wygląda, jakby ostrzegwał i wołał: „Baczność!” Fala cofa się na chwilę, a jednocześnie oderwany od tamy wielki kamień spada z hukiem w dół, w głąb potoku.

Fale jak gdyby się przestraszyły. Milkną, radują się, odbywają naradę, potem zaś ruszają do nowego ataku, ożywione świeżym męstwem. Porywają krę, pniaki i niewyczerpane w podstępach, prowadzą dalej dzieło zniszczenia.

— Niechby tylko padła tama — powiadają sobie — dostaniemy się łatwo do kuźni i młyna!

Nadchodzi dzień wolności! Znikną wreszcie ludzie i ich dzieła. Uczernili nas oni i usmolili węglem, oprószyli mąką, jak wołom nałożyli jarzmo pracy, zmusili kręcić się w kółko, zamknęli, zatamowali nam bieg, przykazali obracać ciężkie koła i nieść zwaliste kloce drzewa. Lecz teraz wyzwolimy się!

Bije swobody godzina! Słuchajcież, fale jeziora björkeńskiego, słuchajcież, bracia i siostry w bagniskach i moczarach, siklawach górskich i strumykach. Podążcież naszym śladem, złączcie się z nami i dopomóżcie strzaskać z grzmotem i sykiem jarzmo stuletnie. Niech padnie zaporą tyranii! Śmierć i zagłada Ekeby!

Pędzą. Fala za falą pcha się przez granitowe schody; inne tłukąc głowami o tamę pomagają ją zwalić. Upojone odzyskaną wolnością wiosenną, silne, męskie, podmywają kamień po kamieniu, warstwę ziemi po warstwie i opłukują ją wstrząsając chwiejną tamą.

Czemuz atoli ludzie pozwalają szaleć dzikim falom bez oporu? Czyż wymarło do szczętnie Ekeby?

Nie. Zbiegła się gromadka ludzi, ale nie widzą się wzajem wśród ciemnej nocy i nie wiedzą, dokąd iść. Słów własnych nie słyszą w huku wodospadu, w strasliwym trzasku pędzącej kry i zderzających się pni. Dzikie rozpętanie fal ogarnęło umysły ludzi, zatarcili rozum i przytomność.

Zaczęły bić dzwony. Niechże słucha, kto ma uszy! Bliscy jesteście zagłady, my, zamieszkali przy ekebijskiej kuźni. Potok wali na nas, tama drży i chwieje się, młyn zagrożony, bliskie są zniszczenia nędzne domy nasze, które mimo ich nędzy kochamy bardzo.

Falom wydaje się pewnie, że dzwony siostron-falom dzwonią, gdyż nie widać człowieka. Atoli po lasach i pod moczarami powstaje ruch. Dzwony wołają: „Na pomoc! Na pomoc!” Fale odpowiadają: „Spieszcie się, bracia i siostry! Bliska już chwila wolności!” A poszum fal i jęk dzwonów głoszą śmierć świetności i chwale Ekeby.

Raz po raz śpieszą posłańcy do kawalerów, do pałacu.

Czyż są oni jednak w nastroju, by myśleć o kuźni i młynie? W przestronnych salach biesiaduje ponad stu gości, a miotlarka czeka w kuchni. Nadszedł moment przedziwnej niespodzianki. Szampan perli się w szklankach, Juliusz wstaje, by wygłosić uroczystą mowę. Starzy awanturnicy z Ekeby radują się myślą o osłupieniu, jakie ogarnie zebranych.

W ciemności po lodzie Lövenu idzie hrabina Dohna, by rzec ostrzegawcze słowo. Goście, potok sposobi zagładę sławie i honorowi Ekeby, a w wielkiej sali napięcie oczekiwania. Błyszczą światła, wino płynie strumieniami i nikt nie myśli o tym, co się dzieje w burzliwą, ciemną noc wiosenną.

Nadszedł moment ostatni. Gösta wstał i ruszył po narzeczoną. Idąc przedsiönkiem stanął u szeroko rozwartych drzwi głównych, wyjrzał i usłyszał.

Usłyszał dzwony, łomot wodospadu, huk pękającego lodu, trzask tłukących o siebie pni i triumfalny hymn zbuntowanych fal.

Zapomniawszy wszystkiego wypadł w ciemną noc. Niechże sobie czekają napełnione szklanki do dnia sądu ostatecznego, niech narzeczona czeka, niech zamrze mowa na ustach mistrza Juliusza! Nie będzie zamiany pierścionków zaręczynowych i zdumienie gości nie ogarnie!

Biada wam teraz, buntownicze fale! Oto godzina prawdziwej walki o wolność! Gösta pobiegł nad wodospad, rozpierzchną gromada dostała wodza, obrońca stanął na murze i zaczyna się bój okropny.

Słuchajcie, jak Gösta jął wołać na tłum, jak rozkazywał i rozdzielał czynności.

— Światła! Przede wszystkim światła nam trzeba. Rogowa latarka młynarza nie wystarczy. Zbierajcie suche gałęzie, znoście je na wzgórze i rozpalcie ognisko! To robota dla kobiet i dzieci! Prędko! Prędko! Ognisko niech zapłonie ogromne! Da ono znać ludziom daleko i przyjdą na pomoc. Baczcie, by nie zagasło. Znoście słomę, susz i gałęzie, niech płomienie biją wysoko...

A tu oto robota dla mężczyzn! Trzeba drzewa i belek na zbudowanie tamy ratunkowej. Musimy ją wsunąć przed mur kamienny. Prędko, prędko do dzieła! Budujcie mocno. Miejcie w pogotowiu głązy i wory z piaskiem, by obciążyć nimi rusztowanie, gdy je będziemy na dół spuszczać! Niech wałą siekiery, młoty, niech się wżerają świdy w mocne, zdrowe belki, niech skrzypią piły!

Gdzież chłopcy? Naprzód, drapichrusty! Brać żerdzie, osęki i dalejże do dzieła! Na tamę! To nic, że was opryskają fale! Odpora atakom, które łamią mur! Na bok odsuwać pniaki i kry lodowe! Jeśli nie ma innej rady, kładźcie się i trzymajcie rękami kamienie. Obejmujcie je w stalowym uścisku! Bębny, nicponie, urwipolcie, draby, do walki! Dalejże wszyscy na mur! Musimy walczyć o każdą piędź ziemi!

Gösta stał na krawędzi tamy opryskiwany ciągle pianą, a mur kamienny chwiał mu się pod nogami. Ryczały fale, ale dzikie serce jego rozkoszowało się niebezpieczeństwem, grozą i walką. Śmiał się, rzucał chłopcom dowcipy. Zaprawdę, nie przeżył weselszej nocy.

Dzieło ratunku postępowało raźnie, wesoło w niebo biły płomienie ogniska, tętniły siekiery, a tama trzymała się jeszcze. Zbiegli się też inni kawalerowie i chmara gości, nadciągnęli z pobliza i z dala ludzie, a wszyscy pracowali podsycając ognisko, ciosali drzewo, napełniali wory piaskiem, spychali kry i fale z kamiennego muru.

Wreszcie skończono tamę obronną i miano ją opuścić na wzmocnienie osłabionego łamacza fal. Trzeba było mieć w pogotowiu głązy, wory, bosaki, liny i osęki oraz pilnować, by niczego nie porwała woda, ziścić zwycięstwo człowieka i zakuć ponownie w dyby zbuntowane fale.

Nagle, w decydującym momencie, spostrzegł Gösta postać kobiecą, siedzącą na kamieniu nadbrzeżnym. Nie mógł jej dobrze widzieć przy migotliwym świetle ogniska, poprzez mgłę i pianę, ale spojrzeniem wracał ku niej ciągle. Zdawało mu się, że ta kobieta ma właśnie jemu coś do powiedzenia.

Sama jedna tylko siedziała nieruchomo pośród setek pracujących, a oczy Gösty wracały do niej ustawicznie, tak że nie widział poza tym nikogo.

Piana ją opryskiwała, fale zwilżały jej stopy, przemokła na wskroś. Ubrana ciemno, w szalu na głowie, z głową opartą na rękach, siedziała skulona, patrząc bezustannie na Göstę stojącego na łamaczu fal. Te wpatrzone weń oczy pociągały go i wabiły. Chociaż nie widział twarzy, nie przestawał ni na chwilę myśleć o kobiecie siedzącej pośród spienionej wody.

„Widocznie wodnica Jeziora Löweńskiego przedostała się aż tu, do potoku, by mnie wtrącić w nieszczęście! — pomyślał. — Siedzi i wabi, muszę ją tedy odpędzić”.

Naraz wydało mu się, że te wszystkie białogrzywe fale to służba czarnej wodnicy, która je zagrzewa do walki.

„Muszę ją koniecznie odpędzić!” — powiedział sobie.

Chwycił bosak, skoczył na łąd i ruszył przeciw kobiecie, opuszczając miejsce wodza na szczycie tamy. Pewny był, że moce głębin wystąpiły przeciw niemu. Zresztą nie wiedział już nic, czuł tylko, że musi tę istotę odegnać daleko od brzegu.

Ach, Gösto, czemuż to porzuciłeś swe dzieło w tej właśnie chwili, kiedy długi korowód ludzi dźwiga na tamę drewnianą zaporę, by ją spuścić przed kamienny mur! Mają liny, głązy i wory z piaskiem, by je obciążyć i umocować, gotowi, czekają rozkazu.

Gdzież jest wódz? Nie słyhać głosu, co rozkazuje i włada.

Spuszczają więc sami zaporę w wodę. Fale cofają się, rusztowanie zapada w głąb, za nim głązy i wory z piaskiem. Ale czyż dzieło takie może być spełnione bez wodza? Brak ostrożności i porządku. Fale uderzają na nowo, ze wzmożoną wściekłością łamią przeszkodę, odsuwają wory z piaskiem, rwą sznury, splukują kamienie. Znow zwyciężają! Znow są górą! Śmiejąc się szydyczko, unoszą z triumfem całe rusztowanie na silnych barach, ciągną je i szarpną — już jest w ich mocy! Precz z nędzną zaporą! Do Lövenu ją cisnąć! I znow przypuszczają szturm na chwiejącą się, bezradną tamę.

Tymczasem Gösta polował na wodnicę. Ujrzała, jak mierzy w nią bosakiem, i wstała przerażona. Uczyniła ruch, jakby chciała skoczyć w wodę, ale potem uciekła w stronę łądu.

— Wodnico! — krzyknął pędząc i potrząsając nad nią okrutnym drągiem, ona zaś uciekła w gęstwę krzaków, ale nie mogąc się przedrzeć — stanęła.

Gösta rzucił bosak i ujął ją za ramię.

— Późno dziś jakoś za domem pani hrabina! — powiedział.

— Proszę, puść mnie pan! — odparła. — Muszę wracać!

Usłuchał natychmiast i odwrócił się.

Była jednak nie tylko wytworną damą, ale także niezmiernie dobrą istotą, która cierpiała bardzo, iż wpędzić mogła kogoś w rozpacz. Była też kwiaciarką z koszykiem zawsze pełnym róż, by je sypać pod nogi wędrowców, przeto pożałowała zaraz, podeszła i dotknęła Gösty.

— Przyszłam — zaczęła trwożnie — przyszłam do pana... Ach, panie Berling, wszakże nie uczyniłeś pan jeszcze tego... Powiedz pan, że nie!... Przeraziłam się widząc, że pan za mną biegnie, a jednak szukałam pana właśnie. Chciałam prosić, byś zapomniał o tym co powiedziałam niedawno, i był u nas w Borgu, jak przedtem.

— Jakże pani hrabina tu przybyła?

Zaśmiała się nerwowo.

— Wiedziałam, że przyjdę za późno, ale nie chciałam wspominać nikomu o tym, zresztą nie można teraz przez jezioro przejechać, jak pan wie.

— Pani szła przez jezioro?

— Oczywiście! Ale powiedzże pan, czy się już zaręczył? Pojmie pan, że zależy mi na tym, by tak nie było. To wielka krzywda, a mam uczucie, że jestem wszystkiemu winna. Czemuż pan tak wielkie przypisywał znaczenie mym słowom? Jestem obca i nie znam obyczajów kraju. Tak pusto w Borgu, od kiedy pan przestał nas odwiedzać, panie Berling!

Gösta stał pośród mokrych zarośli na bagnistym gruncie, a wydawało mu się, że go ktoś obsypuje mnóstwem róż. Aż po kolana brodził w błyszczących różach i wdychał ich woń.

— Czy się to już stało? — spytała ponownie.

Czuł, że musi odpowiedzieć i położyć kres jej trwodze, chociaż rozkoszną mu była świadomość, iż ona troszczy się o niego. Jakimże ciepłem i jasnością przejmują go myśl, że szła tak długo, tak przemokła, zziębła, że drży ze strachu, a w głosie jej czuć łzy.

— Nie! — odparł wreszcie. — Nie zaręczyłem się.

Pochwyciła jego dłoń i uściśniła serdecznie.

— Jakżem szczęśliwa! — powiedziała, a pierś jej ściśnięta dotąd trwożą podniosła się z westchnieniem ulgi, z oczu popłynęły łzy.

Drogę poety zasypały kwiaty. Stopniały w jego sercu ciemność, złość i uraza.

— O, jakże pani dobra! — powiedział. — Jakże dobra!

Tuż obok niego fale zagrażały wspaniałości i sławie Ekeby. Ludziom zbrakło woda, nie stało człowieka, który im dodawał męstwa i nadziei. Padł z hukiem potężny łamacz fał, bałwany zakryły go i ruszyły, zwycięskie, na przylądek, gdzie stała kuźnia i młyn. Ludzie zaprzestali pracować i nie opierając się falom rozpierzchli się, ogarnięci jeno żądzą ratowania życia swego i mienia.

Gösta postanowił odprowadzić hrabinę. Młodzi nie widzieli w tym nic złego. Nie mógł jej przecież zostawić w mroku nocy lub pozwolić iść samej przez lód. Obojgu na myśl nawet nie przyszło, że Gösta potrzebny jest teraz w kuźni. Szczęśliwi się czuli, że stara przyjaźń odnowiona.

Zdaje się, jakoby w tych młodych sercach zakwitła miłość, któż to jednak wiedzieć może? Baśń ich życia doszła mnie w urywkach jeno, toteż nie wiem niemal nic z tego, co poruszało ich dusze. Trudno mi też objaśnić motywy ich czynów. Wiem tylko, że hrabina postawiła tej nocy na kartę zdrowie, cześć i sławę, by dotrzeć do biedaka i skierować go na właściwą drogę, zaś Gösta wydał na pastwę żywiołu ulubioną posiadłość, by dotrzymać towarzystwa tej, która dlań przewyciężyła strach przed śmiercią, hańbą i karą.

Nieraz szłam za nimi myślą po lodzie w tę noc straszliwą, która zakończyła się tak dobrze. Nie było w ich duszach chyba nic skrytego, co by należało tłumić i odpędzać w czasie tej wędrowki wesołej podczas której opowiadali sobie wydarzenia z czasów rozłąki.

Gösta został na nowo niewolnikiem i paziem hrabiny, klęczącym u jej nóg, ona zaś damą jego. Byli radośni i szczęśliwi, a żadne nie wspomniało słowem o miłości. Śmiejąc się brodzili po wodzie, śmiali się znalazłszy drogę, śmiali się błądząc, potykając się, śmiali się padając, wstając, słowem, śmiali się nieustannie.

Życie było im od nowa piękną zabawą, oni zaś podobni byli dzieciom, które gniewały się na siebie przez czas pewien. Jakże miło pogodzić się i rozpocząć na nowo zabawę!

Zaczęły obiegać plotki, a z czasem wieści o wyprawie hrabiny dotarły do Anny Stjärnhök.

— Widać Bóg ma niejedną strzałę w kołczanie! — powiedziała sobie. — Ukoję tedy serce swoje i zostanę tu, gdzie jestem potrzebna. I bez mojej pomocy potrafi Bóg zrobić człowieka z Gösty Berlinga.

16. POKUTA

Drodzy przyjaciele! Jeśli napotkacie biedaka, człowieka smutnego, z kapeluszem opadłym na tył głowy, który trzewiki niesie w ręku, gdyż nie szuka ochrony od żaru słońca i od kamieni, słowem, gdy napotkacie bezbronnego, co rozmyślnie wzywa na się wszelkie zło, ustąpcież, proszę, z drogi cicho i z szacunkiem. Jest to pokutnik wędrujący do świętego grobu.

Pokutnik ma grubą opończę na plecach, a żyje chlebem i wodą, choćby był królem. Iść musi, jechać mu nie wolno, żebrze i nic nie posiada. Śpi pośród ostów i suwa się na kolanach po kamieniach nagrobnych. Biczuje się węzłową nahajką, a rozkosz znajduje w cierpieniu i radość w męce.

Hrabina Elżbieta nosiła także niegdyś zgrzebną opończę i kroczyła ciernistą ścieżką. Serce oskarżało ją o grzechy. Pożądała nędzy i biedy, jak człek znużony pragnie ciepłej kąpieli, toteż zstępowała radośnie w cienie życia.

Mąż jej, młody człowiek o starej głowie, wrócił rano po owej nocy, kiedy rozszalały potok zniszczył młyn ekebijski i kuźnię. Hrabina Märta zawezwała go zaraz i opowiedziała dziwne rzeczy.

— Żona twa, Henryku, spędziła całą noc poza domem. Po wielogodzinnej nieobecności wróciła w towarzystwie pewnego mężczyzny. Słyszałam, jak mówił jej dobranoc. Wiem, kto to był. Słyszałam, kiedy wyszła i kiedy wróciła, choć wcale nie było to po jej myśli. Zwodzi cię, Henryku, owa pozornie święta kobieta, która zawiesza wszędzie siatkowe firanki po to tylko, by mi dokuczyć. Nigdy cię nie kochała, biedny chłopcze. Ojciec chciał ją dobrze wydać za mąż. Wzięła cię dla majątku jedynie.

Tak przedstawiła sprawę, a Henryka wzburzyło to niezmiernie. Chciał wniesić podanie o rozwód i odesłać żonę rodzicom.

— Nie, synu drogi! — oświadczyła matka. — To by ją doprowadziło do zupełnego upadku. Jest rozpieszczona i źle została wychowana. Ja się nią zajmę i sprowadzę na drogę obowiązku.

Hrabia polecił zawezwać żonę i oświadczył jej, że ma odtąd pełnić rozkazy teściowej. Nastąpiła przedziwna scena. Komedię tak lichej nie widziały chyba mury tego domu, smutkowi poświęconego.

Wiele złych słów usłyszała młoda kobieta z ust męża. Hrabia wznosząc ręce ku niebu, złorzeczył mu, że zezwoliło kobiecie bezwstydney nurzać w błocie nazwisko jego. Groził jej pięścią i pytał, jaką karę uważa za odpowiednią wobec tak strasznej zbrodni.

Nie bała się wcale męża, pewna, że postąpiła dobrze. Odparła, iż straszliwy katar, jakiego się nabawiła, to kara dostateczna.

— Elżbieto! — zawołała hrabina Märta. — Z tego żartować nie wolno!

— Nie mogliśmy się nigdy porozumieć — odparła — co brać należy poważnie, a co żartobliwie.

— Chyba przyznasz jednak — zauważyła teściowa — że uczciwa kobieta nie opuszcza domu nocą, by włóczyć się z osławionym awanturnikiem!

Hrabina Elżbieta rozumiała teraz, że teściowa chce ją wpędzić w nieszczęście, i stanęła do walki z nią.

— Henryku — poprosiła — nie dozwól matce swej stawać pomiędzy nami! — Opo wiem ci, jak się to wszystko stało. Jesteś sprawiedliwy i nie potępisz mnie niesłusznie. Przekonasz się, że postąpiła według twych nauk.

Hrabia przyzwolił skinieniem, a hrabina Elżbieta objaśniła, w jaki sposób pchnęła Göstę Berlinga na złą drogę. Opowiedziawszy, co zaszło w błękitnym gabinecie, zakończyła wyznaniem, że sumienie nakazało jej ratować człowieka, którego skrzywdziła.

— Nie miałam prawa potępiać go — oświadczyła — a mąż mój sam mnie nauczył, że nie ma zbyt wielkiej ofiary, gdy idzie o naprawienie zła! Wszak prawda, Henryku?

Henryk zwrócił się ku matce.

— Cóż ty na to, mamgo? — spytał. Mała jego figurka zeszywniała od dostojeństwa, a na wąskim czole wystąpiły majestatyczne zmarszczki.

— Anna Stjärnhök — odpowiedziała hrabina Märta — to mądra dziewczyna i wiedziała dobrze, czemu opowiada Elżbiecie tę historię.

— Raczysz mnie, mamgo, nie rozumieć! — rzekł Henryk. — Pytam, co sądzisz o tym, iż hrabina Märta Dohna starała się namówić mą siostrę, by została żoną wyganego proboszcza?

Hrabina Märta milczała przez chwilę. Ach, jakże głupim był Henryk! Wszedł na całkiem mylny trop. Pies zaczął gonić myśliwego puszczać wolno zająca. Ale za moment opanowała zakłopotanie.

— Drogi synu — powiedziała wzruszając ramionami — mamy wszelkie powody, by rzucić zasłonę niepamięci na te stare historie. Chodzi o to, aby teraz uniknąć skandalu. Człowiek ten zginął prawdopodobnie ubiegłej nocy.

Powiedziała to łagodnie i złośliwie, ale nie było w tym słowa prawdy.

Elżbieta spała dziś długo i nie słyszała, że rozesłano ludzi na poszukiwanie pana Gösty Berlinga. Nie wrócił do Ekeby i zachodzi obawa, że utonął. Łód puścił dziś rano. O, patrzcie, burza strzaskała krę w kawalki.

Elżbieta wyjrzała. Jezioro było niemal wolne od lodu. Uczuła wstyd. Chciała ujść sprawiedliwości bożej, skłamała, jęła się obłudy i przywdziała szatę niewinności.

Zrozpaczona padła przed mężem na kolana, a z piersi jej wyrwało się wyznanie.

— Sądź mnie i odepchnij! Kochałam go! Wyrrywam sobie włosy i drę suknię z rozpacz. Wszystko mi niczym, gdy on nie żyje. Po cóż się bronić? Powiem całą prawdę. Odjęłam miłość swą mężowi i dałam obcemu. O, ja potępiona jako jedna z tych, które zwabiła niedozwolona miłość.

Młoda desperatka legła u stóp sędziów, mówiąc im wszystko, pożądając męczeństwa i hańby. Nie mogła jeno zmusić piorunu, by spadł na jej głowę.

O tak! Powiedz mężowi wszystko, powiedz jak cię przeraził napór namiętności i jakim drżałaś oburzeniem na nikczemność serca twego. Milsze by ci było spotkanie z duchami cmentarza niż z demonami własnej piersi.

Powiedz im, jak odepchnięta sprzed Bożego oblicza niegodna się czułaś chodzić po ziemi. Walczyłaś modląc się i płacząc, wołałaś o pomoc do Boga, przyzywałaś Syna Bożego, który wypędzał złe duchy, aby cię ocalił od zraty.

Powiedz im też, żeś sądziła, iż najlepiej wszystko ukryć. Nikt by się nie dowiedział, jak zła jesteś, a nawet Bóg by to przebaczył, gdyż byłaś pewna, że pełnisz jego wolę śpiesząc na ratunek ukochanego. Nie wiedział o twej miłości, ty również nie wiedziałaś, co dobre, a co złe, sam Bóg to wiedział i wydał wyrok na twego umiłowanego. Wskazał ci drogę zbawczej pokuty.

Powiedz im też, że wiesz, iż zbawienia nie ma w zatajeniu. Demony lubią ciemność. Niechże sędziowie twoi ujmą pletnię, kara będzie ci balsamem na rany grzechu, a serce twe pożąda cierpienia. Powiedz im to wszystko klęcząc i łamiąc ręce, głosem rozpacz składając wyznanie i dzikim śmiechem witając karę i hańbę. Czyń tak, aż mąż podniesie cię z ziemi.

Henryk rzekł:

— Zachowaj się, jak przystało hrabinie Dohnie, inaczej zmuszony będę poprosić matkę, by cię ukarała.

— Czyń ze mną, co chcesz!

Na te słowa zapadł wyrok hrabiego:

— Matka moja ujęła się za tobą, przeto pozwalałam ci mieszkać w domu moim. W przyszłości jednak ona będzie rozkazywała, ty zaś musisz słuchać.

Oto droga pokuty!

Młoda hrabina została najostatniejszą ze służebnic.

Lecz na jak długo?

Jakże długo zdoła uginać się dumne serce, jak długo milczeć będą niecierpliwe usta, a porywczą dłoń hamować się potrafi.

Miła nad wyraz jest niedola upokorzenia. Gdy grzbiet boli od ciężkiej pracy, milczy serce, a sen ogarnia rychło ludzi na twardym posłaniu.

Elżbieta sławiła starą hrabinę jako dobrodziejkę, choć się zmieniła raczej w szatana-dręczyciela. Zło bowiem nie wygasło w niej jeszcze. To nic, że ją budziła o czwartej, śmiertelnie znużoną, i zmuszała, niewprawną, do zbyt ciężkiej pracy u warsztatu tkackiego! Pokutnica nie miałaby dość siły sama władać tak żwawo pletnią.

Podczas wielkiego prania wiosennego musiała hrabina stanąć u cebra pralni, a teściowa doglądała jej roboty.

— Wystygła już woda! — powiada. Czerpie z kotła i leje wrzątek na obnażone ręce Elżbiety.

Innym znów razem, w dzień chłodny płukać musiała wraz z praczkami bieliznę nad brzegiem jeziora. Na deszczu przemokła do nitki, a suknie ciążyły ołowiem. Przy tym od żmudnej pracy uderzania kijanką popękała jej skóra na rękach i krew tryskała spod delikatnych paznokci.

Ale nie żaliła się nigdy, chwając jeno Boga, a cierpienie było rozkoszą dla jej pokutniczego serca. Twarde węzły pletni jak listki róży spadały na jej plecy.

Dowiedziała się rychło, że Gösta Berling żyje. Teściowa chciała ją tylko zmusić do wyznania. Ale widać taka była wola Boga! W ten sposób skierował on grzesznicę na drogę pokuty. Niepokoiło ją tylko, co się stanie z teściową, której serce z jej właśnie przyczyny Bóg uczynił twardym. Ale przypuszczała, że będzie sądzona łagodnie, albowiem musiała być zła, by dopomóc grzesznicy w odzyskaniu miłości bożej.

Elżbieta nie wiedziała, że okrucieństwo stanowi często rozkosz dla duszy, która wyczerpała wszystkie inne rozkosze. Popędliwy, w ciemni żyjący człowiek, który czuje brak pochlebstw, pieśczot, upojeń tańca czy gry, zstępuje w ponurą głąb swej istoty i sięga po okrucieństwo, które stanowi źródło uciechy dla stępałych nerwów. Człowiek taki dręczy zwierzęta i ludzi.

Hrabina Märta nie wiedziała, jak bardzo jest zła, sądziła jeno, że karze lekkomyślną małżonkę, i nieraz nocą wynajdowała coraz to nowe męki. Przemieniała wszelkie dobrodziejstwo pracy w udrękę, w karę.

Pewnego wieczoru obchodziła cały dom, a Elżbieta szła za nią ze świecą w rękę bez lichtarza.

— Świeca dopaliła się! — powiedziała Elżbieta.

— Jeśli tak, to niech się teraz pali lichtarz! — odparła teściowa.

Poszły dalej, aż knot zagasł w popalonej dłoni Elżbiety.

Wszystko to były jednak drobiazgi. Hrabina Märta wymyślała tortury duszy przewyższające znacznie mękę ciała. Zaprosiła gości i kazała Elżbiecie obsługiwać ich u własnego stołu.

Był to wielki dzień pokuty. Obcy ujrzeli jej poniżenie, przekonali się, że nie ma już prawa do miejsca u stołu męża. Sądziła, że patrzeć na nią będą z zimną pogardą. Ale milczeli i byli zakłopotani wszyscy, zarówno mężczyźni jak i kobiety.

Palił ją wstyd jak żarzące węgle. Czyż zgrzeszyła aż tak bardzo? Czyż hańbi wszystkich swoją obecnością? — pytała siebie.

Nagle przyszła pokusa, Anna Stjärnhök, dawna przyjaciółka i sędzia z Munkerudu siedzący obok niej, objęli ją, gdy do nich podeszła, odebrali półmisek, podsunęli krzesło i puścić nie chcieli.

— Usiądź przy nas, drogie dziecko! — rzekł sędzia. — Nie uczyniłaś przecie nic złego.

Wszyscy goście oświadczyli jednogłośnie, słysząc to, że opuszczą dom, jeśli Elżbieta nie usiądzie przy stole. Oburzali się na hrabinę Märte i mówili, że wcale nie chcą tańczyć, jak ona im zagra. Błaznami tak łatwo ich nie zrobi, jak głupiego syna!

— Drodzy przyjaciele! Nie bądźcież tak niemilosierni! — powiedziała Elżbieta. — Zmuszacie mnie, bym głosiła grzech własny. Pokochałam innego człowieka!

— Ależ dziecko! — odparli. — Nie wiesz nawet, co znaczy grzech, i nie wiesz, jak jesteś niewinna. Gösta Berling nie wiedział zgoła o twej miłości. Zajmij przynależne ci w domu miejsce, nic bowiem złego nie uczyniłaś!

Podtrzymywali przez czas pewien jej odwagę i weselili się jak dzieci, a śmiech i żarty rozbrzmiewały wokół. Porywczy, łatwo popadający w rozczerzenie ludzie byli dobrzy, ale mimo to stanowili narzędzie kusiciela. Wmawiali w nią, że jest męczennicą, i nazywali

hrabinę Märte starą wiedźmą. Nie rozumieli jednak, że dusza Elżbiety pożąda oczyszczenia i że serce skłania pokutnicę, by szukała ostrych kamieni na drodze i palącego żaru słońca.

Czasem musiała Elżbieta siedzieć przez cały dzień przy krosnach, a hrabina Märta opowiada jej o Göście Berlingu, wygnanym proboszczu i awanturniku. Gdy nie stało wspomnień, wymyślała różności, bacząc jeno, by imię jego brzmiało cały dzień w uszach synowej. Elżbieta bała się tego najbardziej i w dni takie czuła całe brzemie pokuty. Uświadamiała też sobie, że miłość jej nie zamiera i że prędzej chyba sama umrze. Siły ją opuszczały i często zapadała na zdrowiu.

— Gdzież się chowa twój rycerz? — pytała teściowa urągliwie. — Co dnia spodziewam się, że przybędzie na czele kawalerów. Czemuż nie zdobędzie pałacu, nie posadzi cię na tronie, a mnie i męża twego nie wtrąci do lochu? Czyżby już zapomniał o tobie?

Odczuwała niemal chęć, by go bronić i wyznać, że sama zakazała mu śpieszyć z pomocą, ale nie przerywała milczenia, bo lepiej jest milczeć i cierpieć.

Z dniem każdym żarła ją coraz to bardziej gorączka, a słabły siły, tak że ledwo mogła utrzymać się na nogach, i zapragnęła śmierci. Miłość i radość — największe moce życia — wyjrzyć nie śmiały, spętane i potępione, a Elżbieta nie odczuwała już nawet strachu przed męką.

Mąż jak gdyby zapomniał o jej istnieniu. Po całych dniach zamknięty u siebie studiował nieczytelne rękopisy i stare, zaplamione druki.

Odczytywał dyplomy szlacheckie na pergaminie, opatrzone wielkimi pięczęciami z czerwonego wosku, przechowane w toczonych puszkach drewnianych. Odcyfrowywał znaki herbowe z liliami w białym i gryfami w niebieskim polu. Znał się na tym i umiał wszystko wyjaśnić. Czytał mowy pogrzebowe i dokumenty osobiste hrabiowskiego rodu Dohnów oraz opisy czynów, w których porównywano ich z bohaterami Izraela i bogami Grecji.

Lubował się zawsze w starożytnościach. O młodej żonie przestał teraz myśleć zupełnie.

Słowa hrabiny zabiły w nim wszelką miłość. „Wzięła cię tylko dla majątku!” Tego nie zniesie żaden mężczyzna, to musi wszelkie uczucia zgładzić. Obojętne mu było, co się z nią dzieje. Wiedział, że matka zawróciła Elżbietę na drogę obowiązku. Więc podziwiał matkę.

Niedola Elżbiety trwała przez miesiąc, ale nie był to tak burzliwy okres, jak wygląda w skrócie na papierze. Zachowywała zewnętrzny spokój i raz tylko wybuchła na wieść o śmierci Gösty, ale takie ją trapiły wyrzuty sumienia z powodu niedochowania miłości mężowi, że dałaby się na śmierć zadrzeć teściowej, gdyby nie słowa starej klucznicy, która powiedziała jej pewnego wieczoru:

— Pani hrabina musi koniecznie pomówić z panem hrabią! — zachęcała ją stara. — Pani hrabina takie dziecko jeszcze! Nie wie pani sama, co ją czeka, ale ja widzę dobrze, jak z panią jest!

Tego jednak właśnie nie mogła wyznać mężowi, wszak żywił tak ciężkie podejrzenie.

Tejże nocy wstała cicho i wyszła z domu. Ubrana była jak dziewczyna wiejska, z zawiniątkiem pod pachą. Chciała uciec i nie wrócić już nigdy, ale nie z powodu udręczeń, jeno dlatego, że jak sądziła, Bóg dał jej znak, iż może iść, by zachować zdrowie i siły ciała.

Nie ruszyła na zachód, przez jezioro, gdzie mieszkał ukochany, a także nie ku północy, gdzie miała licznych przyjaciół. Nie zwróciła się na południe, kędy daleko był jej dom rodzicielski, ale na wschód, gdzie nie było przyjaciela, znajomego, pomocy, ochrony ni żadnej pociechy.

Nielekką szła i nieswawolnie, gdyż nie czuła się pogodzona z Bogiem, ale miło jej było, że odtąd pośród obcych dźwięgać będzie brzemie swego grzechu. Pragnęła spojrzeć obojętnych, które, niby zimna stal przyłożona na obrzmiały członek, koilyby jej ból.

Chciała iść tak długo, aż napotka nędzną chatkę na skraju lasu. Miała zamiar powiedzieć:

— Widzicie, jak ze mną jest, rodzice mnie wygnali. Przytulcie mnie, aż zdołam zrobić na życie. Mam trochę pieniędzy.

Wędrowała jasną nocą czerwową. Maj cały ubiegł jej na ciężkich utrapieniach, maj rozkoszny, kiedy to jasna zieleń brzoź miesza się z ciemnością jodłowych lasów, a poprzez jezioro płynie z dala wiatr ciepłym przesycony.

Wydam się wam mniej wdzięczna od innych, gdyż ani jednym słowem nie uczułam tego pięknego miesiąca, niosącego tyle darów.

Kochany, jasny maju! Czyś widział dziecko na łonie matki, słuchające bajek? Jak długo matka opowiada o straszliwych walkach i wielkich udręczeniach pięknych królowien, dziecko uważa i trzyma główkę do góry, gdy jednak zaczyna o słońcu i szczęściu, zamyka oczy, pochyla się na pierś matki i zasypia.

Otóż ja jestem takim dzieckiem, piękny maju! Niechże inni słuchają o kwiatach i pogodzie, ja wolę ciemną noc, pełną duchów i przygód, twarde losy i smutku pełne namiętności zbląkanego serca.

17. ŻELAZO EKEBIJSKIE

Nastała wiosna i cała Värmlandia wysłać miała ze swych hut żelazo do Göteborga.

W Ekeby atoli nie było żelaza. Jesienią przeszkadzała długotrwała susza, z wiosną zaczęło się panowanie rezydentów.

Za ich czasów po skalistych, granitowych progach björkeńskiego potoku nie spływała woda, ale mocne, gorzkie piwo, a Löven napelniała wódka. Za ich czasów kuźnie nie przerabiały rudy, bo kowale stali rozebrani, w drewniakach przy ogniu i obracali na ogromnych rożnach pieczenie, zaś pomocnicy trzymali szpikowane kapłony w wielkich obcęгах nad ogniem. Za tych czasów tańczono po wszystkich wzgórzach, sypiano na tokarniach, a grano w karty na kowadłach. W czasach tych nie kuto żelaza w Ekeby.

Ale gdy wiosna nastąpiła, zaczęto w kantorach göteborgskich czekać na żelazo z Ekeby, dobyto kontrakty pozawierane z majorem i majorową, przyrzekające całe setki cetnarów, i dziwowano się wielce, że oczekiwane żelazo nie nadchodzi.

Cóż obchodziły kawalerów kontrakty majorowej? Utrzymywali oni nieustannie w toku uciechy wszelkie, muzykę na skrzypcach i biesiady i dbali o to, by tańczono po wszystkich wzgórzach.

Nadeszło żelazo ze Stömme, nadeszło potem z Sölje, nadeszło też z Kymsebergu drogą przez wrzosowisko i jezioro Väner. Z Uddeholmu i Munkforsu wysłały żelazo wszystkie huty, tylko żelaza z Ekeby nie było.

Czyż Ekeby nie jest już najważniejszą hutą Värmlandii? Czyż nikt nie czuwa nad sławą posiadłości? Nie! W Ekeby rządzą kawalerowie dbający o to jeno, by tańczono po wszystkich wzgórzach. Nic innego nie zaprzętało ich marnych umysłów. Ale wodospady, strumienie, promy, rzeki, śluzy i przystanie pytają zdumione:

— Czyliż nie nadejdzie żelazo z Ekeby?

W głębi ciemnych lasów zaczynają się śmiać mielerze, wielkie głowy młotów nachylają się ku sobie drwiąco, szyby kopalniane rozdziawiają szerokie gęby, wtórując im śmiechem szyderym, biurka w kantorach wielkich kupców, gdzie przechowywane są kontrakty majorowej, trzęsą się od śmiechu.

Czyż to słyszana rzecz! Nie ma żelaza z Ekeby! W najlepszych hutach Värmlandii zabrakło żelaza!

Dalejże, hultaje! Dalejże, bezdomni i włóczędzy! Nie dozwólcie, by taka hańba spadła na Ekeby! Jest to wszakże jedyny wasz przytułek na ziemi, niezrównanie piękne miejsca, na myśl o nim lży ronicie, idźcież tedy, kawalerowie, na ratunek Ekeby. W Ekeby, co prawda, spoczywały młoty, ale w sześciu innych hutach szła chyba praca raźnie, a żelaza musi być więcej, niżli potrzeba.

Gösta wyruszył rozmówić się z zawiadowcami sześciu hut.

Uznał, że nie ma co pytać w Högforsie, położonym nad björkeńskim potokiem, tuż przy Ekeby; rządy kawalerów udzieliły się zapewne i tej hucie. Ruszył tedy parę mil dalej na północ i dotarł do Lötåforsu. Była to posiadłość piękna zaiste. Górny Löven rozlewał się szeroko po jednej stronie, po drugiej zaś sterczała grań Gurlity w romantycznym otoczeniu lasów, jak przystało takiej górze. Ale w kuźni nie pracowano przez cały rok z powodu uszkodzenia wielkiego koła rozpędowego.

— Czemuż nie daliście koła naprawić? — spytał Gösta.

— Jedyny w okolicy cieśla zdolny naprawić koło był zajęty gdzie indziej! — odpowiedział zarządca. — Nie mogliśmy przekuć ni jednego ładunku kruszcu.

— Trzeba było sprowadzić cieślę.

— Sprowadzić? Posyłałiśmy po niego codziennie, ale nie miał nigdy czasu. Miał mnóstwo roboty przy naprawie altan i kręgielni w Ekeby.

Gösta uświadomił sobie zaraz, czego doświadczy w tej podróży.

Pojechał dalej, do Björnidetu. I ta posiadłość była pięknie położona, tak że można było tam wystawić pałac. Duży dom mieszkalny panował nad półkolistą doliną, otoczoną z trzech stron potężnymi górami, zaś z czwartej zamkniętej Lövenem, który się tu kończy. Gösta zauważył, że trudno o piękniejsze miejsce do spacerów przy księżycu i do marzeń. Ścieżką wzdłuż rzeki można było obok wodospadu dotrzeć aż do ogromnej kuźni, wykutej w skalnej grocie. Czyż jednak było tam żelazo?

Nie, oczywiście nie. Zabrakło węgla, bo z Ekeby nie przysłano pieniędzy na zapłacenie węglarza ani furmanek. Przez całą zimę kopalnia spoczywała.

Gösta pojechał śpiesznie ku południowi i dotarł do Han na wschodnim wybrzeżu, potem ruszył do Lövforsu, zapadłego w lasach, i Elgforsu, ale i tam lepiej mu się nie powiodło. Nigdzie nie było żelaza i to zaiste chyba z winy samych rezydentów.

Gdy Gösta wrócił do Ekeby, kawalerowie pochylili głowy w zawstydzeniu i smutku, patrząc na sto cetnarów kruszcu. Wydało im się, że przyroda urąga, ziemia wzdycha, drzewa grożą im gniewnie, a trawa i kwiaty płaczą nad ruiną ekebijskiej sławy.

Lecz na cóż tyle słów i zdziwienia. Żelazo z Ekeby jest!

Czeka u brzegu Klarelfu załadowane na galary, gotowe płynąć, iść na wagę w Karlstadzie i żeglować skutkami wenerskimi do Göteborga. Sława Ekeby uratowana!

Jakże to możliwe? Wszakże w Ekeby znalazło się ledwo sto cetnarów kruszcu, a po innych hutach nie było nic. Jakże tedy możliwe, że obładowane galary przywożą na wagę w Karlstadzie takie niezmierne ilości żelaza? Spytać o to trzeba rezydentów.

Znajdowali się oni sami na pokładzie ciężkich, brzydkich statków i chcieli przywieźć żelazo, tak by go nie tknął żaden ze zwyczajnych przewoźników. Udali się na pokład zabierając flaszki, kosze z zapasami, trąbki, skrzypce, strzelby, wędki i karty. Postanowili uczynić wszystko dla miłego żelaza i nie opuścić go, póki nie znajdzie się w göteborgskiej przystani. Sami chcieli je splawić, wylądować, władać żaglami i wiosłami, a stać ich na to, by dokonać tego zadania. Wszakże znali każdą ławicę, prąd i skałę jeziora Väner, a sterem i żaglami władali równie dobrze jak smyczkiem czy koniem.

Jeśli coś na tym świecie kochają, to właśnie żelazo na barkach. Strzegą go jak najkruchszego szkła, rozpościerają nad nim płachty. Ani grudka nie powinna leżeć nie okryta. Te ciężkie, szare sztaby przywrócą chwałę Ekeby. Niech więc nikt obcy nie ma sposobności, by rzucić na nie obojętnym spojrzeniem. O, Ekeby, kraju naszych marzeń, niech promienieje chwała twoja!

Nikt nie został w domu. Wujaszek Eberhard wstał od pulpitu, kum Kristofer wylazł z za pieca, ruszył się nawet łagodny Löwenborg. Gdy szło o honor Ekeby, nie lenił się nikt spośród kawalerów.

Widok Klarelfu źle działa na Löwenborga. Od trzydziestu siedmiu lat nie widział go, nie wsiadł w czółno, nie mogąc znieść widoku błyszczącej powierzchni jezior i szarych rzek. Przywodziło mu to na myśl smutne wspomnienia i dlatego unikał widoku wody, teraz jednak i on nie mógł wytrzymać. Szło o honor Ekeby. Przed trzydziestu siedmiu laty utonęła w Klarelfie narzeczona Löwenborga i od tego czasu nietęgą miał głowę.

Patrząc teraz na prąd wody uczył rosnący coraz to bardziej męt w głowie. Szara rzeka o połyskliwych, białych falach wydała mu się wielkim węzłem o srebrnej husce, czatującym na łup. Wysokie, żółte, piaszczyste, skąpo porośnięte brzegi były ścianami pułapki, na której dnie wił się wąż, zaś droga przebijająca je i idąca ku wybrzeżu, gdzie czekały barki, to niby wejście do morderczej jaskini.

Mały człowieczek stał z rozwartymi szeroko, niebieskimi oczyma, długie, białe włosy powiewały na wietrze, a policzki, zwykle lekko zarumienione, aż zbladły ze strachu. Pewny był całkiem, że ktoś nadejdzie drogą i rzuci się w paszczę czyhającego węża.

Rezydenci sposobili się do odbicia od brzegu. Ujęli już długie żerdzie, którymi mieli odepchnąć galary, gdy nagle zawołał Löwenborg.

— Czekaście! Na miłość boską, czekajcie!

Sądził, że mu się zaczyna mącić w głowie od pierwszego ruchu galaru, ale bezwiednie opuścili żerdzie, on zaś jakby powiadomiony, że ktoś nadejdzie drogą i rzuci się w wodę, podniósł ostrzegawczo rękę. Wydawało mu się, że widział kogoś nadchodzącego.

Jak wiadomo, zdarzają się w życiu takie spotkania jak to, które nastąpiło teraz właśnie. Kto zdolny dziwić się, niechże się dziwi, że kawalerowie stali z barkami u brzegu Klarelfu tegoż właśnie ranka, nazajutrz po nocnej ucieczce hrabiny Elżbiety. Dziwniejsze było jednak chyba, gdyby młoda kobieta nie znalazła nigdzie pomocy.

Zdarzyło się tak, że wędrując przez całą noc doszła do przewozu właśnie w chwili, kiedy kawalerowie chcieli odbić od brzegu. Stojąc bez ruchu patrzyli, jak rozmawia z przewoźnikiem odwiązującym czołno. Była ubrana po wiejsku, więc nie wiedzieli, że to ona, mimo to wydała im się znajoma. Właśnie w tej chwili chmura kurzawy zasnuła drogę, a wśród niej ukazała się żółta kolasa. Elżbieta od razu zrozumiała, że to konie z Borgu. Więc ją znaleźli! Nie było już sposobu ująć niepostrzeżenie czołnem, a jedyną ucieczką stanowiły rezydenckie galary. Toteż wskoczyła na pierwszą z brzegu, nie patrząc, kto się na niej znajduje. I dobrze się stało, gdyż wolałaby zginąć pod kopytami koni, niż szukać tu ocalenia.

Gdy była już na statku, zaczęła wołać:

— Skryjcie mnie! Skryjcie mnie! — Wtem potknęła się i upadła na ładunek żelaza.

Kawalerowie poprosili, by się uspokoiła, odbili szybko od brzegu, dążąc z prądem w kierunku Karlstadu, a w tejże chwili dojechała do przystani kolasa.

Siedzieli w niej hrabia Henryk i hrabina Märta. Hrabia pobiegł do przewoźnika chcąc spytać, czy nie widział jego żony. Ponieważ jednak wstyd mu było powiedzieć, że zbiegła, rzekł tylko:

— Zgubiłem coś!

— Tak? — odparł chłopak.

— Powiadam, że mi coś zginęło. Czyście nie widzieli tu czegoś?

— O co jaśnie pan pyta?

— Mniejsza z tym! Coś mi zginęło. Hm, a czyście przewozili dziś kogo?

Oczywiście nie mógł dostać odpowiedzi, lecz hrabina Märta rozmówiła się z przewoźnikiem i w minutę później wiedziała o ucieczce zbiega na płynących z wolna galarach.

— Cóż to za ludzie znajdują się na galarach?

— To są kawalerowie, jak ich tu zwiemy wszyscy.

— Ach! — powiedziała hrabina — żona twoja w dobrych jest rękach, Henryku. Możemy spokojnie wracać.

Ale na galarach nie było tak wesoło, jak sądziła hrabina Märta. Dopóki nie znikła żółta kolasa, młoda kobieta siedziała skulona na ładunku, nie ruszała się i patrzyła w wodę.

Dopiero gdy pojazd zawrócił, poznała widocznie kawalerów, bo zerwała się jakby do ucieczki, tak że najbliższymi stojącymi musieli ją wstrzymać. Jęknęła i siadła z powrotem.

Rezydenci nie śmieli mówić do niej ni zadawać pytań. Zdawało się, że bliska jest obłądu.

Po chwili zaczęli odczuwać brzemień odpowiedzialności. Samo już żelazo był to ciężar wielki dla nienawykłych ramion, teraz zaś mieli wziąć na siebie troskę o młodą damę wysokiego rodu, która uciekła od męża.

Podczas zabaw w zimie przywodziła ona na pamięć temu i owemu z nich młodszą, kochaną siostrzyczkę. Każdy postępował za młodu z małą ostrożnie, a mówiąc baczył, by nie użyć brzydkiego słowa. Ile razy łobuz jaki biegł za nią lub śpiewał nieprzystojnie, rzucał się nań i bił ile weszło, by siostra nie posłyszała nic złego, nie doznała krzywdy i nie zetknęła się z nienawiścią lub przemocą.

Hrabina Elżbieta była wesołą siostrzyczką wszystkich kawalerów. Kładąc drobne rączki w ich dłonie, zdawała się mówić: „Przekonaj się, jaka jestem delikatna, ale tyś moim starszym bratem, strzeż mnie przed innymi i samym sobą!” Byli też wobec niej zawsze rycerscy i pełni szacunku.

Teraz patrzyli przerażeni, nie poznając jej zgoła. Była zmieniona, wychudła, szyja zatraciła krągłość, twarz stała się przeźroczysta. Musiała uderzyć się o coś podczas nocnej wędrowki, gdyż chwilami występowała na skroń kropla krwi, a jasne, faliste włosy zlepione były skrzepłą krwią. Odzież miała brudną od długiego brodzenia po mokradłach i rosie i zniszczone trzewiki. Kawalerowie spoglądali z przykrym uczuciem na tę nieznaną. Hrabina Elżbieta, którą znali, nie miała tak dziko błyszczących oczu. Biedna ich siostrzyczka była bliska szaleństwa. Wydawało się, jakby dwie dusze, jedna z innego świata, druga — właściwa, toczyły ze sobą walkę w tym wymizerowanym ciele.

Nie potrzebowali się jednak troszczyć, co z nią poczną. Zbudziły się w niej dawne myśli. Nadeszła znowu pokusa. Bóg ją doświadczał, znalazła się wśród przyjaciół. Czy porzuci drogę pokuty?

Skoczyła na równe nogi i zawołała, że musi odejść.

Próbowali ją uspokajać, zaręczali, że nie ma się czego bać. Ochronią ją przed prześladowaniem.

Prosiła, by jej pozwolili wsiąść w małe czółno, przywiązane do barki, dobić do brzegu i iść dalej w swoją drogę.

Nie zgodzili się przekładając, że lepiej jej będzie z nimi. Są wprawdzie — jak mówili — biedakami, ale znajdują sposób dopomożenia jej.

Zaczęła łamać ręce i prosić, by ją puścili. Nie spełnili tej prośby, widząc, że jest słaba i wyczerpana tak, iż padnie w drodze.

Gösta Berling stał w pewnym oddaleniu i patrzył w wodę. Sądził, że młoda kobieta nierada by go widzieć. Wprawdzie tak przypuszczał, ale myśli jego były wesołe. „Nikt nie wie, gdzie się Elżbieta znajduje — marzył — zabierzemy ją tedy do Ekeby. Schowamy ją tam i będziemy się z nią dobrze obchodzili. Zostanie naszą królową, będzie rządziła, a może poczuje się wśród nas szczęśliwą. Nikt nie będzie wiedział, że jest u nas. Będziemy jej dobrze strzegli. Starzy kawalerowie uznają ją za córkę, otoczoną czułością”.

Nie odważył się uświadomić sobie, że ją kocha. Posiadać jej bez grzechu nie mógł, a ściągać na niziny zła nie chciał. Radował się jeno marzeniami, że ją schowa w Ekeby, że będzie dla niej tak dobry, jak inni byli okrutni, i pozwoli zakosztować wszelkich dóbr tego świata.

Obudził się jednak z marzeń, gdyż hrabina była trwożna, a w słowach jej przebiegała rozpacz. Padła pośród kawalerów na kolana i błagała, by jej dopomogli do dalszej wędrówki.

— Bóg mi nie przebaczył jeszcze! — wołała. — Muszę iść!

Gösta wiedział, że żaden z rezydentów nie spełni jej prośby i że to musi uczynić on sam. On właśnie, który ją kocha.

Ruszył ku niej z takim trudem, jak gdyby każdy członek jego ciała stawiał opór woli, i powiedział, że ją przewiezie na drugi brzeg.

Wstała natychmiast, on zaś zaniósł ją do czółna, przewiózł i wysadził na ląd, na wąską ścieżynę.

— Cóż z panią teraz będzie, hrabino? — powiedział.

Wskazała z powagą na niebo.

— Gdyby pani znalazła się w potrzebie...

Nie mógł dalej mówić, ale zrozumiała go.

— Doniosę panu, gdy będę potrzebowała pomocy.

— Rad bym chronić panią przed wszelkim złem! — dodał po chwili.

Podala mu rękę na pożegnanie, on zaś nie mógł wyrzec słowa. Dłoń jej była zimna i wiotka.

Hrabina słuchała już tylko wewnętrznego głosu, który jej nakazywał pójść między obcych ludzi. Nie uświadamiała sobie niemal, że kocha tego człowieka, który stoi przed nią.

Odeszła, on powrócił do towarzyszy, gdy zaś stanął na galarze, drżał ze znużenia, wyczerpania i bezsily, jakby dokonał najcięższej w życiu pracy.

Przez kilka dni trzymał się mocno, aż honor Ekeby został uratowany. Dowiózł żelazo na wagę w Kanikenäs, po czym na długi czas opadł z sił i opuściła go radość życia.

Dopóki był na pokładzie, kawalerowie nie spostrzegli zmiany, gdyż trzymał nerwy na wodzy, był wesoły i bez troski, wszak szło o honor Ekeby. Jakżeby mogli podejmować ryzykowne to dzieło z miną kwaśną i bez wigoru w sercach?

Wieść niesie, że kawalerowie mieli na galarach znacznie więcej piasku niż żelaza, że dostarczali ciągle ten sam ładunek na wagę, aż do pewnej ilości wieluset cetnarów, następnie, że kierownik wagi i jego ludzie zapijali i zajadali nieźle, korzystając z przywiezionych zapasów. Jeśli tak było, to każdy zrozumie, że wesoło musiało być na galarach.

Któż zdoła to dziś sprawdzić? W każdym razie Gösta nie miał czasu na smutki, chociaż nie odczuwał też radości z powodu przygody i niebezpieczeństwa. Dopiero na końcu padł złamany.

— O Ekeby, ziemio tęsknoty mojej! — powtarzał sobie. — Żyj dalej w sławie!

Rezydenci dostali pokwitowanie od kierownika wagi i załadowali żelazo na szkutę wenerską. Zazwyczaj fachowi przewoźnicy dostawali towar do Göteborga, a właściciele z Värmlandii nie troszczyli się już o nic, mając potwierdzenie odbioru. Ale kawalerowie nie chcieli załatwić sprawy w połowie jeno i postanowili jechać do samego Göteborga.

W drodze spotkał ich wypadek. Burza zerwała się w nocy, pozbawiona steru szkuta wpadła na skałę, rozbija się i cały drogocenny ładunek zatonał. Poszły na dno trąbki, karty i puste butelki, cóż to jednak znaczyło wobec straty cennego żelaza? Mimo wszystko honor Ekeby ocalał. Żelazo zostało oddane na wagę, a chociaż major musiał zawiadomić kupców göteborgskich, że wobec straty żelaza rezygnuje z zapłaty, to bagatela. Ekeby było bogate, a honor jego był uratowany.

Przystanie, służby, kopalnie, mielerze, szkuty i galary szeptały, co prawda, dziwne rzeczy. Po lasach szumiały plotki, że cała wyprawa była oszustwem, a w Värmlandii twierdzono, iż na galarach było jeno sto cetnarów, zaś rozbicie urządzono z rozmysłem. I cóż stąd? Kawał był godny, figiel iście kawalerski i wcale szkodzić nie mógł sławie Ekeby!

Dawne to czasy! Może kawalerowie kupili gdzieś żelazo albo znaleźli je w magazynach, nie wiedząc przedtem o jego istnieniu. Rzeczy tego rodzaju zbadać trudno. Kierownik wagi w każdym razie nie chciał słyszeć o oszustwie, a znał się na tym chyba najlepiej.

Po powrocie do domu usłyszeli kawalerowie wielką nowinę. Oto unieważnione zostało małżeństwo hrabiego Dohny. Hrabia wysłał do Włoch marszałka dworu swego dla zebrania dowodów, że zaślubiny odbyły się nieformalnie. Marszałek wrócił w lecie z dostatecznym materiałem. Jakie były dowody? Nie badajmy tego, gdyż stare legendy należy szanować, są one jak na pół zwiędłe róże, które tracą płatki, gdy je ścisnąć w rękę. Podobno niewłaściwy ksiądz hrabiemu dawał ślub. Nie wiem już dobrze, jak to było, dość że sąd broeński uznał małżeństwo hrabiego Dohny z Elżbietą Thurn za niebyłe.

Nic o tym nie wiedziała jednak młoda kobieta żyjąca pośród chłopów w odległych stronach. Jeśli jeszcze żyła.

18. DWOREK LILJECRONY

Żył pośród rezydentów jeden, którego zwałam zawsze wielkim muzykantem. Był to rosy, kościsty mężczyzna z wielką głową i czarnymi, bujnymi włosami. W owym czasie nie przekroczył jeszcze pewnie czterdziestki, ale kanciasta twarz i spokojne zachowanie się czyniło go z pozoru starszym. Był to człowiek dobroduszny, lecz melancholijnego usposobienia.

Pewnego popołudnia wziął pod pachę skrzypce i opuścił Ekeby nie żegnając się z nikim, chociaż miał zamiar nie wracać. Od czasu nieszczęścia hrabiny Elżbiety nie mógł znieść życia w Ekeby. Szedł bez odpoczynku przez wieczór i noc całą, aż dotarł rano o świtanie do małego majątku Lövdala, który był jego własnością.

Wszyscy spali jeszcze, tak było wcześniej. Liljecrona usiadł na zielonej huśtawce przed dworem i zapatrzył się na swoją posiadłość. Wielki Boże, czyż istniał na ziemi piękniejszy zakątek?! Trawnik pokrywała piękna jak nigdzie chyba murawa. Pasły się tu owce, dreptały dzieciaki z zabawkami, a jednak trawnik był zawsze jednakowo gęsty i zielony. Nigdy go nie koszono, ale co najmniej raz w tygodniu gospodyni umiała słomę, gałęzie i zeschnięte liście. Wszedł na żwirową ścieżkę, ale zaraz zszedł z niej spostrzegłszy, jakie spustoszenie porobiły jego wielkie nogi na drożynie, wieczorem świeżo przez dzieci wygracowanej. Jakże tu wszystko bujnie rosło! Jarzębiny na dziedzińcu miały wysokość buków, a korony jak dęby. Nie widziano chyba dotąd drzew takich. Wokół grubych pni wiły się żółte powoje, a ich jasne kwiaty pośród ciemnego listowia przypominały gwiazdy na niebie. Przedziwne drzewa. Niedaleko rosła stara wierzba tak gruba, że dwu ludzi by jej nie objęło. Wypróchniała i pękła, piorun pozbawił ją korony, ale nie chciała umierać. Puszczala co wiosny zielone pędy ze szczelin pnia, na dowód, że żyje.

Stary, ogromny krzak czeremchy u wschodniego narożnika przysłał cały dwór. Kryty torfem dach usypany był jego białym kwieciami. W dali na polu stały w grupach buki, które czuły się tu jak w raj. Najrozmaitszych kształtów, jakby umyślnie naśladowały różne drzewa. Jedne podobne do rozłożystych lip, gęste i bujne, drugie strzelały w górę niby topole, inne jeszcze udawały wierzby płaczące. Każdy był inny, ale wszystkie piękne.

Liljecrona obszedł dom wokoło. Ogród był tak uroczy, że przystanął oddychając głęboko. Kwitły jabłonie. Widział je i po innych posiadłościach, ale nigdzie nie kwitły jak tu, gdzie je znał od czasu, gdy się ożenił. Szedł ostrożnie ścieżkami, złożywszy ręce.

Ziemia była biała i drzewa białe, z różowym gdzieniedzie jeno nalotem. Nie widział dawno czegoś równie pięknego. Znał każde drzewko tak dobrze, jak się zna rodzeństwo i towarzyszy zabaw. Kwiecie jabłoni zimowych było całkiem białe, letnich różowe, a rajskie jabłonie kwitły purpurowo. Najpiękniej spisała się stara dziczka, cierpka, której jabłek nikt jeść nie chciał. Nie żałując kwiatów przybrała w porannym słońcu wygląd zasypanej śnieżynkami. Był wczesny ranek, rosa lśniła na liściach, zmyła kurz doszczętnie, a znad pokrytych lasami gór, u stóp których leżała posiadłość, skradały się pierwsze promienie słońca okrywając purpurą szczyty jodeł. Lekka mgła snuła się po rozłogach koniczyny, łanach żyta, jęczmienia i owsa, a cienie były ostre jak w księżycową noc.

Obejrzał skrupulatnie wielkie grzędy jarzyn, pocięte ścieżkami, wiedząc, że pracy tej dokonała żona wraz ze służebnymi. Kobiety bronowały, nawoziły, pelły i uprawiały ziemię, aż się stała lekka i urodzajna. Wyciągały potem grzędy pod sznur, odcinały kwadraty, w końcu udeptywały ścieżki i siały, aż wszystkie kwadraty były pełne. Dzieci pomagały, a ta praca sprawiała im wielką radość, chociaż nużyło je pochylanie się i wyciąganie rąk. Wyniki, jak łatwo pojąć, były jednak bardzo pomyślne, przeszły oczekiwania.

Teraz wszystko kiełkowało i rosło.

Niech Bóg błogosławi roślinom! Groch stał zuchwale i zadzierał głowę w górę spośród grubych liści, a korzonki buraków i marchwi drążyły w najlepsze ziemię. Wesołą zwłaszcza minę miała nać pietruszki, wychylająca się spod ziemi jakby grała z życiem w chowanego.

Gdzieniedzie widniały grządki nieco krzywe, zasiane wszystkim po trochu. Zwyczajnie — działki dziecięce.

Liljecrona wziął skrzypce pod brodę i zaczął grać. Ptaki skryte w wysokich krzakach, słońcących ogród od północy, zaśpiewały. Nie mogło milczeć żadne obdarzone głosem stworzenie w ten ranek. Smyczek grał sam.

Liljecrona chodził po ogrodzie grając i rozmyślając:

— Nie, nie ma na ziemi piękniejszego zakątka!

Czymże jest Ekeby wobec Lövdali? Dom wprawdzie kryty jest sitowiem i ma jedno tylko piętorko. Stoi u skraju lasu, tuż pod górą. Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Nie ma jeziora, wodospadu, łąk nadbrzeżnych ni parku, ale jakże wszystko piękne! Dom to dobry, spokojny, gdzie żyć łatwo, bez nienawiści, goryczy, gdzie wszystko koi łagodność. Takim powinien być każdy dom.

Gospodyni spała w pokoju od ogrodu. Zbudzona nagle nie ruszyła się, uśmiechnięta i zasłuchana. Muzyka zbliżała się coraz bardziej i grajek stanął pod jej oknem. Wiedziała, że mąż w ten sposób zazwyczaj przybywa po jakimś większym wydarzeniu czy dzikim figlu w Ekeby.

Stał oto spowiadając się i prosząc o przebaczenie. Opowiadał o siłach, które go odciągnęły od osób najdroższych, od niej i dzieci, chociaż je kocha, naprawdę kocha.

Wśród tego grania wstała i ubrała się, nie wiedząc dobrze, co czyni. Muzyka trzymała jej myśli na uwięzi.

— Nie wywabił mnie dostatek — grał — ni miłość dla innej kobiety ani wreszcie żądza sławy, jeno zmienność życia, piękno jego, gorycz i bogactwo, które odczuwać muszę. Ale dość mam tego, jestem syty i wyczerpany. Nie opuszczę już domu. Przebacz i bądź wyrozumiała.

Odsunęła firankę, otwarła okno i ukazała mu piękne, dobre oblicze swoje.

Była dobra i mądra, a spojrzenie jej, jak spojrzenie słońca, błogosławiło wszystkiemu, na co padło.

Kierowała wszystkim, strzegła, by rosło i bujało. Nosila w sobie szczęście.

Wspiął się do niej na uszak okienny, szczęśliwy jak kochanek. Potem objął ją, wziął na ręce i zaniósł pod jabłonie, gdzie zaczął opowiadać, jakie wszystko ładne, pokazując grządki, ogródek dzieci i młodą nać pietruszki.

Gdy dzieci wstały, ogarnął je zachwyty z powodu przybycia ojca. Wzięły go w wyłączne posiadanie, pokazywały wszystkie nowe i uwagi godne rzeczy. Musiał oglądać mały

młynek na strumieniu, gniazdo w wierzbie i dwa małe źrebaczki, co urodziły się parę dni temu.

Potem rodzice i dzieci ruszyli na daleką przechadzkę w pole. Musiał podziwiać gęstość młodego żyta, urodę koniczyny i kielkujące ziemniaki.

Musiał obejrzeć krowy powracające z pastwiska, młode cielęta i owce, szukać jaj i dać koniom cukier.

Dzieci trzymały go przez cały dzień, zaniedbując naukę i pracę wszelką, a włóczyąc się jeno z ojcem.

Wieczorem grał im do tańca, a przez cały dzień był tak dobrym towarzyszem, że zasnęły prosząc Boga, by ojciec został na zawsze.

Został też przez cały tydzień, wesoły jak dziecko. Zakochany w żonie, dzieciach i wszystkim, co w domu, nie myślał o Ekeby. Potem jednak znikł pewnego dnia nie mogąc znieść tyle szczęścia. Ekeby było stokroć mniej warte, ale tkwiło w wirze, w pośrodku zdarzeń.

Ileż tam wątków różnych do gry i do marzeń! Bo i jakże zdołałby nawet istnieć z dala od kawalków hultajskich i od jeziora Löven, wokół którego baśń dzikie wyprawia harce.

Tymczasem w posiadłości jego szło wszystko właściwym trybem, rosło i dojrzewało pod strażą łagodnej pani domu. Wszyscy żyli tu cicho, szczęśliwie, bez goryczy i sporu, skargi ni cierpienia, a każda rzecz i sprawa toczyły się swoją koleją. Cóż poradzić na to, że pan domu chciał przebywać koniecznie jako kawaler w Ekeby? Czyż żalić się nań jak na słońce, co zachodzi w każdą noc, zostawiając ziemię w ciemności?

Czyż nie jest niezwalczoną pokora? I czyż cierpliwość nie jest pewną zwycięstwa?

19. O CZAROWNICY Z GÓR DALEKICH

Czarownica z dalekich gór Dovre przybyła nad brzegi Lövenu. Miała zgarbione plecy, była niska, a ubranie jej stanowił kaftan skórzany i pas srebrem kuty. Nie wiadomo, czemu od wilczych nor przysłała w osiedla ludzkie i czego szukała pośród zielonych równi.

Mimo bogactwa swego zebrała, chciwie gromadząc datki. W górach niedostępnych ukryte miała ciężkie sztaby srebra, po górskich wąwozach pasły się stada jej owiec i czarnych złatorogich krów, a mimo to chodziła w łapciach i zatuszczonym skórzanym kaftanie, którego barwny rąbek przeświecał poprzez wiekowy brud, mchem napychała fajkę i zebrała nawet u najbiedniejszych. Diabeł niech wspomaga taką babę, nie dziękującą nigdy i nigdy nie sytą.

Stara była. Nikt nie mógł powiedzieć, przed ilu laty blask młodości opromieniał tę twarz czarną, szeroką, błyszczącą od tuszczu, o płaskim nosie i wąskich oczach, lyskających niby węgle z popiołu. Jak dawno temu, siedząc pod szałasem kosiarza, odpowiadała dźwiękami rogu na miłosną pieśń zakochanego pasterza? Żyła od kilkuset lat, najstarsi pamiętali tego włóczykija wędrującego po całym kraju, a taką samą widzieli ją ich ojcowie za swych lat młodych. Ja sama, która to piszę, widziałam ją. I pewnie dotąd żyje jeszcze.

Była mocarną córką Finów, co znają się na czarach. Mocarną i nieugiętą. Kroczyła twardo szerokimi stopy po żwirze dróg, sprowadzała grad, kierowała piorunami, umiała krowy na błędne drogi sprowadzać i szczuć wilki na owce. Słowem, dużo czyniła złego, a dobrze niewiele, toteż należało żyć z nią w zgodzie. Jeżeli zebrze o kozę, to trzeba ją dać i jeszcze naręcz wełny dołożyć, gdyż inaczej padnie koń, spłonie dom, zachorzeje krowa, umrze twoje dziecko, albo oszaleć może oszczędna i porządna gospodyni domu. Nie lubił jej nikt, wszyscy jednak witali ją z uśmiechem. Nie wiadomo, po co, złowieszcza, przybywała w dolinę, na kogo dybie. To pewna, że nie idzie jej wyłącznie o napełnienie sakwy dziadowskiej. Zło i różne znaki jawiły się wraz z nią, lisy i wilki wyły o zmierzchu, a szkaradne, czarne i żółtawe ślimaki, ociekające jadem, przyłaziły z lasu aż pod progi domostw.

Dumna była ze swej prastarej wiedzy tajemnej, mocarne runy wyrzeźbane miała na lasce, której za nic w świecie dać z ręki nie chciała, śpiewała czarodziejskie pieśni, warzyła czarodziejskie napoje, oddawała czarodziejskie strzały poprzez jezioro i wiązała węzły na burzę.

Jakżeby chciała znać myśli zrodzone w tym starym mózgu!

Cóż myślała o ludziach okolicznych? Dla niej, która wierzyła w Tora, pogromcę olbrzymów, i w potężne fińskie bożyszczka, chrześcijanie byli tym, czym są swojskie kun-

dle wobec wilków. Nieposkromiona jak zawierucha, mocna jak wodospad — nie znosi mieszkańców nizin.

A jednak przychodziła często z gór przyjrzeć się ich karlim obyczajom. Ludzie drżeli na widok baby, która chodziła pośród nich pewna i spokojna, pamiętna swej sławy i władzy. I jak kot ufa swym pazurom, tak ufała mądrości swej oraz mocy pieśni boskich, czarodziejskich. Jako król jakiś władła postrachem, niezwyknięta.

Zwędrowawszy wiele miejsc dotarła do Borgu i weszła bez wahania w bramę hrabskiego pałacu. Przez kuchnię wchodzić nierada, kroczyła ku tarasowi kwietnemu tak pewna, jakby szła połoniną górską.

Aż tu właśnie hrabina Märta wyszła zażyć prześlicznego dnia czerwcowego, a jednocześnie dziewczęta służebne niosły na drągu z wędzarni do spiżarni świeżo uwędzone szynki i polcie słoniny. Przystanęły, a jedna zagadnęła:

— Może jaśnie pani obejrzy szynki, czy dobrze uwędzone.

Hrabina, zarządzająca obecnie sama gospodarstwem na Borgu, pochyliła się przez balustradę, chce obejrzeć wędliny, a w tejsze chwili Finka położyła rękę na jednej szynce.

Przepyszna to była szynka, tłusta, pachnąca jałowcem, prawdziwie królewski kąsek! Czarownicy zachciało się tej szynki.

Nie poniżyła się do prośby i żebraniny. Wszakże z jej łaski rosły ziola i żyli ludzie, mogła sprowadzać mróz, burzę i powódź. Po cóż miała żebrać? Po prostu brała, co jej się zachciało, i koniec.

Ale hrabina Märta nie знаła potęgi czarownicy.

— Idź precz, żebraczko! — zawołała.

— Daj mi tę szynkę! — rzekła czarownica z Dovre, ujarzmicielka wilków.

— Oszalałaś chyba! — krzyknęła hrabina i kazała dziewczętom odnieść wędliny do spiżarni.

Starcze oczy rozbłysły gniewem i pożądaniem.

— Daj mi tę brunatną szynkę! — powtórzyła. — Albo źle z tobą będzie!

— Wolę dać srokom niż takiej jak ty! — odparła hrabina.

Czarownica zadrżała z gniewu. Podniosła kij z runami i wstrząsnęła nim groźnie, wymawiając niepojęte słowa. Włosy jej się zjeżyły, oczy sypaneły skrami, a twarz wykrzywił skurcz.

— Niech ciebie samą zjedzą sroki! — zawołała.

Potem odeszła mruczając klątwy i wymachując kijem. Obeszła dom; nie poszła już na południe. Córa dzikich ostępów dopełniła celu, dla którego zesła z gór.

Hrabina Märta została na tarasie śmiejąc się z szaleńczych ruchów wiedźmy, ale niedługo śmiech jej zamilkł. Gdyż oto ptaki nadleciały. Nie wierzyła oczom własnym. Nadleciały w istocie sroki, które ją miały zjeść.

Z parku i ogrodu sfrunęły tuzinami, wyciągając szpony i rozwierając dzioby, z wrzaskiem i piskotem. Przed oczyma hrabiny zamigotały czarno-białe pióra, stała oszołomiona w chmurze ptactwa, którego skrzydła lśniły metalicznie w słońcu. Coraz to więcej srok napływało z całej okolicy szumiąc lotkami złowrogo. Wydało się hrabinie, że czarno-białe skrzydła zakryły niebo. Potwory zataczając coraz to mniejsze kręgi mierzyły dziobami i pazurami w jej twarz, ręce. Uciekła do sieni, skryła się za drzwiami nieprzytomna, ogłuszona wrzaskiem i biciem skrzydeł.

Odcięta od słońca, lata i całej radości życia, siedziała odtąd za zamkniętymi drzwiami i spuszczonej storami, wśród rozpacz i strachu graniczącego z obłędem.

Samo to opowiadanie, chociaż prawdziwe i stwierdzone przez setki jeszcze starych ludzi wyda się szaleństwem, jakkolwiek wszyscy wiedzą o tej legendzie.

Ptaki obsiadły balustradę, tarasy i cały dach pałacu czekając na zjawienie się hrabiny. Pobudowały gniazda w parku i zostały tu na stałe, a nie sposób je było odpędzić. Strzelanie pogarszało jeszcze sprawę, gdyż za każdą srokę, która padła, nadlatywało dziesięć nowych. Czasem stado ruszało na żer, ale zostawała czujna straż, a ile razy hrabina pokazała się, uchyliła story lub spróbowała wyjść za próg, rzucała się na nią wrzeszcząca chmara i hrabina musiała uciekać do pokoju najodleglejszego.

Pędziła życie w sypialni za czerwoną salą i nieraz opowiadano mi, że gdy Borg był obłożony przez sroki, pokój ten wyglądał nad wyraz smutnie. Ciężkie portiery wisiały

u drzwi i okien, podłogę pokryto grubymi dywanami, ludzie chodzili cicho i mówili szeptem.

W sercu hrabiny zamieszkał błąd strach, włosy jej posiwiwały, twarz pokryły zmarszczki, w ciągu miesiąca stała się staruszką. Nie mogła się oprzeć tym czarom okrutnym. W nocy zrywała się z krzykiem ze snu, sądząc, że sroki ją napadają. Nie wpuszczała ludzi, pewna, że za każdym wchodzącym przyleci stado wrogów, siedziała tedy zazwyczaj samotna w dusznym pokoju, niema, zakrywając rękami oczy, kołysząc się w fotelu, chora, zrozpaczona, od czasu do czasu zrywając się z krzykiem i skargami.

Trudno o życie smutniejsze. Więc każdy litował się nad biedaczką.

Nie mam nic więcej do opowiadania o niej, a i to, com przytoczyła, dobre nie było. Mam niemal wyrzuty sumienia. Była dobroduszna i wesoła za młodu i dużom o niej słyszała, nie zamieszczonych tu co prawda, arcyucieszných historyjek.

Nie wiedziała jeno, że dusza wciąż łaknie. Zabawą i głupstwem żyć nie może. Jeśli zaś nie dostanie innego pożywienia, rozdziera jak dzikie zwierzę zrazu innych, a potem samą siebie.

I taki jest sens tej opowieści.

20. SOBÓTKI

Lato tego roku było upalne jak lato obecne, kiedy to piszę. Nastąpiła najwspanialsza z pór roku.

Właśnie w tym czasie smucił się i cierpiał zły Sintram w Forsie. Gniewał go długi, słoneczny dzień, bolał nad klęską ciemności, smuciło go wspaniałe listowie drzew i bujny kobierzec zaścielający ziemię.

Był dzień świętego Jana, jak teraz, kiedy to piszę. Wszystko skąpane było w piękności. Najbardziej szara i kamienista droga była obrzeżona kwiatami lata, fioletową wyką i żółtym podróżnikiem.

Gdy wspaniałość świętojańskiego dnia rozprzestrzeniła się po górach, a dźwięki dzwonów z Bro rozedrgane powietrze zanosilo aż do Forsu, gdy niewypowiedziany spokój świętecznego dnia panował nad całym krajem, Sintram zawrzał gniewem, że Bóg i ludzie śmiało zapominają o jego istnieniu. Postanowił także pójść do kościoła, pokazać się rozradowanym i przywieść na pamięć ciemną beznadziejną, dzień bez zmartwychwstania oraz zimę bez wiosny.

Włożył wilczą szubę i włochate futrzane rękawice, zaprzęgił do sanek gniadego konia, do uprzęży przypiął janczary. Tak wyposażony jakby przy trzydziestu stopniach mrozu, pojechał. Zgrzyt pod płozami sań przywodził mu na myśl mróz, a pianę na zadzie konia brał za szron. Nie było mu gorąco, gdyż tchnął chłodem, jak słońce żarem promieniuje.

Jechał rozległą równiną na północ od broeńskiego kościoła. Wielkie, jasne wsie leżały wokół i pola, nad którymi wysoko pod niebem śpiewały skowronki. Nigdzie nie słyszałam takich skowronków, dziwiło mnie też nieraz, jak mógł ogłuchnąć na ich śpiew.

Niejedno złościłoby go w drodze, gdyby patrzył. Przed chatami stały pochylone brzoźki, a ściany widne przez otwarte okna umajono zielenią.

Najlichsza żebraczka niosła gałązkę bzu, a chłopaki miały pęczki kwiecica u chustek.

Okryte kwiatami drzewa i krzewy wieńczyły osiedla, a trawa była zdeptana od wesołego tańca ku czci święta lata.

Na Lövenie tłoczyła się gromada flisaków. Białe żagle tratów mimo braku wiatru rozwinęli ku czci dnia tego, na każdym maszcie powiewa zielony wieniec.

Drogami ku Bro wiodącymi szli do kościoła odświętnie ubrani ludzie, zwłaszcza kobiety przystrojone były pięknie w jasne letnie suknie z samodziału.

Wszyscy cieszyli się pokojem świętecznym, ciepłem, nadzieją plonów, poziomkami, które zaczęły się rumienić przy drodze, mówili o pogodzie, śpiewie skowronków i powtarzali:

— Zaprawdę, widać jest to dzień Pański!

Wtem nadjechał Sintram. Kłął, machał biczem nad grzbietem ociekającego potem konia, piasek zgrzytał szkaradnie pod płozami sań, a ostry brzęk janczarów głuszył dzwony. Czoło Sintrama pod czapą futrzaną pokrywały zmarszczki gniewu.

Ludzie w kościele zdumieli się, jakby na widok wcielonego diabła. A więc nawet w święto i podczas lata nie podobna zapomnieć o zimie i złem. Ciężko, zaprawdę, żyć na ziemi! Ci, co czekali początku nabożeństwa w cieniu kościelnego muru i na cmentarzu, patrzyli w cichym zdumieniu, jak kroczył ku bramie. Przed chwilą rozradowani latem i rozkoszujący się życiem, doznali wrażenia, że nadchodzi tajemne jakieś nieszczęście.

Sintram wszedł do kościoła, siadł na swoim miejscu i cisnął na ławkę rękawice, tak że głośno zaszczękały wszyte w skórę wilcze pazury. Kilka kobiet zemdlało na widok kosmatej postaci i musiano je wynieść z kościoła.

Nikt nie śmiał wygnać Sintrama z domu bożego, chociaż przeszkadzał wiernym w nabożeństwie. Bano go się ogólnie.

Daremnie mówił stary proboszcz o jasnym święcie lata.

Nikt go nie słuchał, a wszyscy myśleli jeno o złem, o zimie i tajemniczym nieszczęściu, którego zwiastunem był niesamowity dziedzic Forsu.

Po nabożeństwie udał się Sintram na zbocze kościelnego wzgórza i zaczął wodzić oczyma po wybrzeżu brobijskim, trzech przylądkach zachodnich i dalej aż po jezioro Löven. Wszyscy widzieli, jak zaciśniętą pięścią grozi jezioru i zielonym wzgórzom. Potem zwrócił się na południe, śląc spojrzenie aż tam, gdzie zdawała się kończyć powierzchnia wody, a wreszcie na północ, ku Gurlicie i Björnidet. Obracał się wokoło, zwijał pięść i groził, a wszyscy czuli, że dźwizga w dłoni pioruny, które cisnąłby, gdyby jeno mógł, na spokojną okolicę, szerząc śmierć i rozpacz. Serce jego tak teraz przesiąkło złem, że radowało się jeno zagładą. Oszalały tą żądzą, srożył się nad wszystkimi, a ludzie nie znając przyczyn szerzyli najdziwniejsze wieści.

Opowiadano, że kiedy kościelny chciał zamknąć drzwi świątyni, klucz złamał się, gdyż w zamku tkwił twardy zwitek papieru. Zaniesiono go do dziekana. Zwitek okazał się listem skierowanym do istoty nie z tego świata.

Szeptano sobie, co było na tym papierze. Dziekan spalił go, ale kościelny widział błyszczące ogniście czerwone litery na czarnym tle i powiedział, że Sintram chciał zniweczyć całą okolicę widną z wieży brobijskiego kościoła, tak by las porósł na miejscu kościoła, a niedźwiedź i lis zamieszkały w ludzkich osiedlach. Pola miały leżeć odłogiem, a głosu koguta ni psa słyszeć już tu nie miano. W służbie złego ducha przyrzekał Sintram, iż tego dokona.

Zasepili się wszyscy myślą o przyszłości, wiedząc, jak potężne jest zło, jak nienawidzi ono tego, co żyje, jak bezlitośnie rade by zamienić w dzicz całą równinę, jak wzięwszy do pomocy zarazę, głód czy wojnę, zniszczyć chce każdego, kto miłuje owocną, pokojową pracę.

21. PANI MUZYKA

Od owego czasu gdy Gösta dopomógł hrabinie Elżbiecie do ucieczki, zapadł on w smutek wielki, a widząc to postanowili kawalerowie szukać pomocy u muzyki, gdyż potężna ta bogini niejednego już pocieszyć zdołała.

Polecili więc pewnego dnia lipcowego otworzyć drzwi wielkiej sali, zdjęć okiennice, wpuścić słońce zachodu i łagodne powietrze wieczoru. Zdjęto pasiaste pokrowce z mebli i tiulową osłonę z weneckiego świecznika, otwarto fortepian. Złoczone gryfy podtrzymujące marmurowe płyty stołów rozblęły światłem, białe boginki na czarnym tle ponad zwierciadłami zatańczyły ochoczo, a różnokształtne kwiaty adamaszku zakwitły w czerwieni zachodzącego słońca. Nacięto róż i wniesiono do sali. Ich zapach wypełnił cały pokój. Były wśród nich cudowne róże z obcych krajów sprowadzone do Ekeby. Miały barwy przedziwne, żółte, żyłkowane krwią niby ludzkie ciało, to znów śmietankowe o brzegach pierzastych lub ciemnopurpurowe z czarnymi cieniami. Zniesiono tu wszystkie róże Altringera, które sprowadzał ongiś z daleka na uradowanie kobiecych serc.

Potem nagromadzono dużo nut i pultów²⁶, instrumentów dętych i strunowych różnej wielkości, gdyż miała na Ekeby zapanować dobra pani Muzyka i pocieszyć Göstę.

Pani Muzyka wybrała *Symfonię Oksfordzką* starego papy Haydna, a kawalerowie jęli uczyć się jej. Mistrz Juliusz ujął batutę, każdy zaś grał na swym instrumencie. Grać umieli wszyscy, bo czyżby byli inaczej kawalerami?

²⁶pult (daw.) — pulpit. [przypis edytorski]

Gdy wszystko było gotowe, zawezwano Göstę. Wyczerpany jeszcze i zniechęcony, uradował się przecież widokiem wspaniałej sali i myślał, że posłyszy piękne dźwięki. Wiadomo, że muzyka to najlepsza towarzyszką dla tego, kto cierpi. Jest ochocza i radosna jak dziecko, ognista i powabna jak młoda dziewczyna, dobra i mądra jak stary człowiek, który spędził owocnie życie.

Kawalerowie zaczęli grać cicho niby powiew wiatru.

Mały Ruster, w okularach na nosie, z całą powagą czytał nuty i wyczarowywał łagodne tony z fletu, przebierając palcami po klapkach i otworach, wujaszek Eberhard siedział pochylony nad wiolonczelą, z przekrzywioną peruką i drżącymi od wzruszenia wargami, zaś Bergh stał dumnie z fagotem. Czasem dmuchnął węń z całej piersi, ale zaraz spadała mu na czaszkę batuta mistrza Juliusza.

Wszystko szło dobrze, nawet wyśmienicie. Sama pani Muzyka wyczarowana została z martwych nut, by rozpostarła płaszcz czarodziejski i wyprowadziła Göstę z powrotem w krainę radości.

Czyż to naprawdę Gösta siedział tak blady i ośpiał, i czyż go starzy towarzysze zabiwać musieli niby małe dziecko? Nieszczęśliwie powodziło się teraz radości w Värmlandii.

Wiem, dlaczego kochali go ci starzy ludzie. Znam smutek długich wieczorów zimowych ogarniający w samotnych osiedlach dusze ludzkie. Rozumiem dobrze ten nastrój.

Wyobraźmy sobie niedzielne popołudnie, kiedy to praca spoczywa, a myśl tępieje. Dmie z uporem wichur północny, dmie zimnem, którego wygnąć żaden ogień nie może. Siedzimy przy nikłej łojowej świeczce, którą ustawicznie przycinać trzeba. Z kuchni dolatuje jednostajny śpiew nabożny.

Nagle zabrzmiały janczary sanek, szybkie kroki skrzypią po śniegu, potem dudnią po schodach i do izby wchodzi Gösta Berling. Śmieje się i żartuje. Jest życiem i ciepłem. Otwiera fortepian i gra tak, że dziwujemy się starym strunom. Zna wszystkie pieśni, każdą melodię i uszczęśliwiać umie mieszkańców domu. Nigdy nie czuł zimna ni znużenia. Człowiek smutny zapomniał na jego widok trosk swoich. Miał dobre serce i litował się nad biednymi i słabymi. Toż to był wprost geniusz! Szkoda, że nie słyszeliście, jak o nim opowiadali starzy ludzie!

Nagle w najpiękniejszym miejscu wybuchnął płaczem. Życie wydało mu się smutne, przysłonił twarz rękami i zapłakał tak, aż przeraził kawalerów. Nie były to bowiem słodkie łzy, jakie wywabiać zwykła bogini muzyki, ale szloch rozpacz. Nie wiedząc, co czynić, złożyli instrumenty.

Dobra pani Muzyka, która miłuje Göstę Berlinga, ona nawet zaczyna tracić odwagę, przypomina sobie jednak, że ma jeszcze między kawalerami dzielnego bojownika.

Był nim łagodny Löwenborg, któremu utonęła narzeczona w mętnej, żółtej rzece, niewolnik Gösty, oddany mu bardziej nad innych. Przysunął się teraz płochliwie do fortepianu i musnął niepewną dłonią klawiszę.

Na pierwszym piętrze w skrzydle kawalerskim miał Löwenborg stół z namalowaną klawiaturą i pulpitem na nuty, przy których spędzał długie godziny codziennie, przebierając palcami po białych i czarnych klawiszach. Tam ćwiczył gamy i etiudy i grał Beethovena. Nie grywał nic prócz Beethovena. Pani Muzyka wsparła go swą łaską osobliwą i dane mu było odpisać wiele z trzydziestu dwóch sonet mistrza.

Nie ważył się jednak tykać nigdy instrumentu prawdziwego. Klawiatura pociągała go odstraszając jednocześnie, a hałaśliwy fortepian, na którym odbębnił już tyle polek, był mu świętością. Nigdy nie poważył się go dotknąć. Przedziwny to instrument o mnóstwie strun, zdolny tchnąć życie w dzieło kompozytora. Löwenborg przykładł doń ucho i słyszał zaraz scherzo i andante. Był to dlań ołtarz ku czci bogini, którego nie tykał nigdy przez szacunek. Nie spodziewał się dojść do sumy potrzebnej na kupno własnego fortepianu, a na instrumencie majorowej grać nie śmiał, nigdy go zresztą do tego nie zachęcała.

Słyszał brząkanie polek, walców i pieśni Bellmanowskich, ale sądził, iż to ubliża instrumentowi, który też wydawał głos jęklivy. Gdyby zagrano Beethovena, wtedy dopiero zagrzmiąłby potężnie.

Teraz przyszedł jednak czas na Beethovena i na niego, Löwenborga. Zebrał całą odwagę i usiadł podniecony chęcią pocieszenia swego pana i władcy akordami śpiącymi w instrumencie.

Zaczął niepewnie. Drżącymi palcami szukał tonów, marszczył brwi, próbował nie mogąc znaleźć drogi, w końcu zaś zakrył twarz dłońmi i zaczął gorzko płakać.

Okrutnie postąpiła z nim bogini muzyki. Świętość nie była świętością. Nie śniły tu, czekając zbudzenia, akordy i nie tał się orkan tonów. Zgasła doszczętnie harmonia przedczudna, godna bogów. Został jeno stary klekot i na tym koniec.

Ulitowała się jednak bogini i dała znak mądrymu pułkownikowi. Wziął ze sobą Rustera i przynieśli we dwu stół Löwenborga z rezydenckiego skrzydła.

— Patrz no, Löwenborg! — rzekł Beerencreutz, gdy wrócili. — Masz tu swój fortepian! Zagraj teraz coś dla Gösty.

I oto ustały łzy Löwenborga, siadł i zagrał Beethovena przygnębionemu druhowi. Na pewno się rozweseli.

W głowie starego biedaka zabrzmiały żywe akordy. Pewny był, że Gösta słyszy i podziwia jego grę. Znikły wszelkie trudności, pasaże i tryle szły teraz niezmiernie łatwo. Pragnął nawet, by sam mistrz go usłyszał.

Zaś w miarę gry coraz to większy ogarniał go zapał, a tony rozbrzmiewały coraz potężniej, nadziemsko. Grał zaś tak:

Czemużbym cię kochać nie miał, o bólu? Czyż dlatego, że usta twe zimne są, policzki blade, uścisk dławi i zamienia w kamień spojrzenie?

Ty jesteś bólu, jak dumna kobieta, trudna do pozyskania, ale dajesz rozkosz większą od miłości innych. Wyklęty jesteś, ja zaś przyciskam cię do łona i trzymać będę na sercu tak długo, aż ziąb uleci, a w duszy poczuję szczęście.

Cierpiałem bardzo od chwili straty ukochanej. Była we mnie i wokół mnie noc straszliwa. Modliłem się ciągle żarliwie, a Bóg mnie nie słuchał. Niebiosy były zamknięte. Z gwieźdnego nieba nie zszedł anioł-pocieszyciel.

Ale tęsknota moja rozdarła w końcu zasłonę, a tyś spłynęła ku mnie na promieniu księżycy. Ukochana moja, przybyłaś w jaśnieniu wielkim, uśmiechnięta, w otoczeniu aniołów, z wieńcami róż, cytrami i fletniami, tak że na twój widok uczułem się szczęśliwy.

Ale znikłaś rychło. I już nie było pomostu tęczowego ani miesięcznego, po którym bym mógł sięgnąć do ciebie. Leżałem na ziemi bez skrzydeł, związany i kurzem okryty. Skarga moja brzmiała jak ryk dzikiego zwierza i grzmoty nieba. Piorun ci chciałem posłać gońcem i kłamię zieloną ziemię, by ogień ją spalił, a zaraza wyniszczyła ludzkość całą. Przyzywałem śmierć i nicłość, sądząc, że męki piekła to raj wobec cierpień konania mego.

I wówczas to, o bólu, stałeś mi się przyjacielem. Czemużbym cię nie miał kochać jak ową trudną do pozyskania kobietę, która daje miłość potężniejszą niż inne?

Tak grał biedny mistyk, obłany blaskiem zapału, przepojony tonami, które dźwięczały mu w uszach. Pewny był, że Gösta je słyszy i że go pocieszą na pewno.

Gösta słuchał, zrazu rozgniewany tą nową komedią, potem jednak ukoił go widok tego człowieka, czarujący był ten starzec, gdy tak rozkoszował się Beethovenem.

I Gösta pomyślał, że i ten człowiek, teraz tak łagodny i beztroski, tonął kiedyś w rozpacz, że i on stracił ukochaną. A teraz przy swej drewnianej klawiaturze promieniał szczęściem. Czyż więc miało z tego wynikać, że niczego więcej nie trzeba człowiekowi do zupełnej szczęśliwości?

Gösta doznał upokorzenia i rzekł sobie:

Czyż nie stać cię na cierpienie? Wszakże ubóstwo całego życia zahartowało cię, wszakże każde drzewo i każda gruda ziemi uczyły cię rezygnacji, wszakże wychowałeś się w kraju o ostrej zimie, a skąpym, upalnym lecie! Czyż zapomniałeś już sztuki wytrwania?

Tak, Gösto — mężczyzna winien przyjmować odważnie i z uśmiechem wszystko, co mu przyniesie życie, inaczej nie jest mężczyzną. Straciłeś ukochaną, cierp tedy i znoś wyrzuty sumienia, ale na zewnątrz bądź prawdziwym Värmlandczykiem. Niech oczy twe błyszczą radością, a słowa sprawiają przyjemność przyjaciółom.

Twarde jest życie i okrutną przyroda i nikt by ich nie zniósł, gdyby dla przeciwwagi nie było radości i mięstwa.

Męstwo i radość to obowiązki życia. Nie zaniedbywałeś ich dotąd, czyn więc to samo dalej.

Czyż gorszy jesteś od Löwenborga siedzącego tam nad malowaną klawiaturą, przy rzekomym fortepianie, czyś gorszy od tych wszystkich beztroskich starców-młodzieńców? Wiesz przecież, że cierpienie nie oszczędziło z nich żadnego.

Spojrzał po towarzyszach zasłuchanych z powagą w muzykę niedosłyszalną. Cóż za widowisko.

Nagle śmiech wesoly zbudził Löwenborga z marzeń. Podniósł ręce od klawiszów i nastawił uszu. Tak, to był śmiech Gösty, śmiech dawny, dobry, zaraźliwy, najpiękniejsza muzyka, jaką stary Löwenborg słyszał w życiu.

— Wiedziałem — zawołał — że Beethoven pomoże! Już ozdrowiałeś, widzę.

I stało się, że dobra pani Muzyka wyleczyła z melancholii Göstę Berlinga.

22. PROBOSZCZ Z BROBY

Wszechpotężny Erosie, wiesz dobrze, że czasem wydaje się niejednemu z ludzi, iż zrzucił całkiem jarzmo twoje. Wymierają w jego sercu wszelkie tkliwe uczucia jednoczące ludzi. Szaleństwo wyciąga pazury ku nieszczęśnikowi. Ale niebawem jawisz się wszechpotężny opiekunie życia, zeszkłe serce rozwija liście i niesie owoce niby różdżka Aaronowa...

Nie było większego skąpca nad proboszcza z Broby i nikogo bardziej nie dzieliła od ludzi nikczemność i brak miłosierdzia. Zimą nie palił w piecach, siadywał na nie malowanej ławce, odziewał się w lachmany, żył suchym chlebem, a na widok żebraka wpadał we wściekłość. Głodził konia sprzedając siano, krowy zaś jadały suchą trawę przydrożną i ogryzały mech ze ścian domu. Aż na gościńcu słychać było żalosne beczenie głodnych owiec. Chłopi rzucali mu jadło wzgardzone przez psy i odzież nie przyjętą przez nędzarzy.

Ręka jego wyciągała się po jałmużnę, a grzbiet chylił w podzięce. Żebrał u bogatych, a biednym pożyczał na procenty. Ujrawszy pieniądź bity drżał z niecierpliwości, dopóki go nie miał w kieszeni. A biada temu, kto by nie zapłacił w dniu zapadłości!

Ożenił się późno i lepiej by mu było nie czynić tego wcale. Żona zmarła ze smutku i wyczerpania, córka poszła na służbę do obcych. Starzał się, ale wiek nie przynosił mu spokoju, przeciwnie, obłęd skąpstwa nie opuszczał go ani na chwilę.

Pewnego pięknego dnia sierpniowego wjechała na wzgórze brobijskie ciężka, zaprzężona w czwórkę karetą, wioząca wykwinłą starą pannę, która przybyła ze stangretem, lokajem i garderobianą. Przybyła ona w odwiedziny do proboszcza, którego za młodu kochała.

Był nauczycielem w domu jej ojca i pokochali się, ale dumna rodzina rozdzieliła ich. Panna postanowiła przed śmiercią zobaczyć umiłowanego, i to było wszystko, czego spodziewała się jeszcze od życia.

Mała wykwinna dama siedziała w dużym powozie zatopiona w marzeniach. Nie jechała do nędznej plebanii na brobijskim wzgórzu, ale do cienistej altanki w parku, gdzie na nią czekał ukochany. Widziała go młodym, kiedy to umiał całować i kochać. Wie, że go wkrótce zobaczy, ale postać jego rysuje się przed nią jasno jak nigdy. Jest piękny, rozmarzony, płomienny, przepaja całą jej istotę ogniem zapału.

Ona zaś pobladła, zżółkła, zwiędła i zestarzała się. Może nie pozna sześćdziesięcioletniej staruszki, myślała. Nie przybyła jednak po to, by się pokazywać, ale po to, by zobaczyć umiłowanego swej młodości w całej jego dawnej, nie tkniętej przez czas krasie i pełni życia.

Przybyła z daleka, gdzie nic nie słyszano o proboszczu z Broby. Karetą wjechała na wzgórek i plebania ukazała się oczom jadącej.

— Przez miłosierdzie boskie! — zawołał stojący na skraju drogi żebrak. — Wspomóż pani biedaka!

Wykwinna dama dała mu srebrną monetę i spytała o plebanię mającą tu gdzieś być w pobliżu.

Żebrak objął ją chytrym, byстрыm spojrzeniem i powiedział:

— Plebania stoi tam, na wzgórzu, ale proboszcza nie ma w domu i w ogóle nie ma tam nikogo.

Wykwintna dama zbladła na te słowa, jakby miała zemdleć! Znikła cienista altanka, znikł ukochany. Jakże mogła mniemać, że znajdzie go tam po czterdziestoletnim oczekiwaniu.

— Co też sprowadza wielmożną panią na plebanię? — spytał żebrak.

Odparła, że przybyła w odwiedziny do proboszcza, którego dawniej znała.

Dzieliło ich czterdzieści lat i czterdzieści mil. Za każdą milą zrzuciła z ramion jeden rok trosk i wspomnień, tak że teraz, dotarwszy pod plebanię, stała się na nowo dwudziestoletnią dziewczyną bez trosk i wspomnień.

Żebrak patrzył, a w jego oczach dama przemieniała się z dwudziestolatki w staruszkę i z powrotem w młodą dziewczynę.

— Proboszcz wróci po południu! — powiedział. — Wielmożna pani uczyni najlepiej, jeśli zajędzie do brobijskiej gospody i wróci po południu. Ręczę, że proboszcz będzie w tym czasie w domu.

W chwilę potem kareta z wykwintną damą stoczyła się na dół, ku gospodzie, a żebrak patrzył za nią drżąc na całym ciele. Pragnął całować ślady kół padłszy na kolana.

Wyświeżony, ogolony, w trzewikach z lśniącymi sprzączkami, w jedwabnych pończochach, w żabocie i świeżych manszetach, stanął w południe tegoż dnia proboszcz przed dziekanową w Bro i powiedział:

— Jest to wykwintna dama, hrabianka, jakże ją tedy mogę, ja, biedak przyjąć u siebie? Podłogi u mnie są czarne, salon bez mebli, w jadalni strop zielony od pleśni i wilgoci. Proszę bardzo, niechże mi pani dopomoże! Wszak jest to wytworna dama, hrabska córka!!

— Czyż nie możesz pan kazać powiedzieć, żeś wyjechał?

— Droga pani dziekanowo! — odparł. — Wszak czterdzieści mil przebyła, by zobaczyć, mnie, biedaka. Nie wie, jak moje sprawy stoją. Nie mam dla niej łóżka, nie mam gdzie przemocować jej służby!

— Niech więc nie nocuje.

— Droga pani dziekanowo! — rzekł. — Nie rozumie mnie pani, widzę. Wolę dać raczej wszystko, co oszczędziłem w ciągu życia, niż odmówić jej przytulku pod moim dachem. Miała lat dwadzieścia, gdyśmy się rozstali, a od tego czasu minęło czterdzieści lat, raczże pani wziąć to w rachubę. Oto pieniądze, jeśli mogą się przydać, zdaje mi się, że same pieniądze nie wystarczą!

Erosie, kochają cię kobiety i chętniej uczynią dla ciebie sto kroków niżli jeden dla innych bogów.

Pokoje, kuchnia i spiżarnia dziekanówki opustoszały, zaprzężono do wszystkich wozów i ruszono na plebanię brobijską. Dziekan będzie mógł sobie po powrocie z nauki konfirmacyjnej chodzić po całym domu i zazierać do kuchni nie znajdując niczego. Nie ma żony, służby ni obiadu. Cóż na to poradzić? Tak chciał Eros wszechwładny!

Po południu przytoczyła się na wzgórze kareta. Siedziała w niej stara panna dumając, czy się znowu jakie nieszczęście nie zdarzy i czy spotka ukochanego.

Pojazd skręcił w bramę, ale utknął w niej, gdyż była za wąska. Stangret strzelił z bata, konie ciągnęły, lokaj kłął, lecz jedno koło zawadziło o słup, a hrabianka nie mogła wjechać na plebanię, do ukochanego.

Po chwili wyszedł, wziął ją na silne jak dawniej ręce i przygarnął do serca tak gorąco jak przed czterdziestu laty. Ona zaś spoglądała w oczy jego tak samo błyszczące jak wówczas, gdy miał dwadzieścia pięć lat.

Ogarnęła ją fala uczucia, gorąca jak nigdy przedtem. Wspomniała, że pewnego dnia wniósł ją tak na taras pałacowy. Żyła przez lat czterdzieści miłością, zapomniała jednak, jak to błogo spocząć w silnych ramionach i patrzeć w młode, błyszczące oczy.

Nie widziała, że jest stary, patrzała jeno w jego oczy.

Nie dostrzegła czarnej podłogi, zielonych od wilgoci stropów, widziała tylko te oczy. Proboszcz brobijski był w tej chwili przystojnym, pięknym mężczyzną. Stawał się pięknym, gdy tylko na nią spozrywał. Słuchała jego czystego, silnego głosu będącego pieśczętą dla jej uszu. Tak mówił tylko do niej. Niepotrzebne były meble z dziekanówki, jadło i służba. Nie dostrzegłaby pewnie nic i nie czuła żadnego braku, byle słuchać tego głosu i patrzeć w te oczy.

Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa.

Kłaniał się jej wytwornie i dumnie, jakby była królową, on zaś jej ulubieńcem, przemawiał do niej ceremonialnie, starym obyczajem, ona zaś uśmiechała się tylko i była szczęśliwa.

Pod wieczór podał jej ramię i wywiódł do zaniedbanego ogrodu. Nie widziała nic brzydkiego, opuszczonego, nie dostrzegła pokracznych, koślawych krzewów, ale widziała wszędzie cięte szpalery, szmaragdowe trawniki, cieniste aleje, wnęki z białymi posągami, młodość, wierność, nadzieję i miłość...

Wiedziała, że był żonaty, ale nie myślała o tym, bo i po cóż? Liczyła wszakże lat dwadzieścia, a on dwadzieścia pięć i kipiał młodością i siłą. Czyż ten uśmiechnięty młodzieniec mógł być skąpym proboszczem z Broby? Czasem szepnęło mu coś w ucho, jakby smutne przeczucie losu. Ale nie pamiętał w tej chwili o skargach biedaków, przekleństwach oszukanych, drwinach, pogardzie, piosenkach szyderczych i urągowskich, gdyż serce jego płonęło niewinną miłością. Dumny młodzieniec nigdy nie pokocha złota tak, by je z najpodlejszego brudu podnosić, by zebrać o nie u przechodniów, by się dlań kalać, znosić upokorzenia, cierpieć zimno, głód i hańbę. To wszystko jeszcze dlań nie istnieje. Nie będzie dręczył dziecka swego i żony dla nędznego złota. To niemożliwe. Musiał być człowiekiem dobrym jak inni, nie mógł być potworem.

Czyżby ukochana młodości jego chciała kroczyć obok nikczemnika niegodnego piastowanego urzędu? Nie, zaiste! Wszechwładny Erosie, człowiek ten ni tego wieczoru, ni dni następnych nie mógł być proboszczem z Broby.

Odjechała czwartego dnia poszerzoną bramą, karetą stoczyła się z brobijskiego wzgórza ciągniona przez wypoczęte konie.

Cóż za sen! Co za rozkoszny sen! Przez trzy dni nie było ni jednej chmurki na niebie.

Wróciła uśmiechnięta do swego pałacu i marzeń. W życiu nie usłyszała już jego nazwiska i nie pytała oń. Pragnęła tylko do końca życia snuć to jedno marzenie.

A proboszcz z Broby siedział w pustym domu i płakał rozpaczliwie. Odmłodziła go. Czyż miał się z powrotem zestarzeć? Czyż miał wrócić doń zły duch i uczynić na nowo nikczemnikiem, człowiekiem godnym wzdargy, jakim był tak długo?

23. O MISTRZU JULIUSZU

Mistrz Juliusz zniósł z rezydenckiego piętra na dół swą czerwoną malowaną skrzynię. Następnie zielony antałek towarzyszący mu w wędrówkach i napełnił go wonną wódką pomarańczową. W pięknie rzeźbione duże pudło na jałdo nałożył chleba, masła i odleżałego sera o pięknym, zielonobrunatnym deseniu oraz wonnych szynek.

Dokonawszy tego jał mistrz Juliusz chodzić po całym Ekeby i zegnać się ze wszystkimi, poplakując. Po raz ostatni pogładził gładko toczone kule kręgielniane i dzieci mieszkające na wzgórzu. Chodził do altanki w parku i do grot, zaszedł do stajen i stodół, głaskał konie, potrzasał za rogi złego byka i nadstawiał cielętom dłonie do lizania. W końcu wrócił zapłakany do budynku głównego, gdzie czekało pożegnalne śniadanie.

O, jakże okrutne jest życie i któż je znieść zdoła? Potrawy zawierały dnia tego truciznę, a wino żółć. Gardła rezydentów i odjeżdżającego ścisnęło wzruszenie, a mgła łez przysłaniała oczy. Mowę pożegnalną przerywało łkanie. O, jakże okrutne jest życie! Odtąd mistrz Juliusz żyć będzie jeno tęsknotą, a usta jego nie złożą się do uśmiechu. Pieśni zamrą w jego pamięci jak kwiaty jesienią. Zblednie, zwiędnie i opadnie niby zerwana róża czy lilia. Nigdy już nie ujrzą biedni rezydenci mistrza Juliusza. Przez duszę jego ciągnęły smutne przeczucia niby smagane burzą chmury ponad zoraną świeżo ziemią. Miał wracać do domu, by tam umrzeć.

Stał w pełni sił i zdrowia przed towarzyszami, którzy już nigdy ujrzeć go nie mieli. Nie będą już pytać żartobliwie, kiedy po raz ostatni oglądał swe kolana, ani też proponować, by im pożyczył swych policzków do gry w kręgle. Ale w płucach i wątrobie już się choroba zagnieździła. Gryzła, zżerała, od dawna czuł, że dni jego życia są policzone.

Niechże tedy rezydenci ekebijscy zachowają w pamięci zmarłego i nie zapomną go nigdy.

Teraz wzywał obowiązek. W domu czekała matka. Od siedemnastu lat czekała jego powrotu z Ekeby, aż napisała prosząc żarliwie, by wracał, a on chciał usłuchać. Wiedział, że będzie to dlań śmiercią, ale jako dobry syn postanowił dopełnić obowiązku.

Jakaż szkoda boskich uczt! Jakaż szkoda łąk i wodospadu! I tych bajek wesolków. I całego hultajstwa rezydentów? A skrzypki i waltornia? I żywot błogi w szczęsnej wesolości! Rozłąka z tym wszystkim równała się śmierci.

Mistrz Juliusz wyszedł do kuchni i pożegnał wszystkich domowników. Ogarnięty wzruszeniem, ucałował każdego z osobna, od klucznicy do komornicy, a dziewczęta służebne płakały nad smutnym losem wesolego, dobrego człowieka, który miał umrzeć.

Mistrz Juliusz polecił wytoczyć z wozowni swój wózek i konia wyprowadzić ze stajni.

Wydawał te zlecenia zdławionym głosem. Więc stara kolaska nie zbutwieje w wozowni, a stara Kajsa nie skończy u ekebijskiego żłobu ze starości? Mimo woli miał za złe matce uważając, że jeśli już nie myśli o tym, co dobre dla syna, to powinna mieć wzgląd na starą bryczkę i kobyłę. Jakże zdołają odbyć drogę tak daleką?

Najgorsze było rozstanie z kawalerami. Mały, kragły hulaka, któremu łatwiej przyszłoby toczyć się niż chodzić, przepojony był tragizmem po koniuszki palców. Wspomnił wielkiego Ateńczyka spełniającego w gronie uczniów kielich trucizny. Wspomnił starego króla Gustawa, który przepowiadał, że lud szwedzki zapraśnie go kiedyś do grobu.

W końcu zaśpiewał im najpiękniejszą pieśń swoją myśląc o łabędziu, co śpiewa przed skonem. Chciał, aby go tak zapamiętali — jako ducha królewskiego, co nie zniża się do skargi, ale odpływa na fali tonów.

Odśpiewano pieśń ostatnią, wypito ostatnią szklankę i zamieniono uścisk ostatni. Mistrz wdział płaszcz i ujął bat. Wszyscy mieli łzy w oczach, ale odjeżdżający wprost nie widział nic poprzez mgłę bólu. W tej chwili towarzysze unieśli go na swych ramionach, wydając gromkie okrzyki. Usadowili go jakoś, bicz trzasnął i pojazd ruszył z miejsca. Mistrz Juliusz odjechał, a w chwili gdy odzyskał zdolność widzenia, znalazł się na gościńcu.

Kawalerowie płakali wprawdzie, ogarnięci smętkiem, ale nie mogło to poskromić ich skłonności do figłów. Nie wiadomo za czyją sprawą, Gösty-poety, Beerencroutza-karciarza, starego wojownika czy znużonego życiem Kristofera, dość że stało się tak, iż ani zbutwiała bryczka, ani stara Kajsa nie opuściły wcale Ekeby. Zaprzężono bowiem srokatego wołu do fury siana, wstawiono na wóz czerwony kufer, zieloną beczułkę i rzeźbioną skrzynię z żywnością, potem zaś posadzono ośleplego łzami mistrza nie na wóz, ale oklep na wołu.

Człowiek jest widać stworzeniem zbyt słabym, by stawić czoło całej goryczy bólu. Kawalerowie oplakiwali bezsprzecznie odjeżdżającego przyjaciela, który miał zemrzeć jak więdnąca lilia czy łabędź śpiewający. Ale było im to ulgą w strapieniu, że siedział na srokatym wole, gdy jego zwalistym ciałem wstrząsały spazmy rozczulenia, ręce wzniosły się i opadały rozpacznie, a oczy szukały w niebie sprawiedliwości.

Oszolomiony mistrz Juliusz odzyskał przytomność dopiero na gościńcu i spostrzegł, że siedzi na chwiejnym grzbiecie jakiegoś zwierzęcia. Wówczas, jak powiadają, zaczął rozmyślać nad wszystkim, co zaszło w ciągu ostatnich lat siedemnastu. Pocziwa Kajsa zmieniła się nie do poznania. Czyż tak na nią podziałać mogło obfite jadlo z łąk ekebejskich? Potem zaś zawołał, nie wiadomo, do kamieni na drodze czy ptaków w krzakach:

— Niech mnie diabeł wsadzi na rożen, ale przysiągłbym, że ci, kobyło, wyrosły rogi!

Po chwili dumania zsunął się ostrożnie z grzbietu mniemanej Kajsy, siadł na skrzyni i jechał dalej, zamyślony głęboko.

Niedługo, w pobliżu Broby usłyszał śpiew:

Raz, dwa, trzy,
Idą strzelcy — ziemia drży,
To värmlandzkie idą lwy,
Raz, dwa,
Raz, dwa,
Trzy!

Ale nie byli to strzelcy, jeno wesole panienki z Bergi i piękne córki sędziego z Munkerudu. Niosły torebki z jadem na końcach lasek, trzymając je jak karabiny, i szły śpiewając miarowo:

Raz, dwa, trzy,
Idą strzelcy — ziemia drży,
To värmlandzkie idą lwy,
Raz, dwa,
Raz, dwa,
Trzy!

— Dokądże to Bóg prowadzi, mistrzu Juliuszu? — spytały spotkawszy go, nie zważając na chmurę troski przysłaniającą mu czoło.

— Odchodzę z przybytku grzechu i próżności! — odparł. — Nie chcę dłużej żyć pośród nierobów i urwipolców! Wracam do matki mojej!

— Ej, to nieprawda! — zawołały. — Mistrz Juliusz nie może opuścić Ekeby.

— Opuszczam je! — krzyknął uderzając pięścią w skrzynię. — Jako Lot z Sodomy i Gomory, uciekam z Ekeby. Nie ma tam teraz ni jednego sprawiedliwego. Radował się będąc sprawiedliwym sądem bożym, gdy ziemia rozewrze paszczę swoją, a niebo ześle deszcz siarki i ognia! Bywajcie zdrowe, dziewczątka, i strzeżcie się Ekeby!

Chciał jechać dalej, ale dziewczęta nie zezwoliły. Miały zamiar wyjść na szczyt góry Dunderklätten, ale droga była daleka, toteż wołały podjechać wozem Juliusza. Szczęśliwy, kto umie się radować słońcem i i nie potrzebuje tykwy, by ocienić nią głowę. W ciągu dwu minut dziewczęta postawiły na swoim, mistrz Juliusz zawrócił i pojechał w stronę góry. Siedział uśmiechnięty na skrzyni, a wóz pełen był dziewcząt. Jechali z wolną drogą obrzeżoną kępami wyki, rumianków i dzikich goździków. Wół musiał często odpoczywać, dziewczęta zsiadały, by zrywać kwiatki, i wkrótce wieńce przystroiły kapelusze Juliusza i rogi wołu.

Trochę dalej natrafili na zagajnik młodych brzóz i ciemnych olch. Dziewczęta nalały gałęzi, a wóz został ustrojony tak, że wyglądał niby ruchomy las. Przez cały dzień baraszkowano wesoło.

W miarę upływających godzin stawał się mistrz Juliusz coraz to łagodniejszy. Zaczął częstować dziewczęta swymi zapasami i śpiewać. Wreszcie stanęli na szczycie góry, a Juliuszowi zabiło potężne serce i łzy napłynęły do oczu. W natchnionych słowach jął wysławiać ukochany kraj swój.

— O Värmlandio, kraju przepiękny! Często patrząc na mapę rozmyślałem, czym jesteś właściwie. Teraz rozumiem. Jesteś starym, pobożnym pustelnikiem, który siedzi i duma skrzyżowawszy nogi i nasunawszy spiczastą czapkę na pół przymknięte oczy. Jesteś marzycielem, świętym, jakże pięknym. Rozległe lasy są ci płaszczem, który obrzeża długą wstęgą błękitnej wody i równiutkie rzędy błękitnych wzgórz płaszcz ten obrzeżają, a fale jeziora Väner oplukują twe stopy. Po lewicy masz złoża kruszcu i kopalnie, które tętnią niby serce twoje, a na północy samotna, tajemnicza roztocz łąk to twa zadumana głowa.

Ze łzami patrzę na cię, poważny olbrzymie, piękny w swych surowych kształtach, skupiony, ubogi, pełen wyrzeczenia, a mimo surowości łagodny. Uwielbiam cię i hołd ci składam: gdy tyłko okiem rzucę na twe lasy lub dotknę skrawka twej szaty lesistej, zdrowieje ma dusza. Patrzyłem nieustannie w oblicze twoje rozważając tajemnice, jakie kryje. Czyż się odgadł zagadkę bytu, czy dumasz nad nią, olbrzymie? Dla mnie jesteś wyrazicielem wielkich myśli, widzę atoli, że inni pełzają dokoła ciebie, zdając się nie rozumieć powagi twego czoła. Dostrzegają oni jeno piękno członków twoich i to im przesłania wszystko.

Biada mi, biada nam, dzieciom Värmlandii, które piękna jeno domagają się od życia! Miast rezygnacji, powagi i ubóstwa, w pożądaniu wyciągamy ręce błagając o piękno jako dobro jedyne. Radzi byśmy mieć życie jako różany krzew, na którym błyszczą wino, miłość i uciecha, dostępne wszystkim, chociaż ziemia nasza inne ma oblicze, surowe, poważne, pełne śladów wyrzeczeń. Kraj nasz jest symbolem wiecznego dociekania, nam atoli brak zastanowienia.

O piękna, urocza Värmlandio!

Mówił tak ze łzami w oczach, a głos mu drżał. Dziewczęta słuchały zdumione i wzruszone nieco. Niewiele rozumiały z głębi ukrytej pod powłoką żartu i śmiechu.

Wieczorem wsiedli wszyscy na wóz i odjechali, a dziewczęta nie spostrzegły, dokąd je wiezie mistrz Juliusz, aż stanęły w Ekeby.

— Wstąpmy potańczyć trochę! — rzekł do dziewcząt, zatrzymując wołu przed bramą.

Cóż powiedzieli kawalerowie ujrawszy towarzysza w zwiędłym wieńcu na kapeluszu i z pełnym dziewcząt wozem.

— Powinniśmy się byli domyślić — że musiał gdzieś jeździć z dziewczętami. Inaczej od kilku już godzin byłby z powrotem!

Wspomnieli teraz, że mistrz Juliusz żegnał się dziś z Ekeby już po raz siedemnasty, czyli czynił to każdego roku. Ale mistrz Juliusz nie pamiętał w tej chwili ani poprzednich usiłowań, ani też ostatniego. Sumienie jego zasnęło znowu na cały rok!

Był zacnym człowiekiem ten mistrz Juliusz. Tańczył zgrabnie, grał żwawo, władał smyczkiem i piórem, serce miał wrażliwe i piękne słowa oraz pieśń na ustach. Jakież byłby z niego mąż, gdyby nie miał sumienia, które budziło się tylko raz do roku, wzorem owych jednodniówek, które wychodząc z ciemności rozwijają skrzydła, by przez parę godzin potańczyć w świetle dnia, w jasnych promieniach słońca!

24. O GLINIANYCH ŚWIĘTYCH

Kościół svartsjöński jest biały w środku i na zewnątrz, białe ma ściany, kazalnicę, ławki, pulpity, strop, okna i obrus ołtarza, wszystko jest tam białe. Nie ma ozdób, obrazów ni tarcz herbowych. Ponad ołtarzem widnieje drewniany krzyż przewiązany białą szarfą.

Dawniej było inaczej. Strop pokrywały obrazy, a mnóstwo barwnych figur z kamienia i gliny mieścił dom boży.

Przed wielu laty, pewnego dnia letniego, znalazł się w Svartsjö malarz i stał zapatrzoną w płynące po niebie chmury. Widział, jak się wznoszą z kraju widnokregu coraz wyżej, tworząc olbrzymie kształty. Wzdymały żagle niby okręty, podnosiły sztandary, jak wojownicy idący na zdobycie nieba. Przed słońcem atoli, władcą świata, udawały chmury zgoła niewinne istoty. I tak lew krwiożerczy przybierał postać damy w pudrowanej peruce. Olbrzym mocarny, który zadławiłby każdego w uścisku swych ramion, stawał się zadumany sfinksem. Niektóre postacie kryły swą nagość w płaszczce złotem szyte, inne barwiły rumieńcem białe policzki. Tworzyły się równiny, wyrastały lasy i zamczyńska o wysokich wieżach. W końcu białe chmury zagarnęły całe szafirowe sklepienia i zakryły słońce.

Jakżeby to było pięknie, pomyślał nabożny artysta, gdyby stęsknione duchy mogły z gór wysokich wstąpić na te chmury i popłynąć nimi niby okrętami wzwyż.

I nagle uświadomił sobie, że te białe chmury letnie są to rzeczywiście statki błogosławionych.

Ujrzał ich na wielkich płynących masach mgły, z liliami w rękach, w koronach złotystych, a powietrze drżało ich śpiewem. Aniołowie zlatywali z góry na powitanie. Mnóstwo było tych świętych, a w miarę rozpościerania się chmur przybywali coraz to nowi. Spoczywali na bieli puchu jak lilie wodne na toni spokojnego jeziora, zdobiąc obłoki, jak lilie zdobią pola. Cóż za radosna to była podróż w niebiosy! Wznosiły się chmury, a każda mieściła hufce niebiańskie w srebrnych zbrojach, każda wiozła śpiewaków nieśmiertelności w szytych złotem płaszczach.

Artysta ten malował później strop svartsjöńskiego kościoła. Chciał na nim oddać owe płynące chmury z błogosławionymi duchami. Rękę miał silną, ale sztywną nieco, tak że chmury przypominały raczej loki wełnistej peruki niż twory z mgły, a święci przybrali postać zgoła ludzką i materialną. Mieli purpurowe płaszczce, wysokie infuły biskupie, długie czarne kaftany ze sztywnymi kapłańskimi kołnierkami, wielkie głowy przy drobnych postaciach, byli wyposażeni w chustki i książki do nabożeństwa. Z ust powiewały im wstęgi z łacińskimi napisami, zaś najwybitniejszych usadowił artysta na mocnych drewnianych fotelach, by wygodniej odbyli zaświatową podróż.

Wszyscy wiedzieli, że duchy błogosławionych nie objawiły się nigdy artyście i dlatego nie zdołał on ich przedstawić w naziemskiej piękności. Ale obrazy podobały się ogólnie i wprawiały nieraz pobożnych w nastrój modlitewny, toteż zasługiwały na to, by i nasze oczy je oglądały.

Za czasu panowania kawalerów kazał hrabia Dohna pomalować kościół na biało. Toteż obrazy niszczały, a także usunięto posągi glinianych świętych.

Biedni ci święci z gliny!

Żadna ziemska troska nie była mi tak dotkliwa jak ich strata, a nigdy większym bólem nie przepełniło mnie okrucieństwo na żywych ludziach dokonane.

Wyobraźcie sobie! Był tam święty Olaf²⁷ z koroną na hełmie, z toporem w ręku, a u nóg jego leżał pokonany olbrzym. Na kazalnicy stała Judyta w czerwonym gorsecie i błękitnej spódnicy, z mieczem w jednej, a klepsydrą, miast głowy asyryjskiego woźdza, w drugiej dłoni. Była tam również tajemnicza królowa Saba w błękitnym gorsecie i czerwonej spódnicy, z jedną nogą w kształcie gęsiej stopy i *Sybilińskimi Księgami* w ramię, w chórze, na ławce, święty Jerzy bez konia i smoka, które niszczały. Był tam również święty Krzysztof z łaską okrytą liśćmi i święty Eryk²⁸ z berłem i maczugą, ubrany w długi, sięgający stóp płaszcz, przetykany złotymi kwiatami.

Nieraz siedziałam tam w niedzielę, smuciłam się zatrąą obrazów i posągów i tęskniłam za nimi. Nie przeszkadzałyby mi wcale, gdyby im brakło nosa czy nogi lub gdyby starło się złocenie. Blask legendy opromieniałyby ich zawsze w moich oczach.

Często trzeba było świętym dorabiać to berło, to ucho, to nos i odświeżać szaty. Sprzykrzyło się to w końcu gminie, która pozbyłaby się chętnie świętych. Ale poczciwi chłopcy nie uczyniliby im krzywdy, gdyby nie hrabia Dohna, który wszystkich kazał wyrzucić z kościoła.

Nienawidziłam go całą pasją dziecka, jak biedny rybak nienawidzi nicponia psującego mu sieć czy łódkę, jak żebrak klnie skąpą gospodynię odmawiającą mu kawałek chleba. Głód mi dokuczał i pragnienie przez czas nabożeństwa. Ten hrabia zabrał mi chleb ducha. Jakżeż tęskniłam do wieczności i nieba, a on zniszczył mi łódź i sieć, w którą pochwycić chciałam wizje święte.

Dorośli nie znają prawdziwej nienawiści. Czyż mogłabym dziś nienawidzić tak nędzną istotę jak hrabia Dohna, szalony Sintram czy przeżyta, światowa niegdyś dama, hrabina Märta? Ale za lat dziecięcych!... Wielkie to dla nich szczęście, że wówczas dawno już leżeli w grobie.

Proboszcz stał, być może, właśnie na kazalnicy i mówił o pokoju i zgodzie, ale słowa jego nie dochodziły do mego miejsca w kościele. Gdybym miała glinianych świętych, to co innego — zrozumiałabym niezawodnie ich naukę.

Siedząc rozmyślałam nieraz nad historią ich zatury.

Kiedy hrabia Dohna unieważnił swe małżeństwo miast szukać żony i wprowadzić ją w dom, oburzyło to wszystkich, gdyż wiadano, że uciekła przed prześladowaniem, by nie zostać na śmierć zadreżoną. Hrabia chciał odzyskać łaskę Boga i szacunek ludzi jakimś dobrym czynem, kazał tedy odnowić kościół. Pomalowano go na biało i zniszczono obrazy, on zaś sam wraz z robotnikami zniósł posągi świętych do łodzi i zatopił w Lövenie.

Jakże śmiało podnieść rękę na wybrańców Boga?

Jakże mogło dojść do takiej zbrodni? Czyż zbrakło miecza w ręce, która ścięłaby głowę Holofernesa? Czyż królowa Saby zapomniała całej mądrości swojej, która raz dotkliwiej od jadowitej strzały? Święty Olafie, stary Wikingu, i smokobójco Jerzy, czyż przepadła już legenda o waszych czynach bohaterskich i zbladł nimb cudów waszych? A może święci nie chcieli bronić się przeciw gwałtowi? Chłopi svartsjónscy nie mieli już farby na ich suknie ni pozłotki na korony, przeto zgodzili się, by hrabia Dohna zatopił figury w bezdni jeziora. Nie chcieli już, widać, oszpecać domu bożego. Ale wspominali pewnie, biedacy, owe czasy, kiedy się przed nimi modlono na kolanach.

Siedziałam myśląc o czólnie sunącym ze świętymi pewnego letniego wieczoru po gładkiej powierzchni Lövenu. Wioślarz oglądał się raz po raz lękliwie na dziwnych podróży, ale obecny przy tym hrabia Dohna nie czuł strachu. Brał własną, dostojną ręką jednego po drugim i ciskał w wodę. Czoło miał pogodne a oddech spokojny i miar-

²⁷ Olaf II Haraldsson (995–1030) — król Norwegii, święty Kościoła katolickiego; zaprowadził w kraju chrześcijaństwo, zginął w bitwie od ciosów toporem, który stał się jego atrybutem jako świętego; przez skojarzenie jego wizerunku z nordyckim bogiem Thorem i jego młotem bojowym w popularnych wierzeniach przypisano mu pokonywanie olbrzymów i trolli. [przypis edytorski]

²⁸ Eryk IX Jedvardsson (ok.1120–ok.1160) — król Szwecji, założyciel dynastii Erykidów, święty Kościoła katolickiego, patron Szwecji. [przypis edytorski]

wy. Czuł się bojownikiem nauki ewangelicznej²⁹. Żaden nie nastąpił cud ku czci starych świętych. Spadali cicho i bez oporu w toń.

Następnej niedzieli błyszczał białą kościół svartsjöński, żaden już posąg nie przeszkadzał wewnętrznemu skupieniu. Wierni mogli zatapiać się w niebiańskie wizje jeno oczyma ducha, a modlitwy miały płynąć w niebo na własnych mocnych skrzydłach, nie czepiając się płaszczu świętych.

Zielona jest ziemia, urocze mieszkanie ludzi, a błękitne niebo, cel ich tęsknoty; świat cały pełen jest barw. Dlaczegoż kościół ma być biały jak zima, nagi jak nędza, błady jak strach? Nie lśnił niby szron zimą w lesie, nie błyszczał perłami i koronkami niby biała oblubienica. Zimny był, posmarowany białą farbą klejową i pusty, bez obrazów i posągów.

Niedzieli tej zasiadł hrabia Dohna w prezbiterium, na haftowanym w kwiaty fotelu, tak by go wszyscy widzieć i wielbić mogli za to, że ponaprawiał ławki, szpetne posągi, oszklili okna i pomalował kościół na białe. Wolno to było uczynić i postąpił wedle swego zrozumienia, by ulagodzić gniew Pana. Czemuż się atoli domagał pochwały za to?

Z sercem obarczonym grzechem okrucieństwa, winien był raczej sięść na ławie pokutników lub paść na kolana i błagać braci swych i siostry w Chrystusie o modły, by go Pan ścierpieć raczył w przybytku swoim. To mu raczej przystało, niżli siedzieć w prezbiterium i żądać pochwały za to, że chciał się pogodzić z Bogiem.

Tak, hrabio Henryku! Bóg spodziewał się zastać cię na ławie pokutników i nie dał się omamić chwałbą ludzką. Pozostał on Bogiem sprawiedliwości, który otwiera usta kamieniom, gdy milczą ludzie.

Nabożeństwo zostało ukończone, przebrzmiał ostatni akord pieśni, ale nikt nie wyszedł z kościoła, gdyż proboszcz wstąpił na kazalnicę, by wygłosić ku czci hrabiego mowę dziękczynną. Nie miało jednak dojść do tego.

Nagle rozwarły się drzwi kościoła i weszli dawni święci, ociekający wodą Lövenu, okryci zielonym mułem i poczerniali od błota. Posłyszeli, widać, że ma być sławiony ten, który ich wygnał z domu bożego i rzucił do zimnych fal. Zapragnęli także wtrącić słowo.

Nie w smak był im jednostajny szmer wody. Nawykli do modlitw i pieśni nabożnych, milczeli jednak dotąd, pewni, że dzieje się to wszystko ku chwale Boga. Ale tak nie było. Siedział tu oto, w pełni wspaniałości, hrabia Dohna na środku kościoła i czekał podzięk. Nie mogąc na to zezwolić wyszli z mokrego grobu, przywędrowali do kościoła i ukazali się wiernym. Wszyscy poznali św. Olafa z koroną na helmie i św. Eryka w złotokwecistym płaszczu oraz poczerniałych św. Jerzego i Krzysztofa. Tylu tylko. Królowa Saby i Judyta nie przybyły.

Gdy osłupiali ludzie przyszli po chwili do siebie, rozszedł się po kościele donośny szept: „Kawalerowie przyszli!”

Istotnie zjawili się teraz kawalerowie. Podeszli bez słowa do hrabiego, wzięli go wraz z fotelem na barki, wynieśli z kościoła i posadzili na wzgórzu kościelnym.

Nie mówili nic, nie patrzyli w prawo ni w lewo, wynieśli go tylko po prostu z domu bożego, a potem ruszyli najkrótszą drogą w stronę jeziora.

Nikt ich nie wstrzymywał i nie zastanawiał się nad ich postępkami, gdyż wszyscy zrozumieli, że mają oni snadź własny pogląd na sprawę.

My, kawalerowie, uznaliśmy, że hrabia Dohna nie zasługuje, by go wysławiać w domu bożym, i dlatego wynieśliśmy go na pole. Teraz, jeśli ktoś chce, niech go wniesie z powrotem.

Ale nie został wniesiony z powrotem, a proboszcz nie wygłosił mowy dziękczynnej. Wierni rozeszli się i wszyscy uznali postępek kawalerów za słuszny.

Ludzie wspomnieli o dręczonej tak okrutnie, wesołej hrabinie borgijskiej, która była dobra dla biednych i tak piękna, że na sam jej widok doznawali pocieszenia.

Niezawodnie grzeszna była owa komedia urządzona w kościele, ale zarówno wierni, jak i proboszcz odczuli, że to, co mieli uczynić, stanowiło wprost drwinę z Boga, i ogarnął ich wstyd starych, na poły zdziczałych szaleńców.

— Kamienie mówią, gdy milczą ludzie! — powtarzano sobie.

²⁹ Czuł się bojownikiem nauki ewangelicznej — od XVI w. do roku 2000 wyznaniem państwowym w Szwecji był luteranizm, który odrzuca kult świętych jako nieewangeliczny. [przypis edytorski]

Od dnia tego nie mógł hrabia Henryk wytrzymać w Borgu. Pewnej ciemnej nocy w początkach sierpnia stanęła przed podjazdem zamknięta karetka. Wszyscy lokaje otoczyli ją, a potem zawinięta szczelnie szalami wyszła hrabina Märta, z gęstym welonem na twarzy. Hrabia prowadził drżącą matkę, która ledwie odważyła się zejść po schodach i wyjść na świat.

Na koniec dotarła szczęśliwie do karety, syn wskoczył za nią, zamknięto drzwi, a stan-gret zaciął konie. Gdy sroki zbudziły się rankiem, hrabina była już za siedmiu górami.

Hrabia przebywał odtąd daleko, na południu, a Borg został sprzedany. Zmieniał on często właścicieli, ale chociaż tak piękny, nikomu ponoć nie przyniósł szczęścia.

25. O WYŚŁANNIKU BOŻYM

Wyśłannik boży, kapitan Lennart, przybył pewnego sierpniowego popołudnia do brobijskiej gospody i udał się prosto do kuchni. Wracał on do domu swego, w Helgesäter, położonego pod lasem, o ćwierć mili na północ od Broby.

Kapitan Lennart nie wiedział wówczas jeszcze, że jest wyśłannikiem bożym na ziemi, a serce jego radowało się myślą, iż zobaczy domostwo swoje. Ciężki go trapił los, ale walkę miał już za sobą i pewny był, że odtąd wszystko pójdzie dobrze. Nie wiedział, iż się zalicza do ludzi, którym nie wolno spoczywać pod własnym dachem i grzać się u własnego ogniska.

Kapitan był wesół z usposobienia. Nie zastawszy nikogo w kuchni zaczął w niej wyprawiać figle, jak psotny chłopak. Poplątał nici na warsztacie tkackim, przekręcił sznur kołowrotka, potem rzucił psu kota na głowę i śmiał się jak szalony, patrząc na bój stworzeń, które łamiąc dawną przyjaźń, rzuciły się na siebie z pazurami, z włosom zjeżonym i groźnym spojrzeniem, drapiąc się i gryząc wzajemnie.

Zwabiona wrzawą weszła gospodyni i stanawszy w progu patrzyła na gościa. Znała go dobrze, ale gdy go widziała ostatni raz, siedział na wózku więziennym, w kajdanach na rękach. Przed pięciu laty przeszło jakiś złodziej podczas zimowego jarmarku ukradł żonie naczelnika okręgu w Karlstadzie mnóstwo klejnotów, pierścieni, naramienników i sprzęczek. Były to cenne pamiątki rodzinne, których nie odnaleziono nigdy. Niedługo potem rozeszła się po całym kraju pogłoska, że złodziejem jest kapitan Lennart z Helgesäter.

Gospodyni nigdy temu nie wierzyła. W istocie, dziwna to była pogłoska. Lennarta znano ogólnie jako człowieka dobrego i uczciwego. Żył on przykładowo z żoną, poślubioną skutkiem braku środków późno; miał dobrą pensję, mieszkanie urzędowe i dochody z folwarku. Cóż by go mogło tedy skłonić do kradzieży pierścionków i bransolet? Mimo to, o dziwo, uwierzono pogłosce, a dowody były tak przekonujące, że kapitan Lennart utracił stanowisko, order i został zasądzony na pięć i pół roku robót przymusowych. Przyznał się, że zanim się dowiedział o kradzieży, był na jarmarku i wracając znalazł na gościńcu brzydką bardzo bransoletkę, którą podarował dzieciom. Była ona złota i pochodziła z rabunku. I stąd cała bieda. Głównym jednak sprawcą zła był Sintram, który wystąpił ponadto w roli oskarżyciela. Chodziło mu chyba o to, by usunąć z drogi kapitana Lennarta, niebawem bowiem wytoczono jemu samemu proces o sprzedaż prochu Norwegom w roku 1814³⁰. Powszechne było przekonanie, że obawiał się zeznań Lennarta; Sintrama uwolniono wówczas z braku dowodów.

Gospodyni patrzyła z upodobaniem na tego człowieka, który posiwiał i pochylił się wyraźnie skutkiem strasznych przeżyć. Zachował jednak dawną dobroduszość i humor. Był taki sam jak w dniu jej ślubu, kiedy jako drużba wiódł ją do ołtarza i tańczył na weselu. I teraz, jak dawniej, rozmawiał z każdym przechodniem, każdemu dziecku rzucał monetę, każdej pomarszczonej staruszce mówił, że jest coraz młodsza i ładniejsza, i gotów był raz jeszcze w dniu świętego Jana stanąć na beczcze i przygrywać młodzieży do tańca. Takim pozostał Lennart.

— No, matko Karin! — zawołał. — Nie macie wcale odwagi spojrzeć na mnie?

Zaszedł do gospody po to jeno, by się dowiedzieć, co porabia jego rodzina i czy nań czeka. Wiedzieli, że kara jego kończy się teraz właśnie.

³⁰ *sprzedaż prochu Norwegom w roku 1814* — podczas wojny norwesko-szwedzkiej, w wyniku której Norwegia została związana ze Szwecją unią personalną. [przypis edytorski]

Gospodyni miała dlań dobre nowiny. Żona kapitana okazała się dzielna jak mężczyzna, odnajęła urzędowe mieszkanie od następcy i radziła sobie doskonale. Dzieci zdrowe, aż miło patrzeć. Oczywiście, czekali na niego. Żona kapitana, kobieta surowego obejścia, nie wyjawiała nigdy swych myśli, wiedziano jednak, że przez czas nieobecności kapitana nikomu nie było wolno jeść jego łyżką ani siedzieć w jego fotelu. Od nastania wiosny codziennie chodziła kapitanowa na wzgórze patrzeć, czy mąż nie wraca. Miała też dlań gotowe ubranie, które sama niemal w całości sporządziła. Z tego wszystkiego wynikało, że nań czeka, choć nic nie mówi.

— A więc oni w to nie wierzą? — spytał Lennart.

— Nie, panie kapitanie! — odparła. — Nikt w to nie wierzy u nas.

Usłyszawszy to nie mógł Lennart dłużej wytrzymać i chciał biec do domu.

Tuż za progiem napotkał dobrych znajomych, kawalerów z Ekeby, którzy zjawili się właśnie w gospodzie, gdzie ich zaprosił Sintram na swe urodziny. Bez wahania powitali więźnia i uścisnęli mu dłoń, Sintram także.

— Drogi Lennarcie! — rzekł. — Bądź przekonany, że w tym był palec boży.

— Łotrze! — zawołał Lennart. — Myślisz, że nie wiem, iż to nie Pan Bóg ocalił cię przed toporem kata?

Roześmiali się wszyscy, a Sintram nie czuł urazy, gdyż rad był, ilekroć wspomniano o jego stosunkach z diabłem.

Namówili Lennarta, by wrócił do gospody i wypił z nimi na powitanie, po czym pójdzie do domu. Ale źle na tym wyszedł. Od pięciu lat nie miał w ustach zdradliwego napoju, przy tym nie jadł nic pewnie przez cały dzień i wyczerpany był długotrwałą wędrówką. Toteż parę kieliszków zamąciło mu całkiem w głowie.

Wtedy kawalerowie zaczęli go poić na dobre. Nie mieli złych zamiarów, chcieli jeno okazać serce temu, który od lat przeszło pięciu nie popił.

Lennart był zawsze trzeźwym człowiekiem, a tego zwłaszcza dnia, kiedy wracał do żony i dzieci, nie miał zamiaru upić się. Niestety jednak legł na ławie szynkowni i zasnął.

Göstę skusiła ta bezwładność kapitana, wziął tedy węgiel, trochę soku z jagód i ucharakteryzował go tak, że wyglądał na zbrodniarza, który dopiero co wrócił z więzienia. Podbił mu oko, zrobił czerwoną szramę przez nos, pozlepił i zmierzwił włosy, a w końcu uczernił gębę sadzą.

Śmiali się z tego przez chwilę, po czym jednak Gösta chciał zmyć twarz śpiącego.

— Daj pokój! — rzekł Sintram. — Zobaczy to po obudzeniu i będzie się śmiał.

Zostawiono go więc w tym stanie, a hultaje zapomnieli o Lennarcie. Pijatyka trwała przez całą noc. Dopiero o świcie skończyła się. Wszyscy mieli bez wątpienia więcej wina niż rozumu w głowach.

Lesz co zrobić teraz z kapitanem?

— Zawieziemy go do domu! — rzekł Sintram. — Żona ucieszy się bardzo, a nam miło będzie patrzeć na jej radość. Podoba mi się ta myśl. Tak, zawieźmy go do domu!

Wszystkich to wzruszyło. Zaprawdę, uraduje się wielce zacna kobieta z Helgesäter!

Zaczęli trząść kapitanem aż się zbudził, i posadzili go na jeden z pojazdów. Potem cała czereda ruszyła do Helgesäter. Jedni spali, drudzy chwiali się tak, że omal nie pospadali na ziemię, inni śpiewali, by nie ulec senności. Wszyscy wyglądali nie lepiej od włóczęgów i mieli napuchłe twarze.

Przybywszy na miejsce zostawili konie w tylnym podwórzu i uroczyście wstąpili na schody. Beerencreutz z Juliuszem wiedli z obu stron Lennarta.

— Zbudź się, Lennarcie! — powiedział doń. — Wszakże widzisz, że jesteśmy w domu!

Otwarł oczy i oprzytomniał niemal całkiem. Rozczuliło go, iż mu towarzyszyli.

— Przyjaciele! — rzekł stojąc zwrócony do wszystkich. — Pytałem Boga, czemu mi kazał tyle wycierpieć...

— Milcz, Lennarcie! — zawołał Beerencreutz. — Schowaj dla siebie kazanie.

— Niech mówi! — powiedział Sintram. — Dobrze mówi.

— Pytałem, a nie rozumiałem odpowiedzi, lecz teraz wiem wszystko. Oto Bóg chciał mi pokazać, że mam przyjaciół, którzy mi towarzyszą, by widzieć moją i żony radość. Żona czeka na mnie. Czymże jest wobec tego pięcioletnia niedola?

Silne pięści zadudniły w drzwi, gdyż kawalerom nudno było słuchać.

Wewnątrz powstał ruch, zbudziły się służebne i wyjrzały. Narzuciły śpiesznie odzież, bały się jednak otwierać takiej czeredzie mężczyzn. W końcu odsunięto rygle i wyszła pani Lennart.

— Czego chcecie? — spytała.

— Przyrowadzamy pani męża! — odparł Beerencreutz.

Wysunęli naprzód kapitana, ona zaś spojrzała na zataczającego się, umazanego opryszka, za którego plecami chwiało się mnóstwo podobnie pijanych mężczyzn.

Cofnęła się, on zaś rozpostarł ramiona i podszedł.

— Odszedłeś złodziejem, a wracasz jako włóczęga! — krzyknęła i cofnęła się w głąb.

Nie rozumiejąc chciał iść za nią, ona jednak uderzyła go w pierś.

— Sądziś, że uznam w takim jak ty człowieku pana mego domu i ojca mych dzieci? — spytała.

Drzwi zatrzasnęły się przed nosem Lennarta i zasunięto rygiel. Kapitan rzucił się na drzwi i zaczął walić.

Trudna rada, kawalerowie nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Tak był pewny swej żony, a ona nie chce go znać. Przygoda rozweseliła ich wielce.

Wobec tego rozgniewał się kapitan Lennart i rzucił się na nich. Odbiegli i wskoczyli do pojazdów, ruszył za nimi, ale potknął się i upadł. Wstał, lecz nie gonił ich dalej! W zamroczonym mózgu błysnęła teraz myśl, że najdrobniejsza rzecz nie dzieje się bez woli bożej.

— Dokądże chcesz mnie zawieść? — spytał. — Jestem jako puch unoszony tchnieniem Twoim. Dokądże mnie wiedziesz zamykając przede mną drzwi domu mego?

Odszedł precz, przekonany, że taka jest wola boża.

O wschodzie słońca stanął na najwyższym z wzgórz brobijskich i spojrzał w dolinę. Ludność tej doliny nie wiedziała jeszcze wówczas, że przyszedł zbawca. Żaden biedak ni smutny nie wił wieńców z borówczanych gałązek i nie zdobił drzwi domu, nie sypano wonnych liści lawendy ni płatków kwiatów polnych na progi, które miał przekroczyć. Matki nie pokazywały go dzieciom, gdy je mijał. Nie czyszczono na jego przyjęcie chat i nie okrywano zakopconego ogniska jałowcem, a mężczyźni nie pracowali na wyścigi, by oczy jego spoczęły na dobrze uprawnych polach i prosto wyciętych rowach.

Spoglądał smutnymi oczyma na spustoszenie, jakie uczyniła susza, na plony tak zmarniałe, że ludzie nie mieli ochoty uprawiać roli pod nowy zasiew. Spoglądał ku sinym lasom i widział w słońcu pustacie szerniałe, wypalone żarem, patrzył na zniszczone suszą brzozy przydrożne. Spostrzegł po różnych drobnych oznakach, po odorze gnojówek mijanych domostw, obalonych płotach i małej ilości drzewa opałowego, jakie zwożono i rąbano, że ludzie przestali zajmować się dobytkiem swoim, że nastąpiła klęska, w której jedynym pocieszycielem była obojętność i wódka.

I dobrze było może nawet, że to widział. Wszakże nie mógł patrzeć na kielkowanie zasiewów na własnym polu, nie mógł siedząc przy własnym ognisku spoglądać w gasnące węgle, nie było mu dane trzymać dzieci za ręce i mieć obok siebie wiernej żony. Dobrze było, iż sam osmucony widział pogrążonych w smutku innych, którym mógł śpieszyć z pociechą. W onym czasie ubóstwa i niedostatku niejeden bogatszy pogarszał jeszcze położenie ludności. Wszakże proboszcz brobijski był skąpcem szkaradnym, nie zaś dobrym pasterzem, wszakże hultaje z Ekeby szerzyli marnotrawstwo i pijaństwo, a Sintram utwierdzał wszystkich w wierze, że spaść musi zniszczenie i śmierć na całą okolicę.

Kapitan Lennart stał na brobijskim wzgórzu i przyszło mu na myśl, że jest może potrzebny Bogu, choć odepchnęła go od siebie małżonka.

Wspomnieć trzeba, że kawalerom nie przyszło wcale do głowy, iż winni są wrogiemu postępkowi pani Lennart. Sintram milczał. W okolicy zaczęto się gorszyć kobietą, której duma nie pozwoliła przyjąć w dom tak dobrego człowieka. Opowiadano, że przerywała szorstko każdą wzmiankę o mężu nie mogąc znieść jego imienia. Ale kapitan nie starał się wcale o zmianę jej zapatrywania.

Minął dzień.

Pewien stary gospodarz w Högbergu leżał na łożu śmierci. Przyjął ostatnie sakramenty, siły go opuściły i wiedział, że umrze lada chwila. Niespokojny, jak ktoś mający rozpocząć długą podróż, kazał się przenosić nieustannie z łóżkiem z izby do kuchni

i z powrotem, co świadczyło dobitniej jeszcze niż głośnie rzęzenie, iż przyszła nań ostatnia chwila.

Stali wkoło niego żona, dzieci i służba. Był bogaty, szanowany i szczęśliwy, toteż nie umierał samotnie ani w otoczeniu niecierpliwych, obcych ludzi. Umierający mówił o sobie, jakby już stał przed Bogiem, a obecni potwierdzali jego słowa.

— Byłem pracownikiem pilnym i dobrym gospodarzem. Kochałem żonę jak prawicę swoją, dobrze wychowywałem dzieci moje, nie piłem, nie zaorywałem granic, nie pędziłem konia pod górę, nie głodziłem krów w zimie i nie pozwoliłem, by owce latem chodziły nie strzyżone.

Jak echo rozbrzmiewały chórem przytakiwania płaczących.

— O tak! Był dobrym gospodarzem... nie gnał pod górę konia i nie głodził krów.

Tymczasem wszedł do chaty biedny człowiek, by uprosić sobie trochę jadła i napoju, i usłyszał słowa konającego.

A starzec mówił dalej:

— Karczowałem lasy i osuszałem bagna. Odrzucałem pracowicie skiby. Rozbudowałem stodołę, tak że może pomieścić trzy razy tyle zboża, ile za czasów mego ojca, kazałem też zrobić z talarów trzy srebrne kubki, a ojciec mój jeden jeno ufundował!

Posłyszał biedak u drzwi stojący te słowa o zaletach umierającego świadczące, oraz potakiwania obecnych.

— Bóg da mi dobre miejsce w niebie! — rzekł starzec.

— Bóg użyczy panu naszemu dobrego miejsca u siebie! — przytakiwali wszyscy.

Przerażenie ogarnęło stojącego u drzwi, który był przez lat pięć piłką w ręku Boga i pierzem poruszonym oddechem bożym. Zbliżył się do konającego i ujął jego dłoń.

— Przyjacielu! — rzekł drżącym ze wzruszenia głosem. — Czyliż pomyślałeś, kim jest Pan, przed którym masz stanąć niedługo? To Bóg potężny! Światy są mu polem, a burza wierzchowcem. Niebiosą tętnią odgłosem bożego stąpania, ty zaś stajesz przed nim mówiąc: „Ciągnąłem prosto skiby, siałem żyto i ścinałem drzewa!” Chwalisz się i mierzyć z nim ośmielasz? Czyż nie wiesz, jak potężny jest Pan Bóg, do którego dziedziny odchodzisz?

Starzec rozwarł szeroko oczy, twarz mu wykrzywił strach, a rzęzenie stawało się głośniejsze.

— Nie przystępuj z chwałbą własną do Pana! — mówił wędrownik. — Najpotężniejszy to słoma wymłócona w jego stodołę. Przez cały dzień rzuca on posiew, wykopał morze i spiętrzył góry, a ziemię okrył roślinami. To robotnik niezrównany i mierzyć się z nim nie zdołasz! Ukorz się, ukorz się przed Bogiem, duszo ulatująca! Padnij w proch przed Panem i władcą swoim! Burza Pańska leci nad tobą, a gniew boży postrach szerzy. Pochyl się, chwyć jak dziecko skraj płaszczu i żebraj miłosierdzia. Ukorz się przed Stwórcą swoim, duszo odlatująca!

Oczy starca rozwarły się jeszcze szerzej, dłonie złożyły do modlitwy, twarz rozpogodziła, a rzęzenie ustało.

— Duszo człowieka! — zawołał przybyły. — Uniżyłaś się kornie w ostatniej chwili przed Bogiem, toteż niechybnie weźmie cię jak dziecko w ramiona i wprowadzi w światłość wiekuistą.

Starzec odetchnął głęboko raz jeszcze i oddał ducha, kapitan Lennart ukląkł i jął się modlić, a z nim wszyscy, wdychając ciężko.

Zmarły miał na twarzy wyraz spokoju, a oczy jego błyszczwały, zda się, odbłaskiem szczęśliwych wizji zaziemskich. Uśmiech krasił jego usta. Patrzył w oblicze Boga.

Wielka, piękna to dusza, myśleli obecni, co rozerwała pęta ciała. Ukorzyła się przed Stwórcą swoim, on zaś wziął ją jak dziecko w ramiona.

— Patrzył w oblicze boże! — powiedział syn zamykając oczy ojca.

— Widział otwarte niebiosy! — szlochały chórem dzieci i służba.

Stara gospodyni dotknęła drżącą dłonią ramienia Lennarta i powiedziała:

— Panie kapitanie! Byłeś mu wielką pomocą w najstraszniejszej chwili.

Milczał. Uczuł, że posiada dar wielkich słów i doniosłych czynów. Drżał jako motyl, który dopiero co opuścił poczwarkę, o skrzydłach lśniących w promieniach słonecznych niby samo słońce.

To zdarzenie pchnęło kapitana Lennarta pomiędzy ludzi. Inaczej byłby wrócił do domu i ukazał żonie prawdziwe oblicze swoje, ale teraz nabrał przekonania, że jest potrzebny Bogu. Toteż został bożym wysłannikiem i pomagał biednym ludziom. W czasie onym wielka panowała nędza, a rozum i dobra wola cenniejsze były od złota i potęgi.

Kapitan Lennart przybył pewnego dnia do biedaków mieszkających pod Gurlitą. Nie mieli ziemniaków, zabrakło im też ziarna na siew.

Kapitan Lennart przepłynął w małym czólnie jezioro, udał się do Sintrama i poprosił go o zboże i ziemniaki. Sintram przyjął go dobrze, oprowadził po wielkim spichrzu i piwnicy, gdzie były zeszlóroczne jeszcze ziemniaki, i kazał napęlić wory i płachty przywiezione.

Zauważył jednak, że czólnie kapitana Lennarta jest za małe na tak ciężki ładunek. Zły człowiek kazał przeto przenieść wszystko na łódź wielką i polecił parobkowi swemu, silnemu Mansowi, przewieźć wszystko przez jezioro, tak że tylko kapitan Lennart płynął w pustym czólnie.

W drodze minął go Mans, zręczny wielce żeglarz, a Lennart płynął wolno, dumając o przedziwnych losach ziarna siewnego. Zostanie rzucone w czarną ziemię, pełną popiołu, kamieni i wykrotów drzewa, a potem puści korzenie i wyrośnie w odłogu. Rozmyślał nad miękkimi zielonymi kłosami i pochylony pieścił je dłonią. Potem wspomniał o jesieni i zimie, które delikatnym kielkom nie zrobią szkody, a z wiosną ziarno zacznie rósć szybko. Dzielne serce jego radowała myśl o wysokich źdźbłach zakończonych spiczastymi kłosami, co zrazu powiewając wężami pochylają się potem obciążone pięknym ziarnem. Przyjadą kosiarze, zboże padnie, pójdzie pod cepy, do młyna, zamieni się w mąkę, potem w chleb i choć zdawać by się mogło, że tak go niewiele w czólnie, nasyci liczną rzeszę.

Parobek Sintrama przybił do brzegu, a ludzie podeszli do łodzi. Wedle polecenia swego pana powiedział:

— Pan mój przysyła wam sól i ziarno, bo slyszal, że wam brak wódky.

Ludzi ogarnął szal, wdarli się do łódki i spadli w wodę, chwytając wory. Ale nie takie miał zamiary kapitan Lennart.

Przybywszy do lądu rozniewał się pośpiechem ludzi i chciał rozdzielić ziemniaki na pożywienie, zaś zboże do siewu. Nie postać mu w głowie prosić Sintrama o sól.

Zaczął wołać, by zostawili worki w spokoju, ale go nie usłuchano.

— Niechże się wam tedy zboże przemieni w piasek, a ziemniaki w kamienie! — zawołał rozgorzyczony.

I w tejsze chwili wydało się, jak gdyby kapitan Lennart uczynił cud. Dwie kobiety wydzierając sobie worek przedarły go i okazało się, że zawiera piasek, a niosący ziemniaki mężczyźni zauważyli, że są ciężkie jak kamienie.

W istocie był to jeno piasek i kamienie. Ludzie osłupieli ze zdumienia, dziwując się wysłannikowi bożemu, a sam kapitan nie mógł pojąć, co się stało. Mans jednak śmiał się.

— Jedź do domu! — rzekł doń kapitan. — Odjedź, zanim ludzie spostrzegą, żeś przywiózł jeno piasek i kamienie. Inaczej mogliby ci zniszczyć łódź.

— Nie boję się! — odparł parobek.

— Odjeżdżaj, mówię ci! — rozkazał kapitan tak stanowczo, że Mans usłuchał.

Potem wyjaśnił ludziom, że Sintram zdrwił sobie z nich. Ale nie chcieli wierzyć, uważając wszystko za cud. Wieść o tym rozeszła się szybko po okolicy, a ludność, która zawsze znajduje upodobanie w rzeczach cudownych, uwierzyła w nadprzyrodzoną moc kapitana Lennarta. Osiągnął wielką władzę nad chłopami i zwali go odtąd wszyscy wysłannikiem bożym.

26. NA CMENTARZU

Był piękny wieczór sierpniowy. Jezioro lśniło jak zwierciadło, góry przesłaniała mgła, a powietrze było rześkie i chłodne.

Pułkownik Beerencreutz o białych, sumiastych wąsach, przysadzisty i mocny jak olbrzym, z kartami do rabuza³¹ w tylnej kieszeni surduta, zszedł ku jezioru i wsiadł w płaskie

³¹rabuż a. rabuś (fr. *rabouge*) — daw. gra karciana polegająca na jak najszybszym pozbyciu się swoich kart przez graczy. [przypis edytorski]

czółno. Towarzyszyli mu major Anders Fuchs i mały Ruster, fletnista, który był dobozsem w pułku strzelców värmlandzkich a od wielu lat służącym i przyjacielem pułkownika.

Na przeciwległym brzegu jeziora znajdował się cmentarz. Zanedbany svartsjööński cmentarz zdobiło niewiele jeno krzywych, chwiejnych krzyżów, mnóstwo natomiast mogił porastała ostra, pasiasta trawa, zwana powszechnie „ludzką trawą” dla zaznaczenia, że jak jej liście odmienne są od siebie, tak życie każdego człowieka bywa odmienne. Nie było tu zwirowych ścieżek ni cienistych drzew, z wyjątkiem rozłożystej lipy na zapomnianym grobie starego proboszcza. Wysoki gruby mur kamienny otaczał cmentarz ubogi, opuszczony i brzydki niby oblicze skąpca, zamierający jak krzyk rozpaczy tych, których zły człowiek pozbawił mienia. A jednak leżący tu śpią spokojnie w poświęconej ziemi, pochowani przy pieśniach nabożnych i modłach. Lecz muzyka, Acquilona, który zmarł zeszłego roku w Ekeby, pochowano poza murem. Był to niegdyś człowiek dumny, rycerski, dzielny wojownik, śmiały strzelec, muzyk i szczęśliwiec co się zowie. Roztrwonił on jednak w końcu spadek swych dzieci, wszystko, co sam nagromadził, jako też oszczędności żony, potem zaś porzucił rodzinę i przybył przed wielu laty do Ekeby na rezydencki chleb. Zeszłego roku, pewnego wieczoru, przegrał majątność ziemską, ostatnie oparcie rodziny, i zastrzelił się — bo wolał raczej umrzeć, niż dług ten zapłacić. Ciało samobójcy pochowano poza omszałym murem ubożuchnego cmentarza.

Po jego śmierci zostało jeno dwunastu kawalerów, trzynasty nie zjawił się, jeśli oczywiście pominiemy tego, który wylazł owej wigilijnej nocy z hutniczego pieca.

Kawalerowie boleśniej odczuli stratę biednego samobójcy niż jego poprzedników. Wiedzieli, że co roku jeden spośród nich umrzeć musi. Zresztą nic w tym złego. Kawalerom starzeć się nie wolno. Czymże są dla życia, czym życie dla nich, gdy omglone oczy nie mogą rozróżnić kart, a drżąca dłoń nie podniesie szklanki? Ale straszna to rzecz spoczywać jak pies pod murem cmentarza, gdzie trawa na mogile nie może rósć w spokoju, gdyż depcą po niej pasące się owce, gdzie ziemię kraje pług i lopata, kędy szybko przechodzi wędrowiec nie miarkując kroku, a dzieci krzyczą i hałasują do woli, gdzie wreszcie mur nie dopuści głosu trąb archanielskich, zwołujących pomarłych na sąd ostateczny!

Beerencreutz przepłynął przez jezioro. Przepłynął przez jezioro marzeń moich, na którego brzegach widywałam przechadzających się bogów, a z fal wyłaniał się zamek urojony. Przepłynął koło lagun wyspy Lagö, gdzie jodły na małych ławicach piasku zdają się wyrastać wprost z wody i gdzie sterczą dotąd na stromej skale ruiny zamku korsarskiego. Minął las pod przylądkiem borgijskim, gdzie zwisa nad urwiskiem stara sosna, w miejscu, na którym schwymano ongiś potężnego niedźwiedzia, a kopce kamienne kurhanów świadczą o starożytności miejsca.

Oplął przylądek, wysiadł z czółna tuż pod cmentarzem i dotarł przez zżęte pola hrabiego z Borgu do grobu Acquilona. Pochylony, poglądził trawę jak koldrę, pod którą leży chory przyjaciel, potem zaś dobył karty i usiadł na grobie.

— Leży tu samotnie Jan Fryderyk i rad by zagrać partyjkę — powiedział.

— Wstyd to i hańba, by taki człowiek miał spoczywać pod murem! — dodał major Anders Fuchs, wielki myśliwy, i usiadł obok pułkownika.

A mały Ruster powiedział wzruszony, roniąc gęste łzy z małych, czerwonych oczu:

— Po panu, panie pułkowniku, po panu, był to najlepszy człowiek, jakiego znałem.

Ci trzej dostojni mężczyźni siedzieli przy grobie i z powagą a skupieniem grali w karty.

Patrzę na świat i widzę dużo grobów. Tam oto spoczywa możnowładca przyciśnięty płytą marmuru. Brzmi nad nim marsz żałobny, a chorągwie się chylą. Widzę groby ludzi bardzo zakochanych. Zroszone łzami wieńce spoczywają lekko na trawie. Widzę groby zapomniane i miejsca spoczynku pełne pychy, które kłamią, i takie, które nie mówią nic. Nigdy jednak nie widziałam, by walet treflowy zapraszał do kompanii mieszkańca grobu.

— Jan Fryderyk wygrał! — oświadczył pułkownik. — Pewny byłem tego. Wszakże ode mnie uczył się grać. Tak, teraz my trzej zmarliśmy, a on jeden jedyny żyje.

Rzekłszy to zebrał karty i wszyscy trzej wrócili do Ekeby.

Zmarły musiał odczuć, że nie wszyscy zapomnieli jego grobu opuszczonego. Dziwny to co prawda hołd, jakim zdziczałe serca uczyły kochanego człowieka, ale ucieszył on zapewne nieboszczyka, którego zwłokom nie pozwolono spocząć w poświęconej ziemi. Radował się, że nie wszyscy go potępiają.

Przyjaciele moi! Po śmierci zostanę pewnie złożona na cmentarzu, w grobie rodzinnym. Nie zagrabiłam swym bliskim majątku i nie targnę się na życie własne, ale na pewno nie zaskarbiłam sobie tyle miłości i nikt dla mnie tyle nie uczyni, co kawalerowie dla tego przestępcy uczynili.

Nikt nie przyjdzie wieczorem, o zachodzie słońca, kiedy będzie smutno i samotnie, do grobu umarłych i nie włoży mi kart barwnych w kościste palce.

Nie przyjdzie nikt — jak bym tego pragnęła — ze skrzypcami i smyczkiem, gdyż karty nie wabią mnie wcale, i nie zagra duchowi memu, który unosi się wokół rozpadłego w proch ciała, by się pokołysał na fali tonów jak łabędź na lśniącej wodzie.

27. STARE PIEŚNI

Marianna Sinclair siedziała pewnego cichego popołudnia przy końcu sierpnia w swym pokoju i porządkowała listy i papiery.

Wokoło niej wszystko było w nieładzie. Stały tu wielkie skórzane walizy, okute żelazem skrzynie, a na krzesłach i kanapach leżały części ubrania. Wydobyła przeróżne rzeczy ze skrzyń na strychu, z szaf i kufrów. Wszędzie lśnił jedwab, płótno, klejnoty i cacka, które czyścić zamierzała, oraz szale i futra do obejrzenia i naprawy.

Marianna wybierała się w długą podróż, a nawet nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do kraju. Stała na rozdrożu życia i paliła mnóstwo starych listów i zapisków, by się uwolnić od ciężaru wspomnień.

Nagle wpadła jej w rękę paczka starych pieśni. Były to odpisy pieśni ludowych, które jej śpiewała matka w dziecięcych latach. Rozwiązała sznurek i zaczęła czytać.

Po chwili uśmiechnęła się smutnie nad przedziwną mądrością, jaką głosiły te stare pieśni.

„Nie dowierzaj szczęściu ni oznakom szczęścia, ni różom, ni innym uroczym kwiatom.

Nie dowierzaj śmiechowi! — powiadały. — Oto piękna Walborga jedzie w czerwonej, pozłocistej karecie, a jest tak smutna, jak gdyby podkowy i koła miażdżyły jej szczęście.

Nie dowierzaj tańcowi! — mówiły. — Nogi mkną nieraz lekko po lśniącej podłodze, a serce cięży ołowiem. Piękna Kerstin tańczyła wesoło, a wraz z tańcem uciekało z niej młode życie.

Nie dowierzaj żartom! — mówiły. — Niejedna zasiada do stołu z żarcikiem na ustach, a omal nie umiera ze smutku. Oto tam siedzi piękna Adelina i dla zabawy pozwala, by jej podano serce księcia Fröjdenborga, w przekonaniu, że widok ten użyczy jej sił, by mogła i umiała umrzeć”.

O biedne, stare pieśni, komuż tedy wierzyć? Czy łzom i trosce?

Rzadko wzdycha serce radosne, często jednak śmieją się smutne usta. Stare pieśni wierzą tylko w łzy, westchnienia — w smutek i oznaki smutku. Troska to rzeczywistość i pewność jedyna na tej leż dolinie. Można wierzyć trosce i oznakom jej.

Radość sama to jeno smutek zamaskowany. Na świecie nie istnieje właściwie nic prócz smutku.

— O beznadziejne pieśni! — powiedziała sobie Marianna. — Jakaż nikła jest mądrość wasza w porównaniu z pełnią życia!

Podeszła do okna i spojrzała na przechadzających się rodziców. Chodzili szeroką ścieżką ogrodową i rozmawiali o wszystkim, co im wpadło w oczy, o trawie na polu, o ptakach na niebie.

— Oto tam wzdycha serce z umartwienia, chociaż nigdy nie było tak szczęśliwe jak teraz.

Przyszło jej na myśl, że wszystko właściwie zależy od człowieka, a radość i smutek zawisły jeno od sposobu ujmowania rzeczy. Zadała sobie pytanie, czy jej przeżycia roku minionego były radością, czy smutkiem, i nie wiedziała dobrze, co odrzec.

Ciężkie przeżyła czasy. Dusza jej była chora. Ugięła się przed strasznym poniżeniem. Wróciwszy do domu powiedziała sobie: — Zapomnę o krzywdzie wyrządzonej mi przez ojca! — Ale serce mówiło co innego. — Sprawił mi ból śmiertelny odrywając od ukochanego, a bijąc matkę doprowadził mnie do rozpacz. Nie życzę ojcu nic złego, ale napawa mnie on strachem.

Zauważyła, że musi panować nad sobą, by zostać spokojnie na miejscu, gdy obok niej siadał. Czuła w takich razach wielką chęć ucieczki. Próbowwała pozbyć się tego uczucia, mówiła jak zazwyczaj i przebywała niemal wyłącznie w jego towarzystwie. Umiała panować nad sobą, ale cierpiała niewymownie. Doszło do tego, że znienawidziła w nim wszystko: donośny, szorstki głos, ociężały chód, wielkie ręce i całą potężną postać. Nie życzyła mu nic złego ani szkodzić nie chciała, ale za każdym zbliżeniem doznawała uczucia przestachu i obrzydzenia. Pokonane serce mściło się. — Nie dałaś mi kochać — mówiło — a jednak mimo to jestem ci panem i dojdzie do tego, że ojca znienawidzisz.

Nawykła do obserwowania przeżyć własnych czuła, że ta nienawiść wzrasta z dnia na dzień. Jednocześnie dom wydał jej się wieczystym więzieniem, toteż chciała iść między ludzi. Ale od czasu choroby nie mogła się zdecydować na żadną podróż. Wydawało jej się, że nic nie przyniesie ulgi, co dnia będzie nieszczęśliwa, aż w końcu nadejdzie taka chwila, w której straci panowanie nad sobą i powie ojcu wszystko, otwarcie wyzna swą gorzyc, po czym nastanie rozterka i niedola zupełna.

Na tym minęła wiosna i pierwsza połowa lata. W lipcu zaręczyła się z baronem Adrianem, by mieć dom własny.

Pewnego dnia po południu wpadł baron na dziedziniec na przepysznym koniu. Piękny jego uniform huzarski błyszczał w słońcu, a bardziej jeszcze młoda twarz i roześmiane oczy. Melchior Sinclaire wyszedł sam na ganek, by go przywitać. Marianna szła przy otwartym oknie i słyszała każde słowo ojca.

— Witam cię, rycerzu słońca! — zawołał Melchior. — Wyglądasz przepysznie! — Czyżbyś przybywał w zaloty?

— Tak, wujaszku! — odparł baron ze śmiechem. — Trafieś w sedno!

— Jesteś bezwstydnym, mój chłopcze! Bo i cóż dasz jeść żonie swojej?

— Jestem goły, wujaszku! Inaczej nie laźlbym w jarzmo małżeńskie.

— Tak? Ale musiałeś przecież zapłacić za ten szamerowany kubrak?

— Wziąłem na kredyt, wujaszku!

— A skądże masz konia? Warta bestia kupę pieniędzy!

— Pożyczony, wujaszku!

Melchior nie mógł się oprzeć wesołości młodego i rzekł:

— Bóg z tobą, urwisie! Potrzeba ci oczywiście żony z posagiem. Jeśli ci się uda nakłonić Mariannę, to bierz ją sobie.

W ten sposób wyklarowało się pomiędzy nimi wszystko, zanim jeszcze baron zsiadł z konia. Ale Melchior Sinclaire wiedział, co robi, gdyż baron Adrian był dzielnym młodzieńcem.

Potem konkurent poszedł do Marianny i od razu wyjawiał jej swe zamiary.

— Droga Marianno! — powiedział. — Mówiłem już z ojcem twoim. Rad bym cię poślubić! Zgódź się, Marianno.

Dobryła zeń całą prawdę. Oto ojciec jego, stary baron, znowu dał się nabrać i kupił kilka pustych kopalń. Przez całe życie kupował ciągle takie kopalnie bez wartości. Matka smuciła się, on sam popadł w długi i oto postanowił starać się o rękę Marianny, by uratować ojcowski majątek i własny uniform. Posiadłość rodzinna Hedeby położona była po drugiej stronie jeziora, niemal naprzeciw Björne. Mariannę znał dobrze, byli wszakże rówieśnikami i towarzyszami zabaw.

— Mogłabyś doprawdy wyjść za mnie! — powtórzył. — Marne moje życie. Muszę jeździć na pożyczonych koniach i nie mam na krawca. Tak dłużej być nie może. Wezmę chyba dymisję i palnę sobie w łeb.

— Ależ, Adrianie! — zawołała. — Cóż to będzie za małżeństwo? Wszakże nie jesteśmy w sobie ani trochę zakochani!

— Kpię sobie z miłości! — oświadczył. — To są głupstwa. Lubię dobrego konia i polowanie, ale nie jestem kawalerem od parady, tylko człowiekiem pracy. Gdy jeno zdobędę tyle, by ocalić majątek rodzinny, zaopatrzyć matkę, będę zadowolony. Orać i siać, w to mi graj! Lubię pracować.

Popatrzył na nią dobrymi oczami, a Marianna czuła, że mówi prawdę i że można mu zaufać. Toteż zaręczyła się z nim, głównie dlatego, by opuścić dom, ale także dlatego, że był jej z dawna miły.

Potem nastąpił miesiąc zaślepienia, którego nigdy nie zapomni.

Z dniem każdym baron Adrian stawał się bardziej milczący i melancholijny. Przyjeżdżał do Björne często, czasem dwa razy na tydzień, ale zmiana jego usposobienia była zbyt wyraźna. Gdy zastał gości, zdobywał się jeszcze na żarty wobec narzeczonej, ale gdy byli sami, milczenie i nuda opanowywała oboje. Marianna знаła powód. Nielatwa to rzecz poślubić szpetną dziewczynę. Ogarniał go zapewne coraz większy wstręt, a Marianna zdawała sobie sprawę z tego, jak jest brzydka. Adrian wiedział, że narieczona nie pragnie pieśczoć ni przysiąg miłosnych, ale mimo to trudno mu było przedstawić ją sobie jako małżonkę. Sprawa pogarszała się z dnia na dzień. Dręczył się sam nadaremnie, a nie zrywał zaręczyn. Dawała mu wyraźnie do poznania, że zerwać powinien, sama jednak nie mogła nic poradzić, gdyż ojciec oświadczył bez ogródek, że dalsze ekstrawagancje narzeczniśkie nie dałyby się pogodzić z jej dobrą sławą. Toteż znieawidziła obu męzczyzn jednakowo i uznała za dobry każdy sposób, który by ją od nich oddalił.

Nagle w parę tygodni po uroczystości zaręczyn nastąpiła zmiana dziwna i cudowna.

Tuż pod gankiem leżał w piasku ścieżki wielki kamień, który był powodem rozlicznych utrapień i przykrości. Utykały na nim powozy, przewracały się konie i ludzie, a dziewczęta służebne rozlewały mleko niesione w wielkich stągwiach. Mimo wszystko kamień leżał dalej. Leżał on tu jeszcze za życia rodziców Melchiora, zanim wystawiono dwór björneński. Właściciel nie chciał jednak uznać, że należało usunąć zawadę.

Pewnego dnia przy końcu sierpnia potknęły się na kamieniu dziewczęta z mlekiem i potłukły dotkliwie. Wszystkich w domu ogarnął słuszny gniew.

Była właśnie pora śniadania. Pan domu odbywał poranny obchód, że zaś ludzie byli w podwórzu, jak zwykle między ósmą a dziewiątą, pani Gustawa poleciła dwu parobkom wykopać kamień. Wzięli łopaty, drągi i po długiej pracy udało im się dźwignąć z miejsca sprawcę złego. Potem w sześciu zanieśli go w kąt podwórza. Praca ta była akurat dla szczęścia męzczyzn.

Zaledwie tego dokonano, wrócił gospodarz i od razu spostrzegł brak. Wpadł w gniew wołając, że zmienił się cały widok, że to już nie to samo Björne. Kto się ośmielił usunąć kamień? Tak... więc to pani Gustawa poleciła uczynić? Te kobiety nie mają serca. Przecież wiedziała dobrze, jak jest przywiązany do tego kamienia.

Pobiegł, objął głaz ramionami, przeniósł na dawne miejsce i rzucił w dół. Pomyślcie, dźwignąć kamień, któremu sześciu ludzi z trudem dało radę. Wyczyn ów podziwiano swego czasu w całej Värmlandii.

Marianna widziała z okna jadalni ojca niosącego kamień i nigdy jeszcze nie wydał się jej tak straszliwy. Ten mocarz był jej panem, i to panem kapryśnym, uznającym jeno własną wolę.

Jadła właśnie śniadanie i miała nóż w ręce. Podniosła go mimo woli.

Pani Gustawa chwyciła ją za ramię i zawołała:

— Marianno!

— Co, mamó?

— Marianno! Wyglądałaś tak strasznie, żem się przelękla.

Marianna patrzyła na nią długo. Była to mała, zasuszona osóбка, o siwych włosach i mnóstwie zmarszczek, chociaż liczyła dopiero lat pięćdziesiąt. Wierna jak pies, nie liczący razów. Zawsze w dobrym humorze, a czyniła mimo to smutne wrażenie. Przypominała drzewo sieczone wichrem na wybrzeżu, nigdy nie miała możności, by się swobodnie rozwinać. Nauczyła się chodzić krętymi ścieżkami, kłamała w potrzebie i udawała głupszą niż była, aby uniknąć wyrzutów. Była w zupełności tworem męża swego.

— Czy smuciłabyś się, mamó, gdyby ojciec zmarł? — spytała Marianna.

— Marianno! Gniewasz się jeszcze na ojca. Wybaczże mu teraz, gdy masz innego narzeczonego.

— Nie mogę, mamó! Boję się go. Wszakże wiesz, jaki jest i kochać go nie mogę. Gwałtowny i ordynarny, dręczył cię tak, że postarzałaś się przed czasem. Czemuż ma być naszym panem? Zachowuje się jak szalenciec, czemuż mam go tedy czcić i szanować? Niedobry, niemilosierny, mocny, może nas każdego dnia pozabijać albo wyrzucić z domu. Czyż mam go kochać za to?

Ale pani Gustawa zmieniła się nagle, nabrała siły, odwagi i rzekła z wielką stanowczością:

— Opamiętaj się, Marianno! Ojciec dobrze uczynił, widzę, wzbraniając ci w zimie wstępu do domu. Zobaczysz, że cię za to spotka kara! Ucz się cierpieć bez nienawiści i chęci zemsty, Marianno!

— Ach, mammo, jakam ja nieszczęśliwa!

Zaraz potem dokonało się. Usłyszały, że w sieni coś padło ciężko na ziemię.

Nie dowiedziano się nigdy, czy Melchior Sinclaire stał na schodach i pochwycił słowa córki przez otwarte okna jadalni, czy może porażenie wywołał ów wysilek fizyczny? Znalazły go na ziemi bez zmysłów. Ale nie śmiały nigdy pytać o powód, on zaś nie zdradził się z niczym. Marianna nie miała odwagi uświadomić sobie, że się bezwiednie zemściła, ale na widok ojca leżącego na tych samych schodach, gdzie go owej nocy znienawidziła, uczuła, że z serca jej znika gorycz.

Oprzytomniał niebawem i po kilku dniach wypoczynku wrócił do zdrowia. Był ten sam, co przedtem, a całkiem inny.

Marianna patrzyła na rodziców chodzących ręką w rękę po ogrodzie. Czynili to teraz zawsze, bo ojciec unikał samotności, nie wyjeżdżał, a nawet nierad był gościom, gdyż go odciągali od żony. Nagle zestarzał się, nie mógł się zdecydować na napisanie listu i żona zań pisywała. Pytał ją we wszystkim o radę i postępował, jak chciała. Był stale łagodny i uprzejmy. Czuł sam, jak się odmienił i jak ta zmiana raduje żonę.

— Dobrze matce teraz! — rzekł pewnego dnia do córki wskazując na żonę.

— Ach, drogi Melchiorze! — odparła Gustawa. — Wolałabym, byś całkiem przyszedł do zdrowia!

I tego pragnęła rzeczywiście. Sprawiało jej wielką radość opowiadanie o dawnej sile męża, o tym, że nie szkodziło mu życie szalone, bardziej szalone niż kawalerów z Ekeby; opowiadała, jak załatwiał interesy, i jak to właśnie w chwili gdy sądziła, że ją pozbawi dachu nad głową, zarobił mnóstwo pieniędzy. Ale Marianna wiedziała, że mimo żalów czuje się szczęśliwa, gdyż jest teraz wszystkim dla męża. Oboje postarzelisi i byli złamani życiem. Marianna wiedziała, co przyniosą lata najbliższe. Ojciec będzie coraz to słabszy, powtarzające się ataki osłabiają go do reszty, matka zaś będzie go pielęgnować aż do śmierci. Ale mogło to potrwać długo, a pani Gustawa żyć mogła sobie jeszcze długo i szczęśliwie. Tak sądziła Marianna uważając, że matce dużo się jeszcze od życia należy.

I jej było teraz lepiej. Nie żyła pod przymusem małżeństwa, w oczekiwaniu innego pana, a zranione serce znalazło spokój. Poznała nienawiść i miłość, ale nie myślała już teraz o cierpieniu doznanym. Uświadomiła sobie, że stała się człowiekiem prawdziwszym, głębszym i bogatszym niż dawniej. Nie żałowała tego, co było, bo każde cierpienie jest owocne, a więc wszystko może się jeszcze zakończyć szczęśliwie. Zaczęła teraz uważać za dobre wszystko, co człowieka podnosi i uszlachetnia. Stare pieśni nie miały racji, nie sam jeno smutek był na świecie rzeczą trwałą. Postanowiła wyjechać i znaleźć pole wydajnej pracy. Dawniejszy ojciec nie zezwoliłby za nic na zerwanie zaręczyn, teraz jednak matka przeprowadziła wszystko w sposób łagodny. Marianna była wolna. Pozwolono jej nawet pożyczyć Adrianowi pieniądze, których potrzebował.

Odzyskawszy swobodę i o nim myślała życzliwie. Przypominał jej Gostę radością i odwagą, chciała go tedy widzieć szczęśliwym. Będzie znów rycerzem słońca, jakim był wpadając konno na dwór ojca. Chciała mu dać ziemię, by ją do woli uprawiał i obsiewał, a także ujrzeć go kiedyś przy ołtarzu z piękną narzeczoną.

W tej myśli napisała do niego, że mu zwraca wolność, używając słów łagodnych, osłaniających rozumem i żartem, ale dostatecznie poważnych, by wiedział, że bierze rzecz serio.

Nie skończyła jeszcze, gdy zatętniło przed domem.

„Ostatni raz przybywasz, mój rycerzu słońca!” — pomyślała.

Za chwilę stanął przed nią.

— Jak to, Adrianie, aż tu przychodzisz? — zawołała patrząc z trwogą na nieład w pokoju.

Zmieszał się i wybąkał kilka słów usprawiedliwienia.

— Właśnie piszę do ciebie! — rzekła. — Masz, czytaj.

Wziął list, ona zaś czekała, wpatrzona weń i pewna, że twarz mu rozbłyśnie radością. Ale Adrian po pierwszych zaraz wierszach poczerwieniał, cisnął list na ziemię, zaczął go deptać i kłać straszliwie.

Marianna zadrżała. Znała się na miłości, ale dotąd nie rozumiała snadź tego niedoświadczonego dzieciaka.

— Drogi Adrianie! — rzekła. — Cóż to za komedia? Siądź no i powiedz prawdę!

Przystąpił, objął ją i omal nie zadusił pieszczotami. Biedny chłopak! Tęsknił i cierpiał okrutnie cały ten czas.

Po chwili spojrział przez okno. Pani Gustawa chodziła dalej i rozmawiała z olbrzymim Melchiorem o kwiatach i ptakach, Marianna zaś rozmawiała z Adrianem o miłości.

„Pozna powagę życia! — pomyślała uśmiechając się smutnie. — Ale każda z nas dostała na pociechę własne duże dziecko do zabawy”.

Dobrze jest być kochaną! Słuchała z lubością, jak szeptał o sile czarownicy, która z niej promieniuje, i o tym, jak wstydzi się pierwszej z nią rozmowy. Nie wiedział wówczas, jaką posiada nad nim władzę. Każdy mężczyzna musiałby ją pokochać, ale go tak onieśmieliła, że czuł się jej niegodnym.

Nie było to szczęście, ale postanowiła spróbować życia z tym człowiekiem.

Zacząła rozumieć samą siebie; wspomniała starą pieśń o turkawce, ptaku tęsknoty, co nie pije nigdy czystej wody, ale ją zawsze przedtem zmaci nogą, by lepiej odpowiadała jej smutkowi. Marianna także pić nie miała z czystej krynicy szczęścia. Musiała ją zmacić troska — by lepiej odpowiadało jej naturze.

28. O ŚMIERCI-WYBAWICIELCE

Przyjaciółka moja, śmierć-wybawicielka, przyszła do domu kapitana Uggli w sierpniu, księżycową nocą. Ale nie śmiała wkroczyć wprost w gościnne mury, gdyż niewielu ma miłośników.

Błada przyjaciółka moja, śmierć-wybawicielka, ma mężne serce. Lubi mknąć przez powietrze w chmurze kul, bierze na barki świszczący granat i śmieje się, gdy granat pęka miotając odłamki. Tańczy po cmentarzyskach i wchodzi śmiało do sal szpitalnych, niepomna zarazy, ale waha się na progu ludzi zacnych i dobrych. Nie chce, by ją witano łzami, lecz pragnie radosnego przyjęcia, bowiem wyswobadza duchy z więzów bólu, pomaga im strząsnąć z siebie pył ziemski i żyć wśród wolnych przestrzeni świata.

Śmierć wśliznęła się do starego gaju za domem, gdzie dziś jeszcze smukłe brzozy o białych pniach cisną się, by wywalczyć trochę światła dla swych wątłych czubów. W gaj ten, podówczas młody jeszcze, pełen bujnej zieleni, wśliznęła się za dnia, a nocą staje błada na skraju lasu z kosą błyskającą w świetle księżyca.

O Erosie, twoim był ów gaj w owe czasy. Starzy opowiadali mi, że niegdyś kryły się tam miłosne pary, a mnie samej, znużonej uciążliwym wspinaniem się na wzgórze i dławiącym kurzem drogi, gaj ten pod Bergą, dziś rzadki już, przypomina miłość pięknych, młodych ludzi.

Stała tam śmierć i widziały ją zwierzęta nocą. Wilki wyły zwiastując jej przyjście, zmije pełzły ścieżkami aż do domów, a ludzie czuli, iż są to zwiastuny mocarnej śmierci. W jabłoni pod oknem pani Uggli huknęła sowa, bowiem wszystko, co żywe, zna śmierć i drży przed nią.

Pewnego razu, po przyjęciu na broeńskiej plebanii wracał sędzia z Munkerudu z żoną około drugiej w nocy i mijając Bergę, zoczył światło w gościnnym pokoju. Oboje widzieli dokładnie żółty płomień i białą świecę i opowiadali potem, jak ich zdziwiło to światło palące się w jasną noc letnią.

Wesołe dziewczęta bergijskie śmiały się, twierdząc, że sędziostwo widzieli pewnie duchy, gdyż świec w domu od marca nie stało, a dawno już nikt w gościnnym pokoju nie mieszkał, ale kapitanowa pobladła i nie rzekła nic. Wiedziała dobrze, że paląca się żółtym płomieniem świeca oznaczała, że śmierć-wybawicielka przybyła po kogoś z rodziny.

Niedługo potem, w przepiękny sierpniowy dzień wrócił Ferdynand z robót mierniczych w lasach na północy, błady i chory nieuleczalnie na płuca, a matka na pierwszy rzut oka spostrzegła, że musi umrzeć.

Taki los miał spotkać syna, który nigdy nie sprawił rodzicom żadnej troski. Porzucić musiał życie pełne radości, czekającą nań narzeczoną i bogate tętniące od młotów huty, których właścicielem miał zostać.

Przy zmianie księżycy nabrała moja blada przyjaciółka odwagi i podeszła nocą pod dworek. Wiedziała, że mieszkańcy mężnie znoszą głód i niedostatek, sądziła tedy, że i ją przyjmą mile.

Powoli podpełza zwirową ścieżką i rzuca cień na osrebrzony rosą trawnik. Nie zbliża się jak wesoly żniwiarz, przybrany w kwiaty, wiodący dziewczynę, ale kroczy pochylona, wychudła, z kosą ukrytą w zwojach płaszcza, a sowy i nietoperze wirują naokół.

Pani Uggla nie spała, więc posłyszawszy pukanie usiadła w łóżku, pytając:

— Kto puka?

Starzy powiadali mi, że odpowiedź brzmiała:

— Śmierć puka.

Pani Uggla wstała, otworzyła okno, ujrzała sowy, nietoperze i światło księżycy, ale nie dostrzegła śmierci.

— Chodź! — rzekła z cicha. — Czemuż zwlekasz, wybawicielko? Czekałam i wzywałam cię. Chodź i wybaw syna mego.

Śmierć wśliznęła się do domu, radosna jak król strącony z tronu, któremu na starość zwrócono koronę, wesola jak dziecko do zabawy wezwane.

Następnego dnia usiadła pani Uggla przy łożu syna i jęła mu opowiadać o szczęśliwości duchów wyzwolonych oraz życiu rozkosznym, jakie wiodą.

— Pracują i działają! — mówiła. — Są to artyści niezrównani, drogi synu. Po złączeniu się z nimi powiesz mi, czym zostałeś! Czy rzeźbiarzem nie potrzebującym dłuta, twórcą róż i lilii, czy może mistrzem barw. Wówczas patrząc na zachód, będę sobie mówiła: „To dzieło mego Ferdynanda”.

Pomyśl, ile tam jest do obejrzenia i roboty. Trzeba wiosną budzić do życia ziarna, kierować burzami, rozsyłać sny i odbywać długie wędrówki ze świata na świat.

Gdy ujrzysz tyle piękna, synu drogi, wspomnij o mnie, o matce swej, która w życiu znała jeno Värmlandię.

Pewnego dnia staniesz przed Bogiem i poprosisz go o jakiś mały światek w przestrzeni, a on ci go da. Będzie ciemny, pełen przepaści i skał, bez kwiatów i zwierząt. Musisz się jąć pracy, stworzyć światło, ciepło, powietrze, rośliny, słowiki, jasnookie gazele, wodospady, spiętrzyć góry i zasadzić doliny cudnymi różami.

Gdy zaś będę miała umrzeć, drogi Ferdynandzie, i zatruwoży mnie rozłąka ze znaną okolicą, zajedziesz pod moje okna karetą złocistą, zaprzęzoną w rajskie ptaki.

Biedna, niespokojna dusza moja wsiądzie niby królowa i pojedziemy przez niebiosy mijając lśniące światy. Ja będę raz po raz pytała widząc coraz piękniejsze osiedla niebiańskie, czyby się tu i ówdzie nie zatrzymać.

Ty jednak będziesz z uśmiechem ponaglał ptaki i dotrzemy do świata małego, ale piękniejszego od innych, staniemy przed złotym pałacem i wprowadzisz mnie do przybytku wieczystego wesela.

Będą tam pełne spichrze i szafy biblioteczne. Las nie będzie jak w Berdze przesłaniał widoku, ale spojrzenie pójdzie po rozłogach mórz i oblanych światłem równinach, a tysiąc lat będzie jak dzień jeden.

Ferdynand zmarł zapatrzony w uroczę obrazy, z uśmiechem na ustach.

Przyjaciółka moja, śmierć-wybawicielka, nie widziała zgonu równie pięknego. Stali wokół jego zwłok zapłakani ludzie, on jednak uśmiechał się do siedzącego na krawędzi łóżka zjawiska z kosą, a rżenie jego wydało się matce muzyką. Drżała z obawy, czy śmierć zdoła swego dokazać, gdy zaś wszystko minęło, w oczach jej zabłyśły łzy radości i spadły na skostniałą twarz syna.

Nigdy nie doznała blada moja druhna tylu zaszczytów, co na pogrzebie Ferdynanda Uggli. Gdyby śmiała pokazać się ludziom, ujrzeliby, jak w berecie z piórami i złotoszytym płaszczu tańczy na czele pochodu. Ponieważ jednak brakło jej odwagi, siadła w czarnym płaszczu, skulona, na cmentarnym murze i czekała na korowód.

Przedziwny był to pogrzeb! Słońce świeciło, białe chmury płynęły po niebie, drogę zdobiły długie szeregi stert zboża. Jabłka w ogrodzie plebańskim wabiły blaskiem, a z ogrodu kościelnego wyzierały goździki i georginie.

Przedziwny był to pogrzeb, kroczący lipową aleją. Przed okrytą kwiatami trumną dzieci sypały kwiaty. Nikt nie miał sukni żałobnych ni krep czarnych, gdyż matka chciała, by orszak syna, który zmarł wesoło, był świetnym pochodem ślubnym.

Tuż za trumną szła Anna Stjärnhök, piękna narzeczona zmarłego, w wianku ślubnym, welonie i białej jedwabnej sukni z trenem. Tak przybrana kroczyła, by nad grobem połączyć się ze zmarłym.

Za nią szli parami okazali, starzy ludzie. Piękne, wykwintne damy w lśniących naramiennikach, broszach złotych i perłowych koliach. Wysokie pióra strzelały spośród jedwabiu i koronek na turbanach, zaś z ramion spływały jedwabne ślubne szale na barwne suknie. Mężczyźni przybyli przystrojeni w bufiaste żaboty, fraki z wysokimi kołnierzami i złocistymi guzikami, w kamizelkach ze sztywnego brokatu lub szytego złotem aksamitu. Był to istny korowód ślubny, a stało się tak z woli i życzenia pani domu.

Ona sama szła za Anną Stjärnhök u boku męża. Nie posiadała sukni z lśniącego brokatu ni ozdób, ni wspaniałego turbanu, bo przystroiłaby się w to na pewno ku czci syna. Ubrana była w suknię czarną z połówkami koronek jak na każdą uroczystość, gdyż innego stroju nie miała.

Wystrójni goście płakali wszyscy przy cichym odgłosie dzwonów, i to nie tyle nad zmarłym, co nad sobą. Oto narzeczona kroczyła za swym wybrańcem, oni zaś szli z wolna za nimi, z dziwnym uczuciem, że każdy podlega trosce i cierpieniu, że każdy musi umrzeć i że nic go przed tym uchronić nie może.

Jedna tylko matka spośród wszystkich miała suche oczy.

Po ukończeniu modlitw zasypano grób i goście wrócili do powozów, a na cmentarzu została jeno pani Uggla i Anna Stjärnhök, by się pożegnać ze zmarłym.

— Prosiłam Boga — rzekła matka — by przysłał śmierć zbawczą i zabrał syna mego ukochanego do siedziby pokoju. Postanowiłam, że będę ronila jeno łzy radości, że go odniosę do grobu z weselną wystawą, a na mogile posadzę czerwony krzaczek różyn rosnący za oknem mej sypialni. I stało się tak, umarł. Powitałam skon jak najlepszego przyjaciela, przywołałam go najczulszymi słowami, a moje łzy radości spadły na sztywną twarz zmarłego. Jesienią, gdy liście opadną, posadzę mu czerwoną różę na grobie. Ale czy wiesz, ty, która tu siedzisz, czemu o to prosiłam Boga?

Spojrzała na siedzącą obok bladą Annę, która zdawała się walczyć ze sobą. Walczyła chcąc stłumić myśl szepczącą jej już tu, na świeżej mogile, że jest wolna.

— Tyś temu winna! — rzekła pani Uggla.

Dziewczyna skuliła się jak pod ciosem maczugi i nie dała odpowiedzi.

— Anno, dawniej byłaś dumna, samowolna, igrałaś z mym synem, zaręczyłaś się z nim, a potem zerwałaś zaręczyny. Musiał się z tym pogodzić, jak niejeden przed nim. Może też kochał, jak i my, pieniądze twe na równi z tobą. Potem atoli wróciłaś do nas z obfitymi darami, zmieniona, łagodna, silna i dobra, otoczyłaś nas miłością, uszczęśliwiłaś, a my, biedacy, leżeliśmy u stóp twoich.

A mimo to pragnęłam, byś nigdy nie wróciła, gdyż nie musiałabym prosić Boga, by skrócił życie syna mego. W zeszłym roku zniósłby jeszcze to, że cię stracił, ale teraz sił by mu już nie stało.

Chociaż dziś odprowadziłaś go w ślubnej sukni do grobu, nie stanęłabyś z nim w niej nigdy u ołtarza, gdyż nie kochałaś go.

Spostrzegłam, że wróciłaś jeno przez litość, by ulżyć doli naszej. Nie kochałaś go, a ja to poznałam, ponieważ wiem co to miłość. Dlatego też właśnie prosiłam Boga, by go zabrał, zanim otworzą mu się oczy.

Ach, gdybyś go kochała, wszystko byłoby inaczej! Po co jednak wracałaś bez miłości? Z obowiązku musiałabym mu powiedzieć, że jeno z miłosierdzia, nie z miłości chcesz go poślubić. Musiałabym skłonić go, by cię zwolnił, i przez to zniweczyłabym szczęście jego życia. Nie chcąc mu odbierać spokoju ducha, prosiłam Boga, by go zabrał. Radowały mnie jego zapadłe policzki i ciężki oddech i bałam się, że śmierć nie zdoła dokonać dzieła swego.

Czekała odpowiedzi, ale Anna milczała zasluchana w różne głosy swej duszy.

Pani Uggla zawołała z rozpaczą:

— O, jakże szczęśliwi są ci, którzy mogą oplakiwać zmarłych swoich! Ja muszę stać z suchymi oczyma u grobu syna i radować się z jego śmierci. Jakże jestem nieszczęśliwa!

Anna przycisnęła rękę do piersi. Wspomniała noc zimową, kiedy to na młodą miłość swoją przysięgała być temu człowiekowi pociechą i podporą. Drzenie ją przejęło. Czyż wszystko było nadaremne? Czyż Bóg nie przyjął jej ofiary? Czyż wszystko obrócić się miało na złe?

A może Bóg pobłogosławiłby jej dziełu, gdyby poświęciła wszystko, i uczyniłby ją dawczynią szczęścia, pocieszycielką tych ludzi?

— Czegóż trzeba, byś mogła smuć się śmiercią syna twego? — spytała.

— Trzeba, bym przestała wierzyć oczom moim! Trzeba, bym miała dowód, że kochasz go!

Anna wstała, a oczy jej rozbłyły uniesieniem. Zerwała ślubny welon i nakryła nim głowę, zdjęła wianek i koronę, i położyła je na grobie.

— Patrz, jak go kocham! — zawołała. — Daję mu wianek mój i koronę. Oto zostałam mu poślubiona i niczyją w życiu już nie będę!

Pani Uggła wstała także. Milczała przez chwilę, drżąc na całym ciele, a w końcu lży bólu pocięły z jej oczu.

Błada przyjaciółka moja, śmierć-wybawicielka, wzdrygnęła się na widok tych łez, gdyż oto i tu nawet nie została powitana z radością, i tu nie cieszono się nią z głębi serca.

Nasunąwszy kaptur na oczy zlazła chyłkiem z cmentarnego muru i znikła pośród stogów zboża na polu.

29. SUSZA

Rada by posiąść miłość rzeczy martwych, gdyby kochać umiały, gdyby ziemia i woda czy- niły różnicę pomiędzy przyjaciółmi a wrogami. Chciałabym, by ziemi nie ciążyły kroki moje, by mi przebaczyła, iż ją kaleczę broną i pługiem, by się ochotnie kiedyś rozwarła przed mym martwym ciałem. Rada bym, by fala cierpliwie znosiła prucie mych wiosel, jak matka znosi cierpliwie wspinanie się ruchliwego dziecka, nie bacząc, że pogniecie jedwab sukni. Chciałabym być przyjaciółką czystego powietrza nad górami, słońca i gwiazd. Często wydaje mi się, że rzeczy nieożywione czują i cierpią wraz z istotami żywymi.

Nie taka je od nas dzieli przegroda, jak sądzą ludzie. Gdzież jest pyłek ziemi nie wciągnięty w obieg życia? Czyż kurz uliczny nie był ongiś włosiem gładzonym mile, a woda w brudzie czyż nie płynęła jako krew przez tętniące serce?

Duch życia mieszka jeszcze w martwych rzeczach. Leżąc w śnie czujnym słyszy on głos boży — a czy baczy też na głos ludzi?

O wy, dzieci dzisiejszych czasów, czyż nie spostrzegłyście tego? Martwe rzeczy cierpią, ile razy niezgoda i zawiść ogarną świat. Fala staje się dzika jak włóczęga, a pole przypomina skąpca. Biada jednak temu, z powodu którego wdycha las i płaczą góry!

Dziwny był, zaiste, rok panowania kawalerów. Niepokój ludzki ogarnął, zda się, rzeczy martwe. Nie wiem, jak nazwać tę zarazę szerzącą się po okolicy. Przypuścić trzeba chyba, że kawalerowie byli bogami ożywiającymi wszystko duchem swoim, duchem awanturniczości, beztroski i rozpasania.

Świat by się zdumiał, gdyby opowiedzieć wszystko, co zaszło w tym roku pośród ludzi nad Lövenem. Zbudziła się stara miłość i zapłonęła dawna nienawiść, rozgorzała żądza użycia, tańca i żartów, gry i pijaństwa, a wszystko, co najskrytsze w duszach, wyszło na jaw.

Zaraza niepokoju wyszła z Ekeby, ogarnęła kopalnie żelaza i osiedla, podniecając ludzi do nieprawości, do grzechu. Śledzić ją możemy dziś wśród większych posiadłości, gdyż starzy ludzie przechowali nam wspomnienia wydarzeń, natomiast nie sposób stwierdzić, jak szła od wsi do wsi i od chaty do chaty. Dość, że gdzie tlił występki, tam wybuchał całą siłą, każda rysa w stosunkach rodzinnych przemieniała się w przepaść, a wielkie cnoty czy silna wola wychodziły z ukrycia. Nie wszystko było bowiem złem w tym czasie. Ale dobro nabierało właściwości niszczących podobnie jak zło. Gdy burza szaleje, pada jodła za jodłą, pociągając się wzajem, a nikłe poszycie lasu niszczyje wraz z olbrzymami.

Szałość zawładnęła chłopami i służbą folwarczną, wszystkim w głowach zaszumi- ło. Nigdy tak nie tańczono po rozstajach, nie opróżniano tak prędko beczki piwa, nigdy kocioł wódczany nie pochłonął tyle zboża, nie odbywano liczniejszych biesiad i nigdy tak krótkiej nie było przerwy pomiędzy ostrym słowem a ciosem noża.

Z odejściem majorowej zabrakło silnej ręki, więc upojeni wolnością ludzie zaczęli szaleć i niszczyć. Został im jeno pan i mistrz umiłowany, to jest wódka. Były to czasy, kiedy sądzono, że dla chłopów nie ma ratunku i że wódka wypieni ich doszczętnie.

Niepokój ludzki przeszedł także na wszelki twór żywy. Nigdy groźniejsze nie były wilki i niedźwiedzie, lisy i sowy nie darły się gorzej i nie rabowały zuchwalej, nigdy nie ginęły tak zablakane w lesie owce, nigdy też więcej chorób nie trapiło cennego bydła.

Kto chce spostrzec wzajemny związek rzeczy, winien opuścić miasto i zamieszkać w samotnej chacie pod lasem. Winien on nocami doglądać mielerza lub żyć cały miesiąc na tratwie płynącej wolno po jeziorze Vänern. Wtedy spostrzeże znaki przyrody i pozna, jak są zależne rzeczy martwe od żywych, jak znika ich spokój, gdy zamieszanie powstaje na ziemi. Wiedzą to chłopci. W takim czasie złe duchy gaszą mielerze, wodnice psują łódź, a zarazą przychodzi na ludzi i bydło. Tak się też działo onego roku. Nigdy roztopy wiosenne nie narobiły tylu szkód. Młyn ekebijski i kuźnia niszczyły. Małe potoczki, które dawniej w razie przyboru zdołały co najwyżej zabrać pustą szepę, rzucały się teraz na całe zagrody i osiedla, rozbijając je w puch. Przed Janem narobiły szkód większych niż w inne lata, zaś potem nastąpiła susza.

Podczas długich dni lata nie spadła ni kropla deszczu. Od połowy czerwca do początku września słońce prażyło całą okolicę.

Deszcz nie chciał upaść, ziemia odmówiła pożywienia, wiatry nie wiały. Słońce paliło ziemię. Trudno źle mówić o słońcu! Podobne jest do miłości, któż nie zna atoli jej występków i któż ich nie przebaczy? Słońce podobne jest do Gösty Berlinga — raduje ludzi i dlatego milczą o złem, które im czyni.

Susza poświętojańska nie wywołała może nigdzie takiej klęski jak w Värmlandii. Wiosna się opóźniła, trawa wyrósć nie zdołała, żyto zaś nie miało pożywki w czasie okwitu i plonowania. Zboża jare, które wówczas najwięcej chleba dostarczały, miały małe, chude kłoski i niskie były wielce. Późno zasiane buraki nie urosły, a z twardej jak kamień ziemi nawet ziemniaki nie zdołały dobyć pożywienia.

Zaniepokoiło to mieszkańców leśnych szałasów i wieść smutna poszła z gór na doliny, ku spokojniejszej ludności.

— Ręka boża szuka kogoś! — jęli powtarzać chłopci.

Każdy bił się w pierś i pytał:

— Czyż to ja... matko naturo, może to ja właśnie jestem wszystkim winien? Może z mego powodu deszcz nie pada? Może ze złości na mnie stwardniała ziemia? Może na moją to głowę słońce gromadzi żarzące węgle z bezchmurnego nieba. A jeśli nie jam winien, kogóż szuka ręka boża?

Dziwne rozmowy krążyły po okolicy, gdy marniały żyta i ziemniaki, gdy bydło o zagnionych oczach, chwytając z trudem powietrze, stało u pustych studzien, a serca ludzi ścisnęło strach.

— Taka klęska nie może być bez przyczyny! — powiadano sobie. — Kogóż to szuka ręka boża?

Pewnej niedzieli sierpniowej, po nabożeństwie, szli ludzie grupami wzdłuż spieczonej drogi. Jak okiem sięgnąć, widzieli popalone lasy i nieurodzaj. Żyto już zebrano, ale było bardzo nikłe. Łatwo było tego roku użyźnić pole przez palenie, ale nieraz zajmowały się od tego suche lasy. Co ocalało od ognia, zjadło robactwo, a jodły bez szpilek stały nagie jak liściaste drzewa jesienią. Liście brzoź wisały wystrzępione, z wystającymi żebrami, na poły zjedzone.

Nie brakło smutnym ludziom tematu do rozmowy. Wspominano klęski roku 1808 i 1809, a także ostrą zimę 1812, kiedy to martwe wróble spadały z dachów. Znali oni głód i patrzyli nieraz w jego straszną twarz. Umieci też piec chleb z kory i przyuczać krowy do jedzenia mchu.

Jedna z kobiet spróbowała upiec chleb z jagód i jęczmiennej mąki, dawała go ludziom próbować i dumna się czuła z tego odkrycia.

Wszystkich niepokoiła jedna myśl i wszyscy pytali:

— Kogóż, o Panie, szuka ręka twoja? Któż to, o sędzio surowy, odmówił ci ofiary modlitwy i dobrych czynów, przecz nam odmawiasz nędznego chleba?

Pewien człowiek spośród ponurej gromady ludzi, ciągnącej przez wzgórze Broby w kierunku Sundbron przystanął opodal mieszkania skąpego proboszcza, podniósł z ziemi suchą gałązkę i rzucił ją na drogę wiodącą do plebanii.

— Suche jako ta gałąź były modły jego! — powiedział.

Idący za nim zatrzymał się też, dorzucił gałązkę i rzekł:

— Jaki pleban, taka ofiara.

Trzeci poszedł za ich przykładem.

— Był on jak ta susza. Zostawił nam jeno suche konary i słomę.

Czwarty dodał:

— Oddajmyż mu te dary!

Piąty zawołał:

— Na wieczną hańbę rzucam mu ten patyk! Niech zeschnie jako ta gałąź!

— Sucha strawa dla proboszcza, który na nas suszę sprowadził.

Ludzie inni nadeszli, a słysząc i widząc wszystko, pojęli to, o co pytali ludzie przedtem.

— Dajcie wszyscy, co się należy temu, który sprowadził suszę! — zaczęto powtarzać.

Na rozdrożu wyrosła rychło kupa suszu i słomy ku hańbie proboszcza z Broby.

Była to jedyna zemsta ludności. Nikt nie rzekł mu w twarz złego słowa, nikt nie podniósł nań ręki, ale sercom ulżyło to rzucanie suchych gałęzi. Nie wykonywali sami pomsty wskazując jeno sprawiedliwości boskiej tego, któremu należy się odpłata.

— Jeślimy ci nie służyli, jako trzeba, to z winy tego człowieka! — mówili. — Bądź miłościwy, Panie, i ukarż jego samego. Piętnujemy go hańbą i pozbawiamy czci. Nie jesteśmy jak on.

Bardzo rychło weszło w zwyczaj, że każdy przechodzień rzucał suchą gałąź na znak hańby, mówiąc:

— Niechże to widzi Bóg i widzą ludzie. Ja także pogardzam człowiekiem, który ściągnął na nas gniew boży.

Stary skąpiec spostrzegł zaraz stertę gałęzi i kazał ją usunąć. Mówiono, że użył jej na opał. Ale nazajutrz wyrosła na tym samym miejscu nowa kupa i tak było ciągle. Suche gałęzie leżały, mówiąc:

„Hańba! Hańba księdzu proboszczowi brobijskiemu!”

Ciężkie, gorące, przesycone odorem spalenizny powietrze zmoczyło umysły, tak że proboszcza uznano za demona suszy. Chłopom wydało się, że ten skąpiec stary pilnuje służ niebieskich.

Niedługo zrozumiał proboszcz zamiar gminy. Pojął, że piętnują go jako sprawcę zła. Bóg, gniewny nań, nękał ziemię. Załoga okrętu, znajdująca się w niebezpieczeństwie na pełnym morzu, rzuciła kości i jego skazała na rzucenie w wodę. Zrazu śmiał się z suchych gałęzi, ale po tygodniu zamilkł. To przecież dziecinada! Cóż mogły mu zrobić suche gałęzie? Wiedział, że w ten sposób wyładowywała się wieloletnia nienawiść. I cóż stąd? Nie nawykł do miłości!

Nie zlągodniał też wcale. Po odwiedzinach starej panny nabral, co prawda, ochoty do przemiany, ale teraz właśnie nie mógł przymusić się i być lepszym.

Z czasem jednak stos gałęzi zaczął mu dokuczać. Zapatrywanie ogółu zapuściło w nim korzenie. Rzucanie suchych gałęzi wydało mu się okropne. Patrzył na stertę, liczył dokładnie gałęzie, a myśl ta wyparła z wolna wszystkie inne. Stos zwyciężył go.

Z każdym dniem przyznawał większą rację ludziom. Pochylił się, zestarzał w ciągu paru tygodni, miał ciągle wyrzuty sumienia i niemal zachorzał. Wszystko to łączył teraz z ową stertą, pewny, że wraz z jej zniknięciem odzyska siły i przestanie go trapić sumienie.

W końcu siadł przy drodze i pilnował stosu przez cały dzień. Ale miłosierni ludzie dorzucali gałęzi nocą.

Pewnego dnia jechał drogą Gösta Berling i zobaczył proboszcza nad rowem skulonego i pokrytego kurzem. Wyciągał suche gałęzie i układał je w kupki i rzędy, bawiąc się jak dziecko. Goście żal się zrobiło proboszcza.

— Cóż to ksiądz robi, księżo proboszczu? — spytał zeskakując z wozu.

— Siedzę i układam gałęzie! — odparł. — Właściwie nic nie robię.

— Powinien by ksiądz wrócić do domu, a nie siedzieć w kurzu gościńca.

— Najlepiej mi tu.

Gösta usiadł przy nim.

— Nielatwa to rzecz być proboszczem — zauważył po chwili.

— Tutaj, na nizinach jeszcze jako tako pośród ludzi — odparł proboszcz — ale w górach źle.

Gösta wiedział, co znaczą te słowa. Znał parafie północnej Värmlandii, bez mieszkań dla proboszczów, w wielkich lasach, gdzie żyją Finowie w kurnych chatach, rzadko rozsiani i gdzie proboszcz jest jedynym cywilizowanym człowiekiem. W jednej z takich parafii spędził proboszcz brobijski lat dwadzieścia.

— Posyłają nas tam za młodu! — powiedział Gösta. — Ale nie sposób tego życia znieść i człowiek się wypacza. Niejeden przez to zmarniał.

— Tak — rzekł proboszcz. — Samotność wypacza ludzi.

— Przybywamy — wpadł mu żywo w słowo Gösta — mówimy, napominamy, uczymy i zdaje nam się, że gmina rychło wkroczy na lepsze tory.

— Tak, tak!

— Ale szybko przekonujemy się, że słowa nasze nie znaczą nic. Nędza stoi na przeszkodzie i nie dopuszcza do poprawy.

— Nędza! — powtórzył proboszcz. — Nędza zniweczyła życie moje.

— Młody proboszcz — ciągnął dalej Gösta — powiada pijakowi: „Nie pij!”

— A pijak odpowiada — przerwał mu proboszcz — „Dajże mi coś lepszego od wódki! Wódka w zimie grzeje, a w lecie chłodzi! To ciepła izba i miękkie łoże! Daj mi to wszystko, a pić przestanę”.

— Potem — mówił dalej Gösta — powiada młody proboszcz do złodzieja: „Nie kradnij”, do złego męża mówi: „Nie bij żony swojej”, a do zabobonnego: „Wierz w Boga, a nie w gusła, duchy i upiory!” Złodziej odpowiada: „Daj mi chleba!” Zły mąż odpowiada: „Zrób nas bogatymi, a zaprzestaniemy swarów!” A zabobonny odpowiada: „Naucz mnie czegoś lepszego!” Któż im jednak może pomóc bez pieniędzy?

— To prawda! To prawda! — zawołał proboszcz. — Słowo w słowo prawda! Wierzyli oni w Boga, ale silniej jeszcze w diabła, czary i gusła! Wszystko zboże szło na wódkę i końca nie było niedoli. W większej części brudnych chat panowała stale nędza, ciągnęła troska czyniła kobiety kłótliwymi, a złe stosunki domowe popychały mężczyzn do pijaństwa. Nie umieli uprawiać pola ni hodować bydła. Bali się szlachcica, a drwili z proboszcza. Cóż miałem robić, skoro nie rozumieli, co do nich mówię z kazalnicy, i nie wierzyli naukom moim. Przy tym nie miałem się kogo poradzić ani nikt mi nie dodał otuchy.

— Niektórzy księża wytrzymali takie życie! — rzekł Gösta. — Bóg sprawił, że niektórzy wrócili nie złamani. Starczyło im sił, by znieść samotność, przetrzymać nędzę i beznadzieję, nie popaść w rozpacz. Byli i są jeszcze ludzie tacy. To bohaterowie. Czcić ich będę do śmierci. Ja nie byłbym zdolny do czegoś podobnego.

— Ja także nie zdołałem! — rzekł proboszcz.

— Taki ksiądz — ciągnął dalej w zamyśleniu Gösta — postanawia zostać bogatym, bardzo bogatym, gdyż wie, że w biedzie nie zwalczy zła. I zaczyna zbierać pieniądze.

— Gdyby nie zbierał pieniędzy, zacząłby pić! — odparł proboszcz. — Widzi tyle nędzy!

— Albo utraciłby siły i zobojętniał! — rzekł Gösta. — Niebezpiecznie w owych stronach człowiekowi, który się tam nie urodził.

— Taki człowiek — zauważył proboszcz — musi być twardy dla siebie i innych. Zrazu udaje tylko, a potem zbieranie pieniędzy staje się nawykiem.

— Musi być twardy! — przyznał Gösta. — Trudna to rzecz oszczędzać. Trzeba znosić nienawiść, pogardę, marznąć, głodować i pilnować swego serca. Z czasem człowiek taki zapomina, po co zaczął zbierać majątek.

Proboszcz spojrział nań nieufnie. Wydało mu się, że Gösta zeń drwi. Ale Gösta mówił poważnie i z zapalem, jakby we własnej sprawie.

— Tak się stało i ze mną! — rzekł proboszcz z cicha.

— Ale Bóg czuwa nad tym człowiekiem — mówi dalej Gösta — i budzi dawne myśli, gdy już dość naskładał. Daje proboszczowi znak, że go potrzebuje.

— A jeśli proboszcz nie usłucha tego znaku, cóż wtedy, Gösto?
— Nie zdoła się oprzeć! — odparł rozpromieniony Gösta. — Zbyt kusząca jest myśl, że pomoże biedakom w budowie ciepłych chat.

Proboszcz spoglądał na kupki gałęzi, a im dłużej słuchał, tym większego nabierał przekonania, że Gösta ma słuszość. Zawsze pragnął zacząć czynić dobrze, gdy dość naszkłada. W końcu uczeplił się tej myśli, pewny, że miał ją zawsze.

— Czemuż proboszcz taki nie buduje chat? — spytał nieśmiało.

— Wstydzi się! Można go bowiem posądzić, że nie spełnia własnego pragnienia, ale czyni to zniewolony przez ludzi.

— Nie może znieść myśli, że można by go przyniewolić! Oto cały powód!

— Może jednak działać potajemnie. W tym roku pomoc jest bardzo potrzebna. Może rozdzielić swe dary przez kogoś. Znam się na tym! — zawołał Gösta z błyszczącymi oczyma. — W tym roku tysiące bochenków chleba ludzie dostać powinni od tego, któremu urągali!

— Tak będzie Gösto!

Ci dwaj, którzy nie umieli spełnić dobrowolnie wziętych na siebie obowiązków, popadli w rozmarzenie. Odżyła w nich młodzieńcza ochota służenia Bogu i ludziom. Zaczęli fantazjować na temat przyszłych dobrodziejstw, które będą świadczyć ubogim. Gösta miał zostać pomocnikiem proboszcza.

— Musimy przede wszystkim postarać się o chleb! — rzekł proboszcz.

— I o nauczycieli! Sprowadzimy mierników, którzy rozdzielą ziemię. Potem nauczy się ludzi uprawy pola i hodowli bydła.

— Wytyczymy nowe drogi i ugory zamienimy w urodzajną ziemię.

— Zamkniemy wodospad bergijski słuzami, tak że z Lövenu przejechać będzie można wprost na jezioro Väner.

— Bogactwo naszych lasów da podwójne zyski, gdy osiągniemy dostęp do morza.

— Błogosławieństwo spłynie na naszą głowę! — zawołał Gösta.

Proboszcz podniósł wzrok. Czytali sobie wzajem w twarzach taki sam zapach. Ale po chwili oczy ich napotkały stertę gałęzi.

— Gösto! — rzekł proboszcz. — To wszystko wymaga sił wielkich, a ja jestem bliski śmierci. Wiesz przecież, co mnie wpędza do grobu.

— Usunąć to!

— W jaki sposób?

Gösta przystąpił doń, spojrzawszy ostro w oczy i rzekł:

— Proś Boga o deszcz! W niedzielnym kazaniu niech ksiądz prosi Boga o deszcz!

Proboszcz skulił się przerażony.

— Jeśli prawdą jest, że nie sprowadziłeś suszy, jeśli chcesz służyć Bogu szczerym sercem, to proś o deszcz! To będzie dla nas znak. Poznamy, czy Bóg udzieli błogosławieństwa naszemu przedsięwzięciu.

Zjeżdżając z brobijskiego wzgórza Gösta dziwił się własnemu zapalowi. Wspaniałe mogło być życie! Tak, tylko nie dla niego. Od niego nie chcieli ci w górze przyjmować usług.

Skończyło się kazanie w brobijskim kościele, odmówiono zwykle modlitwy. Proboszcz miał zejść z kazalnicy, ale wahał się. W końcu padł na kolana i jął błagać o deszcz.

Modlił się jak człowiek zrozpaczony, w niewielu urywanych słowach bez związku:

— Jeśli grzech mój obudził twój gniew, o Panie, to ukarż mnie samego. Jeśli jesteś Bogiem miłosierdzia, to ześlij deszcz! Zdejm ze mnie hańbę! Daj, aby na prośbę moją spadł deszcz! Niech orzeźwi pola biedaków! Daj chleba ludowi twemu!

Dzień był upalny i parny wielce. Wierni siedzieli drzemiąc na poły. Ale zbudziły ich te rozpaczne, urywane dźwięki.

— Jeśli jest dla mnie jeszcze droga powrotu, to spuść deszcz, o Panie!...

Umilkł. Drzwi były otwarte. Nagle uderzył wicher potężny, wpędzając do wnętrza chmurę kurzu, gałęzi i słomy. Proboszcz nie mógł mówić i zszedł chwiejnie z kazalnicy.

Ludzie drgnęli. Czy miała to być odpowiedź?

Wicher był zwiastunem burzy. Naciągnęła z szybkością niepojętą. Gdy śpiew umilkł, a proboszcz stał przed ołtarzem, zamigotały błyskawice i grzmot przygłuszył jego słowa. Kiedy organista kończył ostatnie akordy, wielkie krople siec zaczęły po oknach kościelnych, a wszyscy wybiegli patrzeć na deszcz. Nie poprzestając na samym patrzeniu, płakali, śmiali się i kąpali w ulewie. Ach, jakże wielka była ich niedola! Ale Bóg dobry zesłał deszcz! Cóż za radość, cóż za radość!

Jeden tylko proboszcz brobijski nie wyszedł na ulewę. Leżał na stopniach ołtarza i nie wstawał. Umarł z nadmiaru radości.

30. MATKA

Urodziło się w małej chatce chłopskiej na zachód od Klarelfu, gdzie matka jego przybyła w początkach czerwca na służbę. Powiedziała gospodarzom, że spodziewa się dziecka nieślubnego i uciekła z domu przed gniewem matki. Podała, że nazywa się Elżbieta Karlsdotter, ale nie chciała powiedzieć, skąd jest, a to dlatego, że mógłby ktoś donieść rodzicom, którzy by ją niechybnie na śmierć zadręczyli. Nie żądała zapłaty, jeno pożywienia i dachu nad głową za pracę, tkanie, przędzenie czy doglądanie krów. Chciała robić wszystko, a nawet ofiarowała się płacić za swój pobyt.

Przez ostrożność weszła do chaty bosą, z trzewikami pod pachą. Miała ręce zniszczone pracą, mówiła narzeczemu okolicznym i ubrana była po wiejsku, toteż uwierzono jej. Gospodarz uznał ją za nadto słabą do pracy, ale musiała się gdzieś przytulić. Pozwolono jej przeto zostać.

Pozyskała życzliwość wszystkich domowników, a dostała się do domu dobrych ludzi, poważnych i cichych. Gospodyni spodobało się wielce, że umie tkąć drelichy, pożyczyla tedy warsztatu od dziekanowej i Elżbieta spędziła przy nim całe lato.

Nikom nie przyszło do głowy, że trzeba jej szczeni.

Przez cały czas pracowała jak dziewczka wiejska. Nie czuła się nieszczęśliwa i upodobała sobie życie chłopskie, mimo braku wygod, do których przywykła. W tym domu brano wszystko spokojnie i po prostu, myśli krążyły ciągle koło pracy, a dni płynęły tak jednostajnie, że nie wiadomo, jak zbiegał tydzień i nadchodziła niedziela.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia trzeba było pospiesznie żąć żyto, a Elżbieta wraz z innymi poszła wiązać snopy. Wysiłła się ponad miarę i dziecko przyszło przedwcześnie, gdyż spodziewała się go w październiku dopiero.

Gospodyni stała przy kominie i grzała noworodka, który marzył mimo sierpniowego ciepła, matka leżała obok nasłuchując, co mówiono o maleństwie. Wyobrażała sobie, jak parobcy i dziewczki podchodzą i oglądają je.

— Cóż za biedne, małe stworzenie! — powtarzali w kółko. — Biedactwo nie ma ojca!

Każdy dziwił się, że jest takie czerwone i pomarszczone, ale zawsze ktoś drugi objaśniał, że tak wyglądają wszystkie niemowlęta. Nikt się nie użalał na płacz, bo wiadomo, że małe dzieci płakać muszą, i koniec końcem uznano je za dość silne i wielkie jak na ten wiek. Wszystko było tedy w porządku, brakło tylko ojca.

Matka leżała słuchając w zadumie. Sprawa nabrała teraz w jej oczach wielkiej wagi. Jakże miało sobie dać radę na świecie maleństwo bez ojca?

Przedtem umyśliła, że przez rok zostanie w chacie, potem zaś najmie izbę i będzie zarabkowała tkaniami. Chciała sama żywić i ubierać dziecko. Niechże sobie mąż myśli, że jest go niegodna. Wychowa dziecko sama na lepszego człowieka niż głupi, pełen pychy ojciec.

Teraz jednak, po połogu, sprawa przybrała inną postać. Uznała, iż postąpiła samolubnie, i powiedziała sobie, że dziecku trzeba ojca.

Rzecz nie byłaby tak ważna, gdyby dziecko było silne, sypiało, jadło jak inne, nie zwieszalo na jedno ramię głowy i nie konało niemal za każdym atakiem konwulsji. Ale takie nędzne maleństwo musi mieć ojca — myśli matka.

Musiała się tedy zdecydować, i to niezwłocznie, gdyż dziecko miało już trzy dni, a chłop värmlandzki nie czeka zazwyczaj dłużej na chrzest. Zachodziło pytanie, pod jakim nazwiskiem zapisać dziecko i co powiedzieć o sobie proboszczowi. Byłoby krzywdą dla dziecka podać je za bękarta. Ledwo przyszło na świat, pragnęło, zda się, opuścić go.

Może lepiej mu będzie z ojcem. Gdyby wyrósł miało na chorowitego, słabego chłopca, jakim prawem pozbawić go korzyści urodzenia i majątku?

Wiedziała, że przyjście na świat dziecka to wielkie i radosne wydarzenie, teraz atoli litowali się nad nim wszyscy, jak gdyby trudne życie czekało je na świecie. Rada by była widzieć je w jedwabiach i koronkach, jak przystało synowi hrabiego, otoczyć przepychem, wygodami. Tak, tak, dziecko musi mieć ojca.

Przyszło jej też na myśl, że krzywdzi ojca swego dziecka zatrzymując je dla siebie. Było to wprost nieuczciwością przywłaszczać sobie tę małą, drogą istotkę.

Nierada była wracać do męża, bojąc się, że ją zdręczy na śmierć, ale dziecku groziło większe niebezpieczeństwo. Mogło umrzeć bez chrztu.

Znikł z jej serca ów wielki grzech, który ją wygnał z domu. Kochała tylko to małe stworzenie, pozbawione ojca. Podejmie wszelki trud, by mu zapewnić odpowiednie miejsce w życiu.

Zawołała tedy oboje gospodarzy i powiedziała im wszystko. Chłop pojechał zaraz do Borgu powiedzieć hrabiemu Dohna, że żona jego żyje i ma dziecko, które potrzebuje ojca.

Chłop wrócił późnym wieczorem. Nie zastał hrabiego, był jednak u proboszcza svartsjöńskiego i rozmówił się z nim. W ten sposób dowiedziała się hrabina, że małżeństwo jej uznano za nieważne i że nie ma męża.

Proboszcz napisał do niej uprzejmie, ofiarowując gościnę w swym domu, przysłał jej też list ojca, do hrabiego Henryka skierowany, z którego wynikało, że list nadszedł do Borgu niedługo po jej ucieczce. Właśnie ten list, w którym ojciec jej prosił hrabiego o przyspieszenie legalizacji małżeństwa, naprowadził pewnie Henryka na łatwiejszy sposób pozbycia się żony.

Ogarnęło ją oburzenie, gdy słuchała opowiadania chłopca. Przyjęłaby to ze wzgardą, gdyby dziecko było zdrowe i silne, a nawet uczułaby radość, że je posiada sama jedna, ale wobec jego słabości zawrzała takim gniewem, że byłaby zdolna zabić hrabiego. Nie spała przez całą noc, dumając nad tym ciągle, że dziecko musi mieć ojca.

Nazajutrz udał się chłop na jej prośbę do Ekeby, po Göstę Berlinga.

Gösta wypytywał długo małomównego chłopca, ale nie dowiedział się niczego ponad to, że hrabina była u niego przez lato i pracowała. Teraz ma dziecko, bardzo słabe, ale sama wraca do sił.

Gösta spytał, czy hrabina wie o unieważnieniu małżeństwa, a chłop powiedział, że się dowiedziała wczoraj.

Przez całą drogę Gösta miał gorączkę, to dreszcze. Czegóż odeń chciała? Czemuż posyłała po niego?

Wspominał lato spędzone nad Lövenem wśród tańca, gry i przyjemności, podczas gdy ona pracowała i cierpiała. Nie spodziewał się, że ją jeszcze zobaczy. Może postarałby się stanąć przed nią jako lepszy człowiek. Teraz zaś miał za sobą jeno same wybryki.

Około ósmej wieczór dotarł do celu i zaraz go zaprowadzono do Elżbiety. Nie widział jej dobrze w półciemnej izbie, gdzie leżała. Weszli z nim oboje gospodarze.

Nie zapominajmyż, że twarz jej biała, błyszcząca w ciemku była mu zawsze obrazem czegoś najwyższego w życiu, najpiękniejszą duszą w cielesnym kształcie. Ujrawszy ją rad by był paść na kolana w podzięcie, że się mu ponownie objawić raczyła, ale wzburzenie obezwładniło go całkiem.

— O droga hrabino! — wyjąkał.

— Dobry wieczór, Gösto!

Podala mu dłoń wybielałą znowu i przejrzystą. Leżała cicho, on zaś walczył ze wzburzeniem.

Na widok Gösty nie doznała Elżbieta gwałtownego wstrząsu. Dziwiło ją tylko, że zajmuje się głównie nią samą, gdy powinien się domyślić, iż idzie o dziecko.

— Gösto! — powiedziała łagodnie — teraz musisz mi pomóc, jak obiecałeś. Wiesz, że mąż mnie opuścił i dziecko moje nie ma ojca.

— Tak, pani hrabino! — odparł. — Ale teraz sprawa ma się inaczej. Teraz, gdy dziecko przyszło na świat, można zmusić pana hrabiego do legalizacji małżeństwa. Proszę ufać, iż dopomogę w tej sprawie.

Elżbieta uśmiechnęła się.

— Czy sądzisz, Gösto, że pragnę narzucić się hrabiemu?

Krew uderzyła Göście do głowy. Czegóż odeń chciała?

— Chodź tu, Gösto! — rzekła podając mu znowu rękę. — Nie gniewaj się za to, co powiem, ale sądzę, że ty, który...

— ...który jestem wygnanym proboszczem, pijakiem, rezydentem, mordercą Ebby Dohny... o, znam dobrze całą listę mych zasług...

— Gniewasz się, widzę!

— Rad bym, by pani hrabina nie kończyła.

Ale Elżbieta podjęła na nowo.

— Niejedna kobieta, Gösto, została by twą żoną z miłości ku tobie, ale ze mną sprawa inna. Kochając cię nie śmiałabym mówić tego i dla samej siebie nie prosiłabym, o co proszę. Widzisz, Gösto, dziecko moje musi mieć ojca. Rozumiesz chyba, o co cię chcę prosić! Jest to dla ciebie w istocie poniżenie wielkie, gdyż mam dziecko jako kobieta niezamężna. Proszę cię o to nie dlatego, bym cię uważała za niższego od innych, chociaż tak — i o tym pomyślałam. Głównie jednak zaufałam twojej wielkiej dobroci i temu, że jesteś bohaterem zdolnym do poświęceń. Ale może żądam zbyt wiele, może mężczyzna nie jest w stanie tego zrobić? Jeśli mną gardzisz, jeśli wydaje ci się rzeczą niemożliwą uchodzić za ojca cudzego dziecka, powiedz otwarcie. Nie rozgniewasz mnie tym. Czuję, że żądam za wiele, ale dziecko jest tak chore, Gösto, a okropna to rzecz nie móc mu nadać przy chrzcie nazwiska ojca.

Słuchając jej czuł to samo, co onego dnia wiosennego, kiedy ją przewiózł na drugi brzeg i zostawił własnemu losowi. Teraz miał jej pomagać w niweczeniu przyszłości całej. Musiał to uczynić właśnie on, który ją kochał.

— Spełnię życzenie pani hrabiny! — odparł krótko.

Nazajutrz rozmówił się z dziekanem broeńskim, gdyż Svartsjö należało do parafii broeńskiej, gdzie miały wyjść zapowiedzi. Poczciwego starego dziekana wzruszyła ta sprawa, obiecał nawet, że weźmie na siebie całą odpowiedzialność za ślub i załatwi wszystkie formalności.

— Tak, Gösto! — powiedział. — Musisz jej pomóc. Mogłaby wpaść w obłąkanie. Sądzi, że krzywdzi dziecko nie dając mu ojca. To kobieta o bardzo wrażliwym sumieniu.

— Wiem, że ją unieszczęśliwię! — zawołał Gösta.

— Nie wolno ci tego uczynić, Gösto! Teraz, mając żonę i dziecko, musisz stać się rozsądnym człowiekiem!

Diekan pojechał do Svartsjö dla pomówienia z tamtejszym księdzem i naczelnikiem. Najbliższej niedzieli wyszły zapowiedzi Gösty Berlinga z Elżbietą Thurn.

Potem z największą ostrożnością przewieziono matkę do Ekeby i ochrzczono dziecko.

Diekan powiedział Elżbiecie, że może jeszcze cofnąć postanowienie, a przed zaślubieniem człowieka takiego jak Gösta winna napisać do ojca.

— Nie pożałuję tego nigdy! — odparła. — Proszę tylko pomyśleć, co by się stało, gdyby moje dziecko zmarło, zanim dostało ojca.

Po trzech zapowiedziach była Elżbieta już całkiem zdrowa, toteż najbliższego popołudnia diekan zaślubił ją Göście. Nikt nie myślał, że ma to być wesele, nie zaproszono gości. Dostarczono jeno dziecku ojca i koniec.

Matka promieniała cichą radością, jak gdyby osiągnęła wielki jakiś cel, zaś pan młody smucił się myślą, że przez małżeństwo z nim zniszczyła sobie przyszłość. Spostrzegł z przerażeniem, że on prawie dla niej nie istnieje. Zaprzątnięta była jedynie myślą o dziecku.

W parę dni potem oboje okryła żaloba. Dziecko zmarło w ataku konwulsji.

Można by sądzić, że matka nie dość się smuci. Miała wyraz triumfu w oczach, jakby ją radowało, że zniweczyła całą swą przyszłość dla dziecka. Ale przebywający już teraz pośród aniołków malec musiał chyba pamiętać, że miał na ziemi matkę, która go kochała.

Wszystko to odbyło się cicho i niepostrzeżenie. Podczas zapowiedzi Gösty z Elżbietą wielu nie wiedziało niemal, kim jest narzeczona, a księża i szlachta znający sprawę nie mówili o niej. Zdawali się obawiać, by nie wytłumaczono sobie postępków młodej kobiety na opak, by ktoś pozbawiony wrażliwości sumienia nie powiedział, iż nie mogła przezwyciężyć miłości dla Gösty i wyszła zań pod pozorem szlachetnego czynu. Nader delikatnie postępowali zawsze z Elżbietą starzy, nie dopuszczając złego o niej słowa. Ledwo chcieli przyznać, że ta czysta dusza splamiła się grzechem.

Małżeństwo Gösty usunęło też w cień inne wielkie wydarzenia. Majora Samzeliusa spotkało bowiem nieszczęście. Coraz to bardziej dzicząc unikać zaczął w końcu ludzi, przestawał wyłącznie ze zwierzętami, których miał cały zwierzyniec w Sjö. Bywał też niebezpieczny, gdyż strzelał ciągle na oślep. Pewnego dnia przypadkiem zranił oswojonego niedźwiedzia. Zwierz rzucił się na majora stojącego blisko kraty i ugryzł go w ramię, a potem wyłamał się z klatki i uciekł w las.

Major długi czas leżał chory i zmarł skutkiem tej rany, przed samym Bożym Narodzeniem.

Majorowa byłaby objęła władzę w Ekeby, wiedząc, że jest chory, ale kawalerowie pewni byli, że nie wróci, póki przyznany im rok nie minie.

31. *Amor vincit omnia*

Pod chórem svartsjöńskiego kościoła mieściła się graciarnia pełna łopat grabarzy cmentarnych, wyrzuconych blach nagrobnych, połamanych ławek i tym podobnych rupieci.

Przysnuta warstwą pyłu i ukryta przed ludzkim okiem stała tam skrzynia wykładana bogato masą perłową, gdyby kurz z niej zetrzeć, zabyśnie, zalśni. Skrzynia zamknięta, klucz dobrze schowany. Otworzyć jej nie można było i nikt ze śmiertelnych nie zajrzał do jej wnętrza. Nikt nie wie, co zawiera, i dopiero po upływie dziewiętnastego wieku wolno będzie, jak chciał właściciel, podnieść wieko i pokazać ludziom skarby tam zawarte.

Na mosiężnej płycie wieka widnieje napis: *Labor vincit omnia*³². Inny atoli napis byłby stosowniejszy, mianowicie: *Amor vincit omnia*³³, gdyż skrzynia ukryta w graciarni jest właśnie świadectwem wszechpotęgi miłości.

— O Erosie, władco wszystkiego!

O miłości, jedyna prawdo wiekuista! Stare jest ludzkie plemię, a ty towarzyszysz mu od początku samego.

Znikli bogowie Wschodu, mocarze piorunowi, czczeni nad świętą rzeką mleka i miodu. Zmarł wielki wojownik Bel³⁴ i olbrzym Tot³⁵ o głowie ibisa. Zmarli bogowie spoczywający na obłokach Olimpu oraz mocarze wałami otoczonej Walhalli³⁶. Wszyscy starzy bogowie zmarli prócz wszechwładcy Erosa.

Wszystko jest jego dziełem, utrzymuje pokolenia, a gdziekolwiek stąpić, widne ślady stóp jego. W każdym akordzie brzmi jako ton zasadniczy poszum jego skrzydeł. Mieszka w sercach ludzi i w uśpionym ziarnie nasienia. W martwych nawet rzekach uczuwamy z drżeniem jego obecność.

Czyż jest coś na ziemi, co by nie tęskniło i nie ulegało przyciąganiu? Padną wszyscy bogowie zemsty i siły! Ty jednak, miłości, jesteś prawdą wiekuistą.

Stary wujaszek Eberhard siedział przy swoim biurku, przedziwnym meblu o stu szufladach, marmurowej płycie i mosiężnych okuciacz. Pracował pilnie i z zapałem, nie podnosząc głowy znad biurka, sam jeden w skrzydle rezydenckim.

Czemuż, o Eberhardzie, nie korzystasz w polu i w lesie z przelotnych ostatnich dni lata, jak inni kawalerowie? Wiesz dobrze, że nie wolno bezkarnie czcić bogini mądrości. Grzbiet ci się pochylił, choć masz ledwo sześćdziesiątkę, a włos pożyczony nakrywa czaszkę twoją. Oczy zapadnięte, zmarszczki widnieją na wysokim czole, a idą we wszystkich kierunkach, ach, jak szpady zapaśników. Tysiące też zmarszczek otacza bezzębne usta twoje. Eberhardzie, Eberhardzie, czemuż nie bujasz po polach i lasach? Śmierć rozłączy cię z biurkiem tym rychlej, żeś nie dał się odeniżeniu życia odciągnąć.

Wujaszek Eberhard zrobił grubą kreskę pod ostatnim wierszem, a potem jął dobywać z rozlicznych szuflad pliki gęsto zapisanego papieru i składać jedne na drugie części dzieła wielkiego, które miało unieśmiertlić nazwisko Eberharda Berggrena. W chwili kiedy patrzył z rozkoszą na wielki stos, rozwarło z cicha drzwi i weszła młoda hrabina.

³²*Labor vincit omnia* (łac.) — Praca zwycięża wszystko. [przypis edytorski]

³³*Amor vincit omnia* (łac.) — Miłość zwycięża wszystko. [przypis edytorski]

³⁴*Bel* (mit.) — jedno z określeń Marduka, najważniejszego boga panteonu babilońskiego (z akkadyjskiego dosł. „Pan”). [przypis edytorski]

³⁵*Thot* (mit.) — egipski bóg Księżyca, patron mądrości. [przypis edytorski]

³⁶*Walhalla* (mit. nordycka) — zamek najwyższego boga Odyna, w którym gości on poległych chwalebnie na polu bitwy wojowników. Często używane błędnie na określenie siedziby bogów, Asgardu. [przypis edytorski]

Była władczynią starych kawalerów, którzy ją kochali i czcili bardziej, niż pradziad kocha pierwszego prawnuka swego. Znaleźli ją w ubóstwie i chorobie i obdarzyli wszystkimi wspaniałościami świata, jak król z bajki obdarzył biedną napotkaną w lesie dziewczynę. Dla niej brzmiały waltornie i skrzypce w Ekeby, dla niej żyło i poruszało się wszystko w wielkiej posiadłości.

Była już zdrowa, chociaż jeszcze trochę osłabiona, samotność wielkiego domu zaciężyła jej, ponieważ zaś wiedziała, że rezydenci wyjechali, chciała zobaczyć, jak też wygląda osławione skrzydło kawalerskie.

Weszła po cichu, obejrzała bielone ściany, firanki w żółtą kratkę.

Wuj Eberhard powstał uroczyście i zaprowadził hrabinę przed plik gęsto zapisanych papierów.

— Oto, hrabino, dzieło moje skończone! — powiedział. — Teraz pójdzie w świat i narobi niemało hałasu.

— Cóż się stanie, wujaszku?

— Spadnie jak piorun, co błysnie i zabija! Od czasu kiedy Mojżesz dobył Jehowę z gromowej chmury Synaju i osadził w Świętym Świętych na tronie, trwał on tam spokojnie i pewnie. Teraz atoli przekonają się ludzie, że jest jeno urojeniem, nicością, mgłą i wytworem mózgu naszego! — zawołał starzec kładąc pomarszczoną rękę na papierach. — To jest tu napisane, a gdy ludzie przeczytają, muszą uwierzyć. Poznają głupotę własną, użyją krzyżów na opał, kościoły przemienią w spichrze, a księża będą orać ziemię.

— Wujaszku Eberhardzie — spytała drgnąwszy — czyż naprawdę napisałeś takie straszne rzeczy?

— Straszne? To jeno szczerą prawdą. Jesteśmy jak dzieci chowające głowę w suknię matki na widok obcego. Nauczyliśmy się kryć przed prawdą, wiecznie nam obcą, która teraz zamieszka pośród nas i zostanie poznana przez wszystkich!

— Przez wszystkich?

— Tak jest, hrabino, nie tylko filozofowie, ale wszyscy poznają prawdę.

— A stary Jehowa zginie?

— On i wszystkie anioły, święci, diabły i inne kłamstwa!

— Któż będzie rządził światem?

— Sądzisz, hrabino, że rządził nim ktoś dotąd? Czy wierzysz pani w ową Opatrzność, co czuwa zarówno nad wróblem małym i nad nami, by nam włos z głowy nie spadł? Nikt dotąd nie rządził i rządzić nie będzie!

— Cóż się stanie z nami, ludźmi?

— Staniemy się tym, czym byliśmy. Rozpadniemy się w proch. Kto się wypalił, umiera i koniec. Jesteśmy materiałem opałowym przyrody. Iskra życia przelatuje od jednego do drugiego, zapalając się i gasnąc. Takie jest życie.

— Czyż nie ma, wujaszku, życia wiecznego?

— Nie ma!

— Nic nie ma poza grobem?

— Nic.

— Nic dobrego, nic złego, żadnego celu ni nadziei?

— Nie!

Hrabina przystąpiła do okna. Ujrzała na tle pożółkłego listowia pochylone wiatrem głowy georginii i astrów, czarne fale Lövenu, ciemne chmury jesieni i na chwilę jej także wydało się wszystko nicością.

— Wujaszku Eberhardzie — powiedziała — świat jest szary, brzydki, znikomy i niepotrzebny. Położę się i umrę.

Ale zaraz usłyszała jakby skargę własnej duszy. Siły życia i uczuć jęły wołać o szczęście życia.

— Czyż nic nie może uczynić życie pięknym, gdyście nam zabrali Boga i nieśmiertelność? — zawołała.

— Praca! — odparł starzec.

Wyjrzała znowu i ogarnęła ją wzgarda dla tej marnej mądrości. Odczuła ducha wiecznego we wszystkim, nieogarnioną siłę, związaną z martwą pozornie materią, ale zdolną

wytworzyć wielorakie kształty życia. Myśli zawirowały jej w głowie i ją szukać nazwy na obecność Boga w naturze.

— Wuju Eberhardzie — spytała — cóż jest praca? Czy to Bóg? Czy ma cel sama w sobie? Wymień coś innego!

— Nic innego nie znam! — odparł.

Nagle odnalazła miano poniewierane tak często.

— Wuju Eberhardzie! — zawołała. — Czemu nie wymienisz miłości?

Uśmiech wykwitł na bezzębnych ustach, obrzeżonych zmarszczkami.

— Tu — rzekł uderzając pięścią po papierach — zamordowałem wszystkich bogów, nie zapomniawszy Erosa. Miłość to jeno żądza ciała! Czemużby wyżej miała stać od innych jego funkcji? Uczynicież boga z głodu albo ze znużenia! Godne tego jednak. Wszystkie te głupstwa muszą się skończyć, a sama jeno prawda żyć będzie.

Hrabina pochyliła głowę. Czula, że tak nie jest, ale nie chciała spierać się ze starcem.

— Zraniły mi duszę twe słowa — powiedziała — ale jeszcze ci nie wierzę. Możesz tylko zabić bogów nienawiści i zemsty.

Ujął jej dłoń, położył na księdze i oświadczył z fanatyzmem niewiary:

— Przeczytaj to, a uwierzysz!

— Nie chcę tedy patrzeć na tę księgę, gdyż uwierzywszy nie mogłabym żyć dłużej.

Odeszła pogrążona w smutku, a filozof siedział długo w zadumie.

Pożółkłe papiery splamione bluźnierstwami nie dotarły do ludzi, świat ich nie poznał, a nazwisko wuja Eberharda nie zasłynęło w nauce.

Wielkie jego dzieło spoczywa dotąd w graciarni swardsjöönskiego kościoła i kiedyś, dopiero może przy końcu wieku, wyjdzie na światłość dzienną.

Czemuż to uczynił? Czyżby się bał, iż nie dość ściśle udowodnił swe twierdzenia? Czyż się lękał prześladowań? O, nie znacie wuja Eberharda!

Otóż wiedźcie! Kochał on prawdę, a nie sławę swoją. Toteż nie prawdę, lecz sławę własną poświęcił, by istota, którą jak ojciec miłował, mogła dokończyć życia wierząc w to, co kochała.

O miłości, tyś jest jedyną prawdą wiekuistą!

32. DZIEWCZYNA Z NYGARDU

Nikt nie znał miejsca pod górą, gdzie najęściej rosną jodły, a mech pokrywa ziemię, gdzie nikt tam nie był przedtem ni potem i nie było ścieżki do tego zakątka. Wokoło niego piętrzą się skały, strzegą dostępu dzikie gęste jałowce, a susz i obalone pnie tamują drogę. Pasterz tam nie docierał, a lis unikał tej ścieżki. Tego właśnie najsamotniejszego miejsca szukali teraz ludzie.

Ogromny szedł korowód, zdolny napełnić kościół broeński, lövicki i swardsjöönski nawet. Cóż za liczny pochód poszukiwaczy.

Dzieci zamożnych gospodarzy, którym nie pozwolono brać w nim udziału, siedziały na płotach i ogrodzeniach patrząc na przechodzących. Malcy uwierzyć nie mogli, że taka gromada ludzi jest na tym świecie, taki tłum niezmierny. Wspomnienie tego korowodu poszukiwaczy na drodze, którą zazwyczaj kroczył jeno samotny wędrowiec, żebrak lub jechał wóz chłopski, napełniało im potem oczy łzami.

Mieszkający przy drodze wychodzili i pytali:

— Czy jakaś klęska nawiedziła okolicę? Czy wróg napadł na kraj? Dokądże to zdążacie, wędrowcy?

— Szukamy! — odpowiadali. — Od dwu dni szukamy i dziś jeszcze szukać będziemy, ale dłużej nie zdołamy wytrwać. Przetrząśniemy jeszcze las björeński i zalesione zboczne na zachód od Ekeby.

Pochód wyruszył z Nygardu, nędznej wioski w górach wschodnich. Znikła przed tygodniem piękna młoda dziewczyna o grubych, czarnych warkoczach i rumianych policzkach, miotlarka, z którą zaręczyć się miał Gösta, zabłądziła w wielkich lasach, od tygodnia jej nie widziano, przeto ludzie ruszyli na poszukiwanie, a do nich przyłączali się napotykanii po drodze. Z każdego domu dołączył się ktoś do gromady.

Często pytał nowy przybysz:

— Jakże się to stało, ludzie nygardzcy? Czemuście pozwolili dziewczynie chodzić po obcych lasach? Bory ogromne, a Bóg odebrał jej rozum.

— Nikt jej nie ukrzywdzi, a ona też nie uczyniłaby nikomu nic złego. Chodziła bezpieczna jak dziecko, bo pod opieką bożą, i zawsze wracała.

Pochód przeszedł lasy wschodnie, dzielące Nygard od równiny, a teraz, trzeciego dnia, minąwszy kościół broeński kroczył ku lasom po zachodniej stronie Ekeby.

Wszędzie się dziwiono wielce, zawsze ktoś musiał przystawać i odpowiadać na pytania, czego szukają.

— Szukamy błękitnookiej, czarnowłosej dziewczyny, która poszła do lasu, aby umrzeć. Od tygodnia jej nie ma.

— Czemuż chciała umrzeć w lesie? Była głodna czy nieszczęśliwa?

— Głodu nie cierpiała, ale z wiosną spotkało ją nieszczęście. Zakochała się w szalonym proboszczu, Göście Berlingu. Nie знаła lepszego. Bóg jej odjął rozum.

— Tak... oczywiście, musiał jej widać Bóg rozum odebrać.

— Tej wiosny zdarzyło się nieszczęście. Gösta nie zwracał na nią od owej pory żadnej uwagi. Ale wówczas obiecał, że ją poślubi. Był to tylko przelotny żart, ale dziewczyna nie mogła się uspokoić, chodziła ciągle do Ekeby i włóczyła się za nim wszędzie. On zaś znudził się nią i gdy przyszła raz jeszcze poszczuto ją psami. Od tego dnia nikt jej nie widział.

— Dalejże, ludzie! Idzie o życie człowieka, dziewczyna poszła do lasu umrzeć. Może już zmarła, a może wędruje nie mogąc znaleźć drogi. Las wielki, a Bóg jej odebrał rozum!

— Łączcie się z pochodem, zostawcie owies w stertach, aż się wysypie nikle ziarno, niech ziemniaki gniją w ziemi, puście konie, by nie zginęły w stajniach z pragnienia, otwórzcie obory, by krowy mogły na noc wrócić pod dach, i zabierzcie dzieci, gdyż Bóg je miłuje. On sprzyja malcom, kieruje ich krokami, więc niech pomagają tam, gdzie rozum ludzki ustaje.

— Chodźcież wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci! Któż by się ośmielił zostać w domu? Może Bóg właśnie nim się posłuży. Chodźcież wszyscy potrzebujący miłosierdzia, by dusza wasza nie błądziła kiedyś w pustkowiu, nie znajdując pokoju. Chodźcie. Bóg jej odebrał rozum, a las jest wielki.

Ach, któż zdoła odnaleźć miejsce, gdzie najęśniej rosną jodły i miękkie mech? Czyż nie leży tam coś czarnego tuż pod skałą? To pewnie mrowisko. Niech będzie pochwalony ten, co wie dzie bezrozumnych. To pewnie mrowisko.

Cóż to za pochód! Nie jest to korowód strojny na cześć zwycięzcy, ścielący mu kwiaty i witający okrzykami, nie jest to procesja biczowników śpiewających psalmy w drodze do Świętego Grobu ani rzesza wychodźców szukających nowych siedzib. Nie jest to wojsko, jeno gromada chłopów w odzieży roboczej z samodziału i wytartych fartuchach oraz kobiet z pończochami i drutami w rękach i dziećmi uczepionymi na plecach czy u spódnic.

Wielka to rzecz widzieć ludzi zebranych dla wspólnego celu. Niech dążą czcić dobroczyńców swoich, chwalić Boga, szukać nowych siedzib czy bronić ojczyzny. Tych atoli ludzi nie gna głód, bojaźń boża ni wojna. Trud ich daremny, praca bez zapłaty; wyszli szukać obłąkanej. Za pot i znój, za niezliczone kroki i modły zostaną nagrodzeni odnalezieniem obłąkanej, której rozum jest u Boga.

Trudno nie pokochać tego ludu i nie czuć łez w oczach na samo wspomnienie mężczyzn o spracowanych rękach i kobiet o przedwcześnie pomarszczonych czołach, i dzieci, którym Bóg miał wskazywać drogę.

Gościniec był zatłoczony smutnymi poszukiwaczami, którzy, zapatrzeni ponuro w las, szli mając więcej nadziei odnaleźć zmarłą niżli żywą.

Ten czarny punkt pod skałą to pewnie nie mrowisko, ale obalony pień! Dzięki Bogu, to jeno pień obalony! Chociaż nie widać go dobrze w gęstwie jedliny.

Korowód był taki długi, że najsilniejsi dotarli już do lasu po zachodniej stronie Björne, gdy kalecy, starcy i kobiety z dziećmi minęli ledwo kościół brobijski.

W końcu znikli w lesie. Poranne słońce przyświecało im pod sosnami, a zachodzące miało witać opuszczających las.

Trzeci to już dzień szukali, poznali dobrze tę pracę. Zagląдали pod strome skały, gdzie się łatwo pośliznąć, pod obalone pnie, gdzie można połamać ręce i nogi, pod gałęzie gęstych świerków, zawieszonych nad mchem, który wabi do odpoczynku.

Znaleźli wszystko: jaskinię niedźwiedzia, jamę lisa, norę borsuka, szernalą ziemię po mielerzu, czerwoną górę ostrężynową, jodłę o białych szpilkach, las wypalony przed miesiącem, głaz rzucony przez trolla, jeno nie znaleźli miejsca, gdzie leżało coś czarnego pod skałą. Nikomu nie przyszło na myśl zbadać, czy to mrowisko, pień czy człowiek. Na pewno człowiek to był, ale tam nikt nie poszedł.

Wyszli na słońce po drugiej stronie lasu, ale nie znaleźli dziewczyny, której Bóg odebrał rozum. Zaczęli dumać, czyby może raz jeszcze nie przetrząsnąć lasu. Ale w lesie po ciemku niebezpiecznie, gdyż są tam bezdenne moczary i strome rozpadliny. Zresztą, czego nie znaleźli przy słońcu, nie znaleźliby na pewno po nocy.

— Chodźmy do Ekeby! — zawołał ktoś z tłumu.

— Chodźmy do Ekeby! — zakrzyknęli wszyscy.

— Spytamy kawalerów, czemu szczuli psami obłąkaną, doprowadzając ją tym do rozpacz. Biedne głodne dzieci nasze płaczą, podarliśmy odzież, owies się sypie, ziemniaki gniją, konie biegają luzem, krowy bez nadzoru, a my sami upadamy ze znużenia. Wszystko to ich wina! Chodźmy do Ekeby zrobić sąd nad nimi! Chodźmy do Ekeby!

— W tym roku kłęski my, chłopci, wszystko znieść musimy. Ciężko nas gniecie ręka boża, a w zimie przyjdzie głód. Kogóż szukał Pan? Nie proboszcza z Broby, gdyż jego modlitwa została wysłuchana. Winni są na pewno kawalerowie! Chodźmy do Ekeby!

— Zniszczyli posiadłość, wygnali majorową na gościniec, z ich winy brak nam pracy i cierpimy głód! Cała niedola to ich dzieło! Chodźmy do Ekeby!

Ruszyli ponurzy, rozgoryczeni chłopci na Ekeby, za nimi kobiety z dziećmi na rękach, a na koniec kalecy i słabi starcy. Nienawiść ogarnęła starców, przeszła na kobiety, a z nich na silnych mężczyzn w pierwszych szeregach.

Nadciągała powódź jesienna. Wszak pamiętacie kawalerowie, powódź wiosenną? Teraz szła fala z gór niosąc nową kłęskę sławie i potędze Ekeby.

Komornik orzący pod lasem posłyszał wściekle okrzyki tłumu, wyprzągnął konia i pognął na nim do Ekeby.

— Nieszczęście idzie! — jął wołać. — Idą niedźwiedzie, wilki, złe duchy idą na Ekeby!

Objechał podwórze przerażony i krzyczał:

— Rozpętały się złe duchy! Idą palić dwór i mordować kawalerów!

Tuż za nim nadpłynął zgielek i wrzask pędzących tłumów. Szedł na Ekeby zalew jesienny.

Nienawistni napastnicy chcieli w istocie ognia, mordy i plądrowania.

Nie ludzie to szli, ale złe duchy lasu, dzikie zwierzęta pustyni, ciemne potęgi, wyzwołone na chwilę przez zemstę.

To były duchy gór kopiące rudę, duchy lasów rąbiące drzewa i pilnujące mielerzy, duchy pól hodujące ziarno. Wyzwołyły się i chciały użyć swych sił do niszczenia. Śmierć Ekeby! Śmierć kawalerom!

Tu płynie wódka strumieniem, tu pełne piwnice złota, a spiżarnie i spichrze pełne zboża i mięsa. Czemuż sprawiedliwi mają głodować, a występni opływają we wszystko?

Dość tego, przebrała się miara! Wy, lilie polne, nie przędące nigdy, i ptaki niebieskie, nie zbierające ziarna do gumien, przebrała się miara! Sąd wydała ta, która leży w lesie, my jesteśmy jeno jej wysłańcami! Nie urzędnik, nie sędzia wydał wyrok, jeno dziewczyna w lesie, obłąkana!

Stojąc przed głównym budynkiem czekali kawalerowie i wiedzieli już, o co są oskarżeni. Tym razem naprawdę nie poczuli się do winy. Biedna szalona nie dlatego poszła w las, że ją poszczuli psami, to nie było prawdą, ale dlatego, że Gösta Berling poślubił przed tygodniem hrabinę Elżbietę.

Na cóż się jednak zdało mówić do rozszałanych? Byli zmęczeni, głodni, podnieceni zemstą i żądzą rabunku. Pędzili, a przed nimi gnał na koniu bezprzytomny ze strachu komornik z krzykiem:

— Idą niedźwiedzie, wilki, złe duchy na Ekeby!

Kawalerowie ukryli hrabinę w odległym pokoju pod strażą Löwenborga i wuja Eberharda, sami zaś wyszli do tłumu. Stanęli na schodach budynku głównego bezbroni, uśmiechnięci i tak przyjęli pierwsze szeregi.

Ludzie stoją przed gromadką spokojnych mężczyzn. Są wśród nich tacy, którzy w zapale rozgoryczenia radzi by powalić na ziemię i deptać podkutymi obcasami, to uczyniono przed pięćdziesięciu laty z pewnym zarządcą i inspektorem kopalni. Ale tłum spodziewał się zastać zamknięte drzwi i broń podniesioną do strzału, na opór i walkę był przysposobiony.

— Drodzy przyjaciele — rzekli kawalerowie — jesteście znużeni i głodni! Spróbujcie przekąsić chleba i skosztujcie wódki pędzonej w Ekeby!

Tłum nie słuchał, groził i wył, ale kawalerowie nie brali tego za złe.

— Zaczekajcie chwilę jeno! — powiedzieli. — Patrzcie, Ekeby stoi wam otworem! Otwarte są drzwi piwnic, spiżarni i mleczarni. Kobiety wasze upadają ze znużenia, a dzieci krzyczą. Naprzód posilcie się trochę, a potem nas pozabijajcie, wszakże nie uciekniemy. Przedtem jednak damy dzieciom jabłek, których pełny strych mamy.

W godzinę potem odbywała się w Ekeby uczta, największa ze wszystkich, jaką okazały dwór kiedykolwiek widział, wśród nocy jesiennej przy świetle księżyca.

Rozebrano stosy drzewa opałowego i rozniecono mnóstwo ognisk. Ludzie siedzieli grupami, rozkoszując się ciepłem, spokojem, zasypani wprost wszelkimi darami bożymi. Co śmielsi poszli do obór i stodół i dostarczyli wszystkiego. Zarzynano cielęta, owce, a nawet woły i pieczono je na poczekaniu. Setki zgłodniałych ludzi żarły. Zarzynano jedno zwierzę po drugim i zdawało się, że obory opustoszeją w ciągu nocy.

W ostatnich właśnie dniach odbył się wielki wypiek jesienny. Od przybycia hrabiny prace gospodarcze szły normalnym tokiem. Nie myślała, zda się, ani na chwilę, że jest małżonką Gösty, natomiast objęła panowanie nad Ekeby. Jak każda dzielna gospodyni położyła co prędzej tamę rozrzutności i niedbalstwu i znalazła posłuch, a służba z przyjemnością odczuła rękę kobiecą nad sobą.

Na cóż się jednak zdało, że komory wypełniła chlebem, że warzono piwo, ubijano masło i robiono sery?

Trzeba było dać wszystko, by tłum nie spalił Ekeby i nie wymordował kawalerów. Wytoczono więc beczki, faski³⁷, wyniesiono ze spiżarni szynki, antałki z wódką, jabłka.

Dobrze jeszcze, jeśli cały zasób dworu starczy na ulagodzenie napastników. Niechby tylko poszli precz!

Wszystko to zresztą działo się przez obecną panią Ekeby. Kawalerowie byli ludźmi mężnymi i broniliby się na pewno, a nawet woleliby odstraszyć tłum kilku ostrymi strzałami. Ale hrabina była łagodna, miłosierna i prosiła, byzczędzić ludzi.

Z biegiem nocy miękli napastnicy coraz bardziej, a ciepło, spokój, jedzenie i wódka uspokoiły tłum. Zaczęto się śmiać, żartować, przypijać, niby to na stypie dziewczyny z Nygardu, a wiadomo, że hańbą jest smutek na stypie. Smutek i brak ochoty do kieliszka. Bo jedno łączy się z drugim.

Dzieci biednych komorników rzuciły się na przyniesione owoce. Uważały dotąd za przysmak żurawiny i borówki, teraz zaś rozplywały się im w ustach jabłka najszlachetniejszych gatunków, podłużne słodkie rajskie jabłuszka, papierówki żółte jak cytryny, wszelakie rumiane gruszki, żółte, czerwone i granatowe śliwki. Albowiem nie ma nic zbyt dobrego dla ludu, gdy spodoba mu się okazać swą siłę.

Około północy zaczęto się jakoby sposobić od odwrotu. Kawalerowie przestali przynosić potrawy, otwierać butelki i nie dolewali piwa. Odetchnęli z ulgą czując, że niebezpieczeństwo minęło.

W tejże jednak chwili zabłysło światło w oknie budynku głównego i ludzie wydali okrzyk ujrzawszy postać młodej kobiety ze świecą w ręku. Trwało to jeno chwilę, ale wszystkim się wydało, że ją poznali.

— Miała takie same grube warkocze i rumiane policzki! — zawołano. — Jest tu, kawalerowie trzymają ją w niewoli.

³⁷fäsa (daw.) — drewniane naczynie z klepek spiętych obręczami; kształtem przypominało beczkę, posiadało jednak tylko jedno dno w szerszym końcu, na którym stało pionowo. [przypis edytorski]

— Trzymacie ją! Zabraliście nam dziecko nasze, pozbawione rozumu. Cóż z nią robicie, bezbożnicy? Czemuż pozwalacie nam trapić się przez tydzień, a szukać przez trzy dni? Precz z winem waszym i jadem! Biada nam, żeśmy cokolwiek od was przyjęli! Wydajcie nam dziewczynę, a potem pokaże się, co z wami zrobimy!

Oswojone już zwierzę zaczęło na nowo wyc i szaleć. I poszło do ataku na Ekeby.

Tłum rzucił się, ale uprzedzili go kawalerowie zasuwając wrzeczadze drzwi wchodowych. Czyż mogli jednak sprostać masom? Odepchnięto z łatwością nie uzbrojonych i otoczono kołem, a tłum wpadł do wnętrza szukając dziewczyny z Nygardu.

Znaleziono ją w ostatnim pokoju, po czym nie patrząc, czy ma czarne, czy jasne włosy, wzięto na ramiona i wyniesiono na dwór. Uspokajali ją wszyscy, by się nie bała, gdyż tylko kawalerowie zostaną zabici, a wszystko dzieje się po to, by ją ocalić.

Ale wychodzący z domu napotkali drugi orszak.

Na niedostępnym zboczu skalnym nie leżą już zwłoki dziewczyny, która spadła z wysokiej grani zabijając się po drodze. Znalazło ją dziecko, a wzięto na ramiona kilku zabłąkanych w lesie mężczyzn.

Wypiękniła jeszcze po śmierci. Czarne włosy otulały jej postać. Piękna była teraz, gdy znalazła już wieczyste ukojenie.

Niesiono ją ponad głową tłumy, który cichł wokoło niej, a ludzie pochylali głowy przed majestatem śmierci.

— Dopiero co zmarła! — szeptali mężczyźni. — Do dziś wędrowała po lesie i spadła, prawdopodobnie uciekając przed tymi, którzy jej szukali.

— Jeśli to jest jednak dziewczyna z Nygardu, to kimże jest ta druga?

Ludzie wracający z lasu zetknęli się z wynoszącymi z domu hrabinę. Zapalono ognisko na całym podwórzu, a wszyscy zobaczyli obie kobiety i rozpoznali hrabinę z Borgu.

— Cóż to ma znaczyć? — pytano wokół. — Czyż wpadliśmy na trop nowej zbrodni? Skądże hrabina w Ekeby? Czemuż nam mówiono, że jest daleko stąd lub może zmarła nawet? Na miłość boską, trzeba teraz pochwycić kawalerów i zdeptać na śmierć obcasami!

Nagle zabrzmiał donośny głos Gösty, który stojąc na stopniu tarasu przemówił:

— Słuchajcie mnie, potwory i diabły! Czy sądzicie, że w Ekeby brak strzelb i prochu? Szaleńcy! Wiedzieć, że miałem wielką ochotę wystrzelać was do nogi jak psy wściekłe! Ale ta właśnie kobieta prosiła za wami. Gdybym był wiedział, że jej dotkniecie, żaden z was nie uszedłby z życiem!

Czemuż to napadacie nas po nocy, z wrzaskiem, jak bandyci, grożąc ogniem i mordem? Cóż mnie obchodzą wasze obłąkane dziewczęta i czyż wiem, którędy wędrują? Byłem zbyt dobry dla tej oto, i na tym koniec. Powiniennem był ją naprawdę wyszczuć psami, czego zresztą nie uczyniłem wcale. Nie przyrzekałem jej też nigdy małżeństwa. Zapamiętajcie to sobie!

Teraz zaś mówię wam, puście porwaną kobietę! Puście ją i oby ręce wasze płonęły na wieki w ogniu piekielnym! Czyż nie wiecie, że stoi ona tak wysoko ponad wami jak niebo ponad ziemią, że jest równie wykwiwna, jak wy jesteście ordynarni, a równie dobra, jak wy źli jesteście!

Powiem wam jeszcze, kim ona jest. Jest aniołem niebiańskim, a była też żoną hrabiego z Borgu. Teściowa dręczyła ją w dzień i w nocy, kazała jej prac w jeziorze, biła i dokuczała, tak że gorszego losu nie ma żadna z żon waszych. Wiemy wszyscy, że chciała skoczyć w wodę, z obawy przed męczeństwem. Któryż to z was, draby jedne, pośpieszył jej z pomocą? Nie było żadnego, a my ocaliliśmy ją, my, kawalerowie.

Kiedy urodziła dziecko, daleko stąd, w chacie wiejskiej, kazał jej mąż powiedzieć, że zawarł ślub za granicą wbrew naszym zwyczajom, przeto nie jest jego żoną ni on jej mężem, a dziecko go nic nie obchodzi. Cóż byście uczynili, urwipolcie, w tym wypadku, gdyby powiedziała któremuś z was: „Nie chcę, by dziecko moje doznawało w życiu krzywd jako nielegalne, przeto ożeń się ze mną, gdyż chcę dlań ojca!” Czyżbyście wyzyli się pychy? Ona jednak nie wybrała żadnego z was, ale wzięła Göstę Berlinga, biednego proboszcza, któremu nie wolno głosić słowa bożego. Zareczam wam, że nigdy mi nic trudniej nie przyszło, jak zgodzić się na to, gdyż czułem się jej niegodny i nie śmiałem jej patrzeć w oczy. Ale nie mogłem też odmówić, gdyż była w wielkiej rozpacz.

Możecie sobie co chcecie myśleć o nas, kawalerach, dla niej jednak byliśmy zawsze dobrzy i pomagaliśmy jej z całych sił. Jej to jest także zasługą, żeśmy was nie wystrzelali do

jednego. Powtarzam tedy, puście ją i idźcie sobie precz, gdyż inaczej ziemia się rozewrze i pochłonie was. W drodze powrotnej proście też Boga o przebaczenie, żeście przestraszyli i zmartwili tak dobrą i niewinną istotę. A teraz wynoście się! Dość was mamy!

Jeszcze przed zakończeniem mowy chłopci zdjęli hrabinę z ramion i posadzili na kamiennych schodach. Teraz przystąpił do niej barczysty chłop i podał jej rękę.

— Bądźcie zdrowi i Bóg zapłać! — powiedział. — Nie chcieliśmy pani hrabinie nic złego uczynić.

Potem zbliżył się drugi, ujął ostrożnie jej dłoń i rzekł:

— Bądźcie zdrowi! Niechże się pani hrabina na nas nie gniewa!

Gösta zeskoczył i stanął obok niej, a oni i jemu podali ręce.

Jeden po drugim żegnał się życząc dobrej nocy. Byli znowu oblaskawieni jak rano, w chwili opuszczania domów, zanim głód i żądza zemsty uczyniły ich dzikimi zwierzętami.

Spoglądali hrabinie prosto w twarz, a Gösta dostrzegł łzy w oczach niejednego, wywołane niewinnym i skupionym wyrazem twarzy hrabiny. Cenili przecież szlachetność i cieszyło ich, że ktoś jest tak bardzo dobry.

Nie wszyscy mogli jej podać ręce, było ich bowiem mnóstwo, a ona słaba i wyczerpana. Każdy jednak podszedł, spojrział na nią i uściśnął dłoń Gösty, któremu ledwie sił starczyło na to potrząsanie prawicą.

Gösta stał jakby w zachwyceniu. W sercu jego zapłonęła tej nocy miłość nowa.

„O, jakże cię kocham, ludu mój!” — pomyślał.

Uczuł, że kocha tę rzeszę wracającą w ciemnościach nocy ze zmarłą na czele pochodu, że kocha tych szaro odzianych ludzi w cuchnących chodakach, co mieszkają pod lasem, nie umieją pisać ni czytać nieraz, a nie domyślając się nawet pełni i bogactwa życia, znają jeno troskę o chleb powszedni.

Był to lud wielki, wspaniały, mężny, wytrwały, wesoly, pracowity, zręczny i przedsiębiorczy. Nieraz biedak czynił dobrze biedakowi, a twarze przeważnej liczby świadczyły o sile i inteligencji, ze słów zaś tryskał jurny humor.

Kochał ich z czułością, która wyciskała mu łzy z oczu, nie wiedział, co dla nich uczyni, ale kochał ich razem z błędami i wadami, pragnąc, by go kiedyś także pokochali.

Zbudził się z marzeń pod dotknięciem ręki żony. Tłum znikł, byli teraz sami na tarasie.

— Ach, Gösto! — powiedziała. — Jakże mogłeś to powiedzieć?

Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

— Powiedziałem szczerą prawdę! — zawołał. — Nigdy nie przyrzekłem dziewczynie z Nygardu małżeństwa. Powiedziałem jej tylko, by przysłała w następny piątek, a zobaczy coś wesolego. Nic więcej! Cóżem winien, że się we mnie zakochała?

— Ach, nie o to mi idzie! Jakże im mogłeś powiedzieć, że ja jestem czysta i dobra! Gösto, Gösto, wszakże wiesz, że cię pokochała wówczas, kiedy nie było mi wolno kochać jeszcze. Wstydziałam się tych ludzi, strasznie się wstydziała!

Łkanie wstrząsnęło jej ciałem.

Popatrzył na nią i rzekł z cicha:

— Jedyna moja! Jakże jesteś szczęśliwa, żeś dobra! Jakże szczęśliwa jesteś, że masz tak piękną duszę!

33. KEVENHÜLLER

Znany później jako uczony i zręczny konstruktor Kevenhüller urodził się w Niemczech, w siedemdziesiątych latach XVIII wieku. Był synem hrabiego, mógł tedy mieszkać po zamkach i paradować przy boku króla, gdyby miał ochotę — ale nie miał ochoty.

Wolał przytwierdzić skrzydła wiatraka do najwyższej wieży zamkowej, przemieniać salę rycerską w kuźnię, a damską alkowę w pracownię zegarmistrza. Chciał zapełnić zamek ojcowski terkoczącymi kołami i dźwigniami ruchowymi, ponieważ zaś to się zrobić nie dało, obrócił się plecami do całego kramu i poszedł na naukę do zegarmistrza, gdzie posiadał całą wiedzę kół zębatach, sprężyn i wahadeł. Wyuczył się robić zegary słoneczne i gwiazdne, zegary z piszczącymi kanarkami, trąbiącymi pasterzami, dzwonekami, olbrzymie zegary wieżowe i maleńkie, mieszczące się w medalioniku.

Po wyzwolinach zarzucił tobolek na plecy, ujął sękaty kij i powędrował, by poznać wszystko, co się w świecie porusza na walcach i kółkach. Nie był on zwyczajnym zegarmistrzem — chciał zostać wielkim wynalazcą i poprawiaczem świata.

Przewędrowawszy dużo krajów zaszedł też do Värmlandu celem przestudiowania kół młyńskich i urządzeń kopalnianych.

Pewnego pięknego dnia letniego znalazł się na rynku karlstadzkim i spotkał tam władczynię lasów, piękną Hulder, która uznała za stosowne przywędrować aż do miasta. Znakomita dama szła ze strony przeciwnej, toteż wpadła wprost na Kevenhüllera.

Przedziwne to było spotkanie, w sam raz dla czeladnika zegarmistrzowskiego. Miała ona zielone, lśniące oczy, bujne, jasne włosy do ziemi i ubrana była w zielony, mieniący się jedwab. Chociaż była boginką i poganką, wydała mu się dużo piękniejsza od wszystkich widzianych dotąd chrześcijanek, tak że stanął oczarowany.

Przybyła wprost z leśnej gęstwiny, gdzie rosną paprocie jak drzewa, gdzie olbrzymie sosny nie dopuszczają słońca, tak że jeno cętki światła lśnią na mchu zielonym, i gdzie pnącza wiją się po omszałych głazach.

Załużę, że nie byłam na miejscu Kevenhüllera i nie widziałam, jak szła z paprociami i szpilkami jodeł w zmierzwionych włosach, z małą czarną żmiją na szyi, lekkim krokiem dzikiego zwierza, owiana zapachem żywicy, poziomek i mchów.

Patrzyli na nią ludzie z osłupieniem, że śmie chodzić po karlstadzkim rynku, konie ploszyła wiewem długich włosów. Gonili ją ulicznicy, kupcy zostawiali wagi i noże, robotnicy gonili się zapominając o wozach i kilofach, kobiety zaś z krzykiem pobiegły do biskupa, do kapituły i domagały się wygnania potwora z miasta.

Ona jednak szła spokojnie, majestatycznie i uśmiechała się, widząc to zamieszanie, tak że Kevenhüller dostrzegł małe, ostre, drapieżne ząbki, wychylające się spośród różowych warg. Zarzuciła na ramiona szal, by ukryć, kim jest, ale na nieszczęście zapomniała schować ogon, który włócił się za nią po bruku.

Kevenhüller widział ogon, uczył politowanie dla wytwornej damy wystawionej na pośmiewisko mieszczuchów i pochylając się po rycersku, powiedział:

— Może łaskawa pani raczy unieść tren sukni?

Ta życzliwość i dworność wzruszyła leśną dziwożonę, stanęła tedy przy nim, i spojrzała na niego tak, iż iskry sypiące się z jej oczu wpadły mu w samo serce. Rzekła:

— Zapamiętaj sobie, mości Kevenhüllerze, że odtąd będziesz mógł stworzyć własnymi rękami każde, jakie zechcesz, arcydzieło, ale tylko po jednej sztuce z każdego rodzaju.

Tak rzekła, a słowa mogła dotrzymać, któż bowiem nie wie, że ta zielono strojna z leśnej gęstwiny posiada władzę użyczenia geniuszu i sił cudownych temu, kto posiadał jej łaski.

Kevenhüller został w Karlstadsie i najął sobie warsztat. Przez tydzień pracował, aż zrobił arcydzieło. Był to samojazd. Jeździł on do góry, na dół i we wszystkie strony, można go było obracać, zatrzymywać i znowu puszczać w ruch, słowem, był cudowny.

Kevenhüller stał się sławny i pozyskał w mieście przyjaciół. Dumny ze swego dzieła, pojechał tym samojazdem do Sztokholmu, by pokazać go królowi. Nie potrzebował czekać na konie pocztowe, klócić się z pocztylionami, trząść się nędznymi kariolkami ni spać na twardych ławkach pocztowych. W ciągu kilku godzin dotarł do Sztokholmu.

Zajechał wprost przed zamek królewski. Król wyszedł w otoczeniu świty i dam dworskich, a gdy go zobaczyli jadącego, nie mogli się dość nachwalić i nadziwować.

— Daj mi ten wóz, mości Kevenhüllerze! — rzekł król, a choć Kevenhüller odmówił, król upierał się przy swoim żądaniu.

Nagle ujrzał Kevenhüller w świecie damę zielono ubraną, jasnowłosą. Poznał ją i zrozumiał, że to ona nakłoniła króla, by go poprosił o samojazd. Popadł w rozpacz, a nie mogąc znieść, by ktoś inny posiadał jego wóz, i nie chcąc opierać się dalej królowi, wjechał z takim rozpędem na mur zamkowy, że arcydzieło pękło w kawałki.

Za powrotem do Karlstadu próbował zrobić drugi samojazd, ale mu się nie udało. Rozpacz napęlił go dar leśnej dziwożony. Porzucił dostatni dom ojca po to, by zostać dobroczyńcą ludzkości, nie zaś po to, by fabrykować czarodziejskie graty, tylko jemu jednemu mogące służyć. Cóż mu z tego, że jest mistrzem nad mistrzami, gdy żadnego z arcydzieł swych nie wolno mu pomnożyć i oddać na użytek tysięcy?

Uczony mistrz zapragnął spokojnej i rozumnej pracy, więc został kamieniarzem i budowniczym. W owym to właśnie czasie zbudował wielką wieżę kamienną, na wzór wieży zamku ojcowskiego i chciał potem dostawić dom mieszkalny, portale, podwórza, mury i wykusze, most zwodzony, tak by nad brzegiem Klarelfu powstał zamek rycerski.

Chciał w nim ziścić marzenie młodości i napęlić budynki wszelkimi warsztatami, narzędziami i przyborami, jakich potrzebował. Pomieścić się tu mieli też młynarze, czarni kowale, zegarmistrzowie w zielonych umbrellkach nad zmęczonymi oczyma, farbiarze z powalonymi rękami, tkacze, tokarze, a wszyscy ze swymi warsztatami.

Wszystko poszło dobrze, wybudował wieżę, własnoręcznie ciosając kamienie i murując.

Umieścił u góry śmigi młyńskie, gdyż miał to być wiatrak, potem zaś zaczął stawiać kuźnię.

Pewnego dnia patrząc na obracające się śmigi uczuł, że wzbiera w nim dawne pragnienie.

Wydawało mu się znowu, że zielono strojna spojrziała na niego zielono lśnięcymi oczami, że znowu płomień objął jego serce, zamknął się w pracowni, nie jadł, nie pił, nie odpoczywał i w ciągu tygodnia stworzył nowe arcydzieło.

Nadszedł dzień, kiedy wstąpiwszy na dach swej wieży zaczął przypinać skrzydła.

Spostrzegli go dwaj ulicznicy i gimnazjalista, którzy siedzieli na poręczu mostu i łowili płotki. Wydali okrzyk tętniący po całym mieście. Porwali się potem i biegnąc od drzwi do drzwi bili w nie, wołając:

— Kevenhüller chce latać! Kevenhüller chce latać!

Stał spokojnie, przypinając skrzydła, i patrzył na tłumy ludu płynące ciasnymi ulicami starego Karlstadu.

Kucharki poniechały garnków i wyrabiania ciasta, staruszki rzuciły pończochy, nasadziły na nos okulary i wybiegły na ulice, burmistrz i radni wstali z ław sędziowskich, rektor cisnął w kąt gramatykę, uczniowie opuścili bez pozwolenia klasy, a wszyscy pospieszyli pędem ku zachodniemu mostowi.

Na moście czarno było od ludzi. Rynek był szczelnie zapchany, a na całym wybrzeżu aż pod pałac biskupi roił się tłum. Więcej było ludzi niż na kiermaszu w dzień św. Piotra, więcej też niżli podczas pamiętnej jazdy króla Gustawa III, kiedy to powóz ośmiokonny pędził tak szybko, że na zakrętach stawał na dwu kołach. Kevenhüller przypiął w końcu skrzydła, odbił się, machnął nimi parę razy i uleciał swobodnie. Płynął wysoko nad ziemią.

Wciągał w płuca czyste tchnienie, pierś mu się rozszerzała, a stara krew szlachecka zaczęła w nim grać. Wirował jak gołąb, płynął jak jastrząb, śmigał szybciej od jaskółki, a sterował tak pewnie jak sokół. Patrzył z góry na ludzi przykutych do ziemi, dumając, czym by się stać mogli, gdyby każdemu z nich dać parę skrzydeł do szybowania w przestworzach. I w tej chwili nie zapomniał niedoli swojej, która sprawiła, że mógł sam jeno korzystać ze swych arcydzieł. Ach, ta Hulder! Gdybyż ją dostać teraz w ręce!

Nagle oczom olśnionym blaskiem ukazało się w powietrzu coś, co przypominało skrzydła, a pomiędzy nimi ujrzał postać ludzką. Powiewały jasne włosy, jedwabne zielone szaty i błyszczwały oczy. Tak, to ona!

Stracił przytomność umysłu. Rzucił się szalonym pędem na zjawisko, nie wiadomo, czy po to, by je całować, czy bić i zmusić do zdjęcia czaru. Zapomniał w tej chwili o sterowaniu, wyciągnął rękę, zbliżył się nagle i skrzydła jego wplątały się w drugie skrzydła. Tamte były mocniejsze, chwyciły go, obróciły, potargały mu lotki i runął, sam nie wiedząc gdzie.

Odzyskawszy zmysły spostrzegł, że leży na dachu własnej wieży, obok strzaskanego przyrządu lotniczego. Poleciał, oczywiście, wprost na swój wiatrak, został porwany, okręcony parę razy i rzucony na dach. Tak się skończyła jazda powietrzna.

Kevenhüller popadł znowu w rozpacz. Uczciwa praca mierzyła go, sztuczkami czarodziejskimi zajmować się nie chciał. Uczuł, że serce by mu pękło, gdyby stworzył jeszcze jedno arcydzieło i znów stracić je musiał. Gdyby zaś nie niszczało, zwariowałby na pewno, nie mogąc go dać na pożytek innym.

Sięgnął po tobolek czeladniczy i kij sękaty, zostawił wiatrak i postanowił szukać leśnej boginki.

Najął powóz, gdyż nie mógł już tak chodzić jak za młodu, i pojechał. Opowiadają, że zatrzymywał się przed każdym lasem, wysiadał, wchodził w gęstwinę i wołał zieloną boginkę.

— Hulder, Hulder, to ja, Kevenhüller! Chodź no, chodź! — Ale nie przychodziła.

Podczas tej podróży przybył do Ekeby, na rok zaledwie przed wygnaniem majorowej! Przyjęto go serdecznie, więc został. Gromadce kawalerów przybyła wysoka, rycerska postać, pozyskali nieustraszonego towarzysza pohulanek i łowów. Ożyły w nim wspomnienia młodości, pozwalał się nazywać hrabią i coraz bardziej przypominał starego niemieckiego barona-rozbójnika swym orlim nosem, krzaczastymi brwiami, brodą spiczastą i zakręconymi w górę wąsami.

Został rezydentem jak inni i nie różnił się od gromadki, którą majorowa, wedle legendy, trzymała w pogotowiu na usługi piekła. Włos mu pobiełał, a umysł zasnął. Nie wierzył już sam w czyny lat młodych. Nie zrobił wcale samojazdu ani maszyny latającej. To bajki, na pewno bajki!

Ale wkrótce wypędzono majorową z Ekeby i zaczęło się szalone życie kawalerów, władców posiadłości. Burza poszła po okolicy, stare głupstwo złączyło się z młodą dziczą, zło wszelkie poszło w ruch, dobro zanikło, ludzie walczyli na ziemi, a duchy na niebie. Z gór nadciągały wilki z czarownicami na grzbietach, rozpętały się siły natury, a Hulder przybyła do Ekeby.

Nie znali jej kawalerowie i myśleli, że jest to biedna, uciśniona kobieta, doprowadzona do rozpacz przez złą teściową. Wzięli ją w opiekę, czcili jak królową, kochali jak dziecko własne i zwali hrabiną.

Jeden Kevenhüller poznał ją, chociaż i on z początku uległ zaślepieniu. Ale pewnego dnia włożyła suknię z zielonego jedwabiu i Kevenhüller zaraz ją poznał.

Siadywała na jedwabnych poduszkach, na najlepszej sofie ekebijskiej, a wszyscy rezydenci służyli jej jak błazny. Jeden był kucharzem, inny kamerdynerem, lektorem, muzykiem nadwornym, szewcem nawet, każdy chciał jej służyć.

Niby to była chora ta poczwara, ale Kevenhüller, wiedział, co o tym sądzić. Chciała sobie po prostu zadrwić z wszystkich i koniec.

Ostrzegał przed nią kawalerów.

— Czyż nie widzicie ostrych zębów i dzikich oczu? — mawiał. — To Hulderka... wszystko zło zważyło się na nas... Powiadam wam, to Hulderka, która przybyła na nasze nieszczęście. Znam ją z czasów dawniejszych.

Ale zobaczywszy i poznawszy Hulderkę, uczuł Kevenhüller chęć do pracy. Zaczęło go piec w mózgu i wiercić, a palce same sięgały po pilnik i młot, tak że nie mógł wytrzymać, aż wdział bluzę roboczą i zamknął się w jednym z warsztatów ślusarskich.

Po Ekeby i całym Värmlandzie poszła wieść:

— Kevenhüller zabrał się do roboty!

Nasłuchiwano z zapartym oddechem uderzeń młota, warkotu silnika i stęku miecha.

— Zobaczmy nowy cud! — mówiono. — Co też to będzie? Może nas nauczy chodzić po wodzie lub zbuduje drabinę do Wielkiej Niedźwiedzicy? Wszystko potrafi ten człowiek! Widzieliśmy, jak go skrzydła unosiły w powietrzu, widzieliśmy, jak jego samojazd pędził przez ulice, posiada dar Hulder, nic przeto nie jest dla niego niemożliwe.

Pierwszej czy drugiej nocy październikowej skończył arcydzieło i wyniósł je z pracowni. Było to koło kręcące się samo przez się, a podczas obrotu lśniły szprychy wydzielające ciepło i światło. Kevenhüller zrobił słońce. Gdy je wyniósł z pracowni, noc stała jak dzień jasna, wróble zaczęły ćwierkać, a chmury poróżwiały jak o wschodzie.

Było to arcydzieło najpiękniejsze. Zniknąć miała ciemność i zimno z ziemi. Dumny był z pomysłu. Słońce naturalne mogło sobie wschodzić jak dotąd, ale w nocy miały się zapalać tysiące słońc sztucznych w całym kraju, ogrzewając powietrze jak w upalny dzień letni. Miano zbierać dojrzałe ziarno w zimowe noce, poziomki i ożyny przez cały rok rosnąć miały po wzgórzach, a lód już nigdy ściąć nie miał wody.

Nowy wynalazek miał przeistoczyć świat, zastępując futro biednym i dając światło pracującym pod ziemią.

Miał dostarczyć fabrykom siły napędowej, ożywić przyrodę śpiącą w zimie, słowem, stworzyć lepszy byt dla ludzkości.

Ale Kevenhüller wiedział dobrze, że wszystko to są marzenia i Hulder nie zezwolił mu za nic uwielokrotnić owego koła. Ogarnięty gniewem i zemstą postanowił ją zabić i od tej chwili nie wiedział już, co czyni.

Wszedł do budynku głównego, pod schody, i postawił tam koło ogniste w zamiarze spalania dworu razem z babą.

Potem wrócił do pracowni, siadł i zaczął nasłuchiwać.

Za chwilę hałas i gromkie nawoływania oznajmiły, czego dokonał.

„Krzyczcież sobie — myślał — i dzwońcie do woli, a Hulder, ta czarownica, spali się i tak wraz z jedwabiami, na których ją ułożyliście!”

Dumał, czy potwór wije się już w mękach, czy biega z komnaty do komnaty, czy trzeszczy zielony jedwab w ogniu, czy płomienie już igrają jasnymi włosami. Dalejże śmiało, płomienie! Schwytajcież i spalcie czarownicę! Nie bójcie się zaklęć czarodziejskich! Niech się spali! Niejeden przez nią palił się tak przez całe życie!

Tętniły dzwony, turkotały pojazdy, nadjeżdżały sikawki, czerpano wodę z jeziora wiadrami, z wszystkich wsi śpieszyli ludzie na ratunek. Krzyczano, lamentowano, wydawano rozkazy, zapadały się dachy i straszliwie trzeszczały płomienie.

Nic nie mogło jednak wyprowadzić z równowagi Kevenhüllera, który siedział na kowadłe i zacierał ręce.

Nagle usłyszał łoskot, jakby spadły niebiosa, skoczył i zawołał wesolo:

— Teraz już nie ujdzie! Leży zdruzgotana belkami lub pożarta przez płomienie. Cha... cha... cha... stało się!

Wspomniał, że musiał poświęcić dumę i chwałę Ekeby, by ją zgładzić ze świata. Pożałował wspaniałych sal, rozbrzmiewających niedawno jeszcze radością, pełnych stołów uginających się pod smakolokami, mebli, sreber i porcelany, czego wynagrodzić nie będzie można już nigdy...

Skoczył i krzyknął straszliwie. Wszakże postawił pod schodami dla podpalenia domu swe koło, słońce, model, od którego zależało wszystko!

Spojrzał po sobie tak przerażony, że aż skamieniały.

— Czyżem oszalał? — spytał. — Jakże mogłem to uczynić?

W tej chwili otwarto szczelnie zaryglowane drzwi pracowni i ukazała się zielona bogini. Hulderka stała w progu uśmiechnięta, powabna, bez plamki na sukni, bez woni dymu we włosach. Wyglądała zupełnie tak, jak to widział za młodych lat na rynku karlstadzkim, owiana dziką wonią lasu, z wlokącym się za nią ogonem...

— Ekeby płonie! — powiedziała ze śmiechem.

Kevenhüller podniósł wielki młot chcąc go jej rzucić na głowę, ale w tejże chwili spostrzegł, że potwór trzyma w ręku jego ogniste koło.

— Ocalałam to dla ciebie! — rzekła.

Kevenhüller padł jej do stóp.

— Zniszczyłaś mój wóz! — zawołał. — Połamałaś mi skrzydła i zmarnowałaś mi życie! Zmiłuj się teraz nade mną, okaż się litościwą!

Skoczyła na tokarnię i siadła tam, młoda, powabna jak za czasu pierwszego spotkania.

— Widzę, że wiesz, kim jestem! — powiedziała.

— Znam cię i zawsze znałem! — zawołał nieszczęśliwy człowiek. — Jesteś geniusz! Ale zwróć mi wolność! Zabierz swój dar! Odejmij cudowną moc! Chcę zostać zwyczajnym człowiekiem! Czemuż mnie prześladujesz? Czemu niszczysz?

— Nierozsądny człowiecze! — powiedziała Hulder. — Nigdy nie chciałam ci szkodzić. Dałam ci dar wielki, który mogę odebrać, jeśli go nie chcesz. Ale namyślił się, byś nie żałował.

— Nie, nie! — wykrzyknął. — Odbierz mi cudowne zdolności!

— Naprzód musisz to zniszczyć! — odparła rzucając na ziemię koło ogniste.

Bez namysłu chwycił wielki młot, uderzył w lśniące słońce, które było jeno sztuczką czarodziejską, nieużyteczną dla ogółu. Skry poleciały po pracowni, zatańczyły płomienie i trzaski, ostatnie arcydzieło przestało istnieć.

— Teraz odbieram ci dar mój! — rzekła Hulder.

Podeszła do drzwi, otworzyła je, a Kevenhüller patrzył, jak odchodziła na zawsze, oblana czerwienią pożogi.

Wydała mu się piękniejszą jeszcze, a nie miała teraz złośliwego wyrazu ni dumy na twarzy.

— Nierozsądny człowiecze! — powiedziała mu jeszcze. — Czyliżem ci zabroniła kazać innym naśladować dzieła twoje? Miałam to jeno na celu, by ochronić człowieka genialnego przed trudami rzemiosła!

Potem poszła, a Kevenhüller chodził przez kilka dni jak błędny. Niebawem jednak stał się podobny innym ludziom.

Spłonął główny gmach Ekeby, ale nikt z ludzi nie ucierpiał. Zasmuciło to tylko kawalerów, że gościnny dom, w którym tyle dobra zaznali, tak wiele poniósł strat za ich rządów.

34. NA JARMARKU W BROBY

Pierwszego piątku w październiku rozpoczął się w Broby wielki jarmark trwający osiem dni. Było to największe święto roku, a poprzedzał je w każdym domu okres pieczenia i wazzenia. Odzież zimowa czekała już pierwszego przywdziania, świąteczne potrawy: placek z serem i ciastka na smalcu, stały co dzień na stole, podwajano też racje wódki, a pracę odkładano na potem. W każdej zagrodzie świątkowano, służba i wyrobnicy brali zaliczki i długo dumali, co by kupić na jarmarku. Ludzie przychodzili z dala grupkami, z plecakami na grzbiecie i laskami w ręku. Wielu w tych ciężkich czasach musiało też pędzić bydło na sprzedaż. Młode byczki i kozy stawały na rozkraczonych sztywnie nogach pośród drogi, przysparzając dużo kłopotów właścicielom, a uciechy widzom. Gościnne pokoje po dworach pełne były miłych gości, opowiadano sobie nowiny i rozważano ceny bydła, dzieci zaś chodziły z kąta w kąt marząc o podarkach jarmarcznych i miedziakach na cukierki.

Pierwszego zaraz dnia mnóstwo ludzi przepelniało wzgórze brobijskie i wielki rynek. Kupcy, z miast przybyli, sprzedawali swe towary w budach, zaś ludzie z Dalsland i z Västgotland rozłożyli swój kram na długich deskach, ponad którymi trzepotały białe płócienne dachy. Dość tam było linoskoczków, kataryniarzy, ślepych grajków oraz wrózek, kramów z cukierkami i szynków. Za budami ustawiono na ziemi naczynia kamienne i drewniane. Ogrodnicy dworscy zwozili cebulę, rzepę, jabłka, gruszki, a dużą przestrzeń rynku zalegały brunatne, pobielane wewnątrz naczynia miedziane.

Po obrotach poznać jednak łatwo było, że nędza panuje w Svartsjö, Bro, w Lövviku i innych gminach nad Lövenem. Handel na straganach i budach szedł licho, większy ruch był jeno na targowicy, gdzie niejedyn musiał sprzedać krowę, by przezimować, i gdzie odbywał się ożywiony handel końmi.

Wesoły był mimo to jarmark w Broby. Gotówka starczająca na parę kieliszków podtrzymywała humory. Ale nie sama wódka wywoływała nastrój radosny. Ludzi przybyłych z samotnych leśnych zagród, gdy się znaleźli na jarmarku, w ścisku, ogarniało istne szaleństwo radości, huczne jarmarczne życie upajało ich.

Niemal handlowano, oczywiście, pośród tylu ludzi, ale nie była to rzecz główna. Najważniejsze zdawało się każdemu zaprosić do swego wozu krewnych i przyjaciół, gościć ich kielbasą owczą, ciastkami na smalcu i wódką lub skłonić dziewczynę do przyjęcia w darze śpiewnika czy jedwabnej chusteczki, lub też nakupić jarmarcznych prezentów dla dzieci.

Do Broby przychodzili wszyscy, którzy nie musieli zostać dla pilnowania gospodarstwa. Stawili się więc kawalerowie z Ekeby, węglarze z Nygard, handlarze koni z Norwegii, Finowie z głębi lasów i włóczykije z całego świata.

Gdzieniedzie powstawały w tym morzu wiry kręcące się wokół pewnych punktów. Co tam tkwiło, nie wiedział nikt, dostrzegano tylko czasem policjantów kładących tamę jakiejś bijatyce lub podnoszących przewrócony wóz. Za chwilę taki sam wir powstawał wokoło jakiegoś kupca targującego się z ochoczą dziewczyną.

W południe zaczynała się bijatyka na dobre. Chłopi wbili sobie w głowę, że Västgotlandzycy oszukują ich używając zbyt krótkiej miary łokciowej, przeto powstała zrazu kłótnia przy ich straganach, potem zaś poszły w ruch pięści. Wielka to była ulga dla wielu, którzy w owych dniach biedę w domu klepali, palnąć w coś czy kogoś z całej siły. Gdy raz

bitwę rozpoczęto, cisnęli się do szeregów wszyscy silni i ochotni. Kawalerowie usiłowali po swojemu przywracać ład, a Dalslandczycy śpieszyli tym z Västgotland na pomoc.

Najśmielej poczynął sobie setny chłop, Mans z Forsu. Pijany i rozjuszony obalił jakiegoś Västgotlandczyka i jął go okładać, zwabieni wołaniem o pomoc, nadbiegli krajanie bitego i usiłowali zmusić Mansa do wypuszczenia swego ziomka. Wtedy osilek Mans zwałił bele materiału z jednego straganu, porwał ładę, zbitą z mocnych desek, na łokieć szeroką, osiem łokci długą, i jął wymachiwać tą bronią.

Mans był strasznie silnym człowiekiem. Wywalił ścianę więzienia filipstadzkiego, mógł też dźwignąć z jeziora łódź i zanieść ją na barkach do domu. Naturalnie wszyscy Västgotlandczycy umknęli, ale silny Mans ruszył ich śladem i nie bacząc już na wrogów czy przyjaciół, gnał, by tylko w coś uderzyć.

Ludzie uciekali ogarnięci strachem, ale trudno to było uczynić kobietom z dziećmi. Przy tym drogę tamowały budy i wozy, a zamieszanie pogarszały jeszcze płoszone krowy i woły.

Wciśnięta w kąt pomiędzy budami utkwiała gromada kobiet. Ku nim leciał teraz olbrzym, któremu się zdawało, że widzi tam jakiegoś Västgotlandczyka. Przerażone śmiertelnie babiny skuliły się czekając ciosów straszliwych.

W chwili kiedy deska spadała na ich głowy, uderzenie osłabiły wyciągnięte ręce jakiegoś mężczyzny. On tylko jeden nie uciekł, ale tkwiąc w ciżbie dla ocalenia wielu, przyjął dobrowolnie na siebie cios. Kobietom i dzieciom nie stało się nic. Człowiek ten osłabił uderzenie, sam jednak legł bez zmysłów na ziemi.

Silny Mans nie podniósł już deski do nowego ciosu. Obezładniło go spojrzenie tego człowieka w chwili, gdy deska spadała mu na czaszkę. Spojrzenie to przeniknęło go do głębi. Dał się bez oporu związać i odprowadzić.

Z szybkością błyskawicy poleciała po rynku wieść, że mocny Mans zabił kapitana Lennarta. Powiadano, że ten przyjaciel ludzi poległ w obronie kobiet i dzieci.

Cisza zaległa plac tak ożywiony przed chwilą, ustał handel, pijatyka, a linoskoczek daremnie wabił widzów. Zmarł przyjaciel ludu, a lud przybrał żalobę. Wszyscy tłoczyli się w milczeniu dokoła miejsca, gdzie padł. Leżał wyciągnięty, bez zmysłów, bez ran, ze zgniecioną jeno tylko częścią czaszki.

Kilku mężczyzn podniosło go ostrożnie i złożyło na desce, od której zginął. Wydało im się, że jeszcze żyje.

— Gdzie go zanieść? — pytali się wzajem.

— Do domu! — krzyknął ktoś szorstko z tłumu.

Tak, dobrzy ludzie, zanieście go do domu! Zanieście na barkach swoich tego, który był piłką bożą i puchem przez tchnienie jego pędzonym.

Zraniona głowa spoczywała długo na twardej ławie więzienia i na wiązce siana w stodole. Złóżcie ją w domu, na miękkiej poduszce. Znosił on niewinnie hańbę i odpędzony został od drzwi domu swego! Zanieście go tam. Był tułaczem, który chodził drogami bożymi, gdziekolwiek je znalazł, tęskniąc za domem zamkniętym dlań przez Boga. Zanieście go tam, a może otworzy się dla tego, który ocalił śmiercią swą kobiety i dzieci.

Nie wraca teraz jako złoczyńca otoczony zgrają chwiejących się pijaków, ale na czele żalobnego korowodu ludzi, w których chatach mieszkał i których wspomagał w niedoli. Zanieście go do domu!

Tak też uczynili. Sześciu ludzi wzięło na ramiona deskę ze zwłokami i wyniosło ją z rynku. Ludzie, których mijali, przestawali mówić, zatrzymywano się, robiono miejsce, odkrywano głowy, kobiety pochylały się jak w kościele, wielu płakało ocierając oczy, a inni zaczęli już opowiadać, co to był za człowiek, jak wesoły, dobry, uczynny i bogobojny.

Miło było patrzeć, jak ochotnie podsuwano ramiona, gdy któryś z niosących odstępował zmęczony.

Kapitan Lennart mijał właśnie miejsce, gdzie stali kawalerowie.

— Muszę pójść i przypilnować, by go zanieśiono jak należy! — rzekł Beerencreutz i ruszył znad skraju drogi do Helgesäter, a wielu poszło za jego przykładem.

Rynek opustoszał niemal całkiem, wszyscy bowiem przyłączyli się do żalobnego korowodu. Zapomniano o koniecznych zakupach, podarkach dla dzieci. Śpiewnik, jedwabna

chusteczka, co wabiła oczy dziewcząt, została w kramie, wszyscy poszli zobaczyć, jak kapitan Lennart wraca do domu.

Gdy dotarli do Helgesäter, zastali tam pustkę i ciszę. Zadudniły jak przedtem pięści pułkownika na drzwiach. Wszyscy domownicy poszli na jarmark, sama jeno gospodyni pilnowała domu.

Stała w progu, pytając jak za pierwszym razem:

— Czego chcecie?

Pułkownik odparł tymi samymi co przedtem słowami:

— Przyrowadzamy ci męża.

Spojrzała nań i zobaczyła, że stoi sztywny i rozważny jak zawsze. Spojrzała po niosących zwłoki i płaczącym tłumie. Ujrzała setki smutnych, wpatrzonych w nią oczu. W końcu spojrzała na rozciągniętego na desce człowieka, przycisnęła ręce do serca i szepnęła:

— Oto prawdziwe jego oblicze!

Nie pytając dłużej odsunęła zasuwę drzwi, otworzyła je na ścieżaj i poszła przodem do sypialni.

Z pomocą pułkownika rozsunęła składane, podwójne łóżko i przetrząsnęła poduszki, po czym opuszczono ciało na miękką białą pościel.

— Czy żyje? — spytała.

— Tak! — odrzekł pułkownik.

— Czy jest nadzieja?

— Nie! Nie ma nadziei.

Przez chwilę milczeli oboje, potem zaś spytała gospodyni:

— Czy jego to oplakują ci wszyscy ludzie?

— Tak.

— Co im uczynił?

— Ostatnim jego czynem było, że dał się zabić silnemu Mansowi, by ocalić od pewnej śmierci kobiety i dzieci.

Dumała przez chwilę.

— Czemuż tak wyglądał, pułkowniku, gdy przybył tu przed dwoma miesiącami?

Pułkownik drgnął. Ach, teraz, zrozumiał, dopiero teraz zrozumiał!

— To Gösta go tak pomalował! — rzekł.

— A więc z powodu kawalerskiego figla zamknęłam przed nim dom? Jak pan to usprawiedliwisz, pułkowniku?

Pułkownik wzruszył ramionami.

— Mam dużo jeszcze innych rzeczy na sumieniu! — odparł.

— To jest chyba jednak najcięższy grzech!

— Za to nigdy nie miał w życiu przykrzejszej drogi jak dzisiejszy marsz do Helgesäter. Zresztą dwie jeszcze osoby ponoszą także winę.

— Któż to?

— Pierwszy to Sintram, a drugim winowajcą jesteś ty sama, kumo. Zbyt surowe masz poglądy. Wiem, że niejednen chciał z tobą pomówić w obronie męża twego.

— To prawda! — przyznała, potem zaś poprosiła, by jej opowiedział o pijatyce w Broby.

Opowiedział wszystko, co pamiętał, ona zaś słuchała w milczeniu. Kapitan Lennart leżał nieprzytomny. Pokój pełen był ludzi płaczących, ale nikomu nie przyszło na myśl wypraszać ich. Wszystkie drzwi pootwierano, a cały dom, sień i schody przepełniła smutna, milcząca rzesza. Nawet w podwórzu stali gęsto stłoczeni ludzie.

Gdy pułkownik skończył, powiedziała gospodyni donośnym głosem:

— Jeśli jest tu któryś z kawalerów, to proszę, by wyszedł. Zbyt bolesne to dla mnie widzieć go przy śmiertelnym łożu mego męża.

Pułkownik wstał bez słowa i wyszedł, a to samo uczynił Gösta i kilku jeszcze kawalerów towarzyszących zwłokom. Ludzie usuwali się płochliwie przed gromadą upokorzonych mężczyzn.

Po ich odejściu ozwała się kapitanowa:

— Proszę, by osoby, które spotykały męża mego w ostatnich czasach, opowiedziały mi, gdzie przebywał i co robił.

Ludzie zaczęli, jeden przez drugiego, składać świadectwo o kapitanie Lennarcie przed żoną, która go nie rozumiała i twarde mu okazała serce.

Rozbrzmiały słowa starych psalmów. Jęli mówić ludzie, którzy czytali jeno Biblię w swym życiu. Czerpali przeto zwroty i obrazy z księgi Hioba i używali słów patriarchów głosząc chwałę wysłannika bożego, który chodził po ziemi dobrze czyniąc.

Trwało to długo, nastał wieczór, a oni mówili ciągle, stając jeden po drugim przed żoną, która nie chciała nawet słyszeć imienia męża swego.

Opowiadali, jak siadywał u łoża chorych i leczył ich, zdziczali awanturnicy świadczyli, iż ich przywiódł do opamiętania, a pijacy, że ich nauczył wstrzemięźliwości. Smutnych pocieszał, nędzarzom ostatnim niósł pomoc, każdy będący w potrzebie zwracał się do wysłannika bożego i znajdował ulgę lub czerpał oden przynajmniej nadzieję i siłę do wytrwania.

Przez cały wieczór brzmiała mowa świętych ksiąg w pokoju umierającego.

Stojący w podwórzu czekali na „ostatnią chwilę”. Wiedzieli, co się dzieje wewnątrz domu, gdyż słowa, wypowiedane głośno przy łożu, szły szeptem z ust do ust. Kto miał coś do zeznania, przeciskał się w milczeniu przez tłum.

— Oto ten człowiek coś chce powiedzieć! — mówiono i robiono mu miejsce. Człowiek taki wychodził z mroku, składał zeznanie i wracał w mrok.

— Co ona mówi teraz? — pytali stojący z zewnątrz. — Co powiada sroga pani z Helgesäter?

— Promieniuje jak królowa, uśmiecha się jak panna młoda. Przysunęła fotel do łóżka i porozkładała na nim ubranie, które własnoręcznie utkała dla męża.

Nagle zapadła cisza. Nikt nie rzekł słowa, ale wszyscy uczyli, że nadeszła chwila skonu.

Kapitan Lennart otwarł oczy, a to, co zobaczył, wystarczyło. Ujrzał dom swój, tłum ludzi, żonę, dzieci, ubranie, i uśmiechnął się. Odzyskał przytomność po to jeno, by umrzeć. Westchnął chrapliwie i skończył.

Umilkli opowiadacze, a ktoś zanucił pieśń żalobną. Wszyscy podjęli ją i popłynęła z setek piersi, ku wyżynom wieczności, niosąc ulatującej duszy pożegnanie ziemi.

35. SKARB KSIĘDZA PROBOSZCZA

W skrzydle rezydenckim panowała cisza. Krągłe waltornie przyozdobione z okazji jarmarku w nowe zielone sznury i chwosty, wyczyszczone, wisiały po kątach, skrzypce leżały owinięte jedwabiem w futerałach, obok nich smyki, struny zapasowe i kalafonia, flety zaś spoczywały w oliwie dla uszczelnienia klap. Umilkły pieśni Bellmanowskie, żarty i śmiechy. Na wielkim stole, pokrytym białymi tekturowymi krążkami pod szklanki, stały przybory do sporządzania gorących trunków. Ale nikt ich nie warzył. Beerencreutz tasował karty, ale nikomu nie chciało się rzucić pieniążka do puli.

Kawalerowie, ustanowieni strażnikami uciechy, przypominali teraz przemarzłe, zimowe muchy, stłoczone w ciemności na piecu. Otoczył ich chłód i samotność. Dnia minionego zmarł kapitan Lennart, a Gösta wprost od jego łoża ruszył w las i dzicz, jak to czynił zawsze po świeżym, bolesnym zranieniu. Wiedzieli wszyscy, że go nie ujrzą, dopóki czas nie zablizni rany. Hrabina zamknęła się, nie chcąc widzieć nikogo.

Róże okwitły, liście opadły, trawa pożółkła, a kawalerom wydało się, że samo życie minęło. Orneclou spostrzegł nagle, że jest stary i brzydki, wujaszek Eberhard skończył swe dzieło i zamknął w skrzyni, sumienie trapiło stale mistrza Juliusza, a Liljecrona tęsknił za domem.

Zadawali sobie pytanie, dlaczego wino straciło smak, karty przestały bawić, a muzyka ożywiać? Czemuż opuściła ich siła radości? Jakiejże zbrodni dopuścili się biedni hultaje?

Nagle otwarto drzwi i w progu stanęła córka proboszcza z Broby. Była to energiczna, mała osóbką, która przez cały rok zwalczała dzielnie rozpamiętanie i marnotrawstwo kawalerów. Miała w sobie taką powagę i poczucie obowiązku, że ją szanowano ogólnie mimo młodego wieku.

— Byłam dziś w domu i szukałam pieniędzy ojca mego! — powiedziała do kawalerów. — Ale nic nie znalazłam. Wszystkie skrypty dłużne podarte, szuflady i schowki puste.

— Smutna to dla paniutki rzecz! — rzekł Beerencreutz.

— Gdy majorowa opuszczała Ekeby — podjęła dziewczyna — poleciła mi czuwać nad domem. Gdybym była znalazła pieniądze ojca, przywróciłabym porządek w Ekeby. Nie znalazłszy jednak, zabrałam ze wzgórzka hańby ojca kilka suchych gałęzi, wielki to bowiem będzie dla mnie wstyd, gdy majorowa wróci i zapyta o Ekeby.

— Nie bierzże sobie tego tak do serca, panienko! Nie twoja to wina! — powiedział Beerencreutz.

— Nie tylko dla siebie wzięłam gałęzie ze sterty! — odparła dziewczyna. — Mam i dla panów kilka. Proszę, oto są! Mój ojciec nie był jedynym człowiekiem, który sprowadził hańbę i niedolę na okolicę.

Podchodziła do każdego kolejno i kładła przed nim suchą gałązkę. Większość kawalerów nie umiała powstrzymać się od przeklinania, niektórzy jednak zachowywali się spokojnie. W końcu powiedział Beerencreutz z wielkopańską godnością:

— Dobrze, panienko, dobrze, możesz już odejść! Dziękujemy!

Gdy wyszła palnął pięścią w stół, aż zatańczyły szklanki, i krzyknął:

— Od dziś nie pij! Nie chcę znaleźć się przez wódkę po raz drugi w podobnej sytuacji! — potem wstał i wyszedł, a cisza głęboka zapanowała w skrzydle rezydentów.

Przed każdym z kawalerów leżały kawałki drzewa, suchych gałęzi i zdawały się pytać:

— Gdzie jest majorowa? Co się stało ze sławą i wielkością Ekeby? Czemu zginął wysłannik boży? Gdzie dobrobyt panujący do niedawna nad Lövenem?

Skrzydło kawalerskie zatętniło nagle, zda się, głosami, które odpowiadały, a starym ludziom wydało się, jakoby wpadli w rój pszczół kęsających i brzęczących. Słyszeli wszyscy bolesne ukłucia odpowiedzi:

— „Kawalerowie wygnali swą dobrodziejkę na gościniec z domu, który im otwarła. Dała im jadło i uciechę, oni zaś dali jej w zamian głód i troskę.

Kawalerowie zniszczyli najpiękniejszą posiadłość Värmlandii! Kawalerowie zamknęli dom przed wysłanecem bożym. Awanturnik, który go zabił, mniejszą mu uczynił krzywdę, niż oni zabijając jego najśłodsza nadzieję. Kawalerowie nauczyli biedną ludność niedbalstwa i pijaństwa, zniweczyli dobrobyt całego okręgu...”

Ledwo głosy rozbrzmiały i kłuc zaczęły, jął jeden po drugim wstawać i wychodzić. Po chwili spotkali się wszyscy dziwnym trafem opodal wodospadu, gdzie ongi stał młyn i kuźnia. Wszędzie widniały ślady zniszczenia. Spośród zatoru desek i belek sterczał wielki młot, widać też było mury pieca i otwór kanału.

I oto w tym całym chaosie uwijał się pułkownik pracując zawzięcie i robiąc miejsce na nowy młyn i nową kuźnię. Przychodzili kawalerowie i każdy stawał do roboty. Niebawem zebrali się wszyscy, ciągnąc belki, tocząc kamienie, kopiając i murując. Zaczęły znowu rozbrzmiewać piosenki, żarty i śmiech. Nabrali ochoty, siły i otuchy, że odbudują Ekeby. Postanowili sprowadzić majorową, po którą wysłać mieli niebawem córkę proboszcza. Poprzysięgli sobie, że dostarczą pracy mieszkańcom Lövenu.

Cóż się jednak stanie z kontraktem pisany krwią w wigilijny wieczór? Ach... czyny ich obecnie będą bardziej kawalerskie od dawnych, a zresztą pracować będą nie dla zapłaty, ale dla chwały i chluby Ekeby!

Rano, w niedzielę, stanął Gösta pod brobijskim kościołem. Nabożeństwo zaczęło się już i plac opustoszał. Pod bramą kościelną leżała na ziemi zbita naprędce trumna.

Trudno było Göście przejść mimo tej trumny. Wiedział, że spoczywa w niej kapitan Lennart, wzbraniając mu jakby wstępu do kościoła.

Gösta włóczył się po lasach dzień i dwie noce, nie jadł nic, głodny był i wyczerpany. W samotności rozmyślał, jak to raz siedział z proboszczem nad drogą obok sterty gałęzi, a potem o tej nocy, kiedy tłumy unosiły zwłoki dziewczyny z Nygardu, jego zaś ogarnęła chęć zostania sługą i przyjacielem biedaków. Chciał pójść do kościoła, by nabrać sił do tej służby.

Nie mógł jednak minąć trumny kapitana Lennarta, gdyż zdawało mu się, że zmarły mówi:

„Jakże to chcesz, Gösto, pomagać biednym? Wleciesz za sobą skutki zła, któreś uczynił. Przedtem ty sam i wszyscy, których kochasz, muszą zebrać żniwo owej niedoli, jaką zasiałeś!”

Przystąpił do trumny, ukląkł i zawołał:

— Dopomóż mi, bym został sługą i przyjacielem biedaków! Spraw, bym nigdy nie przysporzył troski tym, których Kocham! Dopomóż mi, bym odtąd nie sprowadzał na świat smutku, hańby i nędzy!

Nagle czyjaś dłoń spoczęła ciężko na ramieniu Gösty. Sintram stał za nim.

— Gösto! — powiedział. — Jeśli chcesz komuś wypłatać figla co się zowie, połóż się i umrzyj! Nic nie przekreśla fatalniej rachunku pocziwca jak śmierć niespodziewana. To figiel najbardziej wymyślny! Powtarzam, połóż się i umrzyj!

— Byłoby to dla mnie najlepsze! — odparł Gösta.

— Przedtem jednak obmyśl coś, czym bym mógł najbardziej rozżłościć tego nieboszczyka!

— Czy cię okpił?

— Naturalnie! Przypatrz mi się, chłopcze, jestem człowiek wywieziony w pole! Udawał głupiego tak długo, aż uwierzyłem, on zaś chytrze wybrał sobie moment odpowiedni i umarł. Ale zapłacę mu! Zedrę kir i kwiaty z jego trumny i podepczę.

— Póki ja żyję, nie zrobisz tego! — zawołał Gösta.

Sintram założył ręce na piersiach i podniósł głowę. Miał w sobie przedziwny majestat zła, któremu służył.

— To moje prawo! — rzekł uroczyście. — Uplanowałem zręcznie wielkie dzieło, a on je zniweczył. Szło mi o cały okręg löweński. Gdybym był postawił na swoim, okręg zostałby zrujnowany. Pracowałem nad tym bez przerwy. Wygnałem majorową, doprowadziłem do choroby Melchiora Sinclaire'a, ukryłem skarb proboszcza z Broby i oddałem rządy kawalerom. Lud zdziczał i popadł w niedolę, że z łatwością byłbym go wygubił, gdyby nie ten człowiek, który w najpiękniejszym momencie padł i umarł. Sam to widziałeś, chłopcze! Chłopi tutejsi rzucili się na Gotlandczyków, a Dalslandczycy na chłopów, a gdyby rzecz trwała sekundę dłużej, jarmark przemieniłby się w ogromne pobojo-wisko. Deptano by po kobietach i dzieciach, towary zmieciono by w proch, rabunek i mord rozszalałyby się na dobre. Wszystkiemu przeszkodziła śmierć Lennarta. Po bitwie zaczęłyby się sądy, głód, bunt i kwaterunki wojska. Cały okręg zgnędziałby i takiej nabrał sławy, że prócz Sintrama nikt by tu mieszkać nie chciał. Takie to wielkie podjąłem dzieło.

— W jakimże celu? — spytał Gösta.

Oczy Sintrama błysnęły ogniem.

— Sprawiloby mi to rozkosz! — zawołał. — Jestem zły, jestem niedźwiedz górski, jestem burza w polu. Mord i zniszczenie to mój zawód. Precz, powiadam, z ludźmi i dziełem ich! Znieść tego nie mogę! Czasem bawię się nimi, każę im skakać, drażnię, podżegam, ale znudziło mi się to, Gösto! Chciałem właśnie wymierzyć potężny cios i zniweczyć wszystko!

Wyglądał na szalonego. Przez czas pewien zajmował się dla rozrywki diabelskimi sztuczkami, potem tak nim złość zawładnęła, iż uwierzył, że sam jest z piekła rodem.

Göstę, który pałał chęcią dopomożenia biedakom, olśniły słowa Sintrama jak błyskawica, zapytał tedy:

— A czy wiesz, gdzie jest ukryty skarb proboszcza?

Sintram spojrział podejrzliwie.

— Chcesz może zostać opiekunem i zbawcą ludu?

— Tak! — odparł wiedząc, że człowiekowi takiemu jak Sintram należy mówić prawdę.

Sintram zaciekawil się.

— Tak? Ano to mogę zostawić w spokoju tego umrzyka, gdyż patrzy mi się lepsza zemsta.

— Za cóż się masz mścić? Przyjaciel ludu leży w trumnie, a nędza jest równie wielka jak w czasie jego działalności.

— Mówię ci, wszystko przepadło. Spójrz no tam! Widzisz? Dziś wózek więzienny jest moim powozem i niemało łez wylałem, zanim sędzia pozwolił mi wysiąść tu i pomodlić się przy trumnie tego bogobojnego człowieka.

Gösta zobaczył w istocie pod cmentarzem wózek więzienny czekający na Sintrama.

— Chciałem tu również podziękować pani kapitanowej. Wyszukała kilka starych dokumentów dotyczących wiadomej sprawy o sprzedaż prochu i zesłała mi na kark władzę w chwili, kiedy się właśnie wybierał na pogrzeb tego pocziwca. Nie potrzeba mi jednak już trumny, mam myśl lepszą. Słuchaj no! Wyście tam wszyscy hultaje zmienili się

pono w świętoszków... nieprawdaż? Chcecie użyć spadku córki proboszcza z Broby na wspomnienie biednych, nieprawdaż?

— Sama mówiła nieraz, że pragnie za te pieniądze przywrócić Ekeby do dawnego stanu i wspomóc biednych.

Sintram roześmiał się.

— Rad byś, widzę, za każdą cenę dowiedzieć się, gdzie skarb ukryty.

— To, chciałbym bardzo!

— Przyobiecaj mi naprzód, że pójdziesz na to miejsce w lesie, gdzie zginęła dziewczyna z Nygardu, i skoczysz w przepaść. Pod tym warunkiem powiem ci. Ślicznie by wyglądała twoja śmierć! Powiedziano by, że to straszne wyrzuty sumienia skłoniły cię do samobójstwa.

— Przyrzekłem nie odbierać sobie życia, dopóki Anna Liza znajduje się w służbie majorowej.

— Głupstwo! — odparł Sintram. — Zapłać jej, a przestanie służyć.

Dawne i nowe tęsknoty Gösty zlały się w tej chwili w jedno pragnienie. Chciał mieć prawo umrzeć. Nie doszło do porozumienia pomiędzy nim a tą, która się zwała żoną jego. Z przyjemnością służył jej jak i inni kawalerowie, nie wiedział jednak, co nastąpi, gdy minie czas ich rządów w Ekeby. Nie wiedział nawet, czy wróci do rodziców, czy z nim zostanie. Jedno tylko pewne było, mianowicie to, że nie mógł jej uczynić większej przysługi, jak zwrócić wolność, a do tego właśnie nadarzała się doskonała okazja. Mógł się pozbyć wyrzutów sumienia, mógł, jak tego pragnął w najlepszych chwilach, przysłużyć się Bogu i ludziom. A koroną wszystkiego było coś wspaniałego i wielkiego: możliwość śmierci.

Podał tedy dłoń Sintramowi i przybili układ.

— Skarb leży w wieży broeńskiego kościoła pod podłogą, tuż przy dzwonach! — powiedział Sintram. — Postaraj się tylko zejść ze świata przed wieczorem, a ja już znajdę sposób, by córka proboszcza dostała pieniądze.

Nastał tedy dla Gösty piękny dzień. Poszedł do kościoła serdecznie uradowany, że poświęci życie dla dobra ludności. W zakrystii ułożył obwieszczenie tej treści, że praca w Ekeby zostanie podjęta i że biedni dostaną ziarno na zasiew. Słyszał szmery zdumienia i radości, gdy manifest ten odczytano po nabożeństwie. Doniósł w kilku słowach żonie, gdzie należy szukać skarbu. Wbrew woli wymknęło mu się parę słów pożegnania, na wypadek gdyby się mieli nie zobaczyć, po czym dodał, że musi uczynić coś dla odpokutowania za śmierć dziewczyny z Nygardu. Wkrótce jednak żałował wysłania listu. Bo po co?

Nigdy świat nie wydał mu się piękniejszym niż tego dnia. Po nabożeństwie rozmawiał z Anną Stjärnhök i Marianną Sinclair, a obie prosiły go, by się wziął w ryzy i został człowiekiem. Dowiedział się, że Anna znalazła ukojenie w pracy i zawiaduje sama rozległymi dobrami. A może nawet zostanie drugą majorową. Poznał, że obie cierpią, zmuszone wstydzić się człowieka, którego kochały. Pomyślał, że je ucieszy dając życie w ofierze dla wspomnienia biedaków i restytucji Ekeby.

Po nabożeństwie pochowano kapitana Lennarta. Zmarł w dzień targowy, przeto wieść rozeszła się prędko i tysiące ludzi napłynęły do kościoła. Cmentarz, mur i otaczające kościół pola zaroily się od przybyszów. Stary dziekan był chory i nie wygłosił kazania. Przyrzekł atoli przybyć na pogrzeb kapitana. Roztargniony stanął, zadumany jak zawsze, na czele pochodu pogrzebowego. Nie patrząc szedł znaną drogą, którą tyle prowadził pogrzebów, odprawił modły, rzucił grudkę ziemi na trumnę i nie zauważył nic nadzwyczajnego. Zbudził się dopiero, gdy organista zaintonował hymn podjęty przez wielotysięczną rzeszę mężczyzn, kobiet i dzieci. Przetarł oczy, jakby omroczone blaskiem, wstał na świeżą mogiłę i rozejrzał się. Nigdy nie słyszał takiego śpiewu nad grobem, nigdy nie widział takich mas w żałobie. Mężczyźni przywdziali czarne, zniszczone kapelusze pogrzebowe, kobiety białe fartuchy. Wszyscy oddawali się żalowi po zmarłym, wszyscy śpiewali mając łzy w oczach.

Dzekan uradował się tej miłości ludu dla zmarłego. Gdy zaś śpiew umilkł, wyciągnął do wszystkich ramiona. Wyrzekł słów parę słabym głosem; trudno mu było trafić do tych

ludzi. Znowu zaczął. W końcu jednak głos jego wzmógł się, a serce zapragnęło pocieszyć tłumy.

Opowiedział wszystko, co wiedział o wysłańcu bożym. Wspomniał, że czczony był nie dla zewnętrznej świetności i talentów, lecz dlatego, że kroczył ścieżkami Pańskimi, i w imię Chrystusa prosił, by go wszyscy naśladowali. Powinni kochać i wspomagać bliźnich swoich. Każdy niechaj się odnosi do ludzi z najlepszą wiarą i postępuje tak, jak dobry kapitan Lennart. Nie potrzeba na to wybitnych zdolności, lecz bogobojnego serca. Wskazał, że wszystkie niedole tego roku to przedświt bliskiego okresu miłości i szczęścia, a dobroć ludzka, która dotąd przeblyskiwała tu i ówdzie promieniami, utworzy niedługo wielkie, lśniące słońce.

Podniósł oczy i ręce w niebo i ogłosił pokój w kraju.

— W imię boże mówię ci, ustań, swawolo! Niech pokój zamieszka w sercach i całej naturze! Niech znajdą pokój rzeczy martwe, zwierzęta i rośliny. I niech nie czynią żadnej szkody nikomu.

Wszystkim, i Göście także, wydało się, że słuchają proroka. Zapragnęli się kochać wzajem i być dobrzy. Czuli, że zjawił się człowiek boży, mający moc nad całym stworzeniem. Na ziemię spłynął pokój niebiański, jaśniały góry, śmiały się doliny, a mgłę jesienną przepajały różowe blaski. Na końcu jął prosić o zbawcę dla ludu.

— Zjawi się on! — powiedział. — Bóg nie chce, byśmy wyginęli, i powołał tego, który nakarmi głodnych i skieruje ich na ścieżki swoje.

Gösta zrozumiał, że starzec o nim samym mówi, bo wszakże oddał już życie swe za biedaków. A wielu z tych, którzy słyszeli treść obwieszczenia, opowiadali w domu, że teraz wszystko zmieni się na lepsze, gdyż szalony proboszcz z Ekeby przyrzekł im pomoc.

Działo się to w czasach poprzedzających rządy kawalerów w Ekeby.

Mały pasterz i mała pasterka bawili się w lesie, budowali domy z płaskich kamieni, zbierali jagody i robili piszczalki. Urodzili się w lesie, las był ich domem i ogrodem. Żyli w zgodzie z mieszkańcami lasu jak z czeladzią i zwierzętami domowymi.

Rysie i lisy nazywali psami, łasiczka była ich kotem, zając i wiewiórka bydłem domowym. Sowy i cietrzewie trzymali w klatkach, sosny były służebnymi, a brzozy gośćmi podczas uroczystych przyjęć. Znali wyśmienicie jamy, gdzie żmije spały zwinięte w kłębek na zimę, i widywali podczas kąpeli pływającą królową węzów. Ale nie czuli strachu przed węzami i duchami leśnymi, gdyż byli to mieszkańcy lasu, czyli ich domu. Nie bali się niczego.

Chłopak mieszkał w samotnej chacie w głębi lasu. Wiodła doń skalista ścieżka przez wyrwy i grząskie oparzeliska. Dla mieszkańców równin osiedle takie nie ma nic pociągającego.

Mijały lata, a młodzi postanowili pobrać się, zamieszkać w chacie leśnej i żyć z pracy swych rąk. Ale zanim to nastąpiło, spadła na kraj klęska wojny i młodzieniec zaciągnął się do wojska. Wrócił wprawdzie cały, ale lata wojaczki wycisnęły już na zawsze piętno na jego usposobieniu. Zbyt wiele widział zła i okrucieństwa wśród ludzi, tak że utracił zdolność dostrzegania dobra.

Z początku nie było widać zmiany. Poszedł z wybranką serca do proboszcza, ogłoszono zapowiedzi, potem zamieszkali w chacie leśnej powyżej Ekeby, jak oboje dawniej marzyli, ale szczęście nie zagościło w ich progach.

Młoda kobieta patrzyła na męża jak na obcego. Nie mogła go poznać od czasu powrotu z wojny. Mówił mało i śmiech jego był ostry i szydarchy. Bała się go.

Nie robił nic złego, pracował gorliwie, ale go nie lubiano, gdyż podejrzewał ludzi o zło. Czuł się sam jakby zienawidzony i obcy. Zwierzęta z lasu były mu teraz wrogami, a góra nad chatą przesłaniająca słońce i oparzelisko zagrażały mu bez ustanku. Las to niesamowite mieszkanie dla człowieka, który się nosi ze złymi myślami.

Kto mieszka na pustkowiu, ten musi sobie nagromadzić pewien zapas świetlistych wspomnień. Inaczej wszędzie pośród zwierząt i roślin dostrzegać będzie ten sam pęd do mordowania i gnębienia, który dostrzegł pośród ludzi. Wszystko, co go otacza, będzie zwiastunem zła.

Szeregowiec Jan Hök sam nie wiedział, dlaczego wszystko szło mu na opak i w domu jego nie było pokoju. Synowie wyrosli na mężczyzn silnych, zahartowanych, ale dzikich, gotowych do walki z wszystkimi, a ludzie żywili ku nim nienawiść.

Zatroskana żona jego zaczęła badać tajniki natury i zbierać rośliny lecznicze po gęstwinach i bagnach. Śledziła tajnie siły podziemnych, umiała leczyć, udzielać porad na bezwzajemną miłość. Toteż ogłoszono ją czarownicą i unikano, chociaż była bardzo użyteczna.

Raz wreszcie zdobyła się na odwagę i rzekła do męża:

— Od powrotu z wojny jesteś jak odmieniony. Cóż oni ci tam zadali?

Skoczył ku niej i omal nie obił, a działa się to zawsze, ile razy wspomniała o wojnie. Szalał z gniewu. Nie wolno było wymówić słowa: wojna. Dowiedzieli się o tym ludzie i unikali tego tematu.

Żaden atoli z towarzyszków broni nie mógł mu zarzucić, że zrobił coś gorszego od innych. Walczył, jak przystało na żołnierza. Jeno te wszystkie straszne rzeczy, jakie widział, sprawiły, że wszędzie dostrzegał zło, i sądził, iż natura nienawidzi go za udział w tym. Inni pocieszali się myślą, że walczyli za ojczyznę i honor, on widział tylko, że przelewał krew i dopuszczał się przemocy.

W czasie kiedy wypędzono majorową z Ekeby, mieszkał w chacie sam jeden. Żona zmarła, synowie odeszli w świat. Ale podczas jarmarków miał mnóstwo gości. Zajeżdżali doń Cyganie, którzy podobnie jak on unikali ludzi. Małe, kosmate koniki ciągnęły górskimi ścieżkami wozy pełne dzieci, łachmanów i przyborów do pobielania naczyń. Postarzałe przedwcześnie kobiety, napuchnięte od tytoniu i wódki, i bladzi, muskularni mężczyźni szli za wozami, a gdy dotarli do chaty, zaczynała się uciecha, gra w karty, pijatyka oraz gawędy o kradzieżach, zamianach koni i bitkach.

Było to w piątek, jeszcze podczas jarmarku brobijskiego, na którym zginął kapitan Lennart z ręki silnego Mansa. Mans był synem Jana, toteż zebrani w jego chacie Cyganie częściej niż zazwyczaj podawali mu flaszkę z wódką i rozmawiali o życiu więziennym, o wikcie, o śledztwie, na czym się znali dobrze.

Jan siedział na kłocu pod oknem i mówił niewiele, patrzył tylko wielkimi, przygasłymi oczami na czeredę w izbie. Zapadł zmierzch, ale migotliwy płomień ogniska oświecał izbę ukazując łachmany, niedostatek i nędzę.

Wtem otwarto z cicha drzwi i weszły dwie kobiety: hrabina Elżbieta z córką proboszcza z Broby. Stary Jan zdziwił się ujrawszy w blaskach płomieni tę postać piękną i promienną. Elżbieta powiedziała, że Gösta Berling nie pokazał się w Ekeby od śmierci kapitana Lennarta. Obie z dziewczyną szukały go po lesie przez całe popołudnie. Widząc ludzi, którzy dalekie odbywali wędrówki i znają wszystkie drogi, zapytała, czy któryś z nich nie widział Gösty. Po to właśnie wstąpiła tutaj, a także, by odpocząć nieco.

Daremnie pytała, nie widział go nikt.

Przysunęli stół do ognia, padła nań i przez chwilę milczała. W izbie zapanowała cisza, a wszyscy patrzyli na przybyłą, dziwując się. Zauważywszy to długotrwałe, przykre milczenie, chciała wszcząć rozmowę i rzekła:

— Jeśli się nie mylę, byliście, Janie, żołnierzem. Proszę, opowiedzcie mi coś o wojnie.

Milczenie stało się jeszcze bardziej niesamowite. Jan udął, że nie słyszy.

— Rada bym coś usłyszeć od naocznego świadka i uczestnika... — podjęła na nowo, ale urwała spostrzegłszy znak, jaki jej ruchem głowy dała towarzysząca. Musiała się widać odezwać niezręcznie, gdyż wszyscy obecni patrzyli na nią, jakby uchybiła formom towarzyskim. Nagle odezwała się chrapliwie jedna z Cyganek:

— A może pani była dawniej hrabiną borgijską?

— Tak, byłam.

— W takim razie mogłaby pani coś lepszego robić, niż biegać za szalonym pastorem... Pfuj!

Hrabina wstała i podziękowawszy za odpoczynek pożegnała zebranych. Kobieta, która przemówiła przed chwilą, wyszła za nią.

— Może pani hrabina nie wie, czemu tak powiedziałam? Stary Jan wpada we wściekłość na wspomnienie o wojnie, toteż musiałam coś rzec, ale bez złej myśli to powiedziałam.

Hrabina poszła dalej, ale przystanęła za chwilę. Spojrzała na groźny las, rzucającą cień górę i dymiące oparem bagniska. Strach mieszkać w takiej okolicy temu, kto miał duszę pełną złych wspomnień. Żal jej się zrobiło starego Jana, który siedział tam mając jeno czarnych Cyganów za towarzyszy.

— Anno Lizo — powiedziała — musimy wrócić. Przyjęto nas uprzejmie w tej chacie, ja jednak zachowałam się niestosownie. Chcę pomówić ze starym Janem o czymś przyjemniejszym.

Szczęśliwa, że może kogoś pocieszyć, zawróciła do chaty.

— Obawiam się — powiedziała — że Gösta Berling chodzi tu po lesie w zamiarze odebrania sobie życia. Ważna tedy rzecz schwytać go i przeszkodzić temu. Wydawało mi się, a także Annie Lizie, kilka razy, że go widzimy, ale znikł nam z oczu. Przebywa prawdopodobnie w pobliżu miejsca, gdzie zginęła dziewczyna z Nygardu, przyszło mi tedy na myśl, że nie potrzeba pomocy aż z Ekeby. Jest tu sporo dzielnych mężczyzn, którzy zdołają pochwycić Göstę.

— Wstańcie, chłopcy! — krzyknęła Cyganka. — Skoro pani hrabina jest tak uprzejma, że was prosi o pomoc, musicie zaraz iść!

Mężczyźni wyszli na poszukiwania.

Jan Hök siedział w milczeniu, spoglądając twardo przed siebie przygasłymi oczyma, tak że uczuła, jak ogarnia ją jakaś nieokreślona trwoga. Nie wiedziała, o czym by tu mówić.

Nagle spostrzegła zranioną rękę jednej z kobiet i chore dziecko na wiązce siana. Zajęła się zaraz chorymi, zapoznała się z gadatliwymi kobietami, które pokazywały jej swe dzieci.

W godzinę potem wrócili Cyganie niosąc związanego Göstę i położyli go przed ogniskiem. Odzież miał podartą i zabłoconą, rysy zmienione, oczy błyszczwały mu dziko. Przez ostatnie dni pędził żywot szaleńca, leżał na mokrej ziemi, zanurzał ręce i twarz w miękkie mchy, wspinał się po głazach i przeciskał przez gąszcza. Przekonał się, że niełatwo zadać sobie śmierć. Z godziny na godzinę wzmagala się walka z żądzą życia. Nie dał się też dobrowolnie schwytać, tak że musieli go pokonać i związać.

Elżbieta, zobaczywszy go w tym stanie, popadła w gniew. Nie rozwiązała mu pęt, lecz pozostawiła na ziemi, odwracając się ze wzgardą.

— Ładnie wyglądasz! — powiedziała.

— Nie chciałem ci się wcale pokazywać na oczy! — odparł.

— Czyż nie jestem żoną twoją? Czy nie mam prawa żądać, byś z troską swoją przyszedł do mnie? W ostatnich dwóch dniach wiele strachu o ciebie wycierpiałam.

— Przecież to ja przyczyniłem się do nieszczęścia kapitana Lennarta. Jakże mogłem spojrzeć ci w oczy? Jakże mogłem?

— Obcą ci była zazwyczaj taka lęklivość.

— Wiem, że śmiercią swoją oddałabym ci największą przysługę.

Spojrzała nań z wielką wzgardą i rzekła:

— Chciałeś mnie uczynić wdową po samobójcy?

Twarz mu się ściągnęła boleśnie i odparł:

— Elżbieto, chodź, pomówimy o tych sprawach w ciszy lasu.

— Czemużby ludzie ci nie mieli słyszeć? — spytała ostro. — Czyż jesteśmy lepsi od nich? Czyż który z nich spowodował więcej troski i zła niż my? Są oni dziećmi lasu i gościńca i każda ręka przeciw nim się podnosi. Niech usłyszą, że grzech i hańba ciąży na panu z Ekeby, Göście Berlingu, którego wszyscy kochają. Nie uważam wcale ani siebie, ani ciebie bynajmniej za lepszych od nich.

Uniósł się z trudem na łokciu, spojrzał wyzywająco i zawołał:

— Nie jestem tak nędzny, jak sądzisz!

I uniesiony gniewem opowiedział jej o układach pod kościelną bramą.

— Dawno by już było po mnie, gdybyś nie była przysła do lasu! — dodał. — Nie miałem siły umierać, gdy byłaś tak blisko. Teraz atoli puść mnie, bym mógł dotrzymać słowa!

— Ach! — powiedziała, gdy skończył. — Znam ja dobrze to wszystko, te bohaterские frazesy i gesty! Gösta gotów zawsze włożyć ręce w ogień lub oddać za coś życie. Dawniej widziałam w tym wielkość, teraz jednak wolę spokój i rozwagę. Ceniłabym cię, gdybyś był położył rękę na trumnie Lennarta i przysiągł wobec Sintrama, że chcesz żyć i wspomagać

biedaków przez niego gnębionych, ale nie sądz, że uznam za rzecz wzniosłą, iż chciałeś ich ratować przez zbrodnię i odpokutować grzechy przez zbrodnię.

Spojrzał na nią rozpaczliwie i zawołał:

— Muszę odpokutować, a cóż dać mogę prócz własnego życia? Nie zapominaj, że jestem wygnanym proboszczem, wyklętym przez ludzi i Boga!

— Jak śmiesz tak mówić, Gösto? Zbyt wiele ci ludzie okazywali miłości i to było twym nieszczęściem. Kochali cię mężczyźni i kobiety. Przebaczano ci wszystko, gdyś jeno zaczął żartować, śmiać się i grać. Wszystko, czegoś dokonał, uznawano za dobre. Wszakże słyszałeś, co mówił dziekan, i wiesz, czego po tobie spodziewa się Bóg. Biedacy odeszli do domu rozmawiając o tobie jak o zbawcy, ty zaś pospieszyłeś w las, by sobie odebrać życie. Jesteś bohaterem w oczach wszystkich, Gösto, a chcesz ich opuścić.

— Jakże mogę im dopomóc bez pieniędzy? Wszak w zamian za te pieniądze przyrzekłem Sintramowi umrzeć!

Głos hrabiny zatrzęsł się z gniewu i smutku.

— Wczoraj wieczór jeszcze wiedzieliśmy w Ekeby, gdzie się znajduje skarb. Major Fuchs przypomniał sobie nagle, że odkrył go przypadkiem pewnej nocy, kiedy zakradł się do wieży, by wziąć spiżu z dzwonów na odlanie kuli.

Gösta zamknął oczy i przycisnął związane ręce do piersi, jakby chciał przynieść ulgę sercu.

— Powiesz pewnie — ciągnęła dalej — że to ci obojętne, Sintram wyznał ci uczciwie, gdzie leżą pieniądze, winieneś przeto umrzeć! Czyż sądzisz jednak, że same pieniądze usuną taką jak nasza niedolę? Przepyszne sobie wymyśliłeś zakończenie życia! Ludność odprowadzi cię z płaczem do grobu i czczony będziesz jak kapitan Lennart, gdyż także oddałeś życie za lud. Wiem, żeś to uczynił ochotnie, chcąc odpokutować winy. A jednak mówię ci, żeś powinien żyć i po prostu pełnić swój obowiązek.

Nie marz o czynach bohaterskich, nie staraj się błyszczeć i budzić podziwu, ale raczej o to, by nazwisko twoje nie pojawiała się zbyt często na ustach ludzi. Rozważ jednak wszystko dobrze, zanim cofniesz słowo dane Sintramowi. Zyskałeś prawo do śmierci i życie przyszłe nie da ci wiele radości. Dotąd nie stały jasno sprawy między nami, ty nie śmiałeś uważać mnie za żonę, ja zaś nie byłam pewna, czy nas złączyła wola boża, czy też związek nasz był jeno wynikiem mojej chorobliwej przesady. Przez czas pewien chciałam wracać do rodziców, sądząc, że dla takiej jak ja winowajczyni to szczęście zbyt wielkie zostać twą małżonką i pójść z tobą przez życie. Ale teraz powiadam, że zostanę, jeśli znajdziesz dość odwagi, by żyć. Nie spodziewaj się wielkiej szczęśliwości, gdyż zmuszę cię kroczyć trudną drogą obowiązku. Nie usłyszysz ode mnie słów radości i nadziei. Całą troskę i całe nieszczęście, jakieśmy spowodowali, postawię na straży naszego ogniska. Czy może jeszcze kochać serce, które tyle wycierpiało co moje? Bez łez i bez radości iść będę obok ciebie. Namyśl się, Gösto, zanim uczynisz wybór! Pójdziemy drogą pokuty!

Nie czekając odpowiedzi skinęła na towarzyszkę i wyszła. Gdy weszły w las, zaczęła płakać i płakała aż do samego Ekeby. Dotarwszy tam przypomniała sobie, że jej całkiem wyszło z pamięci, by porozmawiać z Janem Hökiem o rzeczach milszych mu niż wojna.

Po jej odejściu cisza zaległa chatę.

— Chwała bądź Bogu na wysokościach! — rzekł nagle stary żołnierz.

Wszyscy spojrzeli nań, on zaś wstał i jął się rozglądać wokoło.

— Nikczemność i nikczemność! — dodał. — Wszystko, na com patrzył od lat długich, było nikczemnością! Źli ludzie, złe kobiety, gniew wszędzie, w lesie i w polu. Ona jedna jest dobra. Dobry człowiek przebywał w chacie mojej. Siedząc samotnie będę o niej rozmyślał, a bliska mi też będzie podczas wędrówek.

Pochylił się nad Göstą, rozwiązał go, pomógł mu wstać, a potem ujął uroczysto dłoń jego.

— Byliśmy opuszczeni przez Boga! — rzekł i skinął głową. — Tak! Ale teraz wszystko jest inaczej, od kiedy ona była w moim domu. To dobra kobieta!

Następnego dnia poszedł stary Jan Hök do sędziego Scharlinga i powiedział:

— Chcę wziąć na barki krzyż mój! Byłem człowiekiem złym i złych też wydałem synów!

Potem poprosił, by pozwolono mu iść zamiast syna do więzienia. Ale to się zrobić, oczywiście, nie dało.

Najpiękniejsza część tej starej historii opowiada, jak towarzyszył synowi, szedł koło wózka więziennego, spał pod progiem jego celi i nie odstąpił go aż do końca kary. Historię tę opowie ktoś inny na pewno.

36. MAŁGORZATA CELSING

Na krótko przed Bożym Narodzeniem przybyła majorowa, ale dopiero w dzień Wilii dotarła do Ekeby. Przez cały ciąg podróży chorowała, miała zapalenie płuc i wielką gorączkę, mimo to jednak nigdy nie była weselsza i nikt nie słyszał od niej słów uprzejmiejszych.

Córka proboszcza brobijskiego, która przebywała z nią od października, siedziała też w saniach i nagliła do pośpiechu. Ale majorowa ciągle kazała zatrzymywać konie, przywoływała każdego przechodnia i wypytywała o nowiny.

— Co tam słysząc nad Lövenem? — pytała.

— Nam się dobrze powodzi! — odpowiadano. — Nastały czasy lepsze. Szalony proboszcz i żona jego pomagają wszystkim.

— Nadszedł czas dobry! — mówił ktoś inny. — Sintrama nie ma. Kawalerowie z Ekeby zaczęli pracować. Skarb proboszcza brobijskiego znaleziono w dzwonnicy broeńskiej. Starczy na przywrócenie wspaniałości Ekeby i na chleb dla głodnych.

— Stary nasz dziekan odżył na nowo! — powiedział trzeci. — Co niedzielę głosi powrót królestwa bożego. Nikt nie ma ochoty grzeszyć, bo zaczyna się panowanie dobra.

Majorowa jechała pytając każdego, co słysząc nad Lövenem i czego brak ludności.

Gorączka i klucie w piersiach ustawały, gdy słyszała, jak mówiono:

— Mamy dwie dobre i bogate kobiety, Mariannę Sinclaire i Annę Stjärnhök, które razem z Göstą Berlingiem chodzą od domu do domu pytając, czy kto nie głodny. A wódki nie pędzimy wcale.

Zdawało się majorowej, że jest w kościele na nabożeństwie. Dostała się do ziemi świętej, widziała blaski radości na starych, pomarszczonych twarzach, gdy pytała o czasy obecne. Chorzy zapominali o swym bólu sławiąc czas wesela.

— Staramy się być dobrymi jak kapitan Lennart! — mówili. — Chcemy być dobrzy, dobrze o wszystkich myśleć i nie krzywdzić nikogo. To przyspieszy królestwo boże na ziemi.

Wszyscy owiani byli tym duchem. Po dworach żywiono bezpłatnie biednych. Kto miał jakieś roboty do wykonania, rozpoczął je teraz właśnie, a w siedmiu hutach majorowej praca szła całą parą. Majorowa nigdy nie czuła się lepiej niż podczas tej jazdy, gdy wciągała zimne powietrze w chore płuca. Zatrzymywała się przed każdą zagrodą pytając o nowiny.

— Mieliliśmy tu wielką nędzę — odpowiadano — ale panowie z Ekeby wspomagają nas. Zdziwi się pani majorowa ujrzawszy, czego tam dokazali. Młyn jest na ukończeniu, kuźnia w ruchu. Odbudowali też spalony dom.

Bieda i przeżycia ostatnich czasów odmieniły ludzi do gruntu. Wiedziała, że to nie potrwa długo, ale miły jej był powrót do miejsca, gdzie jeden pomagał drugiemu, a wszyscy pragnęli być dobrymi. Majorowa uczyła, że może przebaczyć kawalerom, i podziękowała za to Bogu.

— Anno Lizo! — powiedziała. — Ja, stara, siedzę tu i tak mi jest, jakbym była już w drodze do nieba.

Gdy stanęła w Ekeby, wybiegli kawalerowie na spotkanie, ale nie mogli jej poznać, gdyż była łagodna i uprzejma jak ich własna hrabina. Starsi, pamiętający dawne czasy, szepotali sobie, że to nie majorowa z Ekeby powróciła, ale Małgorzata Celsing.

Bardzo ich radowało, że taka łagodna i że nie myśli o zemście, natomiast posmutnieli, widząc, jak bardzo jest chora. Musiano ją zanieść do sypialni i położyć. W progu odwróciła się i rzekła:

— Burza Pańska przeszła po kraju! Teraz wiem, że stało się to dla naszego dobra.

Potem zawarły się drzwi i już jej nie zobaczyli.

Pragniemy zazwyczaj tyle, tyle powiedzieć umierającemu! Słowa cisną się na usta, gdy wiemy, że obok leży człowiek, którego uszy przestaną niebawem słyszeć na zawsze.

„Przyjacielu drogi — radzi byśmy rzec — przebac i wierz, że mimo wszystko cię kochałem! Doprawdy nie wiem, jak mogłem przysporzyć ci tyle troski za czasów wspólnej wędrówki naszej. Dziękuję ci za wszystką radość, jaką mi dałeś!”

Takie słowa radzi byśmy mówić, i inne jeszcze.

Ale majorowa miała wielką gorączkę i nie słyszała, co mówili kawalerowie. Czyż nie miała się nigdy już dowiedzieć, jak pracowali, jak podjęli dzieło ratunku Ekeby i jego sławy? Wszystko to miało jej pozostać nie znane?

Kawalerowie ruszyli do kuźni, gdzie robota ustala dnia tego. Nakładli w piec węgla, rudy i przysposobili wszystko do topienia. Kowale poszli świątkować, przeto kawalerowie stanęli sami do pracy. Niechby jeno majorowa dożyła chwili, kiedy młot zacznie walić, a dźwięk ten powie jej wszystko!

Zapadł mrok i noc nadeszła, a oni pracowali dalej, dziwując się, że oto znowu Wigilia zastaje ich w kuźni. Wielki mistrz, Kevenhüller, który kierował odbudową kuźni, i silny kapitan Chrystian Bergh stali przy piecu doglądając stopu, Gösta i Juliusz nosili węgiel, inni siedzieli na kowadle, pod wiszącym u góry wielkim młotem, lub na wózkach węglowych i sztabach żelaza. Mistrz Löwenborg rozmawiał z wujem Eberhardem siedzącym obok niego na kowadle.

— Dziś w nocy umrze Sintram! — powiedział Löwenborg.

— Czemu dziś właśnie?

— Wszakże pamiętasz umowę zawartą przed rokiem? Ponieważ nie uczyniliśmy nic przeciw honorowi kawalerskiemu, przeto on przegrał...

— Jeśli wierzysz w takie rzeczy, to zważ, żeśmy w niejednym uchybili honorowi kawalerskiemu. Opuściliśmy majorową, zaczęliśmy pracować, a w końcu Gösta złamał słowo, nie odbierając sobie życia.

— Myślałem o tym i sądzę, że się mylisz. Wzbronione nam były czyny drobiazgowo skierowane ku osobistej korzyści, nie zaś czyny dyktowane przez miłość, honor i zbawienie duszy. Sintram przegrał, moim zdaniem. Jestem nawet tego pewny. Przez cały wieczór słyszałem brzęk janczarów, ale nie był to dźwięk zwyczajny, sądzę, że ujrzymy go tutaj niedługo.

Mały, stary człeczek wbił spojrzenie w otwarte drzwi kuźni, przez które widać było niebo z nielicznymi tylko gwiazdami. Po chwili zerwał się szepcząc:

— Patrz! Tam! Nadchodzi chyłkiem! Stoi w drzwiach!

— Nic nie widać! — odparł filozof. — Zmęczony jesteś, więc ci się chyba przywidziało.

— Widziałem go wyraźnie na tle nieba. Miał na sobie długą wilczurę i futrzaną czapkę na głowie. Teraz znikł w ciemności. O, patrz, stoi pod piecem, tuż przy Chrystianie, ale Chrystian nie dostrzega go. Schyla się i rzuca coś w ogień. Uff! Jaki obrzydliwy! Baczość! Baczość!...

W tej chwili huknęło, a skry posypały się z pieca na kuźnię i kawalerów. Ale żaden nie poniósł szwanku.

— Chciał się zemścić! — szepnął Löwenborg.

— Oszalałeś, widzę! — zawołał Eberhard. — Sądzę, że powinien byś dać pokój tym głupstwom!

— Można tak myśleć i tego chcieć, ale nic nie pomoże! O, patrz, stoi teraz, na belce i wykrzywia się. Dalibóg, zdaje się, że odczepił młot!

Skoczył z kowadła pociągając za sobą Eberharda. W tej samej chwili młot opadł z hukiem na kowadło. Rozluźnił się widocznie jakiś uchwyt, a obaj z wielką biedą uniknęli śmierci.

— Widzisz sam, że nie ma już nad nami władzy! — triumfował Löwenborg. — Ale mści się, to rzecz jasna!

Krzyknął Göście:

— Idźże do kobiet, Gösto! Może i do nich stwora zajdzie. Nie nawykły, jak ja, do tego widoku i mogłyby się przestraszyć. Ale strzeż się, nie lubi cię, a że złamałeś ślub, może mieć jeszcze nad tobą władzę. Nigdy nie wiadomo!

Dowiedziano się potem, że Löwenborg miał słuszość — Sintram zmarł tejsze właśnie nocy wigilijnej. Podobno powiesił się w więzieniu, ale wedle innych pogłosek służyła

więzienna uśmierciła go potajemnie, gdyż śledztwo wypadło na jego korzyść, a nie sposób było wypuścić go na wolność, by nadal czynił zło wśród ludzi. Inni głosili, że czarna jegomość zajechał czarną karetą i takimiż końmi pod więzienie i porwał Sintrama. Nie tylko Löwenborgowi pokazał się tej nocy. Widziano go w Forsie, widziała go też we śnie Ulryka Dillner. Wielu ludzi twierdziło, że im się jawił, aż do czasu kiedy Ulryka pochowała jego zwłoki na cmentarzu broeńskim. Odtąd już nie straszył.

Opowiadano też, że zanim Gösta zdążył dojść do dworu, przybył tam jakiś nieznajomy i oddał list dla majorowej. Nikt nie znał posłańca, a list położono na stoliku przy jej łóżku. Zaraz potem nastąpiło niespodziane polepszenie, gorączka opadła, ból ustał i uczuła się dość silna, by list przeczytać.

Starzy ludzie mówili, że to polepszenie było dziełem mocy piekielnych, gdyż Sintramowi i jego przyjaciółom mogło zależeć na tym, by majorowa poznała treść listu.

Był to dokument pisany krwią na czarnym papierze. Poznaliby go pewnie kawalerowie, gdyż spisany został rok temu w kuźni, w noc wigilijną.

Majorowa leżała i czytała. Dowiedziała się, że jest czarownicą i wysłała kawalerów do piekła, przeto zostaje skazana na utratę Ekeby. Wszystkie głupstwa odczytała dokładnie, zbadła datę i podpisy. Przy podpisie Gösty znalazła taką uwagę: „Podpisuję ten dokument, albowiem majorowa skorzystała z mej słabości i przeszkadzając mi we wzięciu się do uczciwej pracy zrobiła mnie rezydentem w Ekeby. Poza tym uczyniła mnie mordercą Ebby Dohny, gdyż jej zdradziła, że jestem wypędzonym proboszczem”.

Majorowa złożyła powoli dokument i wsunęła w kopertę, potem leżała nieruchomo, dumając nad jego treścią. Świadomość, że taką miała opinię u ogółu mieszkańców, przepełniła goryczą jej serce. W przekonaniu wszystkich, którym świadczyła dobrodziejstwa, którym dawała pracę i chleb, była tylko czarownicą i współniczką diabła. Taka nagroda, taka zapłata. Wiarołomna żona nie mogła się spodziewać niczego innego.

Cóż ją obchodzili owi nieświadomi ludzie? Obcy jej byli i dalecy. Ale czemuż tak ją osądzili kawalerowie, którzy żyli z jej łaski i znali ją dobrze? Czemuż udali, że wierzą w to, by mieć pretekst do zagarnięcia Ekeby? Zakotłowały w jej głowie myśli, podrażniona gorączką zawrzała gniewem i snuć zaczęła plany zemsty. Kazała córce proboszcza, która wraz z hrabiną Elżbietą nad nią czuwała, posłać do Högforsu po zarządcę dóbr i inspektora. Spisze testament.

Potem znowu leżała cicho i rozmyślała. Ściągnęła brwi, a twarz wykrzywił straszny ból.

— Pani majorowa, widzę, bardzo chora! — szepnęła Elżbieta.

— To prawda, bardziej chora niż przedtem.

Milczała chwilę, potem rzekła głosem twardym, szorstkim:

— Dziwi mnie, gdy pomyślę, że także i hrabina Elżbieta, którą wszyscy kochają, jest wiarołomną żoną.

Elżbieta zadrżała.

— Tak... wprawdzie nie czynem, ale w myśli i pragnieniu. To sprawy nie zmienia.

— Wiem o tym, pani majorowo!

— A mimo to jesteś teraz szczęśliwa, możesz posiadać bez grzechu człowieka, którego kochasz. Czarne widmo nie stoi pomiędzy wami, połączeni w oczach świata, możecie kroczyć razem drogą życia.

— Tak jest, droga pani!

— Jak śmiesz być z nim? — krzyknęła majorowa z wzrastającą gwałtownością. — Pokutuj! Pokutuj, póki czas! Wracaj do domu, do rodziców, zanim przyjdą tu, by rzucić na ciebie klątwę! Jak śmiesz zwać Göstę Berlinga mężem swoim? Opuść go! Dam mu Ekeby, wyposażę w potęgę wielką... Czyż się ośmielisz dzielić z nim szczęście, zaszczyty i władzę? Czy masz odwagę przyjąć szczęście i cześć? Ja ją miałam. Czy wiesz, jak na tym wyszłam? Pamiętasz ostatnie Boże Narodzenie w Ekeby? Pamiętasz więzienie w Munkerudzie?

— Ach, pani majorowo — odparła Elżbieta — nam obojgu szczęście nie przyświeca. Ja sama czuвам nad tym, by szczęście nie miało przystępu do naszego ogniska. Proszę mi wierzyć, że tęsknię za domem, za opieką rodziny, ale muszę tu pozostać drżąc ciągle i dręcząc się tą świadomością, że wszystko, co czynię, przynosi jeno grzech i niedolę, że

pomagając jednym, szkodzę innym. Za słaba i zbyt nieudolna jestem, by żyć tu na ziemi, a jednak wiąże mnie z tym życiem obowiązek wiecznej pokuty.

— Takimi myślami oszukujemy serca nasze! — zawołała majorowa. — Ale to słabość! Nie chcesz odjechać, gdyż nie chcesz go porzucić!

Zanim hrabina zdołała odpowiedzieć, wszedł Gösta.

— Pójdź tu, Gösto! — rozkazała majorowa jeszcze ostrzejszym głosem. — Pójdź tu, Gösto, którego sławi cała okolica i który chcesz być po śmierci zwany zbawcą ludu. Dowiedz się o losach starej majorowej, którą wyгнаłeś opuszczoną i samotną na gościniec.

Naprzód opowiem ci, co mnie spotkało z wiosną u matki, potem dowiesz się końca historii.

W marcu dotarłam do dworu w lasach Älvdalen. Wyglądałam na żebraczkę. Gdy mi przyszła, powiedziano mi, że matka jest w mleczarni. Poszłam tam i stałam długo przy drzwiach. Wokoło na półkach stały błyszczące miedziane misy z mlekiem. Matka, licząca przeszło dziewięćdziesiąt lat, zdejmowała jedną po drugiej i zbierała śmietanę. Krzątała się żywo, ale spostrzegłam, że z trudnością sięga po misy. Nie wiedziałam, czy mnie spostrzegła, ale po chwili rzekła ostrym głosem: „Widzę, że się z tobą stało tak, jak przepowiedziałam”.

Chciałam mówić, prosić o przebaczenie, ale byłoby to daremne, gdyż była głucha jak pień. Po chwili rzekła znowu: „Możesz mi pomóc”. Podeszłam i zaczęłam zbierać śmietanę. Zdejmowałam misy jak trzeba, po kolei, zanurzałam w miarę głęboko warzechę i stawiałam misy z powrotem na miejsce. Za nic nie pozwoliłaby żadnej ze służebnych zbierać śmietany, ja zaś wiedziałam z dawnych czasów, jak jej dogodzić.

„Od dziś możesz przejąć tę robotę!” — powiedziała, a ja byłam już teraz pewna, że mi przebaczyła.

Potem nagle osłabła tak, że nie mogła już pracować.

Całymi dniami drzemała w fotelu. Zmarła kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem. Byłabym chętnie wróciła wcześniej, Gösto, ale trudno mi było opuścić starowinę.

Zamilkła oddychając ciężko, po chwili jednak zebrała siły i podjęła na nowo:

— Prawdą jest, Gösto, że chciałam cię mieć tu, w Ekeby. Już tak jest, że wszyscy pragną twego towarzystwa. Gdybyś został porządnym człowiekiem, byłabym cię wyposażyła w wielką władzę. Zawsze pragnęłam, byś dostał dobrą żonę. Zrazu myślałam o Marianie Sinclairze wiedząc, że cię kochała, wówczas jeszcze, gdyż był drwalem w lesie. Potem zwróciłam uwagę na Ebbę Dohna, pojechałam do Borgu i powiedziałam jej, że jeśli za ciebie wyjdzie, zamianuję cię spadkobiercą Ekeby. Przebac, jeśli źle postąpiła.

Gösta padł na kolana przy jej łóżku, oparł głowę o krawędź i jęczał głucho.

— Powiedz mi, Gösto, co dalej czynić zamierzasz i z czego chcesz żyć z żoną? Powiedz mi, wiesz przecież, że zawsze pragnęła twego dobra.

Gösta odpowiedział uśmiechając się, chociaż mu serce pękało z bólu:

— W dawnych czasach, kiedy usiłowałem zostać robotnikiem w Borgu, podarowałaś mi, pani majorowo, dom i posiadam go do dziś. Jesienią wyporządziłem go przy pomocy Löwenborga, pobieliliśmy stropy i wykleiliśmy ściany, a drzwi i okna powlekliśmy farbą olejną. Tylny pokój nazwał Löwenborg gabinetem hrabiny i umeblował sprzętami z różnych dworów, kupionymi na licytacjach. Są tam fotele z wysokim oparciem, skrzynie i kufry kute. W wielkim pokoju od frontu stoi warsztat tkacki Elżbiety i moja tokarnia. Jest tam także trochę sprzętów domowych. W tym pokoju siadywaliśmy nieraz długo, rozmawiając, jak to hrabina zamieszka w domu robotnika. Żona moja dowiaduje się o tym w tej chwili dopiero, pani majorowo. Chciałem ją zawiadomić o wszystkim w dniu opuszczenia Ekeby.

— Mów dalej, Gösto!

— Löwenborg wspominał często, że koniecznie musimy mieć służącą. „Latem jest przepięknie — mawiał — ale w zimie czułaby się młoda kobieta zbyt samotna. Musisz wziąć tedy służącą, Gösto!” Przyznawałem mu rację, ale nie wiedziałem, skąd wziąć na to środki. Pewnego dnia przywłókł Löwenborg swój stół z malowanymi klawiszami. Spytałem żartem, czy ma zamiar zostać naszą służącą. Odrzekł, że przyda nam się, bo chyba nie chcę, by żona moja gotowała sama obiad i nosiła wodę i drzewo. Odparłem, że nie chcę, aby to czyniła, jak długo sam mam zdrowe ręce do pracy. Zauważył, że jeszcze nam lepiej pójdzie we dwóch, ona zaś będzie mogła siedzieć przez cały dzień przy kominku

z robótką w rękach. Oświadczył, że nie mam pojęcia, ile obsługi potrzebuje taka mała, delikatna kobieta.

— Mów dalej, Gösto! — rzekła majorowa. — To mi łagodzi ból. Ale czy sądzisz, że młoda hrabina może zamieszkać w domu robotnika?

Zdziwił go drwiący ton, jakim to powiedziała, ale mówił dalej.

— Ach, pani majorowo! Nie śmiałem w to wierzyć, ale gdyby się zdecydowała, byłbym szczęśliwy. Trzeba stąd pięć mil jechać do lekarza. Ona jest tak zręczna i dobra, że nie zabrakłoby jej zajęcia przy opatrywaniu ran i leczeniu gorączki. Pewny jestem, że wszyscy znaleźliby drogę do pani w robotniczym domku. Dużo jest niedoli u biedaków, której ulżyć można dobrym słowem i życzliwą poradą.

— A cóż będziesz robił ty sam, Gösto?

— Będę pracował przy warsztacie stolarskim i tokarce. Muszę zacząć własne życie. Jeżeli żona moja nie zechce iść ze mną, muszę i na to przystać. Ale nie skusiłyby mnie już teraz wszelkie bogactwa świata, chcę żyć życiem własnym. Zostanę biednym pośród biednych i będę im pomagał wedle sił. Potrzebują kogoś, kto by im wygrywał polki na weselach i w zapusty, pisał listy do synów w obczyźnie, a ja to potrafię. Ale przede wszystkim muszę być biedny, pani majorowo!

— Smutne będzie wasze życie!

— O nie, pani majorowo, nie będzie smutne, jeśli tylko trzymać się będziemy razem. Bogaci przyjdą do nas na równi z biedakami i radośnie będzie w naszym małym domku. Goście nie obrażą się, gdy jadło będzie przyrządzane na ich oczach, i nie wezmą nam za złe, że jeść będą po dwu z jednego talerza.

— A jakież oddasz tym korzyści, jakie osiągniesz zaszczyty, Gösto?

— Starczy mi tego zaszczytu, jeśli biedacy zachowają wspomnienie o mnie przez parę lat po śmierci mojej. Korzyść będzie dostateczna, jeśli przy każdej chacie zasadzę parę jabłonek, jeśli wyuczę grajka kilku starych melodii, a pastuszków na leśnej polanie pięknych śpiewek. Proszę wierzyć, pani majorowo, jestem ten sam co dawniej, szalony Gösta. Wiem teraz, że mogę zostać jedynie muzykusem, i na tym poprzestanę. Dużo rzeczy muszę naprawić, ale płacz i skrucza to sprawy nie moje! Chcę dać radość biedakom i w tym upatruję pokutę swoją!

— Gösto! — powiedziała majorowa. — Życie takie nie odpowiada zdolnościom twoim. Dam ci Ekeby!

— Ach, pani majorowo! — zawołał przerażony. — Proszę, nie czyni mnie bogatym! Nie obciążaj mnie obowiązkami i nie odrywaj od biedaków!

— Dam Ekeby tobie i kawalerom — powtórzyła. — Jesteś przepyszny człowiek i błogosławi cię lud. Powiadam jak matka moja: „Od dziś możesz przejąć tę robotę”.

— Nie, pani majorowo, nie możemy przyjąć tego daru, my, którzyśmy wygnali panią i tyłu nabawili cierpień!

— Dam wam Ekeby! Słyszysz? — powtórzyła ostro, twardo, bez śladu życzliwości.

Ogarnął go wielki strach.

— Nie wódz pani tych starców na pokuszenie! — poprosił. — Staliby się rozwiązłymi pijakami! Bogaci kawalerowie? Boże wielki, w cóż byśmy się obrócili?

— Dam więc tobie, Gösto, Ekeby, ale musisz mi przyrzec, że zwrócisz wolność żonie swojej. Taka delikatna, wytworna dama nie dla ciebie. Zbyt wiele wycierpiała w niedźwiedzim kraju i tęskni za świetlaną ojczyzną swoją. Pozwól jej odjechać, a dam ci za to Ekeby!

Teraz jednak Elżbieta uklękła przy łożu i jęła mówić:

— Już nie tęsknię za ojczyzną, pani majorowo! Ten, który jest mężem moim, rozwiązał zagadnienie i znalazł życie, którym i ja żyć mogę. Nie potrzebuję kroczyć obok niego chłodna, surowa i nakłaniać go do pokuty. Ubóstwo i niedostatek uczynią to samo. Mogę bez grzechu chodzić ścieżkami, które wiodą do biednych i chorych. Nie straszne mi już życie na północy. Ale nie czyni go pani bogatym, gdyż nie mogłabym z nim zostać.

Majorowa usiadła i zawołała grożąc im pięścią:

— Całego szczęścia chcecie dla siebie, całego szczęścia i wszelkiej błogości! Nie! Kawalerowie dostaną Ekeby ku zgubie swojej. Rozdzielę męża i żonę, by zginęli oboje marnie! Jestem czarownicą, współniczką diabła! Chcę was podjudzić do wszelkiego zła! Chcę być taka, za jaką mnie ludzie uważają.

Cisnęła Göście list w twarz. Czarny papier zatrzepotał w powietrzu i spadł. Gösta znalazł go dobrze.

— Zgrzeszyłeś przeciw mnie, Gösto! Zaparłeś się tej, która ci była drugą matką. Czyż się ośmieliłeś nie przyjąć kary z ręki mojej? Musisz wziąć Ekeby, które ci się stanie zgubą, gdyż jesteś słaby. Musisz odesłać żonę do domu, byś nie miał nikogo, kto by cię mógł uratować. Powiedzą po śmierci Małgorzaty Celsing, że była czarownicą i współniczką diabła, o tobie zaś, żeś był marnotrawcą i katem chłopów!

Opadła na poduszki i cisza zaległa w pokoju. Nagle zahuczało w nocnej ciszy potężne uderzenie. Po nim drugie i trzecie. Wielki młot dźwigniowy zaczął dzieło swoje.

— Słuchajcie! — rzekł Gösta. — Tak brzmi pośmiertna sława Małgorzaty Celsing! To nie są żarty kawalerów pijanych, to zwycięski hymn pracy, zaintonowany ku czci starej, wiernej pracownicy. Dzięki, powiada on, dzięki za możliwość pracy, dzięki za chleb, który dawałaś biednym, za ziemię, którą uczyniłaś rolą urodzajną, dzięki za drogi, które budowałaś, dzięki za mieszkania wznoszone, dzięki za radość, którą przyjęłaś w dom swój! Dzięki ci, powiada hymn, spocznij w pokoju, a dzieło twoje żyć będzie i trwać. Dom twój pozostanie nadal przybytkiem darzącym szczęściem! Przyjm dzięki i nie potępij nas, którzyśmy błędzili, lecz zachowaj życzliwe wspomnienie, odlatując w dziedzinę wieczystego pokoju.

Gösta umilkł, ale młot śpiewał dalej, a wszystkie życzliwe głosy, jakie majorowa kiedykolwiek słyszała, zlały się z hukiem młota w jeden wielki akord. Rysy jej rozpogadzały się z wolna, nabierały miękkiego wyrazu i zdawało się, że śmierć zaczyna ją obejmować cieniem swoim.

Weszła Anna Liza zawiadamiając, że przybyli panowie z Högforsu, ale majorowa kazała ich odprawić. Nie chciała już robić testamentu.

— Gösto Berlingu, niejeden czyn bohaterski spełniłeś — powiedziała — zwyciężyłeś raz jeszcze! Nachyl się, bym cię mogła pobłogosławić.

Gość wróciła ze zdwojoną siłą. Zaczęło się konanie. Ciało toczyło jeszcze ciężką walkę, ale dusza przestała to niebawem odczuwać, zapatrzona w niebo otwarte umierającym.

Godzinę trwała jeszcze agonia, po czym twarz majorowej przybrała wyraz takiego spokoju i piękna, że obecni doznali głębokiego wzruszenia.

— Droga moja, kochana majorowo! — rzekł Gösta. — Widziałem cię już raz taką! Wróciła, zaiste, do życia Małgorzata Celsing i nigdy już nie ustąpi miejsca majorowej z Ekeby.

Wróciwszy z kuźni dowiedzieli się kawalerowie o śmierci majorowej.

— Czy słyszała młot? — zapytali.

— Słyszała.

Musieli się tym zadowolić. Potem dowiedzieli się, że chciała im zapisać Ekeby, ale testament nie doszedł do skutku. Uznali to za zaszczyt wielki i chlubili się tym do końca życia. Nigdy natomiast nie żalili się na utratę bogactw.

Powiadają jeszcze, że tejże nocy wigilijnej Gösta Berling, z małżonką u boku, wygłosił do kawalerów ostatnią mowę. Wyraził żal, iż muszą opuścić Ekeby. Da im się teraz we znaki starość — powiedział. Starzec i człowiek smutny doznaje wszędzie chłodnego przyjęcia. Biedny kawaler, będący na stacji u chłopów, odcięty od uciech i przygód, więdnie i usycha w samotności.

Tak mówił do beztroskich ludzi, zahartowanych zmiennością losu. Raz jeszcze nazwał ich bogami i rycerzami, którzy zjawili się, by wprowadzić radość w kraj żelaza i w żelazną epokę, ale żalił się, że ogród, w którym polata motyl uciechy, nawiedziły niszczące larwy, tak że owoc pójdzie na marne.

Mówił, że radość jest dobrem nieocenionym dla dzieci tej ziemi, ale nie przestaje niepokoić człowieka zagadnienie, jakby można być szczęśliwym i dobrym jednocześnie. Jest to rzecz najłatwiejsza i najtrudniejsza zarazem. I oni nie zdołali też rozwiązać dotąd zagadki, teraz atoli potrafią to uczynić po przeżyciach radości i smutku, szczęścia i trosk, jakie im przyniósł rok ostatni.

Ach, drodzy moi kawalerowie, teraz mnie przypada gorycz rozłąki z wami! Ostatnią tę noc czuwaliliśmy wspólnie. Nie posłyszę już wesołego śmiechu i pieśni ochoczej. Muszę się rozłączyć z wami i z wszystkimi mieszkańcami wybrzeża Lövenu.

Drodzy starszuszowie! Otrzymałam od was dary cenne. Przybyliście do samotnicy z wieścią o przedziwnych kolejach życia. Widziałam wasze walki bohaterskie, stoczone nad jeziorem dziecięctwa mego. Cóż zaś dałam wam w zamian?

Ucieszy was może, że połączyłam imiona wasze z miejscami drogimi sercu. Niechże blask, który opromieniał życie wasze, spłynie na ten kraj, gdzieście przebywali! Istnieje dotąd Borg, Björne i Ekeby nad Lövenem, leżą pośród wodospadu, jeziora, parku i rozemnianych polan leśnych, a gdy staną na szerokim tarasie, nadlatują legendy i krążą wokół niby pszczoły w dzień letni.

Wspomniałam o pszczołach, przeto pozwólcie, że opowiem krótką historyjkę. Mały Ruster, który jako dobosz maszerował w roku 1813 do Niemiec z armią szwedzką, nie mógł się za powrotem dość naopowiadać o rozkosznych południowych krajach. Mówił, że ludzie są tam wielcy jak wieże kościelne, jaskółki jak orły, a pszczoły mają wielkość gęsi.

— Jakie tedy muszą być ule?

— Ule mają, oczywiście, wielkość zwyczajnych ulów.

— Jakże mogą się w nich pomieścić pszczoły?

— A, to już ich własna sprawa! — powiedział mały Ruster.

Drodzy czytelnicy, czy nie wolno mi tak samo odpowiedzieć? Otaczały nas tutaj długo olbrzymie pszczoły wyobraźni. Jakże je atoli pomieścić w ulu rzeczywistości? Ach, to zaprawdę już ich własna sprawa.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gosta-berling>

Tekst opracowany na podstawie: Selma Lagerlöf, Gösta Berling, tłum. Franciszek Mirandola, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Wojciecha Kotwicy. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agata Wąsowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0487-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).